

1992

L

eżę na szorstkim kraciastym kocu w ogrodzie i udaję, że czytam. Jest popołudnie, słońce pali mnie w głowę i plecy, praży podeszwy stóp. Nie mam dziś lekcji, bo nauczyciel wyjechał na kurs; jestem na dworze od wielu godzin. Na kocu leżą żdźbła trawy z trawnika, łaskoczą moją odsłoniętą skórę. Głowa mi ciąży, powieki opadają. Słowa na stronie roją się jak mrówki, choć staram się je ustawić w równe rzędkie, i w końcu się poddaję, odkładam książkę i opieram głowę na ramionach.

Trawa chrzęści pod kocem, brązowa i sucha po tygodniach upałów. Pszczoły brzęczą w różach, niedaleko warczy kosiarka. Radio w kuchni gra, kobiecy głos unosi się i opada w odmierzonych kadencjach, a od czasu do czasu przerywa mu wybuch muzyki. Słowa są niewyraźne, zlewają się ze sobą. Regularne świst... pac, pac - mój brat gra w tenisa, odbijając piłkę od ściany domu. Rakieta, ściana, ziemia. Świst... pac, pac. Spytałam, czy mogę z nim zagrać. Wolał odbijać piłkę od ściany; tak to bywa, jak się jest o cztery lata młodszą siostrą.

Patrzę na biedronkę pełznącą po żdźbale trawy. Lubię biedronki, dopiero co napisałam o nich wypracowanie. Przysuwam palec, żeby biedronka na niego weszła, ale ona rozkłada skrzydełka i odlatuje. Coś mnie łaskocze w łydkę. Wielka czarna mucha. W tym roku są wszędzie, siadają na mnie przez cały dzień. Wtulam głowę głębiej w ramiona, zamykam oczy. Koc pachnie wełną i latem. Słońce grzeje, pszczoły nuca kołysankę.

Mijają minuty lub godziny i słyszę kroki na trawniku. Sucha, łamliwa trawa chrzęści. Charlie.

11

—

- Powiedz mamie, że niedługo wrócę.

Kroki się oddalają.

Nie podnoszę głowy. Nie pytam, dokąd idzie. Jestem na pograniczu snu i jawy. Może nawet już śnię.

Otwieram oczy i czuję, że coś się stało, choć nie wiem co. Nie mam pojęcia, jak długo spałam. Słońce nadal stoi wysoko na niebie, kosiarka wciąż warczy, radio bełkocze, ale czegoś brakuje. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że nie słysząc pacnięć piłki. Rakieta leży na ziemi, mój brat zniknął.

## ROZDZIAŁ 1

N

ie poszłam jej szukać, po prostu nie mogłam wytrzymać w domu. Opuściłam szkołę zaraz po ostatniej lekcji. Nie zaglądając do pokoju nauczycielskiego, ruszyłam prosto na parking. Moja mała dychawiczna renówka zastartowała od razu. Pierwszy sukces tego dnia.

Na ogół zostaję w szkole po zajęciach. Nabrałam zwyczaju przesiadywania w cichej klasie. Czasami opracowuję plan najbliższych lekcji albo sprawdzam klasówki.

Czasami po prostu gapię się w okno. Cisza naciska na moje bębniaki jak podwodne

ciśnienie. Nic mnie nie zmusza do wynurzenia, w domu nie czekają na mnie dzieci ani mąż. Czekają tylko rozpacz, w całej gamie swoich znaczeń.

Ale dziś było inaczej. Dziś skończyła się moja wytrzymałość. Był to ciepły dzień pod koniec maja i popołudniowe słońce nieprzyjemnie nagrzało wnętrze mojego samochodu. Opuściłam szybę, ale wlokłam się zatłoczoną szosą w takim tempie, że wietrzyk ledwie rozwiewał mi włosy. Nie przywykłam do przebijania się przez ulice w porze szczytu. Ręce rozboleły mnie od ściskania kierownicy. Włączyłam radio, po paru sekundach je wyłączyłam. Ze szkoły do domu nie było daleko. Na ogół droga zajmowała mi piętnaście minut. Tego popołudnia siedziałam wściekła w samochodzie prawie pięćdziesiąt.

Wróciłam do cichego domu. Za cichego. Stałam w chłodnym, mrocznym przedpokoju, nasłuchując. Włoski na rękach zjeżyły mi się od nagłej zmiany temperatury. Moja bluzka przesiąkła potem

13

pod pachami i na plecach. Zadrżałam. Drzwi salonu były otwarte, tak jak je zostawiłam rano. Z kuchni dobiegało tylko kapanie wody, dwie nuty kropel spadających w miseczkę po płatkach. Mogłabym się założyć, że nikogo tu nie było, odkąd wyszłam do pracy. A to znaczyło...

Bez większego entuzjazmu ruszyłam schodami w górę, po drodze wieszając torbę na słupku balustrady.

-Wróciłam!

Doczekałam się czegoś w rodzaju odpowiedzi - szurnięcia w sypialni na końcu korytarza. W pokoju Charliego. Drzwi były zamknięte; zawahałam się na podeście niepewna, czy mogę zapukać. W chwili, gdy postanowiłam spadać, klamka się poruszyła. Nie zdążyłabym dopaść swojego pokoju, więc czekałam z rezygnacją. Pierwszymi słowami zdradzi, jak minął jej dzień.

- Czego chcesz?

Ledwie hamowana wrogość. W zasadzie norma.

- Cześć, mamó - powiedziałam. - Wszystko dobrze?

Drzwi, ledwie uchylone, otworzyły się bardziej. Zobaczyłam łóżko Charliego, pościel lekko zmiętą tam, gdzie siedziała mama. Była nadal w szlafroku i kapciach. Trzymała się klamki, chwiejąc się lekko jak kobra. Zmarszczyła brwi, usiłując wyostrzyć wzrok.

- Co robisz?

- Nic. - Nagle ogarnęło mnie wielkie zmęczenie. - Wróciłam z pracy i tyle. Wpadłam się przywitać.

- Myślałam, że nie będzie cię dłużej. - Była zdziwiona i trochę podejrzliwa. - Która godzina?

Jakby to miało dla niej jakieś znaczenie.

- Jestem trochę wcześniej niż zwykle - wyjaśniłam, nie wdając się w szczegóły. To by nie miało sensu. Jej to nie obchodziło. Niewiele ją obchodziło.

Z wyjątkiem Charliego. Jej syneczka. Charlie był jej ulubieńcem. W jego pokoju panował nieskazitelny porządek. Przez szesnaście lat nic się nie zmieniło. Ani jeden

plastikowy żołnierz nie zmienił

14

położenia, ani jeden plakat nie odkleił się od ściany. Stosik złożonych ubrań czekał na schowanie do komody. Zegarek przy łóżku nadal tykał. Książki stały schludnie na półce nad łóżkiem: podręczniki, komiksy, grube opracowania o drugiej wojnie światowej. Chłopięce czytała. Wszystko tak jak w dniu, w którym zniknął, jakby miał wrócić i zacząć tam, gdzie przerwał. Tęskniłam za nim - codziennie za nim tęskniłam - ale tego pokoju nienawidziłam.

Mama kręciła się niespokojnie, mięła w palcach pasek szlafroka.

- Porządkowałam trochę - powiedziała.

Nie spytałam, co porządkowała w pokoju, w którym nic się nie zmieniało. Powietrze było tu zatekłe, stojące. Dobiegł mnie cuchnący powiew niemytego ciała i częściowo przetrawionego alkoholu. Wzdrygnęłam się z odrazą. Wyjść, wydostać się z tego domu i uciec jak najdalej!

- Przepraszam, nie chciałam ci przeszkadzać. - Zaczęłam się wycofywać do swojego pokoju. - Wychodzę pobiegać.

- Pobiegać - powtórzyła, mrużąc oczy. - Nie będę cię zatrzymywać.

Zmroziła mnie ta zmiana tonu.

- Myślałam, że ci przeszkadzam.

- Ależ proszę, rób, co chcesz, dogadaj sobie. Jak zawsze.

Nie powinnam była odpowiadać. Nie powinnam dać się wciąż gnać.

- Co to miało znaczyć?

- Chyba wiesz. - Opierając się o kłamkę, zdołała się wyprostować na całą wysokość; była o centymetr niższa ode mnie, czyli niewysoka. - Wchodzisz i wychodzisz, kiedy ci się spodoba. Byle tylko tobie było dobrze, co?

Musiałabym policzyć do miliona, żeby się opanować. Mimo to przełknęłam słowa, które naprawdę chciałam powiedzieć - zamknij się, ty egoistyczna suko, jestem tu tylko z powodu źle pojętej lojalności. Jestem tu tylko dlatego, że tata nie chciałby, żebyś została sama, tylko dlatego, bo już dawno wypaliłaś we mnie całą miłość do siebie, ty niewdzięczna, samolubna krowo.

15

Ale powiedziałam tylko:

- Myślałam, że ci to nie przeszkadza.

- Myślałaś? Ty nie myślisz. Nigdy.

Przeszła obok mnie z godnością, nieco nadszarpniętą, kiedy lekko się potknęła.

Przystanąła na korytarzu.

- Kiedy wrócisz, nie przeszkadzaj mi. Wcześniej się położę.

Tak jakbym w ogóle chciała się do niej zbliżyć. Ale przytaknęłam zgodnie; ruch, który płynnie przeszedł w sarkastyczne potrząśnięcie głową, ledwie zatrzasnęła drzwi. Z ulgą zamknęłam się w pokoju. Była niewiarygodna, o czym powiadomiłam

zdjęcie mojego ojca na nocnej szafce.

- Masz u mnie wielki dług - mruknęłam. - Bardzo konkretny dług.

Ojciec uśmiechał się, niewzruszony, a ja po paru chwilach reanimowałam się i wygrzebałam spod łóżka buty do biegania.

Oto największa z przyjemności: zdjąć wymięte, przepecone ubrania, włożyć szorty i bluzkę, związać gęste loki i poczuć na karku chłodny powiew. Po chwili wahania włożyłam cienką kurtkę, pamiętając o wieczornych chłodach, choć dzień był ciepły. Chwyciłam butelkę z wodą i komórkę i wyszłam. W progu odetchnęłam głęboko, otrząsnęłam nogi z ociężałości. Minęła piąta i słońce nadal świeciło jasno, złote i ciepłe. Kosy nawoływały się w ogrodach, gdy zaczęłam biec, początkowo niezbyt szybko, czekając, aż oddech mi przyspieszy i dopasuje się do tempa. Mieszkałam w małym zaułku w Wilmington Estate, osiedlu zbudowanym w latach trzydziestych dla londyńczyków marzących o życiu na przedmieściach. Curzon Close to zapuszczony, odludny zakątek z dwudziestoma domkami, zamieszkanymi przez osoby żyjące tu od lat, jak ja i mama, i nowych przybyszów, którzy uciekli przed londyńskimi czynszami. Jedna z tych nowych była w ogródku. Uśmiechnęłam się do niej nieśmiało, przebiegając. Zero reakcji. Nie powinnam się dziwić. Nie miałyśmy wiele wspólnego z sąsiadami, nawet tymi, którzy mieszkali tu tak długo jak my, a nawet dłużej. Zwłaszcza z nimi. Oni mogli pamiętać. Mogli wiedzieć.

16

Na głównej szosie nabrałam prędkości, jakbym chciała prześcignąć własne myśli. Przez cały dzień prześladowały mnie od dawna tłumione wspomnienia, które wypływały na powierzchnię umysłu jak bąble w bajorze. Dziwne, nie tknęło mnie żadne przecucie, kiedy za pięć dwunasta zapukano do mojej klasy. Siedziałam sama, przygotowując się do lekcji. Otworzyłam drzwi i ujrzałam Elaine Pennington, zaciekle i autentycznie przerażającą dyrektorkę szkoły żeńskiej Edgeworth, a za nią - wysokiego i ponurego mężczyznę. Rodzica, a konkretnie ojca Jenny Shepherd. Był zrozpaczony i natychmiast zrozumiałam, że coś się stało.

Ta scena stała mi przed oczami przez cały dzień. Elaine nie marnowała czasu na wstępy.

- Czy na następnej godzinie ma pani zajęcia z ósmą klasą?

Pracowałam u niej prawie rok, a nadal mnie onieśmielała.

Na sam jej widok ze strachu zapomniałam języka w gębie.

- Eee... tak - wykrztusiłam wreszcie. - Kogo pani szuka?

- Wszystkich - powiedział pan Shepherd, nie dopuszczając Elaine do głosu. - Muszę ich spytać, czy wiedzą, gdzie jest moja córka.

Weszli oboje. Pan Shepherd od razu zaczął krążyć niespokojnie po klasie. Poznałam go w listopadzie podczas pierwszego spotkania z rodzicami. Był wtedy hałaśliwie wesoły, rzucał zarty, od których jego ładna, pełna wdzięku żona przewracała dobrodusznie oczami. Jenny odziedziczyła po niej drobną budowę i oczy o długich rzęsach, ale miała uśmiech swojego ojca. Dziś nie widziałam jego uśmiechu; od bijącego od niego niepokoju powietrze zdawało się wibrować, nad ciemnymi,

przenikliwymi oczami rysowały się zmarszczki. Stał nade mną, wyraźnie przerażony. Zatrzymał się przy oknie i oparł o parapet, jakby nogi się pod nim ugięły. Spojrzał na nas bezradnie.

- Powinam cię wprowadzić w temat - odezwała się Elaine. - Pan Shepherd zwrócił się do mnie o pomoc w odnalezieniu Jennifer. Wyszła w weekend... w sobotę, prawda?

Shepherd przytaknął.

- W sobotę wieczorem. Koło szóstej.

17

Zrobiłam szybkie obliczenia i zagryzłam wargę. W sobotę wieczór, a teraz był poniedziałek, środek dnia. Niemal dwa dni. Krótko - albo nieskończenie długo, zależnie od perspektywy.

- Państwo Shepherd czekali, lecz do wieczora nie dała znaku życia. Nie odbierała komórki. Zaczęli jej szukać na trasie, którą prawdopodobnie poszła. Nie zauważyli żadnego śladu. Po powrocie pani Shepherd zadzwoniła na policję, ale nie doczekała się pomocy.

- Kazali jej trochę odczekać. - Pan Shepherd mówił cicho, głosem zachrypniętym, pełnym bólu. - Powiedzieli, że dziewczynki w tym wieku nie mają poczucia czasu. Powiedzieli, żebyśmy do niej dzwonili, a jeśli nadal nie odbierze, mamy zatelefonować do rodziców jej przyjaciółek i spytać, czy jej nie widzieli. Powiedzieli, że musi upłynąć więcej czasu, zanim będą mogli przystąpić do działania. Powiedzieli, że w Wielkiej Brytanii co pięć minut ginie dziecko - uwierzy pani? - i nie mogą angażować funkcjonariuszy, dopóki nie zyskają pewności, że dziecku coś zagraża. Powiedzieli, że dwunastolatka nie znajduje się w grupie szczególnego ryzyka, pewnie się niedługo pojawi i przeprosi, że nas zdenerwowała. Tak jakby mogła wyjść, nie wrócić i nawet do nas nie zadzwonić. Nie znali mojej córki. - Spojrzał na mnie. - Pani ją zna, prawda? Wie pani, że nigdy by nie odeszła bez słowa.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogła to zrobić - odpowiedziałam ostrożnie, przypominając sobie, co wiem o Jenny Shepherd. Dwanaście lat, ładna, pilna, zawsze skora do uśmiechu. Bez śladu buntu, bez odrobiny tego gniewu, który dostrzegałam u starszych dziewczynek, czerpiących mściwą przyjemność ze sprawiania kłopotów rodzicom. Zmartwienie, strach przed tymi znajomymi mi słowami - "zaginiona od dwóch dni" - ścisnęły mi gardło. Musiałam odkaszlnąć. - Zdołał ich pan przekonać, żeby potraktowali pana serio?

Roześmiał się niewesoło.

- O tak. Zaczęli mnie traktować superpoważnie, kiedy wrócił pies.

- Pies?

- Jenny wyszła z psem. Ma małego westika - west highland teriera - i wyprowadza go dwa razy dziennie, chyba że naprawdę nie może. Musiała się zgodzić na ten warunek, zanim kupiliśmy jej psa. Chcieliśmy, żeby była za niego odpowiedzialna. - Znowu ciężko oparł się o parapet. -l była. Doskonale sobie radzi z psem. Nie wykręca się przed wyprowadzaniem go w deszcz czy rano. Jak dorosła... Więc kiedy zobaczyłem tego cholernego sierściucha, wiedziałem, że coś się z nią stało. - Zakrztusił się lekko, oczy mu zwilgotniały. - Nie powinienem jej wypuszczać samej z domu, ale myślałem, że jest bezpieczna...

Ukrył twarz w dłoniach. Czekałyśmy, aż się opanuje, żeby uszanować jego rozpacz. Nie wiedziałam, co myśli Elaine, ale dla mnie było to nie do zniesienia. Po chwili w cichej sali rozległ się dzwonek na koniec lekcji i ojciec Jenny drgnął.

- Pies wrócił do domu sam... - odezwałam się, kiedy przebrzmiały ostatnie wibracje dzwonka.

Pan Shepherd patrzył na mnie przez chwilę, jakby nie rozumiał.

- A... tak. Koło jedenastej. Otworzyliśmy drzwi i zobaczyliśmy go za progiem.

- Miał smycz przypiętą do obroży?

Oboje spojrzeli na mnie takim wzrokiem, jakby uważali, że sfik-sowałam, ale chciałam się upewnić, czy spuszczonej ze smyczy pies nie uciekł Jenny. Może go długo szukała, a potem coś się jej stało. Ale też pies mógł się jej wyrwać albo ktoś mógł ją zmusić, żeby wypuściła smycz. Żaden miłośnik psów nie pozwoliłby, żeby jego ulubieniec włóczył się samotnie, ciągnąc za sobą smycz, w której mógłby się zaplątać i zrobić sobie krzywdę.

- Nie pamiętam - powiedział w końcu pan Shepherd ze zdziwieniem, pocierając czoło.

Elaine podjęła opowiadanie.

-Michael... pan Shepherd poszedł na policję i zażądał rozpoczęcia dochodzenia. W końcu koło północy zaczęli wypełniać odpowiednie formularze.

- Nie było jej już sześć godzin - wtrącił Shepherd.

- Skandal! Bezmyślność! - Nie mogłam uwierzyć w taką opieszałość, nie mogłam uwierzyć, że policja zwlekała z przyjęciem zgłoszenia. - Najbardziej liczą się pierwsze dwadzieścia cztery godziny po zaginięciu dziecka, są zdecydowanie najważniejsze, a oni zmarnowali jedną czwartą tego czasu!

- Nie wiedziałam, że jesteś aż taką znawczynią tematu - powiedziała Elaine, uśmiechając się z przymusem. Aż za dobrze rozpoznałam wyraz jej oczu. Mówił: Zamknij się i słuchaj, idiotko.

- Koło drugiej wystartował policyjny helikopter - ciągnął

Michael Shepherd. - Obserwowali w podczerwieni tę część lasu, w której Jenny zwykle chodziła z Archiem. Powiedzieli, że nawet gdyby zasłaniały ją krzaki, zobaczą na ekranie blask ciepła jej ciała. Ale niczego nie znaleźli.

Więc albo jej tam nie było, albo jej ciało nie wydzielalo już ciepła. Nie trzeba eksperta, żeby się domyślić.

- Ciągłe powtarzali, że znalezienie zbiega musi potrwać, a ja - że Jenny nie uciekła. Kiedy nie znaleźli jej w lesie, zaczęli sprawdzać nagrania z kamer na okolicznych dworcach. Mówili, że mogła pojechać do Londynu. Nie zrobiłaby tego, to miasto ją przerażało. W zeszłym roku, kiedy pojechalismy do Londynu na świąteczne zakupy, nie wypuszczała mojej ręki. Bała się, że się zgubi w tłumie.

- Spojrzał bezradnie na Elaine, a potem na mnie. - Musi gdzieś być, a oni jej nie znaleźli. Jest sama...

Serce ścisnęło mi się ze współczucia.

- Dlaczego nie opublikowali komunikatu o zaginięciu? Nie powinni pytać ludzi, czy jej nie widzieli?

- Chcieli poczekać. Powiedzieli nam, że chcą najpierw poszukać sami, zanim zaczną się użerać z fałszywymi doniesieniami i zanim społeczeństwo zacznie im przeszkadzać poszukiwaniami na własną rękę. Chcieliśmy także się włączyć, ale kazali nam czekać w domu na wypadek, gdyby wróciła. Na tym etapie już nie wierzę, żeby sama się pojawiła w domu. - Przeorał palcami włosy. - Wczoraj szukali nad rzeką, przy torach koło naszego domu, w stawie koło A3 i w lesie. Nadal jej nie znaleźli.

20

Zastanowiłam się, czy dociera do niego straszne znaczenie tych miejsc, na których się skupili. Wyglądało na to, że policja szuka już tylko ciała.

Nie wiem, kiedy dotarłam do lasu. Dodałam gazu i przemknęłam między dwoma dębami ledwie widoczną ścieżką, która niemal natychmiast się rozwidliła. Po prawej stronie zobaczyłam czekoladowego labradora, który galopował ku mnie, ciągnąc za sobą smukłą starszą panią w nieskazitelnie eleganckich spodniach i z pełnym makijażem. Nie był to pies budzący grozę, ale i tak skręciłam w lewo, z dala od ludzi. Ścieżka, którą wybrałam, wyglądała na trudniejszą. Prowadziła w głąb lasu, gdzie drogi były wąskie i strome, często zagrodzone płataniną chaszczy. Ścieżki bliżej szosy, udeptane i szerokie, upodobali sobie właściciele psów. Równa, łatwa trasa nie pozwoliłaby mi zapomnieć o mrocznym tętnie napięcia, łomoczącym monotonię i nieubłaganie w mojej głowie przez cały dzień. Ruszyłam na wzgórze, myśląc o ojcu Jenny.

Cisza klasy znowu została zakłócona, tym razem krokami i głosami na korytarzu.

Klasa ósma A, koleżanki Jenny. Któraś się roześmiała i Michael Shepherd drgnął.

Wpuściłam je do klasy i poprosiłam, żeby szybko usiadły. Na widok dyrektorki i ojca Jenny oczy zaokrągliły się im ze zdziwienia. Zapowiadało się na coś o wiele ciekawszego niż dyskusja o losach Jane Eyre. Michael Shepherd poruszył ramionami,

jakby przygotowywał się do rundy na bokserskim ringu, i stanął przed rówieśniczkami jego córki. Rola ofiary do niego nie pasowała. Potrzeba działania pchnęła go do szkoły. Nie zamierzał czekać, aż policja coś zrobi; postąpił tak, jak uważał za wskazane, gotowy później ponieść konsekwencje.

21

Kiedy dziewczynki usiadły i zapadła wyczekująca cisza, Elaine zaczęła mówić.

- Na pewno niektóre z was znają pana Shepherd'a. To ojciec Jennifer. Chcę, żebyście bardzo uważnie go wysłuchały. Jeśli możecie mu udzielić jakiegokolwiek pomocy, nie wątpię, że to uczynicie. Rzędy głów skinęły posłusznie. Michael Shepherd rozejrzał się po sali, chyba trochę zagubiony.

- Nie poznałbym was w tych mundurkach - powiedział w końcu.

- Wiem, że niektóre z was już widziałem, ale nie mogę...

Przez klasę przebiegł śmiech. Ja miałam odwrotne doświadczenia, gdy podczas weekendu spotykałam jakąś uczennicę. Bez mundurków wydawały się o wiele starsze. Niepokojące wrażenie.

Michael Shepherd zauważył parę znanych twarzy.

- Cześć, Anno. Cześć, Rachel.

Dziewczynki zarumieniły się i wymamrotały pozdrowienie, jednocześnie zadowolone i przerażone, że je wyróżnił.

- Wiem, że to zabrzmi niemądrze - zaczął, usiłując się uśmiechnąć - ale zgubiliśmy córkę. Nie widzieliśmy jej już od paru dni.

Czy któraś z was miała od niej jakąś wiadomość lub podejrzewa, gdzie mogłaby być Jenny? - Odczekał chwilę, ale nikt się nie odezwał.

- Wiem, że proszę o wiele. Rozumiem, że Jenny może mieć powody, by nie wracać do domu, ale jej mama bardzo się martwi, ja też, i chcemy tylko wiedzieć, że nic się jej nie stało. Jeśli jej nie widziałyście, chciałbym wiedzieć, czy któraś z was z nią rozmawiała lub kontaktowała się z nią od sobotniego wieczoru - SMS-em, e-mailem lub inaczej.

W klasie rozległ się przeczący pomruk.

- No tak, w takim razie chciałbym was poprosić, żebyście sobie przypominały, kiedy ostatnio rozmawiałyście z Jenny i co powie działa. Czy wspominała, dokąd chce pójść w weekend? Nie będzie my się gniewać. Chcemy się tylko upewnić, że jest bezpieczna.

Dziewczynki patrzyły na niego w milczeniu. Zdobył ich współczucie, ale nie miały dla niego pożytecznych odpowiedzi. Elaine wkroczyła do akcji.

- Proszę, żebyście się zastanowiły nad tym, o co poprosił

22

was pan Shepherd, i jeśli przypomnicie sobie coś - cokolwiek - o czym waszym zdaniem powinniśmy wiedzieć, powiedzcie nam o tym. Możecie porozmawiać z zachowaniem zupełnej dyskrecji ze mną albo panną Finch, lub też poprosić rodziców, żeby do mnie zadzwonili, jeśli rozmowa z nimi mniej was krępuje. - Oczywiście jej



spochmurniały. - Wiem, że wszystkie macie zbyt wiele rozsądku, by milczeć z powodu jakiejś źle pojętej lojalności wobec Jennifer. - Obejrzała się na mnie. - Teraz zostawimy panią z klasą.

Widziałam, że Michael Shepherd niechętnie wychodzi, nie dowiedziawszy się niczego, choć nie pozostało mu nic innego, jak podążyć za Elaine. Skinął mi głową; uśmiechnęłam się i chciałam coś powiedzieć, ale wyszedł, zanim znalazłam coś mniej więcej stosownego. Miał spuszczoną głowę jak byk prowadzony na rzeź. Siła i determinacja uleciały, została tylko rozpacz.

Szum ulicy ucichł, jakby opadł za mną dźwiękoszczelny ekran. Ptaki śpiewały, wietrzyk szemrał w drzewach jak płynąca woda. Rytmiczny tupot moich stóp na twardej ziemi przeplatał się z chrapliwym oddechem i od czasu do czasu z melodyjnym świstem cienkich witek smagających moje rękawy. Wysokie, stare drzewa o wężlastych gałęziach tworzyły sklepienie jadowicie zielonych młodych listków. Słońce przesiewało się ukośnymi promieniami przez ten żywy abażur, rzucało igielki blasku, świetliste kaczki, które muskały powierzchnię i natychmiast znikaly. Przelotnie poczułam prawie szczęście.

Wbiegłam po długim, stromym zboczu, wbijając czubki butów w gnijącą ściółkę, by znaleźć w niej oparcie. Serce mi łomotało, mięśnie płonęły. Ziemia była ciemna i zwięzła jak tort czekoladowy, sprężysta. Zeszłego lata biegałam po ubitej, twardej jak żelazo trasie i uszkodziłam sobie kostki, a w lodowate zimowe dni ślizgałam się w zamarzającym błocie, którego rozbryzgi spływały mi po łydkach jak smoła. Tu warunki były idealne. Żadnych wymó-

23

wek. Wbiegłam na samą górę, aż do łagodnego zbocza po drugiej stronie. Czułam się, jakbym fruwała.

Oczywiście po chwili euforia minęła. Nogi zaczęły mi dokuczać, mięśnie ud bolały. Mogłabym biec pomimo takiego dyskomfortu, ale kolana także zaczęły mi odmawiać posłuszeństwa i to już było coś poważniejszego. Skrzywiłam się, gdy nieostrożny krok na nierównej powierzchni uraził mi lewe kolano i w wewnętrznej stronie uda odezwał się przeszywający ból. Spojrzałam na zegarek; zdziwiło mnie, że od wyjścia z domu upłynęło już pół godziny. Zrobiłam jakieś sześć kilometrów. Drugie tyle z powrotem i będę mogła uznać, że wykonałam przyzwoitą przebieżkę.

Zrobiłam szeroką pętlę i wróciłam trasą równoległą do tej, którą przybiegłam. Powrót tą samą drogą jakoś mnie przygnębiał. Nie znosiłam tego. Nowa droga zawiodła mnie na wysoki nasyp z głębokimi jarami po obu stronach. Jego nawierzchnia była pełna wykrotów, zryta korzeniami. Zwolniłam, żeby nie skreślić nogi, i biegałam ze wzrokiem wbitym w ziemię. Mimo to pośliznęłam się na gładkim korzeniu biegnącym w dół zbocza. Ze stłumionym piskiem runęłam do przodu. Upadłam z rozrzuconymi rękami i nogami i przez jakiś czas pozostałam w tej pozycji, zziębnięta. Las nagle ucichł. Powoli, boleśnie odkleiłam dłonie od ziemi i przykucnęłam, oceniając straty. Żadnych złamań ani krwi. Dobrze. Wytarłam dłonie i kolana z ziemi. Siniaki, może lekkie otarcie na wewnętrznej stronie prawej dłoni. Nic nadzwyczajnego. Wstałam, przytrzymując się pnia pobliskiego drzewa, skrzywiłam się, rozprostowując nogi, zadowolona, że nikt nie widział mojego upadku.

Pochyliłam się, by rozciągnąć mięśnie z tyłu ud. Zaczęłam chodzić w kółko, zbierając siły, by pobiec dalej. Już miałam ruszyć, kiedy nagle się zatrzymałam. Coś mnie zaniepokoiło, coś dziwnego, co przelotnie dostrzegałam kątem oka, coś niepasującego do reszty. Nawet wtedy nie przyszło mi do głowy, żeby się zaniepokoić, choć przez cały dzień myślałam o tej zaginionej dziewczynce. Stałam na palcach i spjrzałam uważniej w zbierające się cienie. W kotlinie po lewej stronie w sklepieniu liści znajdowała się luka po przewróconym starym drzewie. Promień słońca padał

24

na ściółkę jak na scenę. Wokół przewróconego drzewa dzwonki. Mglisty błękit kwiatków odzwierciedlał kolor przejrzystego nieba. Na obrzeżach kotlinki rosły brzozy o srebrzystobiałej korze pokreślonej zdecydowanymi ciemnymi krechami i młodych listeczkach w kolorze zielonych jabłek. Słońce rozświetlało drobne jak pyłki muszki i komary, zmieniając je w złoty brokat krążący nieustannie nad kwiatami. Ale nie na to patrzyłam. Trzymając się pod boki, wodziłam wzrokiem po polance. Coś tu nie pasowało. Co? Drzewa, kwiaty, słońce, wszystko takie ładne - więc co? To. Biel między dzwonekami. Biel za pniem drzewa. Ostrożnie zsunęłam się po zboczu, usiłując się zbliżyć. Łodyżki dzwonek chrupały mi pod podszewkami butów, lśniąca liście skrzypiały, a ja zsuwałam się niżej i niżej, na tyle blisko, że już widziałam...

Rękę.

Powietrze uszło mi z płuc, jakbym dostała pięścią w splot słoneczny. Chyba od razu zrozumiałam, na co patrzę, co znalazłam, ale nie wiadomo dlaczego musiałam iść dalej, musiałam obejść powalone drzewo, ostrożnie przekroczyć jego kruszący się, butwiejący, pusty w środku pień. Wraz z szokiem pojawiło się uczucie nieuniknionego, wrażenie, że zmierzałam do tego momentu od chwili, gdy dowiedziałam się o zaginięciu Jenny. Przykucnęłam przy pniu. Serce biło mi mocniej niż wtedy, gdy wbiegałam po stromym zboczu.

Jenny leżała za powalonym drzewem, prawie pod nim, z ręką spoczywającą dokładnie na środku wąskiej klatki piersiowej, ze skromnie złożonymi nogami. Miała na sobie džinsy, czarne conversy i jasnoróżowy polar z szarawymi mankietami. Ręka, którą zobaczyłam - lewa - leżała wśród dzwonek odrzucona szerokim gestem. Z bliska blada skóra dziewczynki miała odcień błękitnawy, a paznokcie zabarwiły się szarym fioletem starego siniaka. Nie musiałam jej dotykać, by wiedzieć, iż nie zdołam jej pomóc, ale przesunęłam palcem po jej policzku. Lodowaty chłód martwego ciała obudził we mnie dreszcz. Zmusiłam się, by spojrzeć na twarz,

25

chcąc potwierdzić to, co musiało być prawdą, choć wiedziałam, że nigdy nie zapomnę tego widoku. Szara twarz okolona splątanymi jasnymi włosami, sklejonymi i brudnymi. Oczy zamknięte, rzęsy jak wachlarze na bezkrwistych policzkach. Rozchylone wargi szare i bezkrwiste. Napięły się na zębach, które wydawały się bardziej wystające niż za życia. Na twarzy i szyi widać było ślady przemocy; blade siniaki na policzku i delikatnym obojczyku. Cienka ciemna linia znaczyła dolną

wargę, na której zaschła czarna krew.

Jenny leżała tam, gdzie ją rzucono, gdzie ktoś ułożył jej ciało, kiedy z nim skończył, gdzie ludzie mieli ją znaleźć. Leżała w parodii pozy, w jakiej przedsiębiorcy pogrzebowi układają zwłoki, z karykaturalną godnością. Nie zatarła prawdy o tym, co spotkało Jenny. Wykorzystaną, skrzywdzoną, opuszczoną, martwą. Zaledwie dwunastoletnią. Cały ten nieograniczony potencjał poszedł na marne, stał się pustą skorupą w cichym lesie.

Patrzyłam na ciało Jenny ze spokojem graniczącym z klinicznym chłodem, obserwując wszystkie szczegóły i tak naprawdę ich nie widząc. Nagle jakby w moim mózgu pękła tama i opanowała mnie zgroza. Wszystko, czego się bałam, spełniło się i było gorsze, niż się spodziewałam. Krew huczała mi w uszach, ziemia chwiała się pod nogami. Ściskałam oburącz butelkę z wodą, chłodny żebrowany plastik wydawał się kojąco znajomy. Zlewał mnie lodowaty pot, dygotałam. Przechodziły mnie fale mdłości. Pochyliłam się, wkładając głowę między kolana. Nie mogłam zebrać myśli, nie mogłam się ruszyć, las wirował wokół mnie. Przez chwilę zobaczyłam siebie w tym samym wieku - takie same włosy, taki sam owal twarzy, ale ja nie umarłam, ja byłam tą, która przeżyła...

Nie wiem, jak długo dochodziłabym do siebie, gdyby coś gwałtownie nie przywróciło mnie do przytomności. Gdzieś za moimi plecami, niezbyt blisko, zaskomlał natarczywie pies i raptem umilkł gwałtownie. Świadomość wróciła do mnie z rykiem pociągu.

A jeśli nie jestem sama?

Wstałam i rozejrzałam się po polance, z szeroko otwartymi oczami, czujnie wypatrując jakiegoś ruchu w pobliżu. Stałam nad ciałem, które ktoś tu porzucił - zapewne morderca. A mordercy czasami wra-

26

cają na miejsce zbrodni, tak czytałam. Przełknęłam nerwowo ślinę, gardło miałam ściśnięte. W drzewach znowu zaszumiał wietrzyk. Podskoczyłam, gdy gdzieś po prawej stronie ptak zerwał się z trzepotem, furknął między gałęziami i wyfrunął na otwartą przestrzeń. Co go spłoszyło? Czy mam wołać o pomoc? Kto mnie usłyszy w środku lasu, dokąd pobiegłam, żeby być sama? Głupia, głupia Sarah...

Zanim zupełnie wpadłam w panikę, zimny rozsądek zdławił narastającą histerię. Rzeczywiście, głupia Sarah z komórką w kieszeni. Wysupłałam ją, prawie płacząc z ulgi, i znowu spanikowałam, bo na ekraniku zobaczyłam tylko jedną kreskę zasięgu. Za mało. Wspięłam się po stromym zboczu, mocno ściskając telefon. Trudno było się wdrapywać pod górę; z trudem znajdowałam oparcie dla wolnej dłoni, trawa i korzenie usuwały się spod niej wraz z osypującą się ziemią. W głowie tłukło mi się "proszę, proszę, proszę". Dotarłam na nasyp; na ekraniku pojawiły się dwie kolejne kreski. Stałam oparta o mocne, krzepkie stare drzewo i wystukałam numer alarmowy, czując się dziwnie nierealnie. Serce mi tak łomotało, że cienki materiał bluzki podskakiwał.

- Pogotowie, z którą służbą? - spytał nieco nosowy kobiecy głos.

- Z policją - wydyszałam, nadal nie mogąc złapać tchu po wspi

nacze i wstrząsie. Czułam się tak, jakby jakaś obręcz ścisnęła mi pierś. Nie mogłam nabrać wystarczająco głębokiego oddechu.

- Łączę, dziękuję - powiedziała recepcjonistka ze znużeniem.

Omam nie parsknęłam histerycznym śmiechem.

Rozległo się stuknięcie. Inny głos.

- Słucham, policja.

- Tak, ja... znalazłam zwłoki.

Dyspozytorka w ogóle się nie przejęła.

- Zwłoki. No tak. Gdzie się pani obecnie znajduje?

Opisałam to miejsce, jak umiałam najlepiej. Dyspozytorka wyciągała ze mnie szczegóły. Bez znaków drogowych i budynków, służących jako punkty orientacyjne, trudno było określić, gdzie jestem. Kompletnie się pogubiłam, kiedy dyżurna spytała, czy znajduję się na wschód od głównej szosy. Najpierw przytak-

27

nęłam, potem zaprzeczyłam. W głowie miałam szum, jakby moje myśli mąciły zakłócenia radiowe. Kobieta po drugiej stronie miała do mnie cierpliwość, była nawet ciepła, a przez to myślałam o sobie jeszcze gorzej.

- Nie szkodzi, bardzo mi pani pomogła. Jak się pani nazywa?

- Sarah Finch.

- Znajduje się pani w pobliżu zwłok?

- Niedaleko - powiedziałam, chcąc wyrażać się precyzyjnie. -

Ja... ja ją znam. Nazywa się Jenny Shepherd. Zgłoszono jej zaginięcie... Dziś rano widziałam się z jej ojcem. Jest... - urwałam, walcząc ze łzami.

- Czy dostrzega pani jakieś oznaki życia? Może pani sprawdzić, czy ta osoba oddycha?

- Jest zimna... Na pewno nie żyje.

"Twarz jej zakryjcie. W oczach mi się mąci. Młodo umarła"\*

Las znowu wokół mnie zawirował, a w oczach stanęły łzy. Dotknęłam drzewa za moimi plecami. Było krzepiąco twarde, autentyczne.

Dyspozytorka nadal mówiła.

- Policja niedługo przyjedzie. Proszę zostać w okolicy i nie wyłączać komórki. Niewykluczone, że do pani zadzwonią, prosząc o wskazówki.

- Mogę się zbliżyć do szosy - zaproponowałam, nagle nie mogąc znieść tej ciszy i świadomości, że za drzewem w dolince leży martwe dziecko.

- Proszę zostać na miejscu - odparła twardo dyspozytorka. -

Znajdą panią.

Odłożyła słuchawkę. Osunęłam się na ziemię, nadal ściskając komórkę, moje koło ratunkowe. Wietrzyk znowu przybrał na sile

1 zrobiło mi się zimno, choć miałam na sobie kurtkę - zimno do szpiku kości. Poczulałam straszne zmęczenie. Ale to mi nie

przeszkadzało. Wkrótce tu będą. Przyjadą. Pozostało mi tylko czekać.

John Webster, "Tragedia księżny Amalfi", przełożył Maciej Słomczyński.

1992

Trzy godziny od zaginięcia

B

Wbiegam do kuchni natychmiast, gdy słyszę wołanie mamy. Wnętrze domu wydaje się początkowo dziwne - ciemne i chłodne, jakbym zanurzyła się pod wodę. Podłoga chłodzi moje bose stopy. Siadam za stołem, na którym stoją dwa talerze: dla mnie i dla Charliego. Mama naląła mleko do dwóch szklanek; pociągam duży łyk z tej, która stoi przede mną. Słodki chłód spływa mi do żołądka, promieniuje na całe ciało, aż zaczynam się wiercić. Odstawiam szklankę ostrożnie, bezgłośnie.

- Umyłaś ręce?

Nawet nie odwróciła się od kuchenki. Spoglądam na dłonie. Zbyt brudne, żeby kłamać. Z westchnieniem wstaję i podchodzę do zlewu. Przez minutę trzymam złożone ręce pod strumieniem wody, która przelewa się przez ich krawędzie.

Ponieważ jestem rozleniwiona, a mama nie patrzy, nie biorę mydła, choć palce lepia mi się od brudu i potu. Woda bębni o zlew, zagłusza głos matki. Dopiero kiedy ją zakręcam, dociera do mnie:

- Pytam, gdzie twój brat.

Wyznanie prawdy wydaje się zdradą.

- Nie widziałam go.

- Od kiedy? - Matka nie czeka na odpowiedź, podchodzi do drzwi, żeby wyjrzeć. - No naprawdę, lepiej żeby się nie spóźnił.

Nie wchodź w fazę buntu, kiedy będziesz w jego wieku.

29

- Charlie się nie buntuje.

- Na razie, ale co to znaczy, że go jeszcze nie ma? Niech no tylko twój ojciec się o tym dowie.

Kopię nogę krzesła, mama mówi słowo, którego nie powinnam słyszeć i które przechowam w pamięci na później, choć wiem, że zdecydowanie nie powinnam go powtarzać - przynajmniej nie w jej obecności. Mama wraca do kuchenki, gniewnym, szybkim ruchem zgarnia frytki. Parę ześlizguje się z talerza i spada na podłogę.

Mama rzuca głośno łyżkę. Podaje mi kopiasty talerz jedzenia. Dwa jajka sadzone, lśniące od tłuszczu, wybałuszają się na mnie jak oczy, obok nich stertka frytek jak bierki. Ostrożnie wyciągam jedną ze spodu i dziabię jej ostrym końcem okrągłe, drżące żółtko, które rozlewa się po talerzu, mieszając z keczu-pem. Myślę, że mama zbурczy mnie, bo bawię się jedzeniem, ale zostawia mnie w spokoju. Słyszę, jak nawołuje Charliego przed domem. Zajadam frytki, chrupanie jest za głośne w cichej kuchni. Jem aż do bólu żołądka, do zmęczenia szczęk. Boję się, że mama będzie się gniewać o to, że zostawiłam jedzenie, ale ona wraca i bez słowa wyrzuca resztki do kosza.

Jeszcze siedzę przy stole, gdy mama wychodzi na korytarz, żeby zadzwonić do ojca.

Jej głos staje się szorstki ze strachu, ten nowy ton mnie niepokoi, choć to nie ja będę mieć kłopoty.

Wskazówki kuchennego zegara krążą wokół tarczy, a Charliego nadal nie widać. Boję się. I niemal wbrew sobie, nie wiedząc dlaczego, zaczynam płakać.

## ROZDZIAŁ 2

D

zielni stróże prawa potrzebowali sporo czasu, żeby do mnie dotrzeć.

Siedziałam oparta o drzewo, patrzyłam na błędne niebo i słońce osuwające się ku horyzontowi. Cienie się wydłużały, zlewały ze sobą. Pod drzewami zrobiło się ciemno i zimno. Objęłam kolana rękami, przyciągnęłam je do piersi, broniąc się przed wychłodzeniem. Co chwila, bez szczególnego powodu, spoglądałam na zegarek. Dyżurna nie skonkretyzowała, jak długo mam czekać. Właściwie to nie miało znaczenia. Przecież nigdzie się nie wybierałam.

Tak naprawdę nie wierzyłam, że morderca Jenny wrócił do tego cichego zakątka lasu, ale serce nadal mi łomotało na każdy nagły hałas, każdy dostrzeżony ruch. Ciche szelesty w okolicy świadczyły o bliskości niewidocznych zwierząt, które niezrażone moją obecnością zajmowały się własnymi sprawami. Szmery suchych liści szarpały mi nerwy. Zbity gąszcz drzew zaczynał się o parę metrów ode mnie i nie mogłam się pozbyć tego mrowienia na karku, które szepcze: Ktoś cię obserwuje...

Dlatego tak wielką ulgę sprawiły mi głosy w oddali i charczenie policyjnych krótkofalówek. Wstałam, krzywiąc się z bólu, rozprostowałam zeszywniałe nogi i zawołałam: "Tutaj!", machając rękami nad głową i podświetlając ekran komórki, żeby zobaczyli mnie z daleka. Już ich widziałam, dwóch, idących zdecydowanym krokiem wśród drzew, w jarzających się w półmroku odbłaskowych kurtkach. Ten tęgi prowadził i szybko stało się jasne, że także dowodził.

31

- Sarah Finch? - spytał, potykając się lekko po drodze. Skinełam głową. Przystanął, oparł ręce na kolanach i zakaszłał niepokojąco. - Daleko od drogi - wyjaśnił w końcu zduszonym głosem, wycharknął coś obrzydliwego i wypluł. - Nie przywykłem do takiego wysiłku.

Wyjął chusteczkę i wytarł pot z rozedrganych policzków z siatką popękanych naczynek.

- Jestem konstabl Anson, a to konstabl McAvoy - powie dział, wskazując kolegę, który uśmiechnął się nieśmiało. Z bliska okazał się bardzo młody. Stanowili dziwnie niedobraną parę. Zastanowiłam się mimowolnie, czy znajdują wspólne tematy do rozmowy.

Anson odzyskał oddech.

- No, gdzie te zwłoki? Musimy to sprawdzić, zanim pojawi się reszta. Nie żebyśmy mieli panią za świruskę, która nie ma do roboty nic lepszego, tylko dla draki dzwonić na policję. - Zamilkł na chwilę. - Choć zdziwiłaby się pani, ile tego chodzi po świecie.

Spojrzałam na niego bez zachwytu i wskazałam kotlinkę.

- Jest tam.

- W dole? Szlag by to. Skocz no tam, Mattie, i zobacz, dobrze?

Anson najwyraźniej nienawidził wszystkiego, co miało związek z wysiłkiem fizycznym. McAvoy pospieszył na skraj nasypu i spojrzał w dół.

- Czego mam szukać? - W jego głosie brzmiało powstrzymane podniecenie.

Podeszłam do niego.

- Ciało jest za tym drzewem. Najłatwiej jest zejść w dół tam tędy. - Wskazałam ścieżkę, którą niedawno sama wydeptałam, wspinając się po zboczu.

Ale on już zaczął się zsuwać w dół. Gałęzie pękały mu z trzaskiem pod stopami, gdy zbiegał, po drodze nabierając rozpędu. Spodziewałam się, że w końcu się wyłoży jak długi. Anson przewrócił oczami z cierpiętniczą miną.

- Szczenięcy entuzjazm - powiedział. - Przejdzie mu. Szybciej nie zawsze znaczy lepiej, nie?

32

Od jego cynicznego tonu przeszły mnie ciarki.

McAvoy dotarł na dół i zajrzał nerwowo za zwałone drzewo.

- Fakt, jest coś! - krzyknął. Głos mu się lekko załamał przy słowie "coś".

- Przyjrzyj się lepiej i wracaj na górę! - zagrział Anson.

Trzymał rękę na krótkofalówce, gotów złożyć raport.

McAvoy ominął splecione korzenie drzewa i pochylił się nisko. Nawet z tej odległości widziałam, jak krew odpływa mu z twarzy. Odwrócił się gwałtownie, konwulsyjnie łapiąc powietrze.

- No jak rany - odezwał się Anson z niesmakiem. - To miejsce zdarzenia, Mattie. Nie chcę się tłumaczyć z wielkiej kałuży rzygowin na samym środku, jeśli pozwolisz.

McAvoy cofnął się o parę kroków, odwrócił i zaczął wspinać po zboczu.

- To dziewczynka. Możesz to zgłosić - rzekł, wdrapując się na nasyp.

Nie odrywał spojrzenia od ziemi. Powiedzieć, że był zawstydzony, to mało.

Rozumiałam go; wątpiłam, żeby Anson dał mu szybko zapomnieć o tym objawie słabości. Ale ku memu zaskoczeniu starszy policjant nie rzucił ani jednego komentarza. Odesłał McAvoya do radiowozu, każąc mu skierować innych policjantów na miejsce zdarzenia.

- Nie wróć piechotą, mowy nie ma. Zasuważ, synu.

Odprowadził konstabla życzliwym spojrzeniem.

- Z czasem przywyknie do takich spraw - mruknął. - To dobry chłopak.

- Nic dziwnego, że się zdenerwował.

Anson spojrzał na mnie bez sympatii.

- Niestety, musi pani poczekać. Wydział dochodzeniowy chce

z panią porozmawiać. Wypatroszą mnie, jeśli panią wypuszczę.

Wzruszyłam ramionami i usiadłam tam, gdzie czekałam na nich, oparta o znajomy pień drzewa, w najwygodniejszej możliwej pozycji, czyli dalekiej od wygody. Nie chciało mi się konwersować z Ansonem, a on po chwili odwrócił się plecami z rękami wbitymi w kieszenie. Pogwizdywał cicho pod nosem.

33

w kółko tę samą melodyjkę. Dopiero po jakimś czasie dopasowałam do niej słowa. "Jeśli pójdziesz dziś do lasu, czeka cię wielka niespodzianka"...

Ileż taktu.

Konstabl McAvoy dobrze się spisał. W ciągu godziny znaleźli się przy nas policjanci, i to całe tłumy: mundurowi, kobiety i mężczyźni w jednorazowych kombinezonach z białego papieru, funkcjonariusze w niebieskich uniformach, parę osób w cywilnych ubraniach. Prawie wszyscy przybyli z bagażami: torbami, skrzyniami, płóciennymi zasłonami, reflektorami, noszami wraz z workiem na zwłoki, prądnicą, która ożyła z charczeniem i buchnęła metalicznym zapachem. Niektórzy zatrzymywali się przy mnie, zadając pytania: Jak zauważyłam ciało? Czego dotykałam? Czy widziałam kogoś, gdy przystanęłam? Czy zauważyłam coś niezwykłego? Odpowiadałam niemal bez zastanowienia, opisałam, gdzie chodziłam i gdzie stałam, wyliczałam, czego dotykałam. Drżałam ze zmęczenia, drżenie wkrótce zmieniło się w dygot. Anson i McAvoy znikli, odesłani do codziennych obowiązków, a ich miejsce zajęli funkcjonariusze z ekipy dochodzeniowej. Zaczęli przeczesywać las. Mimo woli pomyślałam, że mają dziwną pracę. Zachowywali profesjonalny spokój, tak zorganizowani i metodyczni, jakby przekładali papierki w biurze. Nikt się nie spieszył ani nie denerwował, skupiony na swoim zadaniu. Tylko McAvoy okazał przerażenie i byłam mu za to wdzięczna. Gdyby nie on, zaczęłaby mnie dziwić gwałtowność mojej reakcji. Ale przecież oni nie znali Jenny. Ja widziałam ją, kiedy była żywa, pełna energii, skora do śmiechu z byle żartu. Często podnosiła rękę, bo znała odpowiedź na moje pytania. Widziałam jej pustą ławkę wśród koleżanek, brakującą twarz na szkolnej fotografii. Oni widzieli akta, plik zdjęć, dowody w torebkach. Dla nich była zadaniem, niczym więcej.

34

Ktoś znalazł szorstki pled i zarzucił mi go na ramiona. Chwyciłam go i ścisnęłam tak mocno, że pobiełały mi palce. Czuć go było dziwną pleśnią, ale dla mnie liczyło się tylko to, że był ciepły. Patrzyłam na kręcących się policjantów o twarzach upiornie białych w oślepiającym szarawym świetle reflektorów, które ustawiono na całej polance. Dziwnie było patrzeć w dół na tych ludzi, doskonale znających swoją rolę, poruszających się jak do niesłyszalnej muzyki. Byłam bardzo zmęczona i nade wszystko pragnęłam wrócić do domu.

Policjantka w cywilu oderwała się od grupki stojącej nieopodal ciała Jenny. Wspięła się po zboczu wprost do mnie.

- Konstabl Valerie Wade - przedstawiła się, wyciągając rękę. -

Mów mi Valerie.

- Sarah. - Wyplątałam rękę spod ciężkiego koca.



Uśmiechnęła się do mnie; jej niebieskie oczy błysnęły w zimnym blasku jarzeniówek. Miała okrągłą buzię i jasnobrązowe włosy. Była chyba trochę starsza ode mnie, ale niewiele.

- Pewnie czujesz się skołowana.

- Wszyscy są bardzo zajęci - powiedziałam z wysiłkiem.

- Jeśli chcesz, mogę ci wytłumaczyć, co robią. Widzisz tych w białych kombinezonach? To funkcjonariusze zespołu oględzi nowego. Szukają śladów - wiesz, jak CSI z telewizji. - Mówiła do mnie śpiwnym tonem, jakim tłumaczy się dzieciom. - A ten mężczyzna, który kuca koło...

Urwała. Odwróciłam się, zaskoczona wyrazem jej twarzy. Po chwili zrozumiałam, że usiłowała nie wspominać o zwłokach. Jakbym mogła o nich zapomnieć.

- Ten mężczyzna jest patomorfologiem. A ci dwaj za nim są z wydziału dochodzeniowego, jak ja.

Wskazywała dwóch mężczyzn, także w cywilu, jednego koło pięćdziesiątki, drugiego trzydziestoparoletniego. Ten starszy miał włosy w różnych odcieniach - od metalicznej szarości po biel. Pochylał się nad patomorfologiem, zgarbiony, trzymając ręce w kieszeniach wymiętych spodni od garnituru. Wyglądał na nieprzytomnego ze zmęczenia, twarz miał ponurą. Stanowił jedyny nieruchomy

35

punkt w tej gorączkowej krzątaninie. Młodszy wywiadowca był wysoki, barczysty, szczupły, właściwie chudy, o jasnobrązowych włosach. Energia tętniła w nim jak puls.

- Ten siwy to starszy inspektor Vickers - powiedziała z uszanowaniem Valerie. - Ten drugi to sierżant Blake. - Zmiana tonu między jednym i drugim nazwiskiem była komiczna, od rewerencji do przekąsu. Zerknęłam na nią; policzki się jej zarumieniły. Znana historia, oceniłam, podobał się jej i nie wiedział o jej istnieniu. Samo wymienienie jego nazwiska ją poruszało. Biedna Valerie.

Patomorfolog podniósł głowę i gestem wezwał obu policjantów. Wzięli płócienne ekrany i pieczołowicie je ustawili, zasłaniając swoje działania. Odwróciłam się, usiłując nie myśleć o tym, co może się w tej chwili dziać na polance. Jenny, powiedziałam sobie, już odeszła. To, co po niej zostało, niczego nie czuje, nie doznaje upokorzenia. Ale i tak jej współczułam.

Dałabym wszystko, żeby cofnąć czas o parę godzin i wybrać inną trasę. A jednak... Doskonale wiedziałam, że gorsze jest życie w niepewności. Znalezienie zwłok Jenny oznaczało, że jej rodzice będą przynajmniej wiedzieć, co się stało z córką.

Przynajmniej zyskają pewność, że już się nie boi i nie cierpi.

Odkaszlnęłam.

- Valerie, czy wkrótce będę mogła już iść? Siedzę tu już długo i chciałabym wrócić do domu.

Valerie wyraźnie się zaniepokoiła.

- O nie, chcielibyśmy, żebyś zaczekała, aż mój szef z tobą

porozmawia. Osobę, która znalazła zwłoki, trzeba przesłuchać jak najszybciej. A tym razem to szczególnie ważne, bo znalazła ofiarę osobiście. Właściwie możesz mi już teraz opowiedzieć o niej i o jej rodzicach. Będę odpowiedzialna za kontakty z rodziną. Zawsze dobrze wiedzieć z góry, co mnie czeka.

Poradzi sobie, pomyślała mi się. Miała ramiona stworzone do tego, żeby się na nich wyplakiwać, miękkie i pulchne. Uświadomiłam sobie, że Valerie patrzy na mnie wyczekująco, ale nie odpowiedziałam. Nagle odechciało mi się z nią gadać - byłam

36

zbyt zziębnięta, nieodpowiednio ubrana, brudna i zdenerwowana. Zajął się zdejmowaniem gumki i rozpuszczaniem włosów.

- A mogę na razie o tym nie mówić?

- Oczywiście - powiedziała ciepło po chwili milczenia. To pewnie wytrenowane: nigdy nie okazuj świadkowi frustracji. Zdobądź jego zaufanie. Położyła mi rękę na ramieniu. - Bardzo chcesz już do domu, prawda? Ale to chyba nie potrwa długo. - Zerknęła ponad moim ramieniem i rozpromieniła się. - O, proszę.

Główny detektyw Vickers podszedł prosto do nas, zdyszany po wspinaczce na nasyp.

- Przepraszam, że musiała pani czekać, panno...

- Finch - podsunęła Valerie.

Z bliska worki pod oczami głównego detektywa inspektora świadczyły o zbyt wielu zarwanych nocach, podobnie jak pionowe zmarszczki żłobiące jego policzki. Oczy miał zaczerwienione, usiane żyłkami, ale krystalicznie błękitne i przenikliwe. Wyglądał na sponiewieranego, zupełnie nie jak gwiazdor kryminału, i od razu go polubiłam.

- Witam. - Ścisnął mi dłoń. - Chcielibyśmy porozmawiać z panią, zanim przejdziemy do innych czynności. - Obrzucił spojrzeniem koc, którym się otulałam, moją twarz. Zauważył, że na próżno usiłuję opanować szcękające zęby. - Ale najpierw znajdziemy pani coś cieplejszego. Lepiej będzie nam na posterunku, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, żeby z nami pojechać.

- Ależ skąd - powiedziałam, zauroczona jego łagodnością.

- Mam prowadzić? - spytał detektyw sierżant Blake. Spojrzałam na niego. Był bardzo przystojny. Szczupła twarz i wrażliwe usta. Czułam, że chodzi mu tylko o to, by jak najszybciej dowiedzieć się wszystkiego o Jenny.

- Nie ma sensu, żebyś marnował czas na szoferowanie - rzuciła Valerie Wadę rozpaczliwie. - Ja ją odwożę.

- Dobry pomysł - rzekł Vickers z roztargnieniem. - Zorganizuję na posterunku zebranie, więc trzymaj się mnie, Andy. Chciałbym po drodze obgadać z tobą parę pomysłów. - Odwrócił się do Valerie.

- Zaprowadź pannę Finch do mojego gabinetu i daj jej herbaty, jeśli łaska.

37

Valerie w ekspresowym tempie zapędziła mnie na przednie siedzenie radiowozu. Czułam się trochę nierealnie, jadąc obcym samochodem - w dodatku policyjnym - przez znajome uliczki mojego rodzinnego miasta. Radio co parę chwil bełkotało coś niezrozumiale i choć Valerie ze wszystkich sił starała się ze mną konwersować, czułam, że tak naprawdę nasłuchuje tych trzeszczących, niezrozumiałych dla mnie komunikatów. Zapaliły się latarnie; przyglądałam się grze światła i cieni na masce samochodu. Valerie jechała, przestrzegając zasad tak rygorystycznie, jakbym była egzaminatorem ze szkoły jazdy. Na posterunek dotarłam już trochę oszołomiona. Valerie przeprowadziła mnie koło recepcji i efektownym ruchem wystukała kombinację cyfr na framudze. Otworzyły się grube drzwi. Miały zgnięty kolor i trzy lub cztery bardzo efektowne wgniecenia, jakby ktoś kopał w nie z furją. Poszłam za Valerie wąskim korytarzykiem do przegrzanego i zabałaganionego gabinetu. Usiadłam na krześle, które mi wskazała, za biurkiem przygniecionym stertą akt. Krzesło było z tych, jakich pełno w urzędach, z drapiącą pomarańczową tapicerką. Po latach użytkowania było przyszarzałe, a w siedzeniu ktoś wydułbał dziurę. Między nitkami materiału widać było okruszki żółtej gąbki, które przyłgnęły do moich szortów. Przez chwilę otrzępywałam je niemrawo, potem dałam spokój. Zgodnie z poleceniem Valerie przyniosła mi herbaty, mocnej i gorącej, w kubku z napisem "Fun Run '03" i poszła sobie, a mnie pozostało oglądać plakaty, które ktoś powiesił w gabinecie. Widok Florencji z górującego nad miastem Forte di Belvedere. Kanał o nieruchomej zielonej wodzie z budynkami w stanie wspaniałego rozpadu, a na dole napis "Wenecja" histerycznie zawijał czcionką. Ktoś tu lubił Włochy, choć nie na tyle, żeby porządnie przyczepić plakat do ściany. Jeden jego róg podwinął się do góry, a całość wisiała niemożliwie krzywo. W moim kubku zostało tylko parę łyków herbaty, kiedy do gabinetu przyszedł Blake.

- Przepraszam za zwłokę. Mieliśmy na miejscu zdarzenia parę obowiązków.

38

Był roztargniony, obcesowy. Widziałam, że jego myśli pędzą milion kilometrów na godzinę. Oparł się o kaloryfer za biurkiem, zapatrzył się w dal i zamilkł. Po paru chwilach zrozumiałam, że o mnie zapomniał.

Drzwi znowu się otworzyły i wszedł Vickers z kartonową teczką. Padł na krzesło naprzeciwko mnie i oparł się na chwilę na biurku, podpierając ręką głowę. Niemal widziałam, jak zbiera siły.

- Powiedziano mi, że nie tylko znalazła pani ciało, ale знаła naszą ofiarę - odezwał się w końcu, nie otwierając oczu i ściskając nasadę nosa.

- No... tak. Ale niezbyt dobrze... To moja uczennica. - Miałam tyle czasu, żeby się zastanowić, opanować, a tu proszę, pierwsze pytanie i już jestem zaskoczona. Odetchnęłam powoli, głęboko, jak najdyskretniej. Serce mi łomotało. Idiotyczne. - Uczę ją angielskiego. Widuję... widywałam ją cztery razy w tygodniu.

- To ta snobistyczna szkoła żeńska na wzgórzu, tak? Ta przy

szosie na Kingston? Edgeworth? Nieżle trzeba zabulić, co?

- Pewnie tak.

Vickers przyglądał się kartce wyjętej z teczki.

- Dom dziewczyny nie stoi w jakoś szczególnie modnej dzielnicy. Morley Drive.

Drgnęłam.

- Mieszkam parę ulic dalej. Nie miałam pojęcia, że tak blisko.

- Czyli dziwi się pani, że rodzice posłali Jenny do takiej drogiej szkoły?

- Miałam wrażenie, że Shepherdowie chętnie płacą czesne.

Chcieli dla Jenny wszystkiego co najlepsze. Pobudzali jej ambicję.

Była inteligentna, miała wszystko przed sobą. - Zamrugałam szybko, wściekła na łzy, które napłynęły mi do oczu. Czekaając na następne pytanie, zaczęłam wydłubywać gąbkę z krzesła. Zawsze to jakieś zajęcie. Teraz zrozumiałam, w jaki sposób powstała ta dziura. Jeśli Vickers miał do mnie pretensję, to nic nie powiedział.

- Wiedziała pani, że dziewczynka zaginęła?

- Dziś rano Michael Shepherd przyszedł do szkoły, żeby spytać koleżanki Jenny, czy jej nie widziały. Uważał, że policja...

39

- ...nie traktuje go poważnie - dokończył Vickers. Machnął ręką na znak, że nie czuje urazy. - Dowiedział się czegoś?

- Był... zrozpaczony. Zrobiłby wszystko, żeby znaleźć córkę. -

Spojrzałam na Vickersa, niemal bojąc się spytać. - Shepherdowie już wiedzą?

- Jeszcze nie. Ale dowiedzą się niedługo. - Vickers wydał się jeszcze bardziej zmęczony. - Andy i ja sami im powiemy.

- To pewnie trudne.

- Taka praca. - Ale nie zachowywał się, jakby mu to było obojętne, a Blake nie odrywał ponurego spojrzenia od podłogi.

Vickers otworzył teczkę, znowu ją zamknął.

- Więc nie łączyło was nic oprócz kontaktu w szkole. Nic osobistego. Nie kontaktowała się z nią pani po zajęciach.

Pokręciłam głową.

- Ale zwracałam uwagę na to, co się z nią dzieje. To należy do moich obowiązków: wiedzieć, czy dziewczynki są szczęśliwe, czy nie mają jakichś problemów. Jenny wydawała się zupełnie beztroska.

- Nic niepokojącego? Żadnych kłopotów? Narkotyki, chłopcy, złe zachowanie, wagary - nic z tych rzeczy?

- Skąd. Była zupełnie normalna. Nie róbcie z Jenny kogoś, kim nie była. Miała dwanaście lat. To jeszcze dziecko. Była... była niewinna.

- Czyżby? - Blake założył ręce na piersi, wcielenie cynizmu. Wkurzył mnie.

- Tak. Nie znajdziecie tu żadnych skandali. Szukacie w nie właściwym kierunku. - Odwróciłam się do Vickersa. - Nie powinniście szukać sprawcy? Przeglądać nagrania z kamer przemysłowych, kontrolować miejscowych pedofilów? Morderca dziecka jest na wolności. Co zachowanie Jenny ma z tym wspólnego? To pewnie jakiś obcy, jakiś zbok w samochodzie, który zaproponował, że ją podwiezie.

- Dziękujemy za radę - odezwał się sarkastycznie Blake, nie dając dojść do głosu Vickersowi. - Nasi funkcjonariusze sprawdzają wszystkie tropy. Zdziwi się pani, ale najczęściej mordercami są znajomi ofiar. Często ich krewni.

40

Nie chciał mi sprawić przykrości. Nie chciał się wywyższać. Nie mógł wiedzieć, że tego nie należy mi mówić.

- Jakby Shepherdowie mieli mało kłopotów, jeszcze ich podejrzewacie? Jeśli usłyszą na dzień dobry "Statystycznie rzecz biorąc, pewnie ją zabiliście", raczej wam nie zaufają.

- Właściwie... - zaczął Blake, ale Vickers poklepał go po ramieniu.

- Daj spokój - mruknął i uśmiechnął się do mnie. - Musimy rozważyć sprawę pod wszystkimi kątami, nawet takimi, o których porządni ludzie nie lubią myśleć. Za to nam płacą.

- Płacą wam za łapanie przestępców - warknęłam, nie panując nad sobą. - A ponieważ nie jestem przestępcą, chcę iść do domu.

- Oczywiście - powiedział Vickers i przeszył Blake'a spojrzeniem błękitnych oczu. - Zabierz pannę Finch do domu. Spotkamy się u Shepherdów. Zaczekam na ciebie.

- Nie trzeba - oznajmiłam wyniośle, podrywając się z miejsca. Teraz mnie dostało się zimne spojrzenie oczu błękitnych jak sprany dzins. Vickers to dobrze maskował, ale pod jego szarą, wymiętą powierzchownością kryła się stal.

- Nie stracisz wiele z narady - powiedział łagodnie. - I tak znasz moje zdanie.

Blake wygrzebał z kieszeni kluczyki do samochodu i spojrzał na mnie bez entuzjazmu.

- Gotowa?

Ruszyłam do drzwi, nie racząc odpowiedzieć.

-1 jeszcze jedno - rozległo się za moimi plecami. Vickers opierał się o biurko, a jego czoło marszczyło się w wyrazie szczerzej troski. - Chciałbym panią zapewnić, że zbrodnia zdarza się bardzo rzadko. Ludzie na ogół nigdy się z nią nie stykają. Nie ma potrzeby się bać. To, co pani dziś przeżyła, nie oznacza, że coś pani zagraża. Miałam wrażenie, że wygłasza tę formułkę nie po raz pierwszy. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Nie miałam serca mu mówić, że już miałam kontakt ze zbrodnią.

Bliższy, niżbym sobie życzyła.

41

W srebrnoszarym fordzie fokusie Blake'a zegar na desce rozdzielczej wskazywał 9:34. Zagapiłam się na niego tępo, wyczerpana. Miałam wrażenie, że jest środek nocy.

Detektyw szukał czegoś w bagażniku. Korzystając z tego, że mnie nie widzi, dobrze przyjrzałam się samochodowi. Panował w nim wyjątkowy porządek, ani śladu śmietnika, który wozilałam w swoim - żadnych papierków, pustych butelek po wodzie, reklamówek ani kwitków z parkomatów. Samochód jak prosto z wypożyczalni. Zerknęłam z miną winowajcy na matę; moje ubłocone buty zostawiły na jej dotąd nieskazitelnej powierzchni dwie ciemne plamy. Postawiłam stopy ostrożnie na śladach, które już zrobiłam. Nie ma sensu brudzić jeszcze bardziej, a poza tym Blake nie zauważy plam, dopóki nie wysiądę.

Tylko dwie rzeczy zdradzały coś o życiu właściciela samochodu: radiotelefon i laminowana karta z napisem "Pojazd policyjny" w przegródce koło hamulca ręcznego. Poza tym nie zauważyłam nic osobistego. Nie trzeba było gigantycznego wysiłku intuicji, by się domyślić, iż sierżant detektyw Blake żyje tylko po to, by pracować.

Domyśliłabym się, że nie cieszy go perspektywa odwiezienia mnie do domu, nawet gdyby mnie nie przeprosił i nie wrócił do gabinetu Vickersa chwilę po tym, gdy go opuściliśmy. Zanim zamknął za sobą drzwi, usłyszałam jeszcze "Czy Valerie nie mogłaby..." - reszty potrafiłam się domyślić. Najwyraźniej odpowiedź była odmowna. Przez całą drogę musiałam znosić jego, a on mnie. Ale nawet jeśli był zły, a ja skrzepowana, wszystko to przebiła reakcja ładnej policjantki w cywilu, którą minęliśmy w drodze na parking. Blake'a obdarzyła uroczym uśmiechem, mnie dostało się zimne spojrzenie pełne dezaprobaty i zazdrości. Wyglądało na to, że wszystkich interesuje, co i z kim robi Blake.

W końcu usiadł za kierownicą.

- Wie pan, dokąd jechać? - spytałam z wahaniem.

-Aha.

42

No świetnie. Będzie wesoło.

- Kurczę, bardzo mi przykro, że musi pan to zrobić. Usiłowałam wyjaśnić pańskiemu szefowi...

- Proszę się nie martwić - uciał Blake. - Też tam byłem, pamięć ta pani? Mój szef mówi i ma. I dobrze znam Wilmington Estate, znajdę drogę.

Nie był to szczyt uprzejmości, ale czego się spodziewałam? Założyłam ręce na piersi. To idiotyczne, pomyślałam, że chce mi się płakać, bo ktoś kompletnie mi nieznany - z czyją opinią nie musiałam się liczyć - jest dla mnie opryskliwy.

Blake wycofał samochód z parkingu i zatrzymał się przy wjeździe na ulicę. Czekając na lukę między samochodami, niecierpliwie powarkiwiał silnikiem. Zmieniając bieg, musnął mój rękaw. Odsunęłam się lekko. Zerknął na mnie z roztargnieniem, a potem

jeszcze raz.

- Wszystko w porządku?

Zamiast odpowiedzieć, pociągnęłam nosem. Najwyraźniej się przeraził.

- Boże... nie chciałem... Proszę się nie denerwować...

Usiłowałam się opanować.

- To nie pańska wina. Pewnie szok posttraumatyczny czy coś tam. To był bardzo długi, zły dzień. Nie wiem, jak wy sobie radzicie, skoro macie to non stop.

- Nie całkiem non stop. Takie sprawy nie trafiają się często.

Pracuję od dziewięciu lat, a to jest jedna z najgorszych. - Rzucił mi spojrzenie. - Ale taką mam pracę, nie? Nawet jeśli śmierć Jennifer Shepherd jest szokująca, nie mogę sobie pozwolić na emocje - na ile to możliwe. Płacą mi, żebym analizował dowody, a najlepiej robi się to na chłodno.

Westchnęłam.

- Ja bym się do tego nie nadawała.

- A ja bym nie mógł robić tego co pani. Nic gorszego niż stać przed klasą pełną bachorów i panować nad nimi.

- Bardzo często myślę podobnie. - To znaczy codziennie, dodałam w duchu.

43

- To dlaczego postanowiła pani zostać nauczycielką?

Milczałam zaskoczona. Bo jestem idiotką i nie wiedziałam, że to takie trudne. Bo kiedyś wydawało mi się to najlepszą opcją i nie zdawałam sobie sprawy, że nie mam odpowiedniego temperamentu. Bo nie uświadamiałam sobie, jak okrutne i niewyrozu-miałe mogą być nastolatki dla osób rzekomo mających nad nimi władzę, nawet jeśli kompletnie brakuje im zdolności narzucania dyscypliny, nie mówiąc już o uczeniu. Te dwa ostatnie lata były piekłem na ziemi. Blake nadal czekał na odpowiedź.

-Eee... Bo to jakieś zajęcie. Lubiłam angielski, studiowałam go. A potem... no... niektóre moje koleżanki zaczęły uczyć, więc i ja też. - Roześmiałam się, choć jak na moje ucho, wyszło mi to trochę sztucznie. - Ale jest dobrze. Ma się długie wakacje. Chyba go nie przekonałam.

- To nie może być jedyny powód. Musi być coś więcej. Pani lubi swoje uczennice. To było widać, kiedy rozmawialiśmy o Jenny. Tak naprawdę zaczęła mnie interesować dopiero, kiedy zaginęła. Za życia była mi obojętna - nawet nie wiedziałam, że mieszka za rogiem mojej ulicy. Nie odpowiedziałam, patrzyłam w boczne lustro na jezdnię wysnuwającą się za nami jak niekończąca się wstążka. Nie mogłam powiedzieć, że kocham swoją pracę. Nawet jej nie lubiłam. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym ją wykonywać zawsze, powtarzać te same stare wiersze i dramaty. Nie chciałam spędzić życia pod tablicą, wyduszając odpowiedzi z naburmuszonych nastolatek, patrząc, jak dorastają i rozwijają się, podczas gdy ja stoję w miejscu.

Samochód zatrzymał się przy krawężniku w pobliżu mojego zaułka. Blake spojrzął

na mnie.

- Curzon Close. Który dom?

- Dziękuję - powiedziałam pospiesznie, zbierając się do wyjścia. Właściwie znajdowaliśmy się w idealnym miejscu, pod wysokim żywopłotem, który osłaniał nas przed wścibskimi.

- Mógłbym podwieźć panią pod same drzwi.

- Nie, naprawdę dziękuję. - Wyciągnęłam rękę do klamki.

44

- Nie spiesz mi się. Szef nie skończy narady od razu. To który numer?

- Czternasty, ale proszę nie jechać dalej. To niedaleko, mogę przejść ten kawałek. Nie chcę... nie chcę, żeby ktoś zobaczył, jak wysiadam z pańskiego samochodu. Wzruszył ramionami i wyłączył silnik. Kluczyki zostawił w stacyjce.

- Jak pani chce. Co, zazdrosny chłopak?

Gdybyż...

- Moja mama usłyszy samochód. Mieszkam z nią, a ona... no, nie bardzo lubi policję i nie chcę jej denerwować. I ta sprawa ze znalezieniem Jenny... Nie chcę o tym mówić. Nie chcę wyjawniać, gdzie byłam. Więc jeśli wrócę sama, po cichu, mama o niczym się nie dowie.

Zerknęłam na niego, sprawdzając, czy zrozumiał. Marszczył brwi.

- Mieszka pani z matką.

Wielkie dzięki za uważne słuchanie.

- Tak - powiedziałam zimno.

- Dlaczego?

- Bo mi tak wygodnie. - I niech sobie myśli, co chce. -

A pan?

- Ja? - Zaskoczyłam go, ale odpowiedział: - Mieszkam sam.

Bez dziewczyny.

Świetnie. Teraz myśli, że chcę go poderwać. Pewnie jak większość kobiet. Naprawdę był atrakcyjny. W innych warunkach pewnie bym się ucieszyła, że jest singlem.

- Nie o to pytałam. Gdzie pan mieszka?

- W starej drukarni nad rzeką.

- Bardzo ładnie. - Drukarnia znajdowała się w efektownie wyglądającym osiedlu pod miastem, w kierunku Walton.

- No, owszem. Choć prawie tam nie bywam. Mój ojciec się nie ucieszył, że zostałam policjantem, ale pomógł mi kupić mieszkanie.

- Ziewnął mimowolnie, ukazując białe, równe zęby. - Przepraszam.

Za dużo zarwanych nocy.

-

45



- Powinam już iść - powiedziałam, bo dotarło do mnie, że nie mam powodu zostawać w samochodzie. - Dzięki za podwiezienie.  
- Polecam się na przyszłość. - Uznałam, że to standardowa odpowiedź, ale on położył mi rękę na ramieniu. - Proszę zadzwonić, jeśli będzie mnie pani potrzebować. - Podał mi wizytówkę.  
- Komórka jest na odwrocie.

Znowu podziękowałam i wysiadłam. Włożyłam kartonik do kieszeni kurtki, nie wiedząc czemu zażenowana, i szybkim krokiem ruszyłam do domu. Chłodne nocne powietrze ziębiło mi policzki jak lodowata woda. Za moimi plecami zapaliły się światła samochodu, mój cień wydłużył się przede mną, a potem uciekł w bok, gdy Blake zawrócił. Warkot samochodu ucichł w oddali. Ruszyłam, gnąc kciukiem rozek wizytówki. Parę ostatnich metrów przebiegłam. W korytarzu było cicho i ciemno. Wszystko wyglądało dokładnie tak jak wtedy, kiedy wyszłam. Przez chwilę stałam i wsłuchiwałam się w ciszę. Ten wieczór był długi, pełen wydarzeń i stresujący. Nic dziwnego, że czułam się wytrącona z równowagi. Ale z jakiego powodu miałam to drażniące poczucie, że coś znajduje się nie na swoim miejscu? I dlaczego, pomyślałam, oglądając się na pustą uliczkę, zanim zamknęłam drzwi, nadal miałam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje?

1992

Sześć godzin od zaginięcia

c

'hociaż nie patrzę na zegar na kominku, wiem, że jest późno, pora spać. Powinam się cieszyć; od dawna prowadzę kampanię o prawo do późniejszego chodzenia do łóżka, ale jestem zmęczona. Stopami nie sięgam podłogi. Nogi sterczą mi sztywno, łydki rozplaszczają się na krawędzi sofy. Jej obicie jest puszyste i miękkie, ale mnie gryzie.

Ziewam, spoglądam na moje dłonie, leżące na kolanach, złożone, brązowe na tle błękitnej bawełny mojej spódnicy. Gdybym podniosła głowę, zobaczyłabym matkę krążącą po salonie. Obcasy jej sandałów robią małe dziurki w wykładzinie. Ojciec siedzi w fotelu, jakby wypoczywał. Pod paznokciami mam czarne kreski brudu. Na wierzchu mojej lewej ręki widać nowe zadrapanie, skóra wokół niego różowieje. Nie pamiętam, kiedy powstało. Wcale nie boli.

- To już nie jest śmieszne, tylko idiotyczne. Zapomnij, co kazał ci powiedzieć Charlie. Chcę usłyszeć prawdę!

Podnoszę głowę i spoglądam na mamę. Ma pod oczami ciemne ślady, jakby ktoś przycisnął do jej twarzy zanurzone w tuszu kciuki.

- Nie będziemy się gniewać - mówi cicho ojciec. - Tylko nam powiedz.

47

- Powiedz, gdzie jest Charlie. - W głosie mamy brzmi napięcie.

Ona także jest zmęczona. - Lepiej zacznij mówić, młoda damo.

Nie pogarszaj sytuacji swojej i swojego brata.

Nie odzywam się. Już mówiłam: Charlie powiedział, że niedługo wróci. Nie wiem

nic więcej. Po raz pierwszy powiedziałam prawdę i nikt mi nie uwierzył. Przez cały wieczór płakałam, modląc się, żeby Charlie wrócił do domu, żeby dali mi spokój. Teraz zamilkłam.

Skupiam się na składaniu rąbka mojej bawełnianej spódniczki w plisy - najpierw szerokie, potem wąskie, potem wygładzam je i zaczynam od nowa. Materiał odsłania kolana. Sterczą, skóra napięta mocno na rzepkach. Czasami lubię rysować na nich twarze albo udawać, że to góry, ale dziś to tylko kolana.

- Na miłość boską, powiedz wreszcie! - Mama znowu płacze.

Ojciec wstaje. Obejmuje ją i szepcze coś cicho do ucha, żebym nie słyszała. Nie obchodzi mnie to. Czuję, że oboje na mnie patrzą, tak jak przez cały wieczór, odkąd mama uświadomiła sobie, że Charlie zaginął. Jest we mnie coś - bardzo małe coś -co prawie się z tego cieszy.

Na prawym kolanie mam białosiną bliznę wielkości i kształtu pestki jabłka. Kiedy byłam mała, upadłam na kawałek szkła. Rodzice patrzyli, jak Charlie gra w piłkę, i zauważyli, co mnie spotkało, dopiero kiedy krew z kolana zabarwiła moją skarpetkę jaskrawą czerwienią. Dostałam burę za to, że zabrudziłam nowe letnie buciki, ale to nie była moja wina. Nie zwracali na mnie uwagi.

Nie to co teraz.

### Rozdział 3

j

1 eśli kiedykolwiek miałam prawo wziąć zwolnienie z powodu choroby, to właśnie w tamten wtorek. Siedziałam w samochodzie, przeglądając się w lusterku wstecznym. Byłam blada, miałam cienie pod oczami. W nocy spałam źle, budziłam się co godzina i wpatrywałam w mrok. Kiedy zadzwonił budzik, wydarzenia poprzedniego wieczoru wydawały mi się tak nierealne, że sprawdziłam kieszenie swojej kurtki. Nie wiem, czy poczułam ulgę, czy rozczarowanie, kiedy dotknęłam wizytówki Blake'a.

Wmuszając w siebie płatki, oglądałam poranne wiadomości. Zobaczyłam Shepherdów, na razie niewymienionych z nazwiska, prowadzonych bladym świtem na miejsce, w którym leżało ciało ich córki. Pani Shepherd była rozczochna, rudawe włosy zlepione w strąki nie przypominały gładkiego koka, który znałam. Na skraju lasu Michael Shepherd obejrzał się przez ramię i spojrział prosto w obiektyw czerwonymi, znękanymi oczami. Odstawiłam miseczkę z płatkami. Nagle zrobiło mi się niedobrze.

Je także miałam czerwone oczy. Zdecydowanie wyglądałam na chorą. Ale zostanie w domu jeszcze mniej kusilo niż pójście do pracy. Mama spała, kiedy wieczorem wróciłam, i nie pokazała się, kiedy wstałam. Ale to nie mogło potrwać dłużej. W końcu bym ją spotkała. A nawet musiała z nią porozmawiać.

Włączyłam silnik, ale potem znieruchomiałam, ściskając kierownicę pobielającymi palcami. Nie mogłam pojechać do szkoły, ale musiałam.

- Pieprzyć to. Pieprzyć wszystko - powiedziałam głośno i zwolniłam ręczny hamulec. Samochód zaczął się toczyć w stronę jezdni.

49

Zaraz potem wdepnęłam hamulec; obok mnie przemknął motocykl z przeciągłym

rykiem klaksonu. Nawet go nie widziałam. Nawet nie spojrzałam. Serce mi załomotało, zrobiło mi się słabo. Wyjechałam na jezdnię, obsesyjnie sprawdzając, czy nie narażam na niebezpieczeństwo nikogo więcej. Weź się w garść... Nie histeryzuj... Jeszcze gorsze - absolutnie cholernie nieznośne - było to, że bardzo dobrze znałam tego motocyklistę. Danny Keane, najlepszy przyjaciel Charliego. Od niepamiętnych czasów mieszkał naprzeciwko nas, ale jakby na Księżycu. Dawno mineliśmy już ten etap, kiedy mogłabym z nim nawiązać przyjacielską rozmowę. Umyślnie go unikałam, a on o tym wiedział. Już dawno nie uśmiechnął się do mnie, nie skinął mi głową, nie okazał, że dostrzega moje istnienie. To nie jego wina, że skojarzyłam go z jedną z najgorszych chwil mojego życia, że nie potrafiłam zerwać powstałej w mojej głowie więzi między Dannym a rozpaczą. Zwykle wychodziłam wcześniej i wracałam późno, nasze ścieżki rzadko się spotykały, ale nadal go znałam, a on mnie pamiętał. Rozjechanie go byłoby bardzo kiepskim sposobem nawiązania przyjaźni. Na ulicy były korki, jechało się powoli, o wiele wolniej niż zwykle. Samochody tłoczyły się na skrzyżowaniach, w bocznych uliczkach. Z jakiego powodu? Z powodu ludzkiej natury. Pobocza biegnącej przez las jezdni były rozjeżdżone i zryte śladami opon furgonetek telewizyjnych. Zamontowane na dachach talerze satelitarne transmitowały nieszczęście Shepherdów na cały świat. Przy każdej furgonetce stała grupka: asystenci, kamerzysta, dźwiękowiec i reporter. Oto druga strona tego, co oglądałam przy śniadaniu. A także najnowsza atrakcja turystyczna Surrey. Kierowcy zwalniali. To jeszcze lepsze niż wypadek samochodowy; można było zobaczyć prawdziwe gwiazdy w postaci jednego czy dwóch bardziej znanych dziennikarzy. Istniała nawet możliwość, że robiący panoramę kamerzysta uchwyci na filmie przejeżdżającego kierowcę. Nareszcie sława. Nic dziwnego, że samochody prawie stały. Siedziałam niemal na zderzaku samochodu przede

50

mną, nie patrząc na tymczasową wioskę dziennikarską, która nagle wyrosła na poboczu drogi.

Pod bramą szkoły zauważyłam większą niż zwykle grupę rodziców. Rozmawiali ze sobą poważnie, ale przejechałam obok nich, nie zwalnając. Pobieżne spojrzenie wystarczyło, żeby się zorientować, iż jedynym tematem ich rozmowy jest znalezienie ciała Jenny, i nie chciałam wysłuchiwać ich domysłów, co się stało, kim jest morderca i czy to prawda... Było widać na kilometr, że plotki mnożą się w obłąkanym tempie.

Podobnie jak plotki tych, którzy zajmowali się nimi zawodowo. Wjechałam na parking dla nauczycieli, wyłączyłam silnik i omal nie wyskoczyłam przez dach, kiedy ktoś nagle zapukał w okno. Odwróciłam się, gotowa warknąć na kolegę, który mnie tak zaskoczył. Ale twarz, która zaglądała przez okno, nie należała do żadnego z nauczycieli. Zmarszczyłam brwi, usiłując skojarzyć tę kobietę. Była w średnim wieku, o obrzmiałych rysach zakłajstrowanych beżowym podkładem. Przy różowej szmince jej zęby wydawały się żółte. Miała na sobie bury płaszcz, nietwarzowy i zniekształcający figurę. Choć się uśmiechała, oczy miała zimne. Obrzuciła spojrzeniem wnętrze samochodu ze mną włącznie. Temu spojrzeniu nic nie mogło umknąć. Bardzo niechętnie opuściłam szybę.

- Słucham?

- Carol Shapley, główna dziennikarka "Elnwiew Examiner" - powiedziała, zaglądnąjąc do samochodu tak, że prawie mnie dotknęła. - Pani tu uczy?

Spojrzałam znacząco na napis na murze: "Parking dla nauczycieli", półmetrowe litery, mniej więcej trzy metry dalej.

- Szuka pani kogoś konkretnego?

- Raczej nie. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Robię materiały o tym morderstwie. To jedna z pani uczennic i chciałabym potwierdzić parę informacji.

Mówiła szybko, płynnie, z wielką pewnością siebie, jakby już wiedziała wszystko, co warto wiedzieć. Mój wewnętrzny alarm wył tak głośno, że pewnie było go słychać na zewnątrz. Pamiętałam tę kobietę z różnych szkolnych i lokalnych wydarzeń.

Okropnie

51

zadzierała nosa. "Elnwiew Examiner" to najbardziej lokalna z lokalnych gazet - powiedziec "prowincjonalna" to mało - a przedstawienie się jako główna dziennikarka zakrawało na kpinę w żywe oczy. Jeśli dobrze wiedziałam, Carol była jedyną dziennikarką tej gazety.

- Przepraszam, ale nie mogę pomóc - oznajmiłam ze słodyczą i zaczęłam podkręcać szybę, choć Shapley się o nią opierała. Przez chwilę widziałam, jak walczy z pragnieniem, by jeszcze ponalegać, ale cofnęła się o parę kroków. Nie dość daleko.

Otworzyłam drzwi samochodu. Zostawiła mi dokładnie tyle miejsca, żebym mogła wysiąść.

- Mam tylko parę pytań.

Wyprostowałam się; okazało się, że była ode mnie o parę centymetrów wyższa. Nie po raz pierwszy pożałowałam, że nie jestem tak wysoka, żeby patrzeć na ludzi z góry. Ale mając rację moralną po swojej stronie, nie potrzebowałam przewagi wzrostu.

- Muszę iść do szkoły i zająć się uczennicami. Niestety, teraz nie mam czasu na rozmowę. - Wydusiłam z siebie uśmiech. -

Wiem, że wykonuje pani swój zawód, ale ja też muszę.

- Ależ rozumiem. Czy mogę panią spytać o nazwisko? -

Machnęła mi przed nosem arkuszem A4. - Mam tu listę, widzi pani. Zawsze miło połączyć twarz z nazwiskiem.

Nie znalazłam sposobu wykręcenia się z tej sytuacji.

- Sarah Finch.

- Finch... - Przesunęła długopisem po liście i odhaczyła moje nazwisko. - Dzięki. Może pogawędzimy przy innej okazji.

A może nie.

Ruszyłam do szkoły, ale ona oczywiście nie skończyła.

- Słyszałam od mojego informatora w policji, że ciało znalazła któraś z nauczycielek tej szkoły. Chyba nie pani, prawda?

Zatrzymałam się i odwróciłam, zastanawiając się w panice. Oczywiście nie chciałam

zdradzić, że to ja, ale nie byłam pewna, czy zdołam jej skłamać w żywe oczy.

- Boże, to straszne - powiedziałam w końcu.

- Aha, okropne - przyświadczyła bez cienia współczucia.

52

Rzuciłam jej kolejny blady uśmiech i wzruszyłam ramionami, po czym poszłam do pokoju nauczycielskiego, czując na sobie jej spojrzenie. Modliłam się, żeby uznała mnie za osobę nijaką, kompletnie nieinteresującą, nienadającą się do cytowania, bo gdyby zaczęła ryc, pewnie poskładałaby sobie wszystko w piękną całość. I nie tylko historię Jenny. Jeśli szukała sposobu przedstawienia tej historii, która na bank miała się stać tematem roku, mogłaby wpaść na to, żeby porównać okoliczności śmierci Jenny z innymi miejscowymi morderstwami i tajemnicami. Zniknięcie Charliego stanowiło świetny przykład. Nie po raz pierwszy pogratulowałam sobie, że zmieniłam nazwisko i że moi koledzy nie wiedzą o Charliem. Carol Shapley nie odkryje tego związku zbyt łatwo. A zresztą dlaczego miałyby odkryć? Te dwie sprawy łączyłam tylko ja.

W pokoju nauczycielskim było tłoczno jak nigdy. Wyglądało na to, że przyszli wszyscy pracownicy szkoły Edgeworth. I to punktualnie. Spojrzałam na ściągnięte, zmartwione twarze i serce ścisnął mi nieopisany ból. Teraz wszyscy byliśmy w to zamieszani, nie było ucieczki.

W głębi pokoju stała Elaine Pennington z Vickersem. Towarzyszyła mu młoda, nienagannie umalowana kobieta z tablicą z klipsem, która przedstawiła się jako rzeczniczka policji. Dyrektorka już od jakiegoś czasu mówiła na temat Jenny, współpracy z policją i odpowiadała na pytania rodziców. Dzielnie udawała, że jest tak samo zdecydowana i opanowana jak zwykle, ale kartka w jej rękach drżała. Jedna strona jej wąskiej twarzy zlodowaciała jak sparaliżowana, tylko powieka nieustannie drżała. Dobrze by było, gdyby dyrektorka wystrzegą się mediów do czasu, kiedy odzyska trochę spokoju. Głos miała nietypowo piskliwy, a mówiąc, wodziła spojrzeniem po pokoju. Niechętnie zaczęłam jej słuchać.

- Dlatego po konsultacji z policją, mając na uwadze rozgardiasz, który prawdopodobnie da się nam wszystkim we znaki

53

w nadchodzących dniach, postanowiłam na jakiś czas zawiesić zajęcia.

Wśród zebranych nauczycieli przebiegł pomruk. Na szyi Elaine wystąpiły różowe plamy, nieomylny znak, że jej cierpliwość się kończy.

Stephen Smith, człowiek o gołęmbym sercu i jeden z nauczycieli z najdłuższym stażem w szkole, podniósł rękę.

- Elaine, nie sądzisz, że dziewczynkom przyda się stały plan dnia i praca, która oderwie ich myśli od tego wydarzenia?

- Już o tym myślałam, dziękuję za uwagę. Doszłam do wniosku, że parę następnych dni możemy z góry spisać na straty, jeśli chodzi o naukę. Już teraz nie sposób pracować w tym hałasie.

Jak na komendę odwróciliśmy się do okna, za którym widać było rozstawiające się ekipy telewizyjne i ich furgonetki zaparkowane pod murem szkoły. Dziennikarze

zaczęli się przenosić z lasu. W popołudniowych wiadomościach należało przedstawić więcej informacji, a szkoła wydawała się ich doskonałym źródłem.

- Nie wiem, czy byliście dziś w sekretariacie, ale w tej chwili panuje tam chaos, delikatnie mówiąc. Janet od samego rana przyjmuje telefony od zaniepokojonych rodziców. Martwią się o bezpieczeństwo swoich dzieci, choć nikt nie sugerował, że szkoła mogłaby mieć jakikolwiek związek z tą tragedią.

Przy ostatnich słowach głos się jej lekko załamał. Zastanowiłam się - dość wrednie - czy rozpacza z powodu Jenny, czy reputacji szkoły.

- Mam obowiązek zagwarantować dziewczynkom bezpieczeństwo i nie potrafię dawać rodzicom takich obietnic. Nie sądzę, żeby coś nam groziło. Jestem po prostu świadoma, że dziennikarze będą bardzo wścibscy, a nie potrzebujemy podobnej reklamy. Nie chcę, żeby dziewczynki były narażone na kontakt z taką atmosferą.

Tu miała rację.

Elaine zerknęła na Vickersa, który wydawał się jeszcze bardziej wyczerpany niż wczoraj. Oczy miał zapadnięte, a ich wyraz nieodgadniony.

- Ponadto starszy inspektor Yickers spytał, czy może skorzy-

54

stać z niektórych szkolnych pomieszczeń, więc chcę mu zapewnić swobodny dostęp do szkoły.

- Dziękuję za tę uprzejmość - odezwał się Vickers. Wyprostował się lekko i podniósł głos, żeby wszyscy go słyszeli. - Nasze centrum operacyjne znajduje się na posterunku w Elnwiew, ale tutaj będziemy przeprowadzać przesłuchania. Zamierzamy porozmawiać z koleżankami Jennifer i nie chcemy tego robić na posterunku. Wolimy, żeby dziewczynki znajdowały się w znanym otoczeniu. Nieco później planujemy konferencję prasową w szkolnej sali konferencyjnej. Znajdują się tam wszystkie potrzebne nam sprzęty.

Nie miałam pojęcia, co sobie Elaine wyobraża. Na jej miejscu starałabym się nie mieszać szkoły do policyjnego dochodzenia. Z potulnych spojrzeń, które rzuciła Vickersowi, rozumiałam, że zupełnie ją zawojował. Wszystko to było mi bardzo nie na rękę, zwłaszcza w świetle faktu, że zamierzałam się nie wychylać, zniknąć z radaru i z oczu.

- To jak, możemy wracać do domu? - odezwał się Geoff Turnbull z głębi sali, niewzruszony, jakby wszystko to było rutynowym działaniem, prawdopodobnie nieprzyjemnym. Nie chciało mi się nawet obejrzeć w jego stronę, choć mogłam go sobie wyobrazić, jak siedzi rozwalony niedbale, z tymi błękitnymi oczami, bicepсами i starannie wystylizowanymi czarnymi włosami. Był jednym z nauczycieli wuefu i nie mogłam go znieść.

Elaine się zjeżyła.

- Nie. Chciałabym, żeby nauczyciele służyli pomocą policji

i dziewczętom, choć nie będzie lekcji. Wasza obecność tutaj jest ważniejsza niż kiedykolwiek. Podzielimy uczennice na grupy, nad którymi będziecie czuwać aż do przyjazdu rodziców i opiekunów. Niestety, muszę was poprosić, żebyście zostali także po lekcjach. Dziś potrzebuję waszego wsparcia, więc będziecie musieli wytrzymać ze mną trochę dłużej.

- Jak długo to potrwa? Kiedy wrócimy do zwyczajnych zajęć?

- spytała Jules Martin. - Niektóre uczennice przygotowują się do egzaminów i nie chciałabym, żeby przerwały naukę.

55

Rzuciłam jej cyniczne spojrzenie i otrzymałam w odpowiedzi półuśmiech. Jeśli miałam wśród nauczycieli jakąś przyjaciółkę, to była nią Jules, mniej więcej tak samo oddana swojemu zawodowi jak ja. Ta godna pochwały troska była z pewnością udawana.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że nadchodzą egzaminy - oznajmiła Elaine. - Dla tych, które się do nich przygotowują, będzie to tydzień nauki. Janet pomoże nam, rozsyłając plany lekcji powtórkowych, które powinniście oddać do sekretariatu przed przerwą obiadową. Co do tego, jak długo to potrwa... - Obejrzała się na Vickersa.

- W tej chwili nie mogę powiedzieć nic konkretnego. Z poprzednich dochodzeń wiem, że zainteresowanie mediów ucichnie po paru dniach, chyba że dojdzie do nowych istotnych wydarzeń. Zrobimy wszystko co w naszej mocy, by zminimalizować niewygodę, i mamy nadzieję, że w przyszłym tygodniu sytuacja wróci do normy. W każdym razie do tego czasu powinniśmy zakończyć przesłuchania. Mam tu spory zespół, więc uwiniemy się dość szybko.

Elaine spojrzała na zegarek.

- A zatem proszę, żeby wszyscy udali się do swoich klas i wzięli dzienniki, po czym poszli z uczennicami do sali konferencyjnej. Tam powiadomię je o wszystkim. Uważam, że należy je informować o przebiegu wypadków.

- A co mamy mówić, jeśli zaczną pytać? - zaniepokoił się Stephen.

- Coś wymyślicie - wycedziła Elaine przez zaciśnięte zęby, najwyraźniej ledwie nad sobą panując.

Pokój nauczycielski opustoszał w rekordowym czasie. Przemknęłam koło Vickersa. Nasze spojrzenia spotkały się przelotnie. Ku mojej uldze skinął głową dyskretnie, niemal niezauważalnie. Jeszcze tego mi brakowało, żeby wszyscy się dowiedzieli, skąd się znamy. Tożsamość osoby, która znalazła zwłoki Jenny, stanowiła główny temat rozmowy w pokoju nauczycielskim. Jednego nie można było odmówić Carol Shapley: dokładności.

56

przepytała prawie wszystkich, zanim zdołali przekroczyć próg szkoły.

Sala konferencyjna była prawie pełna. Zdołałam znaleźć miejsce z przodu, przy ścianie, zwrócone w stronę sali, tak że mogłam obserwować widownię. Dziewczynki, które nigdy w życiu nie były ciche, zamilkły, tak jak wcześniej nauczyciele. Żaden szmer nie mącił milczenia, w którym wysłuchały Elaine, znowu mającej po obu swoich stronach Vickersa i rzecznikzkę prasową. Przez tę godzinę Elaine dopracowała swoje przemówienie. Przebrnęła przez nie bez jednego drgnienia powieki.

W sali powinno się znaleźć więcej osób. Patrząc po rzędach dziewcząt, odgadłam, że jakaś połowa została w domu albo już do niego wróciła. To by się zgadzało z mocno uszczuplonym stanem osobowym mojej klasy. Rozeszła się wiadomość, że zginęła uczennica Edgeworth. Teraz wszyscy chcieli usłyszeć o szczegółach.

- To będzie trudny okres dla nas wszystkich - przemawiała Elaine - ale spodziewam się po was zachowania godnego i przyzwoitego. Proszę uszanować prywatność państwa Shepherdów. Jeśli będą z nami chcieli rozmawiać dziennikarze, nie mówcie o Jenny, szkole ani szczegółach dochodzenia. Nie chcę, by którakolwiek uczennica Edgeworth udzielała wywiadu. Każda, która to zrobi, zostanie zawieszona. Albo jeszcze gorzej...

Niektóre starsze dziewczynki wydawały się bardziej zrozpaczone zakazem kontaktów z mediami niż wiadomością o Jenny. Ale ich rozpaczliwy szloch jakimś cudem nie rozmazał idealnego makijażu.

- Szkolna sekretarka właśnie dzwoni do waszych rodziców - ciągnęła Elaine. - Prosimy ich, by was odebrali bądź znaleźli wam opiekuna na parę następnych godzin. Do końca tego tygodnia szkoła będzie zamknięta.

Vickers wydawał się trochę zaskoczony podnieceniem, które rozeszło się po sali. Ja nie. Dziewczynki, jak wszystkie nastolat-

57

Przyjechał jaguarem i nie zapomniał mnie poinformować, że zmuszanie go do odebrania córki to marnowanie jego czasu i że szkoła jak zwykle przesadza. Zaciekawilo mnie, co widzi zwykłego w morderstwie koleżanki córki, ale udało mi się ugryźć w język. Dziewczynka wsiadła do samochodu milcząca, z oczami rozszerzonymi przerażeniem. Prawie słyszałam, jak mnie błaga, żebym go nie rozdrażniła jeszcze bardziej, więc tylko uśmiechałam się z niezmiernym spokojem.

- Robimy wszystko, żeby dziewczynki były bezpieczne. To najważniejsze, z pewnością się pan zgodzi.

- Trochę późno na gadanie o bezpieczeństwie. Pierniczenie, droga pani. I przy okazji robicie sobie wolne na tydzień, a dzieci



zrzucacie rodzicom na głowę. Żadnego zrozumienia. - Jego twarz, już zaczerwieniona, pociemniała o kolejny ton. - Proszę powie dzieć dyrektorce, że odejmę pieniądze za ten tydzień z chesnego. Może wtedy przewartościuje sobie priorytety.

- Przekażę - zapewniłam i szybko odskoczyłam, bo ruszył z piskiem opon. Nie warto było mu uświadamiać, że Shepherdowie chętnie oddaliby wszystko, żeby znaleźć się na jego miejscu.

Odwróciłam się, by wejść do szkoły. Ktoś mnie zawołał. O nie! Geoff Turnbull biegł przez parking wprost do mnie. Nie mogłam się wygłupić i uciec. Poza tym był ode mnie szybszy. Musiałam zacisnąć zęby.

- Nie widziałem cię przez cały dzień. - Zatrzymał się o wiele za blisko i pogłaskał mnie troskliwie po ręce. - Okropne, nie? Jak sobie radzisz?

Ku mojemu najwyższemu przerażeniu do oczu napłynęły mi łzy. Całkowicie wbrew mojej woli. To była reakcja na zmęczenie i stres.

- Radzę sobie.

- Hej... - Delikatnie potrząsnął moim ramieniem. - Przy mnie nie musisz udawać. Uwolnij to z siebie.

Nie chciałam niczego uwalniać, a już na pewno nie przy nim. Geoff był szkolnym flirciarzem i zawziął się na mnie, odkąd zaczęłam pracować w Edgeworth. I tylko dlatego, że nie odwa-

60

jemniałam jego zainteresowania. Kiedy usiłowałam znaleźć jakiś uprzejmy sposób na pozbycie się tego faceta, znalazłam się nagle w jego objęciach, w rzekomo pocieszającym uścisku. Geoff przylgnął do mnie całym ciałem. Skóra mi ścierpła. Poklepałam go niemrawo po plecach, mając nadzieję, że mnie puści, i jednocześnie rozważając ewentualną przewagę szybkiego kopnięcia go w krocze nad wyłamaniem mu palców. Uprzejmość nie pozwoliła mi skorzystać z żadnego z tych wyjść. Podniosłam znękany wzrok i spojrzałam nad ramieniem Geoffa prosto w oczy Andrew Blake'a, który właśnie szedł przez parking, kierując się do szkolnej sali konferencyjnej.

- Geoff - powiedziała, zaczynając się wiercić. - Geoff, puść.

Wystarczy.

Rozluźnił chwyt, żeby spojrzeć mi w twarz. Nadal miał niebywale przejętą minę - jestem pewna, że ćwiczył ją przed lustrem.

- Biedna mała Jenny. Nic dziwnego, że się martwisz. Słyszałaś, że podobno znalazł ją ktoś z nas? Ciekawe kto. Kto tam może biegać?

Doskonale wiedział, że biegam, żeby zachować kondycję; nieraz proponował, że będzie mi towarzyszyć. Udało mi się nie zareagować. Wzruszyłam ramionami i cofnęłam się o krok, zyskując parę cennych centymetrów przestrzeni między nami.

- To naprawdę straszne. Ale daję radę. Tylko przez chwilę prze stałam nad sobą panować.

- Ne ma się czego wstydzić. - Wziął mnie za rękę. - To dowodzi,

jaka jesteś życzliwa.

Litości!

- Może pójdziemy na drinka i porozmawiamy? Zaslugujesz na to. Zrobiłaś, co do ciebie należy. Chodźmy stąd.

Zastanawiałam się gorączkowo.

- Przepraszam, idę na konferencję prasową. Muszę trzymać rękę na pulsie. Wiesz, te przesłuchania...

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłam do drzwi, w których zniknął Blake.

Konferencja powinna się już zacząć, pomyślałam, spoglądając na zegarek. Nie zamierzałam iść, ale wszystko było

61

lepsze niż siedzenie z Geoffem w jakiejś obleśnej knajpie nad ciepłą colą i opędzanie się przed jego łapami.

Wśliznęłam się do sali i zamknęłam cicho drzwi. Pękła w szwach - w pierwszych rzędach dziennikarze, wzdłuż rzędów fotografowie, a kamerzyści w głębi. Pojawili się także niektórzy nauczyciele; stali na uboczu. Znalazłam miejsce koło Stephena Smitha, który skinął mi głową bez słowa. Wydawał się zmęczony i zdenerwowany. Znowu poczułam powolny płomień wściekłości na człowieka, przez którego stało się to wszystko.

Vickers zajął honorowe miejsce przy długim stole na scenie. Po jego jednej stronie siedzieli rodzice Jenny. Nieopodal, koło Blake'a, zauważyłam Valerie Wade. Po drugiej stronie Vickersa znalazła się rzeczniczka, która prowadziła konferencję prasową, a obok niej - Elaine. Podejrzewałam, że uparła się reprezentować szkołę, na wypadek gdyby padły jakieś pytania, które mogłyby zaszkodzić naszej reputacji. Wyglądała na straszliwie zdenerwowaną. Podobnie, trzeba przyznać, Vickers, który przekładał kartki i obmacywał kieszenie, kiedy rzeczniczka go przedstawiała.

- No tak - powiedział. - Ogłoszę wstępne wyniki autopsji, którą wykonaliśmy dzisiaj, a potem oddam głos państwu Shepherd, którzy chcieliby wygłosić komunikat. Patomorfolog poinformował nas, że Jennifer Shepherd utonęła.

Utonęła?!

Dziennikarze jak jeden mąż podnieśli ręce. Vickers, który nie miał żadnego wyczucia dramatyzmu, znowu spojrzął w dokumenty. Ja wpatrywałam się w Shepherdów, którzy trzymali się w objęciach. Pani Shepherd płakała bezgłośnie, jej mąż wyglądał, jakby przez ostatnie trzydzieści sześć godzin postarzał się

0     dziesięć lat.

Rzeczniczka wybrała jednego dziennikarza, który zadał pytanie interesujące wszystkich:

- Jak utonęła? Czy istnieje możliwość, że to wypadek?

Vickers pokręcił głową.

- Nie. Jej śmierć nastąpiła w podejrzanych okolicznościach

1     mamy całkowitą pewność, że to nie wypadek. To wstępne

62

wyniki autopsji, ale patomorfolog precyzyjnie określił przyczynę śmierci.

Znowu stanął mi przed oczami las, Jenny w pełnym ubraniu leżąca w kotlinie, z dala od wody. W pobliżu nie widziałam nawet kałuży. Na pewno nie utonąła tam, gdzie znalazłam jej ciało.

Vickers zaczął mówić dalej. Stanęłam na palcach, wytyczając słuch.

- Nie mamy pewności, gdzie zmarła Jenny ani w jakich okolicznościach. Z tego powodu jej ojciec, Michael Shepherd, zgodził się wygłosić prośbę o zgłaszanie informacji, bo może ktoś zna miejsce pobytu Jenny od soboty około osiemnastej do niedzieli wieczorem.

- Niedziela wieczorem - powtórzył dziennikarz. - Zatem sądzi cie, że wtedy zginęła?

Vickers pokręcił głową.

- Na tym etapie jeszcze nie wiemy. Czekamy na dalsze informacje od patomorfologa, ale na razie taki właśnie okres nas interesuje. Chcemy wiedzieć, gdzie Jenny przebywała przez ten czas i z kim mogła być. Chcemy wiedzieć, czy ktoś ją widział. Chcemy wiedzieć, czy ktoś zachowywał się podejrzanie lub dziwnie od weekendu. Chcemy zdobyć informacje, które doprowadzą nas do jej mordercy, choćby nawet wydawały się nieistotne.

Przy słowie "morderca" Dianę Shepherd załkała. Natychmiast eksplodowały błyski fleszy. Jej mąż rozłożył przed sobą kartkę, wygładził ją obiema dłońmi. Nawet z tej odległości zauważyłam drżenie jego palców. Rzeczniczka skinęła głową. Zaczął czytać, lekko się zacinając, lecz bardzo opanowany.

- Nasza córeczka Jenny miała tylko dwanaście lat. Jest... była śliczną dziewczynką, zawsze uśmiechniętą, roześmianą. Zbyt wcześnie ją straciliśmy. To nasz najgorszy koszmar, jak każdego rodzica. Proszę, jeśli wiecie coś o tej zbrodni, cokolwiek, powiadomcie policję. Nic nam nie zwróci Jenny, ale możemy przynajmniej oddać jej sprawiedliwość. Dziękuję.

Objął żonę, która rozsłochała się histerycznie. Valerie podbiegła i szepnęła mu coś do ucha. Skinął głową i wstał, podtrzymując

63

żonę. Wyszli z Valerie bocznymi drzwiami. Kiedy zamknęły się za nimi, salę wypełnił gwar.

- Czy to robota pedofila? - przebił się przez niego głos dziennikarza.

Vickers odchylił się z krzesłem, zbierając siły.

- Jeszcze tego nie wiemy... - usłyszałam, otwierając drzwi i wyslizgując się na korytarz. Nie mogłam znieść dalszych domysłów. Dziennikarze robili, co musieli, ale czułam się przy nich bardzo nieswojo. Serce łamało mi się z powodu Shepherdów i czułam zmęczenie do szpiku kości. Nie wytrzymałabym tam dłużej.

Zatopiona w myślach nie zauważyłam, że Shepherdowie w towarzystwie Valerie idą w moją stronę. Stałam przy głównym wyjściu na parking, gdzie czekał ich samochód.

- Współczuję panu straty - odezwałam się impulsywnie. Pan Shepherd odwrócił się i spojrzał na mnie wrogo oczami czarnymi jak węgiel. Cofnęłam się pod ścianę. Valerie poprowadziła go dalej, skinąwszy mi energicznie głową. Odprowadziłam ich wzrokiem. Byłam jak skamieniała. Potem do mnie dotarło. Oczywiście. Wiedział, kto znalazł ciało, powiedzieli mu. To ja odebrałam mu rozpaczliwą nadzieję, że znajdzie córkę żywą i zdrową. Zrozumiałam wrogość w jego oczach, choć nie było to sprawiedliwe. Usiłowałam odzyskać panowanie nad sobą. Dam radę, pomyślałam z urazą, skierowaną pod nie wiadomo czyim adresem.

- Wszystko w porządku?

Podniosłam głowę. Andrew Blake pochylał się nade mną z zatroskaną miną.

- Tak. Nie rozumiem, dlaczego tym biednym ludziom nie zapewniono trochę spokoju. Czy naprawdę trzeba było ich wlec przed oblicze prasy?

- Musieliśmy wykorzystać zainteresowanie mediów, zanim zaczną nas krytykować za to, że nie znaleźliśmy mordercy. Rodzice dobrze wypadają w telewizji. Będziemy w czołówkach wszystkich dzienników.

- Praktyczny jak zawsze.

64

- Cóż, na razie nie możemy zrobić nic pożytecznego. Mój szef musi się użerać z tym stadem rekinów. Kiedy usiłuję odwalić kawałek roboty, dopadają mnie dziennikarze. Nie wspominając już o fakcie, że prowadzą własne dochodzenie. Przesłuchują więcej osób niż my. Policjanci przesłuchujący mieszkańców mówią, że ci z brukowców byli tam przed nimi. Włóżą nam w paradę. Oni pierwsi nam zarzucają, że spapraliśmy sprawę, choć to oni przeskadzają. - Mówił coraz głośniejsze. Przesunął dłonią po włosach i zrobił parę kroków w jedną i drugą stronę, zanim znowu do mnie wrócił. - Przepraszam. Nie powinienem na panią krzyczeć. To nie pani wina.

- Przyzwyczaiałam się - rzuciłam lekko. - Nic takiego.

Spojrzał na mnie pytająco, ale pokręcił głową. Nie zamie rzałam mu tłumaczyć.

- To mnie wkurza. Pierwsze dni dochodzenia są najważniejsze, a w czym się babrzemy? Robimy przedstawienie dla mediów, zamiast przesłuchiwać ludzi. - Westchnął. - Ale musimy, na wypadek gdyby coś z tego wyszło. Gdybyśmy nie dali im informacji i dostępu do rodziny, byłoby dziesięć razy gorzej.

- Myślicie, że apel Shepherdów na nic się nie przyda?

- Nigdy się nie przydaje. Czy morderca się zgłosi tylko dlatego, że zobaczy zdenerwowanych rodziców? Jeśli ktoś zamordował dziecko, to parę łez przed kamerą nie przypomni mu o sumieniu.

-Ale może rodzina mordercy... jego żona, matka... Blake pokręcił głową.

- Bez przesady. Wystarczy spojrzeć, co mają do stracenia. Ludzie na ogół sprawiedliwość mają gdzieś, jeśli musieliby donieść na członka rodziny.
  - Naprawdę? - spytałam z niedowierzaniem. - Wolą mieszkać z mordercą?
  - Wystarczy się zastanowić. - Blake zaczął odliczać na palcach.
  - Życie całej rodziny przewrócone do góry nogami. Strata dochodów - możliwe, że winowajca jest głównym żywicielem rodziny. Ludzie wybijają wam okna, smarują na ścianach, szepczą na wasz widok, kiedy idziecie do sklepu. Sąsiedzi was nienawidzą, więc
- 65

koniec pogawędek przy płocie. Potencjalni świadkowie, którzy mają wskazać mordercę, są najprawdopodobniej z nim spokrewnieni. Doniosłaby pani na kogoś ukochanego?

- Ale Jenny została zamordowana! Miała dwanaście lat i nikogo nie skrzywdziła. Jak można być lojalnym wobec kogoś zdolnego do czegoś takiego?

Pokręcił głową.

- Lojalność to silna emocja. Trudno się jej sprzeciwić i postąpić, jak należy. Można zrozumieć, dlaczego ktoś woli przymknąć oczy.

Przypomniałam sobie pytania dziennikarzy. Musiałam się czegoś dowiedzieć, dopóki Blake był w tak kontaktowym nastroju.

- Czy wyniki sekcji... czy... została wykorzystana?

Blake wahał się przez chwilę.

- Właściwie nie.

- Jak to?

- Nie ostatnio - powiedział powoli i zacisnął usta w ponurym uśmiechu.

Otworzyłam szeroko oczy.

- Mogliście stwierdzić...? Były oznaki...?

- Mogliśmy stwierdzić, że była w czwartym miesiącu ciąży.

To wiele wyjaśnia. - Mówił cicho, sucho, rzeczowo. Nie mogłam udawać, że się przesłyszałam.

- Przecież to dziecko - wykrztusiłam wreszcie. Brakowało mi powietrza.

- Miała prawie trzynaście lat. - Zmarszczył brwi. - Nie powinienem tego mówić... Oprócz policji tylko pani o tym wie. Jeśli ta wiadomość się rozejdzie, będę wiedział, że to pani wina.

- Nie ma potrzeby mnie straszyć, nic nie powiem. - Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym to komuś powtórzyć. To, co wynikało z jego słów, było zbyt straszne, żeby się nad tym zastanawiać.

- Nie straszę, tylko... mogę mieć poważne kłopoty, jasne?

- To po co mi pan w ogóle powiedział? - spytałam rozdraż

niona.

Wzruszył ramionami.

66

- Chyba nie chciałem pani okłamywać.

Nie odpowiedziałam. Nie mogłam. Twarz zaczęła mnie palić. Ledwie go znałam, ale musiałam przyznać, że miał wyjątkowy talent do wytrącania mnie z równowagi. Spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Co pani tu jeszcze robi? Nie ma powodu, żeby pani tu została, prawda?

Pokręciłam głową, a on odwrócił się, żeby wejść do sali. Przez chwilę stał z ręką na klamce, zbierając siły. Potem nacisnął ją i zniknął.

1992

Osiem godzin od zaginięcia

T.

ulę policzek do poduszki przy oparciu sofy. Przy każdym wdechu i wydechu jedwabna poszewka lekko przywiera do moich ust i opada. Przyglądam się jej przez rzęsy. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Spałam przez jakiś czas - niedługo. Szyja mi zeszywniała od niewygodnej pozycji, zmarłam. Chcę do łóżka. Dlaczego się obudziłam? Słyszę głosy: moich rodziców i dwojga obcych ludzi, mężczyzny i kobiety. Leżę nieruchomo, oddycham regularnie i podsluchuję. Nie chcę, żeby mnie znów wypytywali. Gniewają się na mnie i nienawidzę za to Charliego.

- Jakież problemy w szkole? Zastraszający go chuligani? Zaległości w nauce?

Głos matki, słaby i daleki.

- Charlie jest grzecznym chłopcem. Lubi szkołę.

- Często w domach, z których giną dzieci, dochodziło do awantur, nieporozumień z rodzicami czy rodzeństwem.

Czy wydarzyło się coś takiego? - Tym razem łagodniejszy głos kobiety.

- Z całą pewnością nie - odpowiada ojciec, napięty i zły.

-No... było parę kłótni. Dorastał. Trochę się buntował. Ale nic poważnego.

Po oświadczeniu mamy zapada milczenie. W nosie mnie kręci. Nie chcę kichnąć, to by mnie zdradziło. Zatykam nos i zaczynam liczyć. Przy trzydziestu sytuacja jest opanowana.

- Zatem uważają państwo, że ta dziewczynka wie, dokąd poszedł? - Wstrząsa mną szok; niemal podskakuję. - Zechcecie ją obudzić, żebyśmy z nią porozmawiali?

Ktoś dotyka mojej gołej nogi, tuż nad kolanem, i potrząsa nią delikatnie. Otwieram oczy, spodziewając się zobaczyć matkę, ale to ojciec. Mama siedzi w głębi pokoju, odwrócona do mnie bokiem. Wzrok ma wbity w podłogę, rękę zarzuciła na oparcie krzesła, skubie zębami kciuk, tak jak zawsze, kiedy denerwuje się albo jest zła, albo to i to.

- No, budź się - mówi ojciec. - Przyszła policja.

Pocieram oczy i patrzę na dwoje nieznajomych. Mają na sobie mundury, białe koszule z podwiniętymi rękawami, pomięte ciemne spodnie, przepocone po wielogodzinnym noszeniu w gorący dzień. Kobieta uśmiecha się do mnie.

- W porządku?

Kiwam głową.

- Jak masz na imię, kotku?

- Sarah - mówię cicho, głosem trochę ochrypłym od długiego milczenia i z nieśmiałości.

- Rodzice mówią, że twój brat zaginął, a ty nie możesz im powie dzieć, gdzie jest. Czy to prawda?

Znowu kiwam głową.

Policjantka rozmawia ze mną wyższym głosem niż z rodzicami. Ciemnogrnatowy tusz osypał się jej z rzęs i zebrał w zmarszczkach wokół oczu. Atramentowe nitki zbiegają się, kiedy policjantka pochyła się do mnie z uśmiechem.

- Mogłabyś mi powiedzieć, gdzie jest?

Kręcę poważnie głową. Zrobiłabym to, gdybym mogła, myślę, ale nie mówię tego na głos. Policjantka wymienia spojrzenia z kolegą, potem znowu się do mnie uśmiecha.

- W takim razie może pokażesz mi pokój twojego brata?

Oglądam się na matkę.

69

- Idź - mówi, nie podnosząc wzroku. - Pospiesz się.

Wstaję i wychodzę z pokoju, skręcam w stronę schodów. Policjantka idzie za mną. Widzę ją pierwszy raz w życiu, ale już wiem, że szczyci się swoim dobrym kontaktem z dziećmi, a kiedy drzwi zamkną się za nami, pochyli się, spojrz mi w oczy i znowu spyta, czy wiem, dokąd poszedł mój brat. Wchodzę powoli po schodach, trzymając się poręczy, i mam nadzieję, że kiedy dotrzemy do pokoju Charliego, otworzę drzwi, a on tam będzie.

## Rozdział 4

L

!edwie weszłam, zadzwonił telefon. Popędziłam, żeby go odebrać. Wiedziałam, że mamie nie będzie się chciało. Zacisnęłam zęby, podnosząc słuchawkę; nie miałam ochoty rozmawiać z nikim więcej, ale nie zdołałam ignorować przeraźliwego dzwonienia, tak jak mama. Zresztą to pewnie telemarketer.

- Halo?

- Sarah? - Głos w słuchawce był ciepły, zatroskany. - Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak, ciociu. - Z mojego ciała ulotniło się trochę napięcia.  
Usiadłam na najniższym stopniu schodów. Ciocia Lucy była starszą siostrą mamy. Dzieliliły je tylko trzy lata, ale ciocia zawsze mamie matkowała. Na wszystkich zdjęciach z dzieciństwa to ona pcha wózek z mamą albo trzyma ją za rączkę. Bez słowa skargi, nie myśląc o sobie, przyjechała tu, kiedy Charlie zniknął. Ze wszystkich przyjaciół tylko jej mama nie zdołała od siebie odepchnąć. To jedno by wystarczyło, żeby pokochać ciocię, nawet gdyby nie było innych powodów - za lojalność wobec siostry, bez względu na jej humory. Ciocia Lucy nigdy się nie poddawała.  
- Pomyślałam o tobie, kiedy tylko dowiedziałam się o tej biednej dziewczynce. Jak twoja matka?  
Wychyliłam się, by sprawdzić, czy kuchnia jest pusta.  
- Jeszcze jej nie widziałam. Rano się nie spotkałyśmy. Nie mam pojęcia nawet, czy wie, co się stało.  
- Jeśli nie wie, lepiej jej nie denerwować - powiedziała ciocia Lucy z troską. - Sama nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Gdzie ją znaleźniono? Chyba w pobliżu waszego domu, prawda?  
71

- Tak. - Oczy mi się zaszkliły. - Jenny chodziła do naszej szkoły. Uczyłam ją, ciociu. - Nie mogłam się zmusić do wyduszenia z siebie: "To ja znalazłam jej zwłoki".  
Ciocia westchnęła.  
- Nie zdawałam sobie sprawy, że ją znasz. To straszne. Dla twojej mamy to jeszcze gorsze, wiesz?  
Ścisnęłam telefon tak mocno, że plastik zatrzeszczał. Zrezygnowałam z trzech pierwszych odzywek, które przysły mi do głowy, żeby nie zranić mojej biednej, życzliwej cioci. To nie jej wina. Przez całe życie martwiłyśmy się, jak mama zareaguje na to czy tamto, wciągnięte na orbitę przez potworną grawitację jej rozpacz. Miałam ochotę zrobić przykrość cioci za to, że myśli tylko o mamie, nie o Shepherdach, przyjaciółkach Jenny czy choćby o mnie. Ale tego nie zrobiłam. Kiedy w końcu odpowiedziałam, udało mi się niemal zupełnie usunąć z głosu irytację, choć słowa zabrzmiały trochę chłodno.  
- To jasne, że nie powiem nic, co może ją zdenerwować. Nie przyszłoby mi do głowy o tym wspomnieć.  
Ciocia Lucy milczała przez chwilę i poczułam się jak świnia. Znała mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że mnie zdenerwowała, choć nie wiedziała dlaczego. Nie zasługiwała na to.  
- Jak się miewa twoja mama?  
- Mniej więcej tak samo.  
W słuchawce rozległo się ciche, współczujące westchnienie. Uśmiechnęłam się do siebie, wyobraziwszy sobie ciocię Lucy siedzącą na łóżku - niższa wersja mamy, lecz z nieskazitelną fryzurą i manikiurem. Nie wykluczałam, że sypiała z umalowanymi oczami. Zawsze dzwoniła z sypialni, żeby nie przeszkadzać wujkowi Harry'emu,



który lubił spokój. Czasami zastanawiałam się, czy dlatego nie mieli dzieci. A może po prostu nie mogli. Nigdy nie ośmieliłam się spytać. Dzięki temu zyskałam cudowną ciocię -która czasami bywała mi matką.

- Nie jest ci łatwo, prawda? - spytała moja śliczna ciocia, a ja, jak zwykle, poczułam się natychmiast pocieszona.

- Szczerze mówiąc, nieczęsto się widzujemy. Utrzymuję dystans.

72

- Zastanawiałaś się nad wyprowadzką?

Przewróciłam oczami. Świetny pomysł, ciociu. Jak na to wpadłaś? Wielkie dzięki.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł... biorąc pod uwagę sytuację.

Ciocia Lucy prychnęła.

- Jeśli będziesz czekać na odpowiedni moment, nigdy się nie wyprowadzisz. Zawsze znajdzie się jakiś ważny powód, żeby zostać. Ale tak naprawdę zatrzymuje cię tylko jedno: ty.

Dobra ciocia Lucy z misją ratowania ostatniego ocalonego z rodzinnej katastrofy. To ona wpadła na pomysł, żebym przybrała panięskie nazwisko mamy, by ochronić się przed wścibstwem i domysłami przypadkowych osób. W moim ostatnim roku nauki w szkole znosiła stosy prospektów uczelni i dopilnowała, żebym złożyła podanie, a kiedy zrobiłam dyplom i zdobyłam uprawnienia nauczycielskie, ze wszystkich sił starała się mnie powstrzymać przed powrotem do domu i zamieszkaniem z mamą. Ale to był mój obowiązek, bez względu na to, co mówiła ciocia.

Drgnęłam, bo za moimi plecami rozległ się jakiś hałas. Odwróciłam się. Mama stała na szczycie schodów.

- Mamo! - zawołałam, gorączkowo przypominając sobie, co powiedziałam do cioci, i doszukując się jakichś słów, które mogłyby mamę urazić.

- Musisz odciąć pępowinę. Zapomnij o niej - świergotała ciocia Lucy, nie całkiem łapiąc, co się dzieje. - Bardzo kocham twoją matkę, ale jest dorosła i musi sprostać konsekwencjom swoich decyzji. Masz własne życie. A jej też szkodzi ciągle przebywanie w tym... w tej izbie pamięci. Powiedziałam jej, że powinna się tu przeprowadzić, zacząć nowe życie. Zaopiekowałabym się nią. W parę dni stanęłaby na nogi.

-Eee... nie, ciociu... - zaczęłam, wpatrzona w mamę. Stała boso, w nocnej koszuli i prastarym, zżartym przez mole swetrze.

- Lucy! - Zaczęła schodzić z ręką wyciągniętą po słuchawkę.

- Chcę z nią porozmawiać.

73

Oczy miała nie całkiem przytomne, rozbiegane; podejrzewałam, że co nieco już sobie chlapnęła, ale na oko niedużo. Oddałam jej słuchawkę i wstałam, mamrocząc coś o przygotowaniu obiadu. Idąc do kuchni, usłyszałam jeszcze, jak mówi:

- Cześć, Luce. Oglądałaś wiadomości? Chyba tego nie wytrzymam. Bardzo cicho zamknęłam za sobą drzwi kuchni. Pięści same mi się zacisnęły. Zmusiłam się, żeby rozgiąć palce, jeden po drugim. Zaczekałam, aż dobra strona mojego charakteru przekona złą, że nie warto roznosić kuchni na strzepy. Z pewnością nie należało wymagać od mamy, żeby najpierw pomyślała o Jenny czy jej rodzicach. Oczywiście jak zawsze myślała tylko o sobie. Ostatecznie zajęłam się przygotowaniem fasoli na grzankach. Lodówka świeciła pustkami. Wyrzucając snop omdlałych, poźółkłych łądyg selera i torbę pomidorów, obecnie w sfermentowanym sosie własnym, musiałam dojść do wniosku, że pora iść na zakupy, ale na razie nie mogłam się na to zdobyć. Fasola wystarczy. Na szczęście żadna z nas nie była szczególnie głodna. Dziobałam ziarna - twarde jak kamień, w mętym, kleistym sosie usianym czarnymi drobinkami po przypaleniu. Podgrzewałam fasolę nieco roztargniona i chyba nic dziwnego. Mama nawet nie udawała, że je. Siedziała, gapiąc się w pustkę, aż uznałam, że kolacja dobiegła końca, i zabrałam jej nietkniętą porcję.

- Idź pooglądać telewizję, mamo. Ja pozmywam. Powlokła się do salonu. Zanim zdążyłam odkręcić wodę, przebudzony telewizor ryknął jakąś bezmyślną reklamą. Mamie było obojętne, co leci. Chciała się pogapić na cokolwiek, przyjmując dzienną dawkę kalorii w płynnej postaci. Zmywanie to tania forma terapii; szorowałam przypalony garnek, dopóki nie zniknął najmniejszy ślad spalenizny. Nie myślałam o niczym. Byłam rozdrażniona bez wyraźnego powodu. Ogród za oknem zaczął się zacierać, roztopiać w ciemności. Był wcz-

74

ny wieczór, zasnuty błękitem i fioletem, nieruchomy i spokojny. Nie sposób wyobrazić sobie, że dwadzieścia cztery godziny temu znajdowałam się w oku cyklonu, a policja wyciągała ze mnie nikłe strzepy wiadomości, jakbym ja jedna posiadała tajemnicę tej sprawy. Nie sposób się pogodzić z faktem, że wszyscy znaleźliśmy się w tym lesie za późno, że znalezienie mordercy Jenny to bardzo marny erzac znalezienia jej żywej. Wytarłam ręce w ścierkę i westchnęłam. Dotarło do mnie, że jestem przybita. Może to była opóźniona reakcja na poprzedni dzień. Może powód był taki, że znalazłam się na uboczu zdarzeń - ale przecież tego chciałam. A właściwie czego chciałam? Kolejnej okazji, żeby się pokłócić z sierżantem Blakiem? Kolejnej chwili w blasku sławy? Dostępu do dochodzenia? Musiałam się wziąć za siebie i żyć dalej, choć nie była to jakaś szczególnie podniecająca perspektywa.

W oczach mgliło mi się ze zmęczenia. Wyłączyłam światło i dowlokłam się do salonu w chwili, gdy zaczynały się wieczorne wiadomości. Usiadłam na sofie obok mamy, umyślnie odchylona na oparcie, żeby nie mogła zobaczyć mojej twarzy, nie odwracając głowy.

Po czołówce pojawiło się szkolne zdjęcie Jenny, zrobione parę miesięcy temu. Schludnie zawiązany krawat, co się jej normalnie nie zdarzało, włosy ściągnięte w porządną kucyk. Nienaturalny uśmiech; fotograf był irytujący. Pamiętałam go - nabzdyczony, traktował dziewczynki jak idiotki. Nikt go nie polubił. Patrzyłam na

twarz na ekranie, usiłując skojarzyć ją z tym, co powiedział mi Blake. "Mogliśmy stwierdzić, że była w czwartym miesiącu ciąży" ... Przecież to buzia dziecka. To właśnie była prawdziwa Jenny, prawda? Widywałam ją niemal codziennie, odkąd przybyła do szkoły. Rozmawiałam z nią setki razy. To nie jeden z tych przypadków, gdy zdjęcie udostępnione prasie nie ukazuje rzeczywistej twarzy ofiary, którą do nieszczęśliwego końca pchnęły narkotyki czy bunt. Jenny naprawdę wyglądała jak to słodkie, pogodne dziecko na fotografii. Uważałam ją za niewinną, pogodną, prostolinijną. Jak mogłam się tak pomylić?

Poważny prezenter w ciemnym garniturze przedstawił krótkie podsumowanie wszystkich podanych do publicznej wiadomości

75

informacji o śmierci Jenny. Materiał otworzyły zdjęcia z konferencji prasowej: najpierw Vickers, potem Shepherdowie. Jaskrawe reflektory podkreśliły cienie pod ich oczami, głębokie bruzdy obejmujące jak nawiasy usta Michaela Shepherd. Wbrew temu, co powiedział Blake, miałam nadzieję, że po tym reportażu ktoś zgłosi się na policję. Następne ujęcie pokazało dziennikarkę stojącą przed szkołą. Pamiętałam ją z konferencji, siedziała w pierwszym rzędzie. Wydała mi się atrakcyjna - wygięte ciemne brwi, wyraźne kości policzkowe i wydatne usta. Czerwona koszula i lśniące czarne włosy także dobrze prezentowały się w obiektywie. Głos miała precyzyjnie modulowany.

- Teraz znamy już tożsamość ofiary, Jennifer Shepherd, i wiemy, jak zginęła, ale jeśli policja posiada jeszcze jakieś informacje, to nam ich nie zdradza. Pozostaje pytanie, gdzie utonęła dziewczynka, jak jej ciało znalazło się w pobliskim lesie i oczywiście największa zagadka: kto ją zabił?

Nastąpił nagrany wcześniej materiał, tym razem ukazujący wchodzących do szkoły Shepherdów. Valerie torowała im drogę jak mały dzielny lodołamacz. Lektor mówił: "Dla rodziców i krewnych Jenny jest to druzgoczące przeżycie. Dla jej koleżanek - tu obraz zmienił się, ukazując grupkę stojących razem, szlochających dziewczynek - jest to niepokojące przypomnienie o czyhających niebezpieczeństwach. A dla wszystkich, którzy znali Jenny, to straszliwa strata". Przy trzech ostatnich słowach ujęcie znowu się zmieniło. Z otwartymi ustami zagapiłam się na Geoffa Turnbulla obejmującego młodą kobietę o jasnych kędzierzawych włosach spływających jej na plecy, drobną szczupłą kobietkę, najwyraźniej zrozpaczoną, mnie. Zesztywniałam w spazmie czystego upokorzenia. Ze wszystkich ujęć, ze wszystkich możliwych chwytających za serce scen wybrali akurat tę. Pamiętam, co wtedy myślałam. Chciałam uciec.

- Niewiarygodne - powiedziałam bezgłośnie, kręcąc głową.

Mama patrzyła drętwo w ekran.

- To była Louisa Shaw z Surrey, dziękuję - powiedział prowaźący wiadomości i odwrócił się do drugiej kamery, a na ekranie za nim pojawił się kran z ciekącą wodą.

76

Czekałam, kiedy mama skomentuje fakt, że jej córka pojawiła się w wiadomościach, ale nadal patrzyła w telewizor, najwyraźniej zafrapowana reportażem o cenie wody. Może mnie nie poznała. No, przynajmniej nie musiałam się tłumaczyć. Byłam niewiarygodnie zmęczona. Miałam już dość tego dnia, tygodnia, wszystkiego.

- Idę spać, mamo.

- Dobranoc - powiedziała automatycznie, nie zauważając, że na dworze ledwie się ściemniło, a ja normalnie byłabym na nogach jeszcze ze dwie godziny. Zostawiłam ją gapiącą się w ekran. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że jej myśli krążą wokół tylko jednego tematu: Charliego.

Żarówka nad umywalką w łazience się przepaliła; ta pod sufitem emitowała siny blask, w którym miałam trupa skórę, fioletowe usta, oczy ciemne i martwe. Moje odbicie w lustrze przypominało Jenny. Przez chwilę widziałam ją za życia, a potem taką, jaką znalazłam w lesie. W tej drugiej wizji czegoś brakowało - tego, co sprawiało, że była sobą. "Zgaś światło... zgaś światło..." - Szekspir dobrze to ujął, tę postać biednego, dezorientowanego, płonącego żądzą mordu Maura. "Gdy zerwę różę, nie wskrzeszę jej, zwiędnie"\*... Wyłączyłam światło w łazience i w ciemnym pokoju znalazłam drogę do łóżka. Wsunęłam się pod kołdrę z westchnieniem. Spojrzałam w sufit, czekając na sen. Powinno mi być gniew, smutek czy determinację. Ale byłam tylko odrętwiała.

Rano bez większej przyjemności poszłam do szkoły. Musiałam, Elaine wyraźnie powiedziała, że nauczyciele mają się stawić, choć nie będzie uczennic.

Podejrzywałam, że niejedna osoba widziała wiadomości, i skóra mi cierpła na myśl o czekającym mnie wstydzie. Pod bramą szkoły zobaczyłam dziewczynki z klasy Jenny - Annę Philips, Corinne Summers i Rachel Boyd, ubrane w dżinsy

\* William Shakespeare, "Otello, Maur wenecki", przełożył Stanisław Barańczak.

i bluzy z kapturem. Kiedy je mijałam, trzymały się w objęciach przed licznymi ekipami i reporterami, którzy nadal oblegali szkołę. Ale w tej manifestacji uczuć było coś szczerego, coś prawdziwego

- oczy miały czerwone i zapuchnięte od płaczu, nie wystroiliły się dla kamer. Zatrzymałam samochód na pierwszym wolnym miejscu i wyskoczyłam na zewnątrz, spiesząc wypełnić swój obowiązek - jako ochroniarz, doradca czy przyjaciółka, cokolwiek było im potrzebne.

Zbliżywszy się, zrozumiałam, że przyszły położyć kwiatki. Wzdłuż szkolnego ogrodu spontanicznie powstała ściana pamięci - kartki, misie, nawet balony. I zdjęcia wycięte z gazet. Twarz Jenny powtarzała się raz po raz, zamazana, ziarnista. I oczywiście bukiety kwiatów, różnokolorowe, owinięte w jaskrawy papier. Płomyki świec były ledwie widoczne w jasnym słońcu. Czekając, aż dziewczynki skończą to czuwanie, chodziłam wzdłuż ogrodu, czytając niektóre kartki. "Zbyt wcześnie nam Cię zabrano, aniołku". "Nie zapomnimy o Tobie, Jennifer". "Nie znałam Cię, ale zawsze będę o Tobie pamiętać"... Ta ściana pamięci świadczyła o rozpaczliwej

ludzkiej potrzebie współuczestnictwa w tragedii, dania wyrazu swoim uczuciom. Efektowne i daremne.

Nie musiałam się martwić, czy dziewczynki zechcą ze mną porozmawiać. Podeszły, ledwie mnie zauważyły. Na tym polega różnica między dziećmi a nastolatkami, pomyślałam. Za rok poszłyby w przeciwną stronę, byle tylko uniknąć rozmowy z nauczycielem. Te dziewczynki były naiwne, ufne. Łatwy łup. Jak Jenny.

- Co u was? - spytałam ze współczuciem, prowadząc je ku ławce znajdującej się w głębi szkolnego terenu, z dala od dziennikarzy.

Corinne, ciemnowłosa i chuda jak tyczka, uśmiechnęła się jednym kącikiem ust.

- Dobrze. Tylko trudno w to uwierzyć.

- Czy policjanci już z wami rozmawiali? - spytałam.

Pokręciły jednocześnie głowami.

- Kiedy to zrobią - zaczęłam, starannie dobierając słowa - o ile będą chcieli... zapewne pytają, jaka była Jenny.

78

Trzy głowy przytaknęły.

- Mogą was pytać o ludzi, z którymi spotykała się Jenny... o przyjaciół.

Znowu skinięcie.

- Może o takich, o których jej rodzice nie wiedzieli.

Corinne i Anna - której okrągła buzia i nabite ciało kojarzyły mi się nieodparcie z chomikiem - zrobiły wielkie oczy. Rachel spuściła wzrok i już go nie podniosła. Interesujące.

- Widzicie, jeśli Jenny miała jakichś tajemnych przyjaciół, ta wiadomość może pomóc policji w znalezieniu jej mordercy - powiedziałam, przyglądając się Rachel. Miała naturalnie opadające kąciki ust, przez co zawsze wydawała się nadąsana. Zwykle było to mylące wrażenie, choć dziś może nie. Nawet nie drgnęła. Nie odrywała oczu od trawy u naszych stóp.

Anna odkaszlnęła. Była jeszcze bardziej zdenerwowana niż poprzednio.

- Jenny się z nami przyjaźniła, ale nie wiemy, kto ją zabił, przy sięgam...

- Nikt nie uważa, że macie z tym coś wspólnego. Po prostu jeśli wspominała o kimś dziwnym, kimś, kto mógł ją o coś prosić albo chciał się z nią spotykać, pamiętałybyście o tym prawda? O kimś spoza szkoły. Może chłopcu...

Corinne pokręciła głową.

- Na pewno nie miała chłopca. W życiu.

- Na pewno? Zupełnie nikogo? Rachel?

Rachel wreszcie podniosła głowę i spojrzała mi w oczy, tak nieruchomo i szczerze, że jeszcze zanim się odezwała, zrozumiałam, że mnie okłamie.

- Nikogo.

- I wiedziałybyście, gdyby miała kłopoty w domu? Czy coś ją martwiło?

Trzy zaprzeczenia. Westchnęłam cicho. To na nic.

- Dobrze - powiedziałam pogodnie. - Jeśli coś wam przyjdzie do głowy, nie bójcie się z kimś o tym porozmawiać. Nikt nie będzie się na was gniewać.

79

Chór potakiwań, podziękowań i pożegnań, po czym dziewczynki zerwały się z ławki. Patrzyłam, jak odchodzą za róg szkoły. Zrobiłam wszystko, co mogłam, ale trudno było nie czuć przygnębienia. Powinnam opowiedzieć o Rachel Vickersowi albo komuś innemu - że moim zdaniem wie coś ważnego. Ale kto by mnie wysłuchał? I skąd miałam wiedzieć, czy moje domysły są słuszne?

Siedziałam na ławce jeszcze parę minut, zastanawiając się nad tym. W końcu uznałam, że nie mogę nic zrobić. Muszę poczekać, aż Rachel do mnie przyjdzie. A kiedy doszłam do tego wniosku, podniosłam głowę i ujrzałam zbliżającą się do mnie dziewczynkę. Rachel. Sama, bez przyjaciółek. Pozbyła się obojętnej maski, a na jej okrągłej, nadal dziecinniej buzi malował się niepokój.

- Proszę pani... nie wiem, ale... - Obejrzała się przez ramię.

- Nie chciałam nic przy nich mówić, bo Jenny prosiła, żebym nikomu tego nie zdradziła.

Wyprostowałam się, usiłując zachować spokój.

-Tak?

Była coraz bardziej niespokojna.

- Pani powiedziała, że Jenny mogła kogoś znać... kogoś spoza szkoły... Raz mi pokazała swoje zdjęcie... z chłopakiem.

- Z chłopakiem? Na pewno? - rzuciłam to ze zbyt wielkim przejęciem. Rachel spojrzała na mnie z wahaniem. Uświadomiłam sobie, że jest bliska ucieczki z niewyjawionymi tajemnicami.

Oddechnęłam głęboko i powiedziałam bardzo ostrożnie: - Kto to?

- Nie wiem. Widywała się z nim po szkole.

- Codziennie?

Rachel pokręciła głową.

- Nie. Miała przyjaciela... znajomego chłopca. Parę razy w tygo dniu się z nim widywała.

- I to on był na zdjęciu?

- Nie! - Zaczęła się na mnie złościć. - Z nim się tylko przyjaźniła. A jego starszy brat się jej podobał.

- Jak się nazywał ten brat? - zapytałam spokojnie.

80

Wzruszyła ramionami.

- Jenny nie mówiła.

- A przyjaciel?

-Tego też nie mówiła. Nie wiem o nich nic oprócz... oprócz... Czekałam.

- Jej chłopak, ten ze zdjęcia, był stary. Dorosły. Widziałam tylko

jedną stronę jego twarzy, bo ją całował, ale to na pewno dorosły.

- Dorosły jak wasi rodzice czy dorosły jak ja? - Może nie było sensu się dopytywać, dla dwunastolatki pewnie wszyscy wyglądaliśmy jak rupiecie, ale czułam, że Rachel nie pomyliłaby dwudziestoparolatka z trzydziestolatkiem lub kimś starszym.

- Jak pani - powiedziała. - Czy pani naprawdę myśli... czy pani myśli, że mógłby wiedzieć, kto zabił Jenny?

Dorosły chłopak dwunastoletniego dziecka, dziewczynki, która została zamordowana i porzucona w leśnym pustkowiu. No raczej, pomyślałam.

- Może. Ale się nie martw. Dobrze zrobiłaś, że mi powiedziałaś.

Policja na pewno znajdzie jej przyjaciela.

Więc to naprawdę tak proste - ślepe zauroczenie prowadzące do niestosownego związku, który z kolei doprowadził do nieprzewidzianej ciąży i gwałtownego, brutalnego rozwiązania problemu. Wszystko zaczęło do siebie pasować. Policjanci pewnie już go zgarnęli. Rachel im potwierdzi to, co i tak już wiedzą, i będzie mniej więcej po wszystkim. Sprawiedliwości stanie się zadość, Jenny będzie pomszczona, Shepherdowie i inni pograżą się w rozpacz, ale zasadniczo wszystko wróci do normy. A ja jakoś się przyczynię do zakończenia śledztwa. Dam coś z siebie, choć dla Jenny będzie już za późno.

Zauważyłam, że Rachel kołysze się nerwowo, rozedrgana. Coś mi umknęło, coś ważnego.

- Nie martw się - powtórzyłam. - Rodzice Jenny im powiedzą.

Znają go i wiedzą, gdzie go znaleźć.

- No właśnie nie! - Jej głos brzmiał piskliwie, zduszony łzami.

- Nie mówiła rodzicom, dokąd chodzi. Myśleli, że jest u mnie,

81

i zawsze jej wierzyli. Nie wiem, kim jest jej chłopak, kłamałam dla niej, a teraz ona nie żyje!

i

Niespełna godzinę później zjawiłam się w gabinecie Elaine z Rachel i jej matką. Vickers gapił się ponuro w okno. Podejrzewam, że nawet nie widział rosnących za nim buków. Robił wrażenie człowieka na dnie rozpacz. Z całą pewnością nie wyglądało na to, że dochodzenie zmierza we właściwym kierunku, jak wmawiała nam tego ranka rzeczniczka na konferencji prasowej. Ale trzeba też przyznać, że widziałam go trzy lub cztery razy w życiu i zawsze był przygnębiony do granic załamania, więc pewnie nie należało się sugerować.

- Dzień dobry - powiedziałam cicho, lekko pukając w otwarte drzwi.

Odwrócił się i przelotnie rozpoznał. Gdy ujrzał stojącą za mną Rachel, nadal zapłakaną, z czerwonym nosem, nerwowo naciągającą rękawy na dłonie, spojrzał na mnie pytająco. Zmęczenie znikło, zastąpione ostrą jak brzytwa przenikliwością.

- To Rachel, koleżanka Jenny - przedstawiłam dziewczynkę.  
- Przekazała mi parę informacji o pozaszkolnym życiu Jenny. Sądzę, że wydadzą się panu interesujące. - Nie chciałam dra matyzować. Rozmawiając z panią Boyd przez telefon, umyślnie zachowałam lekki ton. Nie chciałam, by sobie wyobraziła, że jej córka jest najważniejszym świadkiem, bo wtedy zaczęłaby się zachowywać nadmiernie opiekuńczo. Miałam nadzieję, że Vickers to wyczuwa.

Uśmiechnął się i wszystkie zmarszczki na jego twarzy się wygięły.

- Rachel, tak? Dziękuję, że przysłałaś coś mi powiedzieć. To twoja mama? Bardzo dobrze. Znajdziemy sobie pokój i poroz mawiamy, co?

Bez pośpiechu zaprowadził je do służącego do przesłuchań pomieszczenia z fotelem i niskim stolikiem. Nie wiadomo skąd

82

pojawiła się policjantka, która usiadła z boku, z notatnikiem w pogotowiu. Zatrzymałam się w korytarzu niepewna, czy powinnam wyjaśnić, że spotkałam Rachel przypadkowo, że nie chciałam się wtrącać.

Inspektor podszedł do drzwi, chcąc je zamknąć, zauważył mnie i stanął. Wychylił się i powiedział na tyle cicho, że usłyszałam go tylko ja.

- Dziękuję, Saro. Bardzo nam pomogłaś. Nie będę cię zatrzymywać. I zamknął drzwi. Miałam wrażenie, że mnie odprawiono.

1992

Trzy dni od zaginięcia

c

'hcemy nakręcić kolejny apel. Wielki policjant siedzi przy stole w kuchni. Koszula pociemniała mu pod pachami, na piersiach ma dwa mokre półksiężycy. W kuchni i na zewnątrz jest gorąco, ale nikt poza nim się nie poci. Od czasu do czasu policjant ociera twarz, przykłada do niej chusteczkę, która odrywa się od skóry z cichym pacnięciem, osusza krople, które kapią mu z włosów na szczękę. Wycierając je, szepcze cicho: "O Boże! O Chryste!". Przyglądam się mu uważnie, obserwuję perełki, które występują mu na skórę, nabrzmiewają i łączą się ze sobą, aż wreszcie robią się tak ciężkie, że spływają w dół jak deszcz po szybie.

- Kolejny? - Tata ma szarą twarz. - Ale dlaczego? Jeden nie wystarczy?

Policjant bezradnie rozkłada ręce.

- Spełnił swoją rolę, ale...

- Wszyscy tylko tracimy czas. Mówiłem, że nie ma sensu bawić się w to "wróc do domu, nie będziemy się gniewać". Myślicie, że Charlie by nie wrócił, gdyby mógł? Że wolałby być gdzie indziej?

- Zgadza się, nic nie osiągnęliśmy...



- To po co robić to jeszcze raz?

84

- Zmieniamy adresata. Teraz chcemy się zwrócić do osoby, która może towarzyszyć Charliemu. Aktualnie sądzimy, że ktoś może go więzić.

Tata zakłada ręce na piersi.

- Aaa, czyli w końcu dotarło do was, że ktoś go porwał?

- Według nas istnieje taka realna możliwość. - Pac, pac, pac.

- O Chryste... - szepcze policjant i obrzuca nas żalonym spojrzeniem. - Musimy słuchać zdania naszej psycholog. Ona zna sposób działania pedofilów. Według niej musimy im uświadomić, że Charlie jest takim samym człowiekiem jak oni, że ma rodzinę. Większość z nich uważa dzieci za towar, więc musimy im zasugerować, że to ludzka istota.

Mama wydaje jakiś zdławiony dźwięk. Ma zamknięte oczy i kołysze się na krześle. Obchodzę stół i staję obok niej, wtulam się w jej bok. Wydaje się delikatna, krucha. Trącam ją jak kozłatko, ale nie reaguje.

- Co mamy zrobić? - pyta tata.

- Chcemy, żebyście opowiedzieli o Charliem. Chcemy go umieścić w kontekście rodziny, może poprzez prezentację jego fotografii. Chcemy udostępnić mediom jego nowe zdjęcia, a także nakręcić tu sceny z waszego życia. Całej trójki.

Podskakuję, przebiega mnie dreszcz zachwytu na myśl, że będę w telewizji.

Rozpromieniam się w uśmiechu, którego nie umiem powstrzymać. Mam nadzieję, że koleżanki z klasy mnie zobaczą.

- Nie chcę, żeby brała w tym udział.

Nie od razu dociera do mnie, o kim mówi mama. Potem wszyscy patrzą na mnie.

- Wiem, że chce pani chronić córkę przed rozgłosem, ale to bardzo ważne - mówi policjant z powagą.

Mama zaciska usta w cienką kreskę.

- Nie powinna być w telewizji.

Nie chce, żebym wystąpiła, bo wie, że tego pragnę. Nie chce, żeby spotkało mnie coś dobrego, bo na to nie zasługuję. Kolana tak mi się trzęsą, że z trudem stoję.

-Ale mamoo... -jęczę.

85

- Lauro - wtrąca ojciec - musimy to zrobić.

Mama nie odpowiada, tylko kręci głową, wbijając wzrok w leżące na kolanach dłonie, które nieustannie wykręca. Twarz ma zamkniętą, opancerzoną.

- Musimy - podejmuje następną próbę tata. - Dla Charliego.

Ciągle tak mówi. Zjedz coś - dla Charliego. Porozmawiaj z policją - dla Charliego. Odpocznij - dla Charliego. Tej jednej prośbie mama nie umie odmówić.

Ekipa telewizyjna rozstawia swój sprzęt w ogrodzie. Mówią nam, gdzie usiąść i co zrobić. Zajmuję miejsce między rodzicami, falbanki mojej ulubionej sukienki pienia się między nami. Udajemy, że przeglądamy album z fotografiami - zdjęcia Charliego jako niemowlaka, potem brzdąca na czerwonym trójkołowym rowerku, który pamiętam, bo też na nim jeździłam. Nadal stoi w ogrodowej szopie, choć obłazi z farby i jest zniszczony.

Czekam na moje pierwsze zdjęcie, z Charliem zagląającym do mojego łóżeczka. Dokładnie wiem, na której stronie je znajdę. Oglądałam je wiele razy, usiłując rozpoznać moje rysy w małej czerwonej buzi okrągłego zawiniątka w kocyku, z którego wychyla się jedna tłusta rączka. Mama odwraca strony albumu powoli, zbyt powoli, od czasu do czasu zatrzymując się i wzdychając. Podnoszę wzrok; jej twarz wykrzywia rozpacz.

- A teraz niech Sarah położy rękę na ramieniu mamy - pada zza kamery.

Posłusznie to robię. Mama skórę ma zimną, choć siedzimy w słonecznym żarze. Cofa się, jakbym ją sparzyła. Po raz pierwszy dociera do mnie, że nigdy nie zdołam jej pocieszyć, nigdy nie zdołam jej uszczęśliwić. Nigdy jej nie wystarczę.

Wówczas zaczynam płakać. Szlocham rozdzierająco, jakbym miała nigdy nie przestać. W wieczornych wiadomościach wygląda to, jakbym płakała za Charliem. Tylko ja wiem, że to płacz nade mną.

## Rozdział 5

### M

I inęła pierwsza, kiedy Andrew Blake zajrzał do sekretariatu, do którego Elaine zesłała mnie do pracy w związku z brakiem lekcji. Moi koledzy siedzieli w pokoju nauczycielskim, nadrabiając zaległości w papierkowej robocie. Ja też tak chciałam, ale nieszczęśliwie wpadłam na Elaine i równie nieszczęśliwie nie zdołałam się wykręcić. Choć właściwie nie miałam nic przeciwko temu. Otwieranie listów i odpowiadanie na telefony przez cały ranek to zadanie mało wymagające. Właściwie jedynym minusem była obecność Janet, szkolnej sekretarki. Chuda jak szkielet, po pięćdziesiątce, odkąd ją znam, znajdowała się na skraju załamania nerwowego. Nawet w normalnych okolicznościach nie sprawdzała się w swojej pracy; teraz stała się zdolna jedynie do opowiadania

o swoich zdrowotnych problemach, przeszłych i teraźniejszych, oraz szlochania. Od chwili gdy weszłam do sekretariatu i zobaczyłam jej zaognione powieki i czerwony nos, zrozumiałam, że nie ma sensu jej słuchać. Skryłam się we własnym wewnętrznym świecie, mechanicznie przeglądając stertę korespondencyjnych śmieci i wiadomości telefonicznych. Ich porządkowanie działało na mnie jak terapia. Monolog Janet płynął w tle, nieustannie jak rzeka. Jeśli nie słuchało się słów, był niemal kojący.

Kiedy drzwi się otworzyły i Blake zajrzał do sekretariatu, nie od razu wróciłam do rzeczywistości. Janet mówiła akurat:

- Więc oczywiście wiedziałam natychmiast, że to wypadnięcie, bo już raz do tego doszło... Mogę pomóc?

Blake poraził ją uśmiechem czarującym na maksa.

- Nie w tej chwili, dziękuję. Przyszedłem do panny Finch.

87

Wstałam i wygładziłam sukienkę, żeby zyskać na czasie. Dlaczego chciał ze mną porozmawiać? Musiało chodzić o Rachel. Ruszyłam w jego stronę, a w głowie wirowały mi na wpół zapomniane sprawy, o których zamierzałam powiedzieć Vickersowi.

- Długo cię nie będzie? - rozległo się za moimi plecami. Głos Janet stał się ostry z irytacji. - Bo jedna z nas powinna tu być podczas przerwy obiadowej, wiesz? W tej sytuacji...

- Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu - powie dział Blake łagodnie, choć tonem wykluczającym negocjacje. - Niedługo wrócimy.

Janet prychnęła.

- Świetnie. Zjem obiad później. I tak bym nic nie przełknęła.

Odwrócona do niej plecami, wykrzywiłam się okropnie. Blake ni to kaszlnął, ni się roześmiał i schował się w korytarzu, poza zasięgiem wzroku Janet. Ledwie zamknęłam za sobą drzwi, pytał:

- Kto to taki?

- Janet, sekretarka. Niezły okaz, co?

- Radosna jak te baby, co robiły na drutach pod gilotynami.

Za co cię tam wsadzili?

- Nie ma uczniów, a ja znalazłam się w złym miejscu o nie właściwej porze. Lepsze to niż bezczynność, ale dzięki, że mnie uratowałeś. - Zawahałam się przez sekundę. - O czym chciałeś ze mną porozmawiać?

Blake bardzo spoważniał. Czekałam, cierpiąc ze strachu przed tym, co usłyszę.

- Zastanawiałem się, czy jesteś głodna. Bo jeśli naprawdę nie masz serca i chcesz jeść w takiej sytuacji, z wielką radością poczę stuję cię kanapką w wybranym przez siebie miejscu. Dzień jest ładny. Czy na dworze jest jakieś dogodne miejsce?

Zagapiłam się na niego z zaskoczeniem i nagle zrobiło mi się weselej. Dzień był naprawdę ładny. Nie miałam powodu umartwiać się obiadem w ciasnym sekretariacie

- albo gorzej, w pokoju nauczycielskim, gdzie musiałabym słuchać, jak Stephen Smith kłapie przy jedzeniu sztuczną szczęką. To nie miało sensu, zwłaszcza gdy trafiła mi się bardziej kusząca propozy-

88

cja. A może szkoda mi było odrzucić ofertę Blake'a? Jednym słowem - tak.

- Nie wiem - powiedziałam, tak samo śmiertelnie poważna jak on. - A te kanapki to z czym?

- Jedna z szynką i sałatą, druga z serem i pomidorem.

Zastanowiłam się.

- Dostanę tę z serem?

-Jak najbardziej.

- W takim razie proszę za mną. - Skierowałam się do drzwi na parking. - Żeby było jasne: to ma być jakiś cichy zakątek na dworze?

Przyspieszył kroku, żeby otworzyć przede mną drzwi.

- Idealem byłoby miejsce z dala od tego towarzystwa. - Skinął głową w stronę reporterów kłębiących się przy bramie szkoły.

- Nie ma sprawy.

Ruszyłam wzdłuż budynku, koło lodowiska do hokeja, do małego ogrodu za wysokim murem. Tutaj dziewczynki wypróbowywały swoje rolnicze zdolności. Z różnym skutkiem. Warzywna grządka przedstawiała żaloszny widok - sałata ginęła pod wybujałymi chwastami - za to po murze piał się wiciokrzew, który pięknie pachniał, a dwie wielkie jabłonie rzucały na trawę drżące plamki cienia. Ogród miał tę zaletę, że nie był strzeżony, więc w normalnych okolicznościach to tutaj dziewczynki potajemnie paliły papierosy na przerwie obiadowej. Ale teraz panowały tu pustki.

- Idealnie - odezwał się Blake za moimi plecami, zaglądając przez furtkę.

Stał tuż za mną. Intensywnie odczuwałam jego obecność. Musiałam się skupić, żeby sobie przypomnieć, co mam zrobić. Otworzyłam furtkę i zanurzyłam się w trawy.

Blake poszedł za mną.

- Nie ma to jak prywatna szkoła, co?

- Pewnie tak. - Spojrzałam na niego z powątpiewaniem. Miał na sobie bardzo elegancki garnitur. - Chcesz usiąść na ławce, czy położyć się na trawie?

Przykucnął i dotknął trawy.

89

- Sucha jak pieprz. Wybieram trawę.

Zdjął marynarkę i krawat, podwinął rękawy koszuli i położył się na plecach.

Przyglądałam się mu rozbawiona. Potarł oczy.

- Zmęczony?

- Odrobinę - powiedział głosem zachrypniętym z senności.

Położył się w słońcu, ale nieopodal była plama cienia.

Przykucnęłam w niej i zaczęłam zgłębiać zawartość torby. Kiedy milczenie zaczęło się przeciągać, poczułam się nieswojo.

- Jak dochodzenie? - spytałam w końcu.

Ocknął się i zamrugał, spoglądając na mnie jak na kogoś zupełnie obcego.

- Przepraszam... przysnąłem?

Zaczęłam jeść kanapki. Blake podniósł się, oparł na łokciu i sięgnął do torby.

- Ostatnio nie wiem, czy jestem bardziej głodny, czy zmęczony.

Harujemy od poniedziałku.

- Robicie postępy?

- Mniej więcej - wymamrotał z pełnymi ustami. - Ta koleżanka,

którą znalazłaś, bardzo nam pomogła. Skąd ją wytrzasnęłaś?

Wzruszyłam ramionami.

- Wpadłam na nią. Strasznie chciała o tym komuś powiedzieć, a zna mnie, więc...

Skinał głową.

- Pewnie ci ufają, bo jesteś młoda. Bardziej przypominasz je niż inne nauczycielki.

- Zdziwiłbyś się. Może wyglądam młodo, ale one nie uważają mnie za jedną z nich. Według nich jestem stuprocentową dorosłą.

- Westchnęłam. - Ta sprawa z Jenny... niczego nie zauważyłam. Niczego.

- Nie rób sobie wyrzutów. Nikt nie zauważył. Nawet jej rodzice o niczym nie mieli pojęcia. Skąd mogłaś wiedzieć?

Odłożyłam kanapkę i objęłam kolana rękami.

- Ale powinnam. Ciągle o tym myślę. Czasem zostawała po lekcji i rozmawiała ze mną. O niczym szczególnym, tak po prostu.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale może szukała sposob-

ności, żeby mi powiedzieć, co się dzieje. A ja jej mówiłam, żeby już biegła, bo spóźni się na następną lekcję. - Przytuliłam głowę do kolan, ukrywając twarz. Bałam się zobaczyć w jego oczach potępienie. Ale kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała tak wielka pewność, że podniosłam głowę.

- Bzdury. Gdyby chciała z tobą porozmawiać, znalazłaby sposób. Nie chcę jej oczerniać, ale była po prostu dwulicowa.

Przetrząsnęliśmy jej pokój. Wynieśliśmy tony rzeczy do badania i nie znaleźliśmy nic użytecznego. Rozmawiała chyba tylko z tą Rachel, a nawet jej niewiele powiedziała. Przychodzi ci do głowy, komu mogła się zwierzyć?

- Nie. - Westchnęłam z żalem. - Szczerze mówiąc, moim zdaniem Jenny powiedziała o tym Rachel tylko dlatego, że ktoś musiał ją kryć. Nie chciała z nikim rozmawiać o swoim chłopaku.

- Jak Rachel ją kryła? - spytał Blake.

- Tylko ona mieszkała wystarczająco blisko, dziesięć minut drogi rowerem. Podobno rodzice pozwolili Jenny jeździć do niej na odrabianie lekcji. Ale ona oczywiście nie jeździła do Rachel, tylko gdzieś indziej - do tego swojego chłopaka i jego brata.

- A rodzice niczego nie podejrzewali?

- Na tym polega uroda komórek. Kiedy Dianę Shepherd chciała, żeby Jenny wróciła do domu, dzwoniła albo wysyłała SMS-a. Nigdy nie telefonowała do Boydów, więc nie mogła się dowiedzieć, że Jenny u nich nie ma. Ale Jenny nauczyła Rachel, co ma mówić, na wypadek gdyby pani Shepherd porozmawiała z nią kiedyś w szkole.

- Inteligentna. Wszyscy tańczyli, jak im zagrała, nie?

- Pewnie tak. - Ta myśl tak bardzo się kłóciła z moim wyobrażeniem o Jenny, że czułam się dziwnie. - Ale może tak zaplanował ten chłopak.

- Hmm - mruknął Blake niezobowiązująco. - Może.

Nie powiedział nic więcej. Ja też. W drzewach gruchały gołębie. Blake spoglądał na trawę zamyślony, a ja wykorzystałam tę sposobność, żeby się mu przyjrzeć. Jasne promienie lśniły na włoskach na rękach i rzęsach. Te rzęsy kładły się mu na policzkach.

91

W życiu nie widziałam dłuższych rzęs u mężczyzny. Była to jego jedyna kojarząca się z kobiecością cecha. Koszula wyszła mu zza paska, ukazując trójkąt ciała, napięty i brązowy, z kreską ciemnych włosów, prowadzącą moje myśli w niepożądanym kierunku. Blake był nieruchomy jak fotografia. Ruszał się tylko sekundnik jego zegarka. Objęłam kolana; narastało we mnie jakieś nieznanne uczucie, coś, co po chwili rozpoznałam z pewnym zaskoczeniem jako szczęście.

Blake spojrzał na mnie. Żołądek fiknął mi koziołka.

- Skończysz tę kanapkę czy nie?

Druga połowa kanapki była nadal owinięta w woskowany papier z delikatesów.

- Nie jestem aż tak głodna.

- Dokończę ją, jeśli nie chcesz.

Oddałam mu kanapkę. Pożarł ją trzema kęsami i znowu się położył, osłaniając twarz ramieniem.

- A jak twoja mama?

- Mama? - Aż do tej chwili kompletnie zapomniałam, że wspomniałam mu o niej. Usiłowałam sobie przypomnieć, co mianowicie powiedziałam, i w końcu zdecydowałam się na neutralne: - No... tak samo.

- Mówiłaś jej, gdzie byłaś w poniedziałek? Że knułaś z nikczemnymi policjantami?

Roześmiałam się.

- Nie, nie musiałam nic mówić. Spała, kiedy wróciłam.

- Dlaczego nie lubi policji? - Na chwilę uniósł rękę z twarzy i przyjrzał mi się, mrużąc oczy. - Męczy mnie to, odkąd mi to powiedziałaś.

- Tak bywa. - Odwróciłam głowę. - Mieliśmy z nimi do czynienia i powiedzmy, że nie palili się do pomocy.

- W jakiej sprawie?

Przez chwilę zachwiałam się w swoim przekonaniu. Miałam ochotę powiedzieć mu o Charliem, ale historia była za długa, a poza tym nie mogło go to naprawdę interesować. Wytłumaczyłam sobie, że po prostu mnie wypytuje, jak każdy dobry policjant.

92

- Historia starożytna. Wiesz, jak to jest. Priorytety policji Surrey i mojej matki nie zawsze się ze sobą zgadzają. Matka poczuła się trochę przygnębiona. Gdyby nie należała do osób, które długo chowają urazę, na pewno już by to przeboleła.

- Mieszkacie we dwie? Bez taty?

- Umarł - powiedziałam. Głos mi się chyba nie zmienił, ale Blake usiadł.

- Kiedy?

- Gdy miałam czternaście lat. Dziesięć lat temu. Boże, nie wyda je się, że to tak dawno.

- Jak umarł?

Przywykłam do opowiadania o tym bez emocji.

- W wypadku. Już po ich rozstaniu. Ojciec się wyprowadził. Jechał z Bristolu na spotkanie ze mną i... no, głupi wypadek.

Nie samobójstwo. W przeciwieństwie do tego, co myśleli ludzie.

- Pewnie było ciężko.

- Mhm - mruknęłam, nie patrząc na niego. - To skomplikowało sprawy w domu. Mama była w kiepskim stanie po rozwodzie i dlatego zostałam z nią. Po śmierci taty musiała na jakiś czas iść do szpitala. Nie dawała rady.

Było o wiele gorzej. Matka oszalała z rozpacz - wpadła w obłąd. Znalazła się w zakładzie, dla bezpieczeństwa własnego i mojego, a ciocia Lucy zjawiała się jak anioł i zabrała mnie na parę miesięcy do Manchesteru. Pisałam do mamy codziennie i nie doczekałam się słowa odpowiedzi.

- Wyszła ze szpitala nie całkiem wyleczona, delikatnie mówiąc.

I nigdy nie doszła w pełni do siebie. Mieszkamy we dwie, żebym mogła się nią opiekować. Choć tyle mogę zrobić.

- To, co spotkało twojego tatę... - Dotknął mojej kostki. - To nie twoja wina, wiesz?

-A powiedziałam, że moja? - warknęłam. Przez lata wysłuchiwałam, jak mama mi to zarzuca. -Wiem, że to tylko pech. Nie powinno do tego dojść, ale doszło. Można by pomyśleć, że mamy to nie obejdzie, skoro rozeszli się dwa lata wcześniej. A jednak była zrozpaczona.

93

- Może nadal go kocha. Jak się rozeszli?

- Tata odszedł. Ale ona go do tego zmusiła. - Pokręciłam głową. - Słyszałam, jak do niego mówiła. I co mówiła o nim. Nienawidziła go.

- Zdjęła obrączkę?

-Co?

- Przestała ją nosić? Po rozwodzie?

- Nie. Nadal nosi.

Wzruszył ramionami.

- To nadal go kocha.

Zastanawiałam się przez chwilę. Nie chciałam dostrzec w matce żadnych dobrych stron, ale może Blake miał rację. I po raz pierwszy od lat naprawdę współczułam mojej matce, która nie chciała zmienić swojego życia, nie potrafiła sobie radzić z tragediami, które ją spotykały, chciała tylko, żeby świat sobie poszedł.

Blake znowu odwrócił się na plecy i zamknął oczy.

- Dlaczego nie masz dziewczyny? - rzuciłam bezmyślnie.

Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Mam straszne godziny pracy, pamiętasz? Dziewczyny nie wytrzymują.

- A, prawda. - Raczej on nie wytrzymał z dziewczynami. Nie mógł narzekać na brak kandydatek. Ale ja za bardzo się szanowałam. Nie zamierzałam stawać w kolejce. - Skoro mowa o pracy, muszę wracać. Janet dostanie szafu.

Spodziewałam się, że parsknie śmiechem, ale się zawiodłam. Zmarszczył brwi i usiadł.

- Słuchaj... jeśli chodzi o tę sprawę... obiecaj, że będziesz uważać. Obiecaj, że nie będziesz się mieszać do dochodzenia.

Poczułam, że moja twarz kamienieje.

- Jak to?

- Jesteś miła. Bierzesz odpowiedzialność za innych, nawet kiedy nie musisz. Ale w to nie powinnaś się mieszać.

- Nie wiem, o czym mówisz. - Zaczęłam zwijać papier, żeby czymś się zająć.

- Pomogłaś nam, nikt nie zaprzecza. Byłaś świetna. Ale

94

od samego początku jesteś za blisko tej sprawy. Lubię cię i nie chcę patrzeć, jak dzieje ci się krzywda.

Byłam trochę zła, a trochę zaciekawiona, dlaczego powiedział, że mnie lubi. Lubi tak zwyczajnie czy inaczej? Z pewnym wysiłkiem wróciłam do rzeczywistości.

- Jak to? Krzywda?

- Różnie bywa. - Wstał. Słońce miał za plecami, jego sylwetka rysowała się czernią na tle jasnego nieba. Nie widziałam jego twarzy. - W takich sprawach kogoś zawsze się obwinia, wcześniej czy później. Tu jeszcze się to nie zaczęło, ale jeśli wkrótce do czegoś nie dojdziemy, ludzie zaczną pytać, zastanawiać się, na kim można się odegrać za to wszystko. Wierz mi, nie chcesz być wtedy na widoku.

- Wątpię, żeby do tego doszło.

- Już to widziałem. Wracaj do pracy. Nie wyręczaj nas i nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

Gapiałam się na niego głupio. Spojrzał na zegarek, nagle skrepowany.

- Lepiej pójdę. Dzięki za wspólny obiad.



Odprowadziłam go wzrokiem. Odszedł ze spuszczoną głową.

Gardło mi się ścisnęło, jakbym się miała rozplakać, ale czułam gniew. Przecież to on mnie odszukał. Ja chciałam tylko pomóc Shepherdom. Pragnienie pomocy to chyba nic złego?

Zebrałam śmieci. Z wyjątkiem zgniecionej trawy nie został żaden ślad naszej obecności w ogrodzie.

Myliłam się, sądząc, że nowo nabyte współczucie do matki przetrwa spotkanie z nią oko w oko. Po dwóch minutach w domu cała litość ze mnie wywietrzała.

Wróciłam lepka, rozgrzana i zmęczona. Powitał mnie zapach stęchlizny i nieświeżego ubrania, charakterystyczna woń naszego domu. Daleka od piekącego się chleba czy świeżo zmielonej kawy. Mama siedziała na sofie. Przeglądała wielki, oprawny

95

w sztuczną skórę album z wycinkami. Natychmiast go rozpoznałam.

Te wycinki to był pomysł babci. Po zniknięciu Charliego całe tygodnie i miesiące wertowała stosy gazet i wycinała wszystkie wzmianki o nim. Czerpała z tego jakąś perwersyjną przyjemność, jakby był to wielki sukces Charliego - coś, co należy upamiętnić, jak rekord sportowy czy osiągnięcie naukowe. Nigdy nie pojęłam, dlaczego sądziła, że to pomoże. Po śmierci babci mama odziedziczyła trzy ciężkie albumy, których usztywnione klejem strony trzeszczały przy odwracaniu. Widziałam je wiele razy, ale nigdy ich nie oglądałam. Nie chciałam. Poza tym mama strzegła ich jak źrenicy oka. Trzymała je w jakiejś kryjówce, podejrzewam, że pod łóżkiem, choć nigdy nie chciało mi się tego sprawdzić. Ostatnie wypadki sprawiły, że mama wydobyła je na powierzchnię, by wspominać dawne smutne czasy.

- Wróciłam - powiedziałam niepotrzebnie, przechodząc przez salon do kuchni. Wyjęłam z szafki dzbanek i nalałam do niego wody z kranu. Była ciepława i miała lekko metaliczny smak, ale umierałam z pragnienia i wypiliśmy całą szklanekę. Znowu ją napełniłam i wróciłam do salonu. Mama podniosła na chwilę głowę i znowu wróciła do albumu. Wyciągnęłam szyję, usiłując odczytać nagłówek do góry nogami. Mama zamknęła album z trzaskiem tak głośnym, że drgnęłam, i łypnęła na mnie straszonym wzrokiem.

- Czego chcesz?

Wzruszyłam ramionami.

- Niczego. Tak tylko patrzyłam. - Przysiadłam ostrożnie na oparciu sofy. - Czytasz o Charliem?

Przy ostatnim słowie przebiegło mnie coś podobnego do elektrycznego wstrząsu. Nigdy nie wypowiadałam jego imienia. Nigdy. Zwłaszcza przy mamie. Dwóch rzeczy cofnąć nie można, powiedziała kiedyś moja nauczycielka: strzały wypuszczonej z łuku i wypowiedzianego słowa. Czekałam na reakcję, cierpiąc ze strachu.

Po chwili mama powiedziała całkiem spokojnie:

96

- Tylko to przeglądam. - Poklepała album, leżący na jej kolanach.

- Mogę zobaczyć? - Nie czekając na odpowiedź, sięgnęłam po drugi album, leżący na stoliku. Mogłyśmy je pooglądać razem. Może to nam pomoże się nawzajem zrozumieć. Zaczynałam podejrzewać, że wcale nie znam mojej matki. Może na tym polegał problem.

Album leżał trochę za daleko. Udało mi się wsunąć palec pod jego grzbiet i przyciągnąć do siebie. Zaczepił się o album, na którym leżał. Szarpnęłam mocniej. Plastikowa okładka pękła z trzaskiem, na grzbiecie powstało zygzakowate rozdarcie, mniej więcej pięć-centymetrowe. Wyrzała przez nie papierowa podściółka, bardzo biała na tle czekoladowej okładki. Zamarłam.

Mama pochyliła się i wzięła album, przesunęła palcami po rozdarciu, nie mówiąc ani słowa.

- Prze... przepraszam - zaczęłam, ale odwróciła się do mnie z płonącymi oczami.

- Cała ty. Typowe. Chcesz zniszczyć wszystko, co jest dla mnie ważne, tak?

- Ja nie chciałam! Albumy są stare. I w ogóle były tanie. Plastik musiał się zestarzeć.

- Dla ciebie nic nie znaczą, to widać. Ale dla mnie są ważne.

- Głos matki stał się głośniejszy, piskliwszy. - Tylko popatrz! Zniszczony!

Zniszczony? Lekka przesada.

- Zakleimy to - powiedziałam, przeklinając się za ten błąd.

- Nie, nie zakleimy. Nie wolno ci tego więcej dotykać. -

Zagarnęła albumy w objęcia i rzuciła mi złe spojrzenie. - Jesteś głupia, wszystko niszczysz. Zawsze tak było. Zwłaszcza jeśli chodzi o twojego brata.

- Co to ma znaczyć?

- Chyba nie muszę tłumaczyć. - Wstała z pewnym trudem, nadal piastując albumy w objęciach. - Nigdy go nie lubiłaś. Nigdy.

- To nieprawda! Przecież...

- Co mnie to obchodzi! - Słowa świsnęły jak bat. Naprawdę

97

się wzdrygnęłam. - Bardzo mnie rozczarowałaś. Dobrze chociaż, że twój ojciec już nie zobaczy, co z ciebie wyrosło. Serce by mu pękło, gdyby wiedział.

- Gdyby co wiedział? - Ja też wstałam. Cała się trzęsłam. -

Gdyby wiedział, że mieszkam tu, żeby się tobą opiekować, zamiast żyć na własne konto? Gdyby wiedział, z czego zrezygnowałam, żeby cię nie zostawiać?

- Nigdy cię nie prosiłam, żebyś wróciła - wysyczała. - To nie miało nic wspólnego ze mną, po prostu nie chciałaś wziąć odpo

wiedzialności za swoje życie. Łatwiej zostać tu i nienawidzić mnie za to, jak żyjesz, niż samej torować sobie drogę. Ale nie możesz mieć do mnie żalu. Nie chciałam, żebyś tu przyjeżdżała. Wolałam być sama.

- No pewnie, tak dobrze sobie radziłaś, kiedy studiowałam. Nie przeżyłabyś tygodnia - powiedziałam zimno. - Chyba że naprawdę chciałaś umrzeć. Rozumiem, że mogłam ci przeszkadzać w zapiciu się na śmierć.

- Jak śmiesz!

- A ty? Nie powinnaś mi mówić, żebym odeszła. Mogłabym twoje słowa potraktować poważnie.

- Takie szczęście mnie nigdy nie spotka - oznajmiła mama oschle.

Patrzyłam na nią długo.

- Ty mnie naprawdę nienawidzisz, co?

- Nie nienawidzę cię. Po prostu cię nie potrzebuję.

Dwa kłamstwa w cenie jednego. Ale wiedziała, podobnie jak ja, że to niczego nie zmienia. Mogła mówić, co chce. Nie mogłam odejść, tak jak ona.

Poszłam do swojego pokoju, głośno trzasnąwszy drzwiami. Oparłam się o nie plecami i rozejrzałam się wokół. Przygnębiające, jak mało się tu zmieniło od dzieciństwa. Pokój był mały, niemal w całości zajęty przez podwójne łóżko, które kupiłam za pierwszą wypłatę. Przy małym biureczku, wciśniętym niezgrabnie w wykusz okna, sprawdziłam niezliczone wypracowania, godzinami siedząc z nogami opartymi na kaloryferze. Obok łóżka

98

stata biblioteczka pełna książek, które czytałam na uniwersytecie i wcześniej - przeważnie literatura klasyczna, tomy o grzbietach wytartych do białości od ciągłego czytania. Jeszcze komoda i malutki stolik obok łóżka. Nic tutaj nie odzwierciedlało mojego gustu. Niczego bym nie chciała stąd zabrać - z wyjątkiem fotografii mojego ojca.

Gdzieś w pokoju brzęczała mucha. Otwarłam okno i stanęłam przy biurku, bezmyślnie otwierając i zamykając szuflady, choć niczego nie szukałam. Szuflady wypełniały wydruki z banku, rachunki i stare pocztówki od koleżanek ze studiów. "Zasnęłam na plaży i spaliłam sobie plecy! Grecja jest śliczna - nie chcę wracać!". Już nikt mi nie wysyłał świątecznych kartek. Trudno utrzymywać kontakty, kiedy na pytanie "Co nowego?" odpowiada się zawsze "Nic".

Mucha śmignęła obok mnie i wypadła przez otwarte okno. Czy mama miała rację? Czy obwiniam ją o moje błędy? Zaczęło we mnie narastać uczucie, którego od dawna nie pamiętałam, jakaś energia zrodzona z frustracji, zmęczenia i zwykłego zniecierpliwienia. Na ogół nie pozwalałam sobie na wybuchy i siła tego, co poczułam, zaskoczyła mnie. Deski na podeście skrzypnęły; znieruchomiałam, dopóki nie usłyszałam, jak mama zamyka drzwi swojego pokoju. Ona też wycofała się na swoje pozycje. Po kłótniach miałyśmy taktowny zwyczaj schodzić sobie z oczu przez parę dni z rzędu. Nic się nie zmieniało, nic nie zostało zapomniane, ale czas mijał.

Czas mijał, a końca nie było widać.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam myśleć o wszystkim i o niczym, o Charliem, Jenny, tacie i reszcie. Nie doszłam do żadnego wniosku z wyjątkiem tego, że coś musi się wydarzyć, i to szybko. Nie wiedziałam, czego naprawdę chcę. Patrzyłam na chmury, a myśli przepływały jedna po drugiej, aż zatrzymały się na tym, czego pragnęłam, na tym, o czym - jeśli się zastanowić - nie mogłam zapomnieć, na tym, co miałam w zasięgu ręki, ale źle odczytałam sygnały. Sięgnęłam po telefon, sprawdziłam numer i wysłałam SMS-a, nie dając sobie czasu do namysłu. A odpowiedź - kiedy nadeszła - była krótka: TAK.

99

Niebo gasło, kiedy poszłam do łazienki. Wzięłam prysznic

- najpierw zimny, dopiero po dłuższej chwili dodałam ciepłej wody. Powoli myłam włosy. W końcu owinęłam głowę ręcznikiem i natarłam całe ciało balsamem, aż skóra zaczęła błyszczeć jak atłas.

W sypialni włożyłam skąpą bieliznę z czarnego szyfonu, którą

- podpuszczona przez koleżankę - kupiłam w Paryżu - ze sto lat temu i której nigdy nie włożyłam. Nie miałam po co. Od czasów Bena nie miałam dla kogo. A teraz zdecydowanie nie była pora na zaczynanie.

W głębi szuflady znalazłam dopasowany czarny top z dużym dekoltem. Włożyłam go do moich ulubionych džinsów, spranych, miękkich jak zamsz. Jeszcze płaskie sandały, szeroka bransoleta i byłam gotowa. Obejrzałam się krytycznie w lustrze i uznałam, że osiągnęłam równowagę między wyglądem fajnym a przesadnie wyszykowanym. Wysuszyłam włosy i zwinęłam je w kok nisko na karku. Wysunęło się z niego parę delikatnych pasm wokół twarzy. Zostawiłam je. Na policzkach miałam rumieńce od suszarki, ale także z emocji, od żaru determinacji i pożądania. Makijaż nakładałam niespiesznie. Podkreśliłam oczy ciemnymi kreskami i tuszem, aż stały się ogromne, naniosłam odrobinę błyszczczyku na usta. W lustrze widziałam swoje spojrzenie, spokojne, lecz nieufne. Wyglądałam inaczej. Jak ktoś, kim od dawna nie byłam. Jak osoba, którą powinnam być przez cały czas, nie ten blady cień, którym się stałam.

Skończyłam po dziesiątej. Chwyciłam torebkę i zbiegłam po schodach, nie starając się zachowywać cicho. Trzasnęłam drzwiami, po szczeniacku mając nadzieję, że mama to usłyszała, że zastanawia się, dokąd idę o tej godzinie i dlaczego.

Kiedy zaparkowałam, w ustach zaschło mi ze zdenerwowania. Uparcie nie słuchałam głosiku, który szeptał mi do ucha, że się wyglupiam, że on się wycofa. Będzie musiał, właściwie to wiedziałam. To, co zamierzałam, było pod wieloma względami bardzo złym pomysłem. Wsiadłam z samochodu i zdecydowanym krokiem ruszyłam do budynku. Pojechałam windą na najwyższe

100

piętro z taką pewnością, jakbym miała prawo tu być. Stałam pod jego drzwiami. Słyszałam cichą muzykę. Zapukałam lekko i przyknełam oczy. Serce mi łomotało

w piersi jak uwięziony  
ptak.

Blake otworzył, spojrzał mi w oczy. Poczułam to jak fizyczny wstrząs, jak cios. Był boso, w dzinsach i podkoszulku, włosy miał lekko wzburzone, jakby spał. Patrzył na mnie nieprzeniknionym wzrokiem przez chwilę, która ciągnęła się jak wieczność, potem się uśmiechnął i odsunął się na bok.

-Wejdz.

- Dzięki.

Przeszłam obok niego i rzuciłam torebkę na podłogę w korytarzu. Po prawej stronie miałam salon z kuchnią, jasno oświetloną kilkoma lampami. Pozbawione zasłon okno od podłogi do sufitu prowadziło na balkon biegnący na całą szerokość pokoju. Za dnia można było z niego podziwiać rzekę. Pokój był w niezaprzeczalny sposób męski, funkcjonalny. Na kremowych ścianach nie wisały obrazy, mebli było niewiele: duża brązowa sofa, stół i krzesła, onieśmielający sprzęt grający, półki z płytami winylowymi i CD. Były też książki; podeszłam do nich, szukając znajomych tytułów. Żadnych powieści - same książki historyczne, biografie, nawet polityczne. Uśmiechnęłam się; Blake cenił fakty. Nic dziwnego, że lubił swoją pracę. W kuchni panowała sterylna czystość. Nie wiem, czy cokolwiek w niej gotował.

- Sypialnie i łazienka są po drugiej stronie - odezwał się Blake z korytarza. Myśli ukrywał pod maską opanowania, nieprzeniknioną jak metalowa żaluzja.

- Bardzo ładnie. - Wróciłam do niego. - Rodzice byli hojni.

- Muszę to ojcu przyznać - powiedział z uśmiechem. - Pieniądzy mi nie żałował. O wsparciu duchowym mogłem tylko pomarzyć, ale kasy mi nie brakowało.

- Fajnie.

- Skoro tak mówisz. - Rozejrzał się, jakby zobaczył swoje mieszkanie po raz pierwszy. - No, jest, jakie jest. Mój spadek. Bardziej inwestycja niż dom.

101

Wyglądało bezosobowo, jak teatralne dekoracje albo pokój hotelowy. Blake był gotów opuścić je z dnia na dzień.

- Ale czysto.

Wzruszył ramionami.

- Lubię mieć porządek. I rzadko tu bywam, więc nie mam kiedy brudzić.

- Czyli mam szczęście, że dziś cię zastałam - rzuciłam lekko.

- Myślałam, że nie będziesz miał czasu.

- Vickers dał mi wolną noc. Powiedział, że moja obecność nie ma sensu, skoro ze zmęczenia nie myślę.

- Marnie wyglądasz.

- Wielkie dzięki. - Przeszedł do salonu. - Przyszłaś obejrzeć mieszkanie, czy mogę ci zrobić drinka?

Pokręciłam głową.

- Nie przyjechałam pić.
- Rozumiem. Więc chodzi o rozmowę.
- Tego też bym nie powiedziała.

Staliśmy o parę kroków od siebie. Podeszłam do niego tak blisko, że mogłam go dotknąć. Powietrze między nami zdawało się trzaskać. Zrobiłam jeszcze jeden krok. Czulałam bicie jego serca przez cienką bawełnę podkoszulka. Zaczekałam na jego ruch. Powoli, z rozmysłem przesunął palcami po mojej szyi aż do głębokiego wycięcia dekoltu. Zadrżałam z podniecenia. Wtuliłam się w niego, przesunęłam rękami po jego piersi i uniosłam twarz, czekając na pocałunek, który zaczął się nieśmiało i powoli stał się namiętny. Blake rozpuścił moje włosy, które spłynęły mi na plecy. Owinął parę pasm na palcach, tak że nie mogłam się cofnąć, nawet gdybym chciała. Napałam na niego, westchnęłam, gdy pocałował moją szyję, czulałam dotyk jego palców, jego smak, jego łomoczące serce.

Nie wiem, dlaczego przestał. Bez ostrzeżenia chwycił mnie za ramiona i odsunął od siebie. Byłam oszołomiona, jakby obudził mnie z głębokiego snu. Oddychał ciężko i początkowo nie patrzył mi w oczy.

- Co się stało? - zapytałam.

102

- Nie powinniśmy.

- Dlaczego?

Spojrzał na mnie rozzłoszczony.

- Nie bądź głupia. Wiesz. To nieprofesjonalne.

- To nie ma nic wspólnego z profesjonalizmem. To sprawa osobista.

- Ale... - Urwał, szukając odpowiednich słów. - Po prostu nie mogę.

Jeszcze parę chwil czekałam na wyjaśnienia. Potem się cofnęłam.

- Dobrze. Rozumiem. Powinieneś mi odpisać, żebym nie przyjeżdżała.

Powiedziałam to lekko, bez urazy, ale założył ręce na piersi i łypnął na mnie, jakbym go zaatakowała.

- Nie zawsze podejmuję najlepsze decyzje. Zwłaszcza kiedy chodzi o ciebie. Jesteś świadkiem w największej sprawie w mojej karierze. Nie mogę, choćbym chciał. Mógłbym stracić pracę.

Udało mi się uśmiechnąć.

- Miło wiedzieć, że chciałeś.

- Przestań. Nie bądź taka pokorna - rzucił ostro. - Pragnąłem cię od pierwszego wejrzenia. Nie masz pojęcia, jak mężczyźni na ciebie patrzą, co?

Przesunął palcem po mojej twarzy, obrysowując policzek. Przymknęłam oczy.

Poczułam, że gardło mi się zaciska. Ale nie, nie rozplaczę się przy Andym Blake'u.

Mam swoją dumę.

Odwróciłam się i podeszłam do okna, odgarniając włosy z twarzy. Policzki mi płonęły. Przez chwilę gapiłam się na własną twarz na ciemnym tle, zamazaną i

niewyraźną. Przysłoniłam oczy dłońmi, spoglądałam na budynki naprzeciwko i światła odbite w rzece.

- Faktycznie, wspaniały widok - powiedziałam absurdalnie konwersacyjnym tonem.

- Pieprzyć widok - burknął Blake i paroma krokami przemierzył pokój. Odwrócił mnie do siebie. W oczach miał dziwny wyraz. Rozpacz? Nagle znowu zaczął mnie całować, a ja poddałam się chętnie, wczepiłam się w niego, kiedy mnie podniósł i zaniósł

103

do sypialni, pomogłam mu rozebrać mnie i siebie. Świat ograniczył się do dotyku jego skóry, rąk, ust, a kiedy się wygięłam i krzyknęłam, w głowie nie została mi żadna myśl i to sprawiło mi ulgę. Potem przytulił mnie mocno, a ja nawet nie wiedziałam, że płaczę, dopóki nie otarł mi łez.

1992

Dwa tygodnie od zaginięcia

W

iem, że mam kłopoty, gdy słyszę, że jedziemy na policję. Do tej pory rodzice zostawiali mnie z ciotką Lucy, kiedy udawali się na posterunek. Teraz siedzę z tyłu samochodu, za mamą i zastanawiam się, czy powiedzieć, że boli mnie żołądek. Nie skłamałabym, ale wątpię, żeby to przekonało rodziców do zmiany zdania. Mają takie miny, że pewnie się z tego nie wywinę. Od tej myśli żołądek boli mnie jeszcze bardziej.

Ktoś czeka na nas na posterunku. Wchodzimy - ojciec trzyma mnie za rękę - a wówczas podbiega do nas drobna kobietka o krótkich włosach.

- Lauro, Alanie, dziękuję, że przyszliście. A to pewnie Sarah.

Porozmawiamy sobie, dobrze?

Gdybym miała więcej odwagi, powiedziałabym "nie", ale ojciec mocniej ściska moją dłoń i mamrocze coś w rodzaju potwierdzenia.

- Jaka grzeczna dziewczynka. Zechcesz ze mną pójść?

Ojciec podaje moją dłoń kobiecie, która od razu rusza, ciągnąc mnie za sobą. Idziemy do pokoju o białych ścianach. Oglądam się przez ramię na rodziców, którzy stoją, nie dotykając się, i odprowadzają mnie spojrzeniem. Tata jest smutny. Mama oczy ma martwe, jakbym nic dla niej nie znaczyła. Nagle ogarnia mnie strach, że odejdą, i usiłuję wyszarpnąć się kobiecie, wrócić do rodziców.

105

- Mamo! - krzyczę. - Nie chcę!

Tata rusza w moją stronę i staje. Mama nawet nie drgnie.

- No, no, nie bądź niemądra - mówi pogodnie kobieta. - Chcę z tobą tylko porozmawiać w takim specjalnym pokoju. Rodzice będą cię widzieć w telewizorku. Chodź.

Kapituluję i daję się poprowadzić korytarzem do pokoiku z fotelem i bardzo starą, wysiedzianą sofą. W kącie leży sterta zabawek - lalki, misie, Action Man z filcowymi włosami i rękami uniesionymi nad głową.

- Może wybierzesz sobie jakąś lalkę? - mówi kobieta.

Staję nad stertą najeżoną rękami i nogami. Nie mam ochoty niczego dotykać. W końcu wybieram lalkę z samej góry, szmacian-kę z włosami z rudej wełny, w kwiecistej sukieneczce z falbanką. Jej buzia poszarzała wokół ust i na policzkach. Wracam i siadam na sofie, kurczowo trzymając lalkę. Kobieta siada na fotelu. Twarz ma nieumalowaną, usta bezbarwne, wargi niemal niewidoczne - dopóki się nie uśmiechnie. Ale często się uśmiecha.

- Nie przedstawiłam się, prawda? Jestem policjantką, konstablen z wydziału dochodzeniowo-śledczego. Nazywam się Helen Cooper, ale możesz do mnie mówić Helen. Chciałam się dziś z tobą spotkać, żeby porozmawiać o twoim bracie, bo jeszcze go nie znaleźliśmy. Chciałam jeszcze raz cię wysłuchać. Może przy pomniałaś sobie coś nowego.

Chcę jej powiedzieć, że niczego sobie nie przypomniałam, choć się starałam, ale nie daje mi dojść do głosu.

- To jest specjalny pokój z kamerami, które nagrywają to, co do siebie mówimy. Jedna jest tam, w rogu. - Wskazuje dłu gopisem białe pudełko pod sufitem. - A druga tam, na statywie. Nagrywamy wszystko, żeby inni mogli wysłuchać twoich słów. Ale nie myśl o tym, rozmawiaj ze mną jak zwykle, bo to zwykła pogawędka, wiesz? Nie ma się czego bać.

Zaczynam czesać palcami wełniane włosy lalki. Miejscami sklepiło je coś jakby smarki.

- Lubisz szkołę?

106

Kiwam głową, nie podnosząc wzroku.

- Jaki przedmiot najbardziej?

- Angielski - szepczę.

Kobieta uśmiecha się szeroko.

- Ja też lubiłam angielski. Lubię opowiadania, a ty? Ale wiesz, na czym polega różnica między zmyślnym opowiadaniem a czymś, co się naprawdę wydarzyło?

-Tak.

- A jeśli ktoś udaje, że coś się wydarzyło, choć tak nie jest, jak to nazywamy?

- Kłamstwem.

- Właśnie. Mądra dziewczynka. Powiedzmy, że wyszłam z tego pokoju i zostawiłam te dokumenty, a potem przyszedł inny policjant i je podarł. Jeśli wrócę i spytam: "Kto podarł moje dokumenty?", a ten policjant odpowie: "Sarah", to co to będzie?

- Kłamstwo - powtarzam.



- Ale jeśli policjant powie "Ja je podarłem", to co to będzie?

- Prawda.

- Właśnie. A nas w tej rozmowie obchodzi tylko prawda, tak?

Chcemy się dowiedzieć, co naprawdę się wydarzyło, tak?

Nieprawda. Nie chcą słyszeć, że nic nie wiem. Nie chcą uwierzyć, że zasnęłam, że nie spytałam Charliego, dokąd idzie. Wszyscy chcą, żebym powiedziała prawdę, ale lepszą wersję tego, co im mówię, i nie mam na to wpływu.

Pytania są takie same: co widziałam, co słyszałam, co powiedział Charlie, odchodząc, czy był tam ktoś jeszcze. Odpowiadam automatycznie, nie zastanawiając się nad swoimi słowami.

Nagle Helen pochyła się i pyta:

- Ukrywasz coś? Chronisz kogoś?

Podnoszę głowę, zlodowaciała. Co to znaczy?

- Jeśli ktoś ci kazał powiedzieć nam nieprawdę, możesz się przyznać - mówi Helen cicho, łagodnie. - Jesteś bezpieczna. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Patrzę na nią bez słowa. Nie mogę odpowiedzieć.

- Czasami ludzie proszą nas, żebyśmy dotrzymali tajemnicy,

107

prawda? Może ktoś, kogo kochasz, tak właśnie postąpił. Czy mama prosiła cię, żebyś czegoś nam nie mówiła? Kręcę głową.

- A tatuś? Prosił, żebyś udawała, że wydarzyło się coś innego, niż się wydarzyło, albo że coś się nie wydarzyło?

Znowu kręcę głową. Helen wpatruje się we mnie ze skupieniem. Po chwili prostuje się na krześle.

- Dobrze. Zacznijmy jeszcze raz.

Odpowiadam na jej pytania najlepiej, jak umiem, zaplatając rude włosy lalki w dwa schludne warkoczyki. Kończę, rozplatom je i zaczynam od nowa, żeby tym razem było dobrze, żeby było idealnie. Kiedy Helen kapitułuje, niemal lubię tę szmacianą lalkę o delikatnej, spłowiałej twarzy. Przykro mi ją zostawiać w tym ciasnym pokoiku. Kładę lalkę na stercie zabawek. Helen stoi przy drzwiach, niecierpliwie pstrykając długopisem. Już się nie uśmiecha.

## Rozdział 6

R

óźniej, dużo później, Blake zasnął. Śpiąc, był tak samo opanowany, jak za dnia.

Podniosłam się na łokciu i przez jakiś czas się mu przyglądałam. Na razie nie chciało mi się spać. Nie chciałam też przeżyć momentu, gdy się obudzę i poczuję, że nie jestem tu mile widziana. Lepiej odejść, zanim ta myśl pojawi się w jego głowie.

Wstałam - ostrożnie, żeby go nie obudzić - i w półmroku sypialni odnalazłam swoje ubranie. Nogi się pode mną uginały; czułam się oszołomiona, jak pijana. Namacałam dzinsy z majtkami, leżące tam, gdzie je zdjęłam - a może on? Nie mogłam sobie przypomnieć. Nigdzie jednak nie było stanika. Przeszukałam dywan, przesuwając po nim rękami. Nie znalazłam w miękkim runie nic z wyjątkiem zatyczki koleczyka,

która nie należała do mnie. Uśmiechnęłam się pod nosem; nie ma się co oszukiwać, że Blake mnie pierwszą przyjął w sypialni. Zostawiłam zatyczkę i wypełzłam na korytarz, gdzie na podłodze leżał mój zmięty top. Stanika ani śladu. Będę musiała wyjść bez niego. Cienki jedwab topu chłodził mi rozgrzaną skórę. Skrzywiłam się lekko i pochyliłam się po torbę. Zaczęłam czuć otarcia w pewnych miejscach. Początkowo Blake był delikatny, a potem się zapomniał, co uznałam za komplement. Mimo woli znowu to sobie przypominałam, zwłaszcza że nie spodziewałam się powtórki. Bo dlaczego? Miał rację, nie powinnam przychodzić. Przelotnie zauważyłam swoje odbicie w lustrze i nie poznałam samej siebie. Rozmazany eyeliner, rozczochrane włosy... przeczesalam je palcami. Na szczęście mało prawdopodobne, że ktoś mnie zobaczy o tej porze - minęła pierwsza, zauważyłam z lekkim

109

zaskoczeniem, zastanawiając się, kiedy upłynął mi ten czas, choć doskonale wiedziałam, że w ramionach Andy'ego, za pierwszym albo drugim razem. Nie domknęłam drzwi; nie ośmieliłam się z obawy, że go obudzę. Doszłam do wniosku, że raczej nikt się do niego nie włamie. Zeszłam po schodach. Byłam zbyt rozedrgana, żeby czekać na windę. Otwierając samochód, nadal czułam Andy'ego na sobie, w sobie. Przez chwilę siedziałam za kierownicą, nie włączając silnika. Patrzyłam na swoje dłonie, jakbym je zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Nie powinnam wychodzić bez słowa - kiedy się znowu spotkamy, będzie mi głupio. Ale na razie nie mogłam stawić czoła rzeczywistości. Nie zniosłabym, gdyby rano żałował tego, co się stało. To tylko nasza sprawa. Jeśli on zatrzyma to dla siebie, to ja też. Nikt nie musi się dowiedzieć.

Skręciłam z jezdni w Wilmington Estate i raptem postanowiłam, że nie pojedę prosto do domu. Od jakiegoś czasu unikałam czegoś, co musiałam zrobić, a nigdy nie znalazłabym lepszego momentu. Minęłam moją ulicę i dalej jechałam główną jezdnią biegnącą łukiem przez osiedle. W pomarańczowym świetle jarzeniówek domy po jej obu stronach wydawały się opustoszałe. Wszędzie panował bezruch; przez chwilę miałam wrażenie, że jestem tu jedyną żywą duszą. Skręciłam w prawo, a potem znowu w prawo, przypominając sobie drogę do małego skweru wśród domów, gdzie przewidujący projektanci z lat trzydziestych wygospodarowali miejsce zabaw dla dzieci. Rodzice niegdyś nas tu zaprowadzili na pokaz sztucznych ogni. Też mieliśmy parę fajerwerków, a ja się przestraszyłam huku eksplozji i wybuchnęłam płaczem. O ile się orientowałam, byłam niedaleko Morley Drive. Trochę pobłądziłam, parę razy skręciłam w niewłaściwą stronę, ale zasadniczo jechałam w dobrym kierunku i w końcu to zobaczyłam. Wjechałam w wąską uliczkę, wodząc wzrokiem po obu jej stronach, aż ujrzałam stojący na chodniku radiowóz. Pewnie

110

stoi przed domem Jenny, pomyślałam i zaczęłam się rozglądać za wolnym miejscem. Znalazłam je po przeciwnej stronie, o parę samochodów od radiowozu. Znałam ten dom z czerwonej cegły z wiadomości w telewizji; dziwnie było go zobaczyć na własne oczy. Okna były szczelnie zasłonięte. Zastanowiłam się, czy

Shepherdowie jeszcze tu mieszkają, czy też przenieśli się gdzieś z daleka od dziennikarzy. W pomarańczowym blasku latarni dom wyglądał nieskazitelnie: pięknie odmalowany, z przystrzyżonym żywopłotem i obsypaną kwiatami wiśnią w ogródku. Ale przyjrzawszy się bliżej, zauważyłam, że trawa zarosła krawężnik podjazdu, jakby właściciele parę razy zapomnieli o stryżeniu trawnika. Kiedy takie sprawy znowu zaczną być dla nich ważne?

Siedziałam w samochodzie i przyglądałam się domowi. Nie wiem, co się spodziewałam zobaczyć. Po prostu chciałam tu przyjechać, przekonać się na własne oczy, jak blisko mieszkała Jenny, oddać jej hołd, pochwyć echo rozpaczyny Shepherdów, znanej mi równie dobrze jak własna. Te małe oznaki zaniedbania były jak ciemne plamki na skórcie przejrzałej gruszki, oznaka zgnilizny, która przeżarła jej całe wnętrze. Nic nie zdradzało zepsucia córki Shepherdów, ale kiedy dziennikarze się o tym dowiedzą - jeśli już nie wiedzieli - rodzice jeszcze raz stracą Jenny. Zadrzałam na tę myśl: ładna dziewczynka z podwójnym życiem, marzenie każdego redaktora brukowca i koszmar każdej matki z klasy średniej. Biedna Jenny, niewinna twarzyczka i dorosłe problemy. Była tylko dzieckiem. Czy to zmniejszyło szansę Shepherdów na odzyskanie równowagi? Czy to, że mają siebie, coś dla nich znaczy? Może będzie im łatwiej, jeśli się dowiedzą, co się z nią działo i kto jest winny. Moją rodzinę zniszczyła nieświadomość. Oddaliła od siebie rodziców, zamiast ich do siebie zbliżyć, a ja wpadłam w przepaść między nimi.

Zaczęły mi się kształtować zarysy pewnego pomysłu. Tak długo nie myślałam o Charliem, nie pozwalałam mu, żeby wszedł w moje życie. Staralam się o nim zapomnieć, a przez to trudniej było mi znieść, że go straciłam. Musiałam stawić czoło temu,

111

co się z nim stało. Nikt tego za mnie nie zrobi. Policja nie pomoże mi w sprawie, która utknęła w miejscu przed szesnastu laty. Nikogo to nie będzie obchodziło. Ale mnie to obchodzi, przyznałam w końcu. Śmierć Jenny rzuciła cień na moje życie. Musiałam znaleźć odpowiedzi na parę pytań lub chociaż mieć świadomość, że próbowałam. Chciałam pomóc Shepherdom, lecz tak naprawdę chodziło mi o siebie. Nikt mi nie powie, że nie powinnam, jak Blake. Warto zrobić rozeznanie. Sprawy nie rozwiązę, ale przynajmniej się dowiem, co się stało z moim bratem. Znałam najważniejsze fakty, lecz bez wątpienia otaczały je liczne niuanse, których w dzieciństwie nie mogłam zrozumieć. Nie wspominając już, że od 1992 roku upłynęło wiele wody w rzece. Nie zawadzi sprawdzić, czy między zniknięciem Charliego a innymi zbrodniami, które popełniono w okolicy, istnieje jakiś związek. Mogłam dostrzec coś, co umknęło wszystkim innym.

Podjęłam decyzję i od razu poczułam się lepiej; po raz drugi tej nocy miałam wrażenie, że panuję nad własnym życiem. Dość już zobaczyłam na Morley Drive. Pora wracać do domu. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na dom Shepherdów i obróciłam kluczyk w stacyjce. Silnik zacharkotał i zgasł. Zakląłam pod nosem, spróbowałam znowu i jeszcze raz, cierpiąc z przerażenia, że wszystkich pobudzę. Samochód zakaszlał parę razy i ucichł. Walnęłam pięścią w kierownicę. Samochodowi to nie pomogło, a mnie zabolęła ręka. Nie po raz pierwszy ten rupieć wystawił mnie do

wiatru, ale tym razem wybrał sobie okropny moment. Nie wyobrażałam sobie, żebym miała o tej porze zadzwonić po pomoc drogową. Na cichej uliczce zrobiłoby się zamieszanie, którego z całą pewnością sobie nie życzyłam. Cóż, byłam niedaleko od domu. Dobrze, że nie spotkało mnie to u Blake'a. Wyobraziłam sobie, że wracam do jego mieszkania pięć minut po tym, jak je po cichu opuściłam, i proszę o odwiezienie do domu. Umarłabym ze wstydu.

Nocne powietrze musnęło mojej ramiona jak zimne palce. Że też nie wzięłam kurtki! Zamknęłam samochód, choć nie było w nim nic cennego i wątpiłam, żeby ktoś chciał go ukraść - chyba że miałyby go czym odholować. Krzyżyk na drodze, pomyślałam

112

niezyczliwie, wrzucając kluczyki do torby, choć oczywiście nie myślałam poważnie. Kochałam mój samochód, zawodny i byle jaki. Dobrze chociaż, że nieopodał stał radiowóz - ktoś będzie nad nim czuwał aż do rana. Nie pozwoliłam sobie nawet na myśl, że to mogło być jego ostatnie rżenie. Potrzebowałam go, by dojechać do pracy. Jeśli mnie opuścił, byłam załatwiona.

Ruszyłam szybko do domu. Moje kroki brzmiały nienaturalnie głośno. Czy istnieje jakiś dźwięk, który kojarzy się z samotnością bardziej niż kroki kogoś idącego samotnie w ciemną noc? Lekka mgiełka na szybach mijanych samochodów zacierała moje odbicie. Założyłam ręce na piersi, żeby było mi cieplej. Ulatujący z moich ust oddech zamieniał się na ułamek sekundy w parę. Lodowaty księżyc lśnił w pełni swojej doskonałości, wysoki i niedosięgi. Ta krystaliczna noc wchłonęła całe ciepło dnia. Torba obijała mi się rytmicznie o biodro; brzęczała jak stado owiec z dzwonekami na szyi. Spodziewałam się, że lada chwila ktoś stanie w oknie i mi naubliża.

Bardzo długo wracałam do szosy. Przeszłam przez nią, automatycznie obejrzawszy się w obie strony, choć nadjeżdżający samochód słyhać by było na kilometr. Droga znikła w oddali; do Curzon Close miałam dobre dziesięć minut marszu. Zeszłam z chodnika na trawiaste pobocze, żeby nie było słyhać moich kroków. Nogawki dzinsów przemokły od rosy, nogi ślizgały mi się w sandałach. Boisko po prawej stronie było puste, tonęło w mroku. Powiedziałam sobie, że się nie boję. Tylko nie wiadomo czemu dostałam gęsiej skórki, w ustach mi wyschło, a dłonie zwilgotniały. Już prawie jestem w domu. Już prawie.

Weszłam w Curzon Close. Coś chrupnęło mi pod stopą. Na ziemi leżało zbite szkło, konstelacja pomarańczowych iskier; światło latarni lśniło w resztkach butelki. W powietrzu unosił się słodki zapach taniego wina. Zwolniłam, wymijając szkło. Noc była cicha, wiatr nie rozwiął oparów - butelka mogła się rozbić przed wieloma godzinami. Nikt za mną nie szedł, nikt się nie czał w ciemnościach, więc dlaczego włosy jeżyły mi się na karku? No, ale sprawdzić nie

113

zawadzi. Zatrzymałam się i lekko obejrzałam, udając, że robię to od niechcienia, choć byłam gotowa do ucieczki. Nie zobaczyłam nic, co mogłoby mnie przyprawić o mocniejsze bicie serca. Pokręciłam głową, zła na siebie, i sięgnęłam do torby po klucze. Podchodząc do drzwi, nie czułam nic oprócz ulgi. Z całą pewnością nic nie

słyszałam i tylko kątem oka dostrzegłam kształt oddzielający się od zarośniętych krzaków. Nie całkiem wiedząc, co się dzieje, instynktownie uskokczyłam przed ciosem, który zamiast w głowę trafił w ramię. Upadłam ciężko. Ból przeszył ogniem moje biodro.

Chyba nie straciłam przytomności, ale przez parę minut byłam nieobecna. Unosiłam się, zagubiona w morzu bólu, zbyt wstrząśnięta, żeby zdobyć się na jakąś zborną myśl. Kiedy ktoś chwycił mnie pod pachy i podniósł, nie walczyłam. Opadłam na ciepłe ciało za moimi plecami, bezwładna jak szmaciana lalka. Lewa ręka zwisała mi martwo, bezużyteczna. Nie miałam w niej czucia. Z dziwnym spokojem zastanowiłam się, skąd taka reakcja, choć jednocześnie wiedziałam, że mam dużo poważniejsze zmartwienia. Powoli, boleśnie dotarł do mnie sygnał alarmowy, rozdzwonił się tak, że zagłuszył wszystko inne. Jestem w niebezpieczeństwie, pomyślałam. Powinnam coś z tym zrobić.

Podczas gdy ta część mózgu, która nadal funkcjonowała prawidłowo, usiłowała wykrzesać ze mnie jakąś reakcję, zdałam sobie mgliście sprawę, że napastnik ruszył. Ciągnął mnie - wiedziałam, że to mężczyzna, poznałam po sile i zapachu, mieszance papierosów, smaru i gorącej, gryzącej woni podniecenia - w stronę krzaków, gdzie nie zobaczyłby mnie żaden przechodzień. Ekspłodowała we mnie panika, otworzyłam usta do krzyku, ale on skoczył jak kot, chwycił mnie za gardło. Nie mogłam krzyknąć. Nie mogłam nawet odetchnąć. Białe światełka zawirowały i wybuchły mi przed oczami. Kolana się pode mną ugięły. Gdyby tamten mnie nie trzymał, pewnie bym upadła.

Po chwili, która ciągnęła się jak wieczność, ucisk na moje gardło zelżał. Łapczywie wciągnęłam powietrze.

- Czego... chcesz? - wykrztusiłam, kiedy wrócił mi głos.

114

Nie spodziewałam się odpowiedzi i jej nie usłyszałam. Raczej poczułam niż usłyszałam jego śmiech, gorący oddech na moim policzku, w moich włosach. Potem palec przesunął się po mojej twarzy; zadrapał mi skórę ostrym szwem rękawiczki. Ten człowiek chwycił mnie za szczękę i odchylił mi głowę do tyłu, aż napięły się ścięgna szyi. Drugą rękę przesunął w dół, chwycił moją lewą pierś, ścisnął ją najpierw delikatnie, potem tak mocno, że z gardła wyrwał mi się pisk bólu i strachu. Drgnął zaskoczony. Chyba odkrył, że pod cienką bluzką nie mam niczego. Cofnął rękę i ściągnął zębami rękawiczkę. Ledwie zdążyłam to zauważyć, kiedy wsunął mi rękę pod bluzkę i zaczął mnie obmacywać mokrymi palcami. W oczach stanęły mi łzy. Nie mogłam uwierzyć, że mnie to spotyka, na moim własnym podjeździe, dwa metry od drzwi. Nie wiedziałam, jak się bronić. Gdybym stała do niego twarzą... gdybym mogła ruszać lewą ręką... gdyby nie był o wiele cięższy i silniejszy... może miałabym szansę.

- Proszę... - odezwałam się i zabrakło mi pomysłów. Co miałam powiedzieć? Proszę, nie gwałć mnie. Proszę, nie rób mi krzywdy.

Zrobi to, jeśli zechce. I tyle.

Z lekkim westchnieniem rozluźnił chwyt. Położył mi ręce na ramionach i przez chwilę sądziłam, że chce mnie odwrócić do siebie. Ale on zmusił mnie, żebym

uknęła. Prawe kolano zabolęło mnie przeraźliwie. Pchnęła mnie w plecy tak, że wyładowała na rękach, omal nie rozbijając nosa. Przydusiła mi głowę do ziemi. Wciągnęła powietrze z malutkimi drobinami piachu i zakrztusiła się, znowu spanikowała, ale on nie pozwolił mi podnieść głowy.

- Zostań - warknęła, jakbym była psem. Mówił szeptem, nierozpoznawalnym, przerażającym. Nie miałam zamiaru się sprzeciwić. Odszedł; rozległo się ciche szurnięcie, kiedy coś podniósł z ziemi. Pod moim policzkiem tykał zegarek. Dziesięć sekund, dwadzieścia, minuta. Już nic nie słyszałam. Leżałam, dygocząc, aż upewniłam się, że tamten zniknął. Mimo to wstanie i rozejrzenie się było największym aktem odwagi w moim życiu. Ogarnęła mnie ulga, a po niej natychmiast poczułam przerażenie: napastnik zniknął, ale razem z moją torebką.

115

Głupio martwić się o torebkę, kiedy mogłam stracić życie, lecz rozzłościłam się, więcej - wpadłam w furję. W tej torbie było całe moje życie, nie tylko rzeczy, które można zastąpić, na przykład karty płatnicze. Fotografie rodziców i brata, mój kalendarzyk i notes, w którym spisywałam sprawy do załatwienia. Mnóstwo wizytówek, skrawków papierów z numerami telefonów, adresami i innymi użytecznymi informacjami, które teraz przepadły na zawsze. Klucze do domu i samochodu. Nic specjalnie cennego. Komórka była sta-reńka, zniszczona i bezwartościowa. Mogłabym mu ją oddać, gdyby poprosił. Oddałabym mu karty, gotówkę i życzyła szerokiej drogi. Nie musiał mnie napadać. A jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że podobało mu się dotykanie mnie - robienie mi krzywdy - a tę torbę zabrał jakby od niechcienia. Twarz mnie paliła ze wstydu na wspomnienie jego rąk; czułam się brudna.

Powoli, boleśnie dźwignęłam się z ziemi. Horyzont przechylił się dziwnie; zamknęłam oczy i przytrzymałam się gałęzi, żeby znowu nie upaść. Wiedziałam, że jeśli zaczekam, poczuję się lepiej, ale nie mogłam czekać. A jeśli wróci? Niechętnie puściłam gałęzie i ruszyłam do domu pijackimi zygzakami. Niezbyt elegancko, za to skutecznie. Stałam, oparta o cegły, prawie omdlewając. Zastanowiłam się, czy mama może nie spać. Okna salonu znajdowały się tuż obok, w szparze w zasłonach pulsowało niebieskawe światło telewizora. Przesunęłam się i zajrzałam. Mama leżała na sofie. W łunie bijącej z ekranu jej twarz wydawała się szarosina. Na stoliku przy sofie stał pusty kieliszek. Delikatnie zapukałam w szybę, wiedząc, że mama nie zareaguje, ale mając nadzieję, że się mylę. Nawet nie drgnęła.

Stałam przez chwilę, usiłując wymyślić, co zrobić, po czym bardzo powoli odwróciłam się i spojrzałam za siebie. Szukałam klucza do drzwi, prawda? I znalazłam go, gdy przeszłam przez bramę, na chwilę zanim cienie ożyły. Pochyliłam się i ruszyłam po własnych śladach, wpatrzona w ziemię. Zostałam nagrodzona błyskiem pod krzakiem. Ktoś - ja lub napastnik - wdeptał klucz w ziemię; widać było tylko lśniący breloczek. Pierwszy malutki tryumf. Przynajmniej tego mi bandyta nie ukradł.

116

Powlokłam się do drzwi frontowych i wsunęłam klucz w zamek. Kolano bolało mnie coraz bardziej. Omal nie potknęłam się na progu. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz i zasuwę. Z salonu dobiegała przeraźliwa muzyka nocnego programu; nie mogłam zostawić telewizora włączonego, niezależnie od tego, jak się czułam. W nagłej ciszy oddech mamy zabrzmiał jak charczenie. Spojrzałam na jej nieobecną twarz, na rozchylone usta i błysk białka między rzęsami nie całkiem domkniętego lewego oka. Nie czułam ani nienawiści, ani miłości, ani litości. Nic. Beznamiętnie - tylko dlatego, że tu był - zdjęłam koc z oparcia sofy i okryłam mamę. Nawet nie zmienił jej się rytm oddechu.

Wracało mi czucie w lewej ręce. Ostrożnie zacisnęłam palce i parę razy dotknęłam ramienia. Żadnych złamań, pomyślałam, choć nie mogłam podnieść ręki wyżej niż na wysokość barku, a i wtedy zabolowało mnie tak bardzo, że nie chciałam tego powtarzać. Pokuśtykałam do kuchni i łąpczywie wypiliśmy szklanek wody. Szyja mnie bolała, kolano pulsowało. Znalazłam w szufladzie dwa zakurzone ibuprofeny i połknęłam. Jakbym gasiła ognisko wodą w skorupce jajka.

Teraz zarządzanie w sytuacji kryzysowej: zadzwoniłam, żeby zablokować kartę i komórkę. Poszło bardzo łatwo. Obiecali mi nowe za parę dni. Telefon też będzie nowy; przyślą mi go pocztą. Całość załatwiłam w jakieś dziesięć minut, w środku nocy, poprzez centrum telefoniczne w Indiach. Żadnych pytań. Oprócz utraconych przedmiotów osobistych jedynym problemem był samochód. Zapasowe kluczyki miałam w Manchesterze, u cioci Lucy, schowane przed mamą, bo dwa razy zabrała mój samochód w środku nocy, będąc w stanie wskazującym. Nie mogłam ryzykować trzymania kluczyków w domu. Rano zadzwonię do cioci Lucy i poproszę, żeby mi je przysłała w liście. Tymczasem mój samochód musiał pozostać tam, gdzie był. Przynajmniej zaparkowałam go zgodnie z przepisami. Nie czeka mnie na dodatek otrzymanie pliku mandatów.

Ponownie napełniłam szklanek i usiadłam powoli przy stole w kuchni. Pijąc ciepłą wodę, zastanawiałam się nad następującym problemem: jeśli zadzwonię na policję, zaczną się pytania,

117

gdzie byłam i dlaczego włóczyłam się o świcie po okolicy. Blake mi nie podziękuje, jeśli się wyda, że byłam u niego. Wyjaśnianie, co robiłam na ulicy Shepherdów, śmiertelnie by mnie upokorzyło. Więc policja nie. Poza tym mała szansa, żeby znaleźli napastnika. O ile wiedziałam, nigdy nie aresztowali nikogo za takie przestępstwa, chyba że złapali go na gorącym uczynku.

Ponadto nie powinnam reagować przesadnie. Ktoś mi ukradł torebkę. Wielkie rzeczy. Pewnie chciał sprzedać to, co w niej znajdzie, i kupić narkotyki. To się zdarza, nawet na przedmieściach. Normalne przestępstwo. Nie ma się czym martwić. Banał. Mogłabym się dopatrywać w tym innych znaczeń, ale to mnie donikąd nie zaprowadzi. No dobrze, czekał przed moim domem. Po prostu miałam pecha. Nie zaczął się specjalnie na mnie. Weszłam mu prosto w ręce, a on to wykorzystał. Nie pozwolę sobie się tym zamartwiać. Pozbieram się i będę żyć dalej.

Wobec tego pozostało mi tylko działać. Rozpaczliwie potrzebowałam długiego

prysznic i porządnie przespanej nocy. Zanim wyruszyłam na wspinaczkę po schodach, niechętnie zatrzymałam się w korytarzu, żeby oszacować straty. Włączyłam światło, które wydawało mi się oślepiające, i podeszłam do lustra przy drzwiach. Przygotowałam się na najgorsze i długo, w osłupieniu patrzyłam na swoje odbicie: ziemia we włosach i na twarzy, spływający po policzkach makijaż, siniak na kości policzkowej, którą napastnik wcisnął mi bezlitośnie w ziemię. Wyłączyłam światło i poszłam spać.

1992

Cztery tygodnie od zaginięcia

s

'toję obok mamy, przyglądając się puszkom krojonych pomidorów. Ciągną się daleko, różne firmy, różne rodzaje. Nie wiem, które wybrać. Mama chyba też. Patrzy na etykiety. Po raz pierwszy od zniknięcia Charliego poszliśmy do supermarketu. W supermarkecie mieliśmy specjalny rytuał. Charlie pchał wózek, mama decydowała, co kupujemy, a ja wkładałam to do wózka. Potem szliśmy na bułkę i napój w małej kawiarence naprzeciwko. Mama zamawiała kawę. Kawa jest niesmaczna, ale uwielbiam jej zapach i uwielbiam siedzieć w kawiarni, patrząc na ludzi, którzy wchodzą i wychodzą z supermarketu.

Dziś rytuał się nie sprawdza. Wkładam rzeczy do wózka, potem go obchodzę i pcham, a mama jakby niczego nie zauważała. Mija rzeczy, które zawsze kupujemy, bierze to, czego na ogół nie jemy - mrożone pizze, gotowe do zjedzenia kurczaki w woskowanym papierze z plamami tłuszczu, siatkę limonek, parówki w folii wyglądające jak spocone palce. Boję się odezwać. Mama jest dziś spokojna - jakby śniła, zagubiła się we własnym świecie. Wolę już to niż rozdrażnienie.

Trzymam ją za spódnicę, leciutko, żeby nie poczuła, i udaję, że wszystko jest jak zawsze. Charlie stoi gdzieś za półkami. Niedługo wróci z pudełkiem płatków, mama go skarci za to, że wziął

119

takie z polewą czekoladową, a potem pójdziemy do kawiarni, będziemy pić i jeść, i śmiać się z głupich żartów, i patrzeć na wchodzących i wychodzących ludzi. Gruba pani wjeżdża z wózkiem w nasz rząd. Wózek jest chyba ciężki, pani ma czerwoną twarz. Zatrzymuje się na nasz widok, gapi się. Ja też się gapię. Nie wiem, o co jej chodzi. Mama nadal wpatruje się w puszki, nie zdając sobie sprawy z obecności grubej kobiety i z jej miny. Gruba pani cofa trochę wózek i odchyła się, mówiąc coś do kogoś za rzędem półek. Następuje pauza, a potem pojawia się inna pani, mała i chuda, też z wózkiem. Staje koło grubej, śmiesznie wyglądają, mała i duża, obie z taką samą miną: zaskoczenie, ciekawość i dezaprobata. Blokują wózkami wyjście, więc się zastanawiam, jak je minimy. Szepczą do siebie, nadal gapiąc się na nas. Wiem, że nas rozpoznały, słyszę "biedny chłopczyk" i "sami sobie winni". Mama pewnie też to słyszy, bo gwałtownie podnosi głowę, jakby się obudziła. Przez chwilę patrzy na kobiety. Zerkam na nią. Usta ma zaciśnięte z



gniewu.

- Chodź - rzuca do mnie i chwytając wózek, obraca go zgrabnie i uciekamy w kierunku, z którego przyszliśmy. Mama stuka obca sami, puk, puk, puk, ja biegnę za nią w następny rząd, gdzie wcale się nie zatrzymujemy, i jeszcze następny, gdzie mama przystaje tylko na chwilę, by wrzucić do wózka pierwszy z brzegu słoik rozpuszczalnej kawy. Cieszę się, że uciekaliśmy tym paniom, ale widzę, że mama jest okropnie zła. Muszę biec, żeby dotrzymać jej kroku. Jaskrawe kolory opakowań na półkach zamazują się, gdy mkniemy ostatnimi rzędami, wśród proszków do prania i kosmetyków. Nieco zdyszane stajemy przy kasie.

Kasjerka uśmiecha się, prawie na nas nie patrząc, i zaczyna przeciągać produkty przez czytnik, przesuwając je na drugą stronę blatu, gdzie wiszą reklamówki. Mama dziabie mnie palcem w plecy.

- Pakuj.

Wolałabym wyjmować rzeczy z wózka, lubię je układać na ruchomym pasie grupami, obok siebie, żeby nie było luk. Mama wyrzuca wszystko bez ładu i składu. Banany zwisają z krawędzi

120

pasa, słoiki turlają się i brzęczą przy każdym ruchu taśmy. Zrywam reklamówkę ze stojaka i zaczynam ją napełniać. Nienawidzę mamy, naprawdę. Pakowania nie lubię. Umyślnie kładę ciężkie puszki na świeżych owocach i wpycham za dużo rzeczy w cienki plastik, który napina się i lekko rozdziera. Podnoszę głowę. Mamy nie ma. Został tylko pusty wózek stojący krzywo przy kasie. Ogarnia mnie czyste przerażenie.

Kasjerka nadal przesuwając artykuły przez czytnik.

- Nie martw się. Poszła po coś innego. - Patrzy na moją reklamówkę i sięga do stojaka. - Chcesz drugą?

Kiwam głową i patrzę z obrzydzeniem, jak kasjerka oblizuje palce i pociera nimi krawędzie torby, żeby je rozkleić. Nie chcę ich dotykać, są całe w ślinie, ale nie potrafię znaleźć sposobu, żeby się wykręcić. Napełniam torbę, potem drugą, a mamy ciągle nie widać. Kasjerka patrzy na mnie, lekko marszcząc brwi. Policzki mnie palą. Jeśli mama nie wróci, nie mam czym zapłacić za zakupy. Nie zaniosę ich do domu. Nagle mama wraca, niosąc w objęciach butelki. Stawia je na końcu ruchomego pasa: trzy szklane butelki z przezroczystym płynem, każda ze srebrną zakrętką i niebieską etykietą, ale tych etykiet nie widzę dobrze, bo są ode mnie odwrócone. Kasjerka szybko skanuje ceny, a mama sama pakuje butelki, odepchnąwszy mnie z drogi. Płaci kartą. Kasjerka odczytuje nazwisko i podnosi głowę z ustami otwartymi ze zdziwienia. Przeszywam ją wzrokiem, chcąc ją uciszyć. Mama czeka, żeby podpisać wydruk.

Wychodzimy z supermarketu, a ja pomagam zapakować zakupy. Mama jedzie w milczeniu. Kiedy docieramy na miejsce, idzie do bagażnika i wyjmuje tylko jedną reklamówkę. Rozlega się melodyjny brzęk. Butelki.

- Pomogę wnieść torby.

- Idź do domu.

Mama otwiera drzwi i wpycha mnie do środka. Idzie prosto do kuchni i wyjmuję szklanę z kredensu. Patrzę od progu, jak siada przy stole i odkręca pierwszą butelkę. Ten płyn wygląda jak woda. Mama nalewa go do szklanki, wypija jednym haustem

121

i siedzi przez chwilę z zamkniętymi oczami, skrzywiona. Potem znowu nalewa i wypija. I znowu.

Reszta zakupów zostaje w bagażniku, a ja stoję w progu. Patrzę i czekam, a moja matka po raz pierwszy pije w mojej obecności, pije i pije, jakby nikt jej nie widział, jakby mnie tu w ogóle nie było.

## Rozdział 7

### B

'ardzo, bardzo się starałam oczyścić umysł, gdy już zgasiałam światło i położyłam się spać, ale wraz z ciemnością nadeszły wspomnienia, ułamki obrazów paru minionych dni. Sucha gałąź na leśnej ściółce, jasna ręka w trawie. Zawijający się róg plakatu z zielonym kanałem. Blake leżący z zamkniętymi oczami na trawie. Szkło na asfalcie. Mężczyzna wyłaniający się z zarośli, niebezpieczny mężczyzna. Nie umiałam wyobrazić sobie jego twarzy, nie miałam pojęcia, kto mnie napadł. Powinnam o tym zapomnieć. Ale nie mogłam.

Mimo woli myślałam o wszystkim, co zapamiętałam, usiłując zgadnąć, czy go już widziałam i czy go poznam. Był wyższy ode mnie, jak większość mężczyzn.

Wydawało mi się, że miał z metr osiemdziesiąt. Był szczupły, ale silny. Ciemne buty - chyba sportowe. Oddalił się prawie bezszelestnie. Ciemne spodnie. Kurtka z jakiegoś przeciwdeszczowego materiału. Skórzane rękawiczki. Nic szczególnego, nic, co by go wyróżniło. Mogłabym go minąć na ulicy i wcale go nie poznać.

Jedyną cechą szczególną był zapach papierosów i smaru. Nie jakiś szczególnie wyjątkowy. Smarem mógł się umazać gdziekolwiek, łatwo jest znaleźć jego plamę na szosie. Mógł w nią wejść, a wtedy zapach przyczepiłby się do niego na długo.

Najbardziej dręczył mnie nie strach, ale wściekłość na samą siebie, że nie uważałam, że straciłam czujność. Gdyby chciał mnie zgwałcić lub zamordować, nic by mu nie przeszkodziło. Na pewno nie ja; nie umiałam się bronić. Może gdybym go zobaczyła, zdołałabym uciec albo wrzasnęłabym tak głośno, żeby obudzić sąsiadów.

123

Zadręczanie się tymi wszystkimi "jeśli" i "może" było jałowe, ale i tak się zadręczałam. W ramieniu nieustannie pulsował mi ostry ból. Fosforyzujące wskazówki pełzły wokół tarczy budzika, a ja metodycznie roztrząsałam to, co się wydarzyło.

Przed świtem zapadłam w ciężki sen bez marzeń i obudziłam się dużo później niż zwykle. Oczy mnie piekły, szyja bolała i miałam wrażenie, że ktoś mi oderwał twarz i na nowo ją przykleił, niezdarnie i nieprecyzyjnie. W drodze do łazienki okazało się, że kuleję. Kolano mi zesztyniało. Było obrzmiałe i posiniaczone, choć barwą nie dorównywało niebywałym kolorom na ręce, od intensywnego fioletu po czarnosiny w

najbardziej obolałym miejscu. Siniaki ciągnęły się od ramienia do łokcia jak marynarski tatuaż i bardzo mi dokuczały. Nadal nie mogłam podnieść ręki ponad bark. Wyglądałam okropnie, czułam się jeszcze gorzej. Nie mogłam nawet myśleć o pójściu do szkoły.

Pokuśtykałam na dół do telefonu i zadzwoniłam do sekretariatu, spodziewając się usłyszeć Janet. Odebrała Elaine. Wykrztusiłam usprawiedliwienie. Elaine była wymagającym słuchaczem i nie kupowała byle czego. Wciskałam jej historię o makabrycznej migrenie, jakby od tego zależało moje życie. Elaine prychnęła. Coś mi mówiło, że nie ja jedna nagle się rozchorowałam. Zdobyłam się na rozpaczliwe drżenie głosu i zaczęłam szczegółowo opisywać dręczące mnie mdłości. W końcu wydusiłam z niej niechętnie pozwolenie.

- Ale masz przyjść dziś do Świętego Michała. Odbędzie się nabożeństwo w intencji Jenny Shepherd i życzę sobie, żeby zjawili się wszyscy nauczyciele.

- O której się zaczyna?

- O szóstej. Mam wielką nadzieję, że do tego czasu migrena ci minie.

Udałam, że nie słyszę sarkazmu w jej głosie, i obiecałam, że się stawię. Odłożyłam słuchawkę, zastanawiając się, jak, do cholery, mam się doprowadzić do porządku przez dziesięć godzin. Doszłam do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie sen. Napisałam wiadomość dla mamy, że nie poszłam do pracy i proszę, by mi nie prze-

124

szkadzać, po czym weszłam na paluszkach do salonu. Mama nadal leżała skulona na sofie. Nie poruszyła się. W pokoju, mrocznym i rozprażonym, śmierdziało jej oddechem i alkoholem. Zostawiłam kartkę na stoliku obok sofy i wyszłam. Schody wydawały się dłuższe i bardziej strome. Wspinałam się po nich, trzymając się poręczy. Wszystkie stawy protestowały. Miałam wrażenie, że złapałam ciężką gripę, a na siłach podtrzymywała mnie tylko perspektywa powrotu w chłodną pościel i paru godzin spokoju i samotności. Wpełzłam na łóżko. Runęłam w sen jak w przepaść. Obudził mnie deszcz. Pierwszy delikatny powiew lata dał się stłamsić niżowi znad Atlantyku. Zasnąłam przy uchylonym oknie; teraz otworzyłam oczy i ujrzałam ciemne plamy na różowej wykładzinie i krople wody na biurku. Wstałam, otumaniona snem, i wyciągnęłam rękę, żeby zamknąć okno. Ból poraził mnie jak prąd. Zachłysnęłam się; jak mogłam zapomnieć? Zamknęłam okno drugą ręką, zostawiając tylko centymetrową szczelinę, żeby wpuścić krystaliczne, obmyte deszczem powietrze. Deszcz bębnił w dach jak pałeczki w werbel, zasłonił domy po drugiej stronie drogi, które teraz rysowały się jak cienie, akwarelowe zarysy malowane brudną wodą. Patrzyłam leniwie na krople odbijające się od asfaltu i strumienie wody płynące chodnikami. W tej ulewie było coś fascynującego, hipnotycznego. Zwłaszcza jeśli nie musiało się wychodzić.

Przypomniałam sobie, że muszę wyjść, mało tego - nie mam samochodu. Za bardzo się bałam Elaine, żeby się nie pokazać na nabożeństwie. Zerknęłam na zegarek i skrzywiłam się, widząc, że jest już pół do piątej. Moją jedyną nadzieją była Jules. W kalendarzyku z zeszłego roku miałam numer jej komórki. Sama mi go zapisała

wielkimi zapętlonymi cyframi zajmującymi dwie linijki. Pokuśtykałam na dół do telefonu, myśląc ponuro, że złodziej używa sobie teraz mojej nokii.

- Halo?

125

- Jules, to ja, Sarah.

- Sarah! Nie poznałam numeru. Mało brakowało, a bym nie odebrała. Jak tam?

- Dobrze - rzuciłam szybko. - Słuchaj, mam problem 3 samo chodem. Mogłabyś po mnie wstąpić, jadąc na nabożeństwo?

- Co? A, to - rzuciła Jules od niechcienia. - Wybacz, słonko, nie jadę.

- Myślałam, że to nasz obowiązek.

- Nie mój. Powiedziałam Elaine, że mam rodzinną uroczystość, od której nie mogę się wykreć.

- Ach tak... - mruknęłam, żałując, że sama na to nie wpadłam.

- Fajnie ci.

-Ale Elaine się wkuuurzyła! Co mi zresztą wisi. Nie może mnie wylać za to, że nie przyjadę. Ale przepraszam. Dasz sobie jakoś radę?

Właściwie nie miałam daleko - parę kilometrów. Gdyby nie kolano, nie zastanawiałabym się dwa razy. Roześmiałam się.

- Oczywiście. Nie chce mi się przez ten deszcz.

- Właśnie sobie zrobiłam włosy - powiedziała Jules cicho. -

Zanim dojdę do pubu, będę miała na głowie siano.

- Aaa, to taka rodzinna uroczystość?

Jules powiedziała coś wyjątkowo nieprzyzwoitego i zabawnego, po czym się rozłączyła.

Odłożyłam słuchawkę i przestałam się uśmiechać. Wszystko pięknie, ale nie miałam kogo poprosić o pomoc. Jeśli mam się tam dostać, będę musiała iść piechotą, a w tym stanie mogłam nie dotrzeć na miejsce.

Cudem doszłam na czas. Okazało się, że powinnam być wdzięczna za brzydką pogodę. Kamery stały naprzeciwko kościoła, filmując wchodzących ludzi, ale parasolka osłaniała mnie przed wścibskimi oczami, mogącymi dostrzec siniak na kości policzkowej, choć ukryłam go pod warstwami podkładu.

126

Zostawiłam parasolkę w stojaku na ganku, wśliznęłam się do kościoła i powiodłam po nim wzrokiem. Nie byłam tu od dawna. Fundamenty Świętego Michała miały setki lat, ale nikt nie traktował zabytkowego budynku ze szczególną atencją. Na ścianach oprócz mosiężnych ozdób i płaskorzeźb ufundowanych przez dawno zapomnianych parafian wisiały plakaty dotyczące dobroczynności i biedy w krajach Trzeciego Świata. W latach siedemdziesiątych dodano jaskrawy witraż, rażąco obcy w ścianie z szarego kamienia. Cześć rzędu po lewej stronie oddzielono szklaną ścianą, żeby odgrodzić wrzeszczące dzieci i ich znękanymi rodziców. Ale stare ławki pozostawiono bez zmian. Moje kroki rozbrzmiewały cicho na posadzce z kamienia,

od stuleci polerowanego przez stopy wiernych. Pokuśtykałam do rzędu po prawej, szukając wolnego miejsca. Nie było łatwo. Do nabożeństwa został kwadrans, ale prawie wszystkie ławki były zajęte.

Wyłowiłam z tłumu uczennice i ich rodziców, ale przemknęłam obok nich, zanim mnie zauważyli, błyskawicznie mimo nowego utykająco-kicającego stylu chodzenia. Na wypadek gdyby ktoś spytał, przygotowałam sobie bajeczkę, ale nie spieszyło mi się jej wygłaszać. Deszcz sprawił, że w kościele panował mrok jak w zimowy wieczór - wewnątrz było kiepsko oświetlone. Dziękowałam za to losowi. Znalazłam miejsce na ławce z przodu, koło pogrążonych w rozmowie starszych pań. Przesunęły się, bym mogła usiąść, ale poza tym nie zwróciły na mnie uwagi. Idealnie.

Rozejrzałam się i zauważyłam grupkę moich kolegów siedzących razem na środku nawy. Rozmawiali, zmęczeni i niezadowoleni. Przyszli tu z obowiązku, nie ze współczucia. Widziałam, jak spoglądają na zegarki, marszcząc czoła z urazą.

Elaine siedziała w jednym z pierwszych rzędów, obok swojego zastępcy, który na tę okazję wygrzebał skądś krawat. Miała włosy prosto od fryzjera i umalowane usta.

Zdecydowanie uznała pogrzeb za okazję do zrobienia dobrego wrażenia. Mała staruszka obok mnie trzymała porządek nabożeństwa, kartkę formatu A4.

Zapomniałam taką wziąć przy wejściu do kościoła. Ciekawe, czy biedna Janet musiała sama odwalić powielanie i składanie.

127

Zmrużyłam oczy i udało mi się odczytać prawie wszystko. Elaine miała czytać, występował szkolny chór.

W drodze do kościoła zauważyłam ogłoszenie, w którym uprzejmie proszono media o uszanowanie prywatności wspólnoty i nie-zjawianie się na nabożeństwie. Co najmniej jedna nie posłuchała, choć musiałam przyznać, że ona także należała do wspólnoty. Carol Shapley siedziała w drugim rzędzie, tuż za ławką zarezerwowaną dla Shepherdów. Obejmowała ramionami dwoje nastolatków, pewnie własne dzieci, i wyglądała absolutnie nieszkodliwie, ale widziałam, że chłonie każdy szczegół.

Kręciła głową jak sowa. Ta kobieta widziała wszystko. Lokalna gazeta będzie miała tekst na wyłączność.

Z głębi kościoła dobiegł cichy gwar. Wyciągnęłam szyję, żeby sprawdzić, co się dzieje, i zobaczyłam policję z Shepherdami. Vickers szedł na czele procesji jak dziwna panna młoda. Stanął przed ławką z Carol Shapley, którą oczywiście zauważył. Carol spuściła głowę, oblana rumieńcem. Chyba nawet nic jej nie powiedział. Nie musiał.

Shepherdowie szli tuż za nim w towarzystwie pastora. Matka jakby nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest; rozglądała się z martwym półuśmiechem. Ojciec szedł ciężko, ze spuszczoną głową. Bardzo schudł od zniknięcia Jenny i ubranie na nim wisiało, choć było eleganckie. Dla tego człowieka aparycja miała znaczenie, nawet w żałobie pamiętał o stosownym stroju. Valerie szła za nimi; ze względu na sytuację trochę stonowała zarozumiałą minę. A w głębi kościoła stał Blake. Oczywiście. Zajął

pozycję przy drzwiach, w otoczeniu kilku kolegów. Oparli się plecami o ścianę, z rękami założonymi przed sobą w klasycznej pozycji futbolisty. Wyglądali jak nieobecni, jakby to, co się tu działo, nie miało z nimi nic wspólnego, ale wzrokiem wodzili po zgromadzeniu. Byłam ciekawa, kogo tu szukają. W tej samej chwili Blake spojrzał na mnie. Uniósł lekko brew, a ja się gwałtownie odwróciłam, zawstydzona, że przyłapał mnie na gapieniu się na niego. Młody pastor zaczął modlitwę. Przeszła w kazanie, co zaskoczyło go chyba tak samo, jak wszystkich innych. Jego

128

jabłko Adama podskakiwało konwulsyjnie. Płatał się okropnie, coraz bardziej się gubiąc.

-Albowiem bez Boga któż zazna pociechy? Ale z Bogiem cóż może być, jeśli nie pociecha, pociecha, która jest bożą rzeczą i od Boga pochodzi. Ta pociecha, która... która jest jedynym prawdziwym Bogiem, a Jennifer spoczywa w Panu, w świętości niebios, jako jedno z jego dzieci jak my wszyscy... Musi to być pociechą dla jej rodziny. Pociechą, ponieważ...

Zaszeleścił kartkami, szukając w nich podpowiedzi. Nie znalazł ani uzupełnienia tej myśli, ani żadnej następnej, poddał się i markotnie zapowiedział szkolny chór, który zaczął entuzjastycznie "Be Thou My Vision". Spojrzałam na leżący przede mną śpiewnik, nie widząc słów. Przyszło mi do głowy pytanie, czy Jenny modliła się przed śmiercią i czy jej modlitwy zostały wysłuchane.

Ogłędnie mówiąc, podczas nabożeństwa byłam nieco roztargniona. Głos Elaine niósł się w całym kościele, odmierzone kadencje słów z nieuniknionym cytatem z Eklezjasty, a ja oglądałam sklepiony sufit i gotycki łuk prowadzący do transeptu. Myśli błąkały mi się po głowie, a ja ich nie zatrzymywałam, nie skupiałam na nich uwagi.

Ale ktoś skupił uwagę na mnie. Wstając wraz z resztą zebranych, by zaśpiewać "The Lord Is My Shepherd", rozejrzałam się odruchowo i napotkałam wzrok Geoffa. Kiedy tylko zauważył, że na niego patrzę, uniósł rękę, jakby trzymał w niej niewidzialny kieliszek i przechylił go - uniwersalny symbol oznaczający "Chcesz się ze mną napić?". Zmarszczyłam niechętnie brwi i spuściłam wzrok na śpiewnik, jakbym po raz pierwszy widziała ten psalm na oczy.

Gdy ucichły ostatnie dźwięki organów, pastor pochylił się i wyszarpnął mikrofon ze statywu. Rozległy się trzaski i pisk. Zebrani przyglądali się z kamiennymi minami jego szamotaninie. Pastor zaczął kolejną niekończącą się, chaotyczną modlitwę, najwyraźniej nieprzemyślaną.

- Teraz zaproszę resztę koleżanek Jennifer, żeby podeszły do ołtarza i zaśpiewały ostatni hymn - oznajmił w końcu bez tchu.

129

Dziewczynki, zawstydzone i ociągające się, żeby nie dotrzeć do ołtarza pierwsze, schodziły się z różnych części kościoła. Niektóre miały już wzrost dorosłej osoby i wyglądały dojrzałej od swoich koleżanek - wyprostowane włosy i makijaż w stylu emo. Ale były też takie, które zachowały dziecinną urodę i kruchość, jak Jenny,

drobne dziewczynki o okrągłych buziach. Wszystkie miały taką samą minę: zagubioną i skamieniałą.

- Weźmy się za ręce... - zaproponował pastor i dziewczynki posłuchały. Szkolna nauczycielka muzyki dyskretnie stanęła przed ołtarzem i dała znak organiście. Przeciągła nuta przeszła w pierwsze takty "Amazing Grace". Dziewczynki były doskonale. Nauczyły się tej pieśni na szkolny koncert, który odbył się parę miesięcy wcześniej. Zastanawiałam się, co czują ich rodzice, kiedy na nie patrzą. Czy strach ściska im gardła na myśl, że to nabożeństwo mogłoby się odbywać na cześć ich córki? Czy potajemnie dziękują Bogu, że tak nie jest? Kto mógłby mieć do nich o to żal?

Zanim muzyka umilkła, Vickers i Valerie wyciągnęli Shepherdów z ławki, nie czekając, aż reszta zebranych wstanie. Komu właściwie miało pomóc to nabożeństwo? Wychodzący Shepherdowie wyglądali na tak samo wstrząśniętych i zrozpaczonych jak wtedy, gdy weszli.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw. To staruszki obok mnie chciały wyjść przed innymi. Wstałam, zamierzając ulotnić się wraz z nimi. Plan był świetny, ale dwie rzeczy mi go uniemożliwiły. Po pierwsze, stłuczona noga ugięła się pode mną, kiedy przeniosłam na nią ciężar ciała. Musiałam się oprzeć o kolumnę, żeby świat przestał wirować. Po drugie, Geoff wykorzystał mój chwilowy bezruch.

- Cześć - szepnął, zdecydowanie za bardzo się zbliżając. Poczulałam się jak najsłabsza sztuka w stadzie, bezbronna i skazana na zagładę. Chyba to wyczuł. Zagarnął mnie w zbyt entuzjastyczne objęcia. Jego uścisk przeszył mnie bólem od ramienia po szyję. Zachłysnęłam się. Geoff przyjrzał mi się uważnie. - Nie wytrzymujesz? Za dużo emocji?

130

- Nic mi nie jest - burknęłam, odrywając się od kolumny i ruszając do drzwi. Wszyscy inni też wpadli na ten sam pomysł, więc musiałam czekać. Tłum przepływał rozpaczliwie powoli przez szerokie wejście kościoła, sunął jak bydło idące na targ. Geoff był tak blisko, że czułam na karku jego oddech. Przesuwałam się, jak mogłam najszybciej, usiłując uciec od niego.

- Musisz się napić - powiedział mi do ucha. - Zgódź się.

Pójdziemy w jakieś fajne miejsce.

- Dzięki, ale nie. Wracam do domu.

Kolano mnie bolało i zaczęło mnie mdlić. Nawet gdybym chciała pójść na drinka - gdybym jakimś niezwykłym zbiegiem okoliczności w ogóle brała pod uwagę drinka z Geoffem - dziś nie czułam się na siłach. Zaraz potem omal nie wyskoczyłam ze skóry, bo dwie ciężkie łapy opadły mi na ramiona i zaczęły je ugniatać. Całkiem jakby coś go przyciągało do miejsca, w którym może zadać najwięcej bólu.

Uskoczyłam i odwróciłam się gwałtownie, osłaniając ręką ramię na wypadek, gdyby znowu spróbował.

- Geoff, na miłość boską!
- Strasznie jesteś spięta - szepnął. - Spokojnie.

- Przestań mnie obmacywać!

Uniósł ręce.

- Dobra, wygrałaś. Co się stało? Naciągnęłaś sobie plecy?

- Nie - warknęłam. Ludzie zaczęli na nas patrzeć. - Zapomnij.

Dotarliśmy do drzwi. Grube krople deszczu bębniące o ścieżkę za gankiem przypomniały mi, że mam zabrać parasolkę. Przebiłam się przez tłum do stojaka. Był pusty. Stałam i gapiłam się na niego głupio. Geoff stanął obok mnie, cmokając ze współczuciem.

- Nie masz parasolki? Daleko zostawiłaś samochód?

- W domu - mruknęłam bezmyślnie. Czekał mnie długi marsz do domu, w dodatku z jeszcze bardziej zeszywniałą nogą i w ulewę, która nie miała zamiaru ustać. Niedawne kałuże stały się jeziorami.

- Nie możesz wracać piechotą - oznajmił twardo Geoff, biorąc mnie pod rękę. - Pozwól, że cię odwiozę.

131

Już miałam odmówić, kiedy zobaczyłam zbliżającego się Blake'a z zatroskaną miną. Różnie wyobrażałam sobie nasze spotkanie, ale zdecydowanie nie tak.

- Utykasz - powiedział bez wstępów. - Co się stało?

- Potknęłam się na schodach i spadłam.

Nie przekonałam go. Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, Geoff rzucił:

- Powinniśmy już iść.

Zabrzmiało to władczo i zaborczo. Blake łypnął na niego spode łba.

- Nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

- Bo go nie podałem. Geoff Turnbull. - Geoff wyciągnął rękę.

Blake uścisnął ją krótko. Przedstawił się pełnym stopniem i bez entuzjazmu.

- Nie widziałem pana w szkole.

- Przesłuchiwała mnie pańska koleżanka. Miła dziewczyna. -

Geoff mówił od niechcienia, ale zaczął odruchowo tupać stopą.

Zdałam sobie sprawę, że pod maską spokoju jest spięty.

Wstęp został załatwiony. Obaj patrzyli na siebie z jawną wrogością. Patowa sytuacja.

Odwróciłam się do Geoffa.

- Wiesz, jeśli to nie kłopot, będę ci wdzięczna za podwózkę.

Gdzie zaparkowałeś?

- Za rogiem, ale zaczekaj tutaj. Nie chcę, żebyś przemokła.

Przyprowadzę samochód. - Popędził ścieżką.

Blake odprowadził go wzrokiem.

- Jedziesz z nim do domu? Dlaczego nie zaczekasz? Odwiozę cię.

- Kiepski pomysł. - Chodziło mi o niego, o to, żeby nikt się nie



domyślił, co się między nami dzieje, ale on przez chwilę wydał się zraniony. Potem twarz mu skamieniała, nieprzenikniona. Znowu włożył maskę.

- No tak, oczywiście. Z nim też sypiasz?

- Na miłość boską! - syknęłam, chwytając go za ramię i odciągając na bok. - Ciszej. To nie pora ani miejsce.

132

- Nie zostałam na noc.

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać - oznajmiłam sucho. - A aku rat ty powinienes się nie pokazywać ze mną publicznie. Nie wiem, czy twój szef się ucieszy, jeśli się dowie, co zrobiliśmy.

Blake zmarszczył brwi.

- To moja sprawa.

- Tak, rzeczywiście, dlatego proponuję, żebyś zaczął się o to martwić, a mnie pozwolił spokojnie odjechać z kolegą z pracy. - Odwróciłam się, żeby odejść, a potem wróciłam. - Bo nawiasem mówiąc, tym dla mnie jest. Kolegą.

- Bardzo przyjacielski jak na kolegę. Czy nie z nim się obściskowałaś w szkole? Chyba go skądś znam.

- To on obściskował mnie - sprostowałam ze złością. - Ale nie...

To znaczy, nie jestem... To znaczy, ty to co innego. - Poczułam żar bijący z moich policzków i zdziwiłam się, po cholere to powie działałam.

Blake, któremu drgnął kącik ust, nie zdążył odpowiedzieć, bo rozległ się klakson i zza zasłony deszczu wyłonił się volkswagen golf.

- Przyjechał. Muszę iść. - Pokuśtykałam przed siebie, modląc się, żeby Blake nie spytał mnie znowu, dlaczego kuleję.

Geoff, zawsze dżentelmen, przechylił się, żeby otworzyć mi drzwi. Wsiadłam. Po raz drugi w ciągu trzech dni wyraźnie poczułam, jak niewielka odległość dzieli pasażera od kierowcy w przeciętnym samochodzie. Może jednak trzeba było jechać z Blakiem - choć pewnie przesłuchałby mnie w sprawie nogi. Geoff obrzucił mnie przeciągłym spojrzeniem, demonstrując przy okazji krystaliczny błękit oczu.

- W porządku?

- Tak. Skreć na światłach w lewo, a dalej cię pokieruję - rzuciłam zwięźle, zdecydowana ograniczyć rozmowę do minimum. Oczywiście Geoff miał inne plany.

- Dlaczego tak przede mną uciekasz? - Pytaniu towarzyszyło żałosne spojrzenie.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Tutaj znowu w lewo.

133

Geoff obrócił płynnie kierownicą.

- Zaczynam podejrzewać, że mnie nie lubisz.

- Ależ skąd - powiedziałam z wysiloną uprzejmością. - Jesteś... eee... bardzo miły. Jako kolega.

- Miałem nadzieję, że będę kimś więcej niż kolegą:  
Wbiłam paznokcie w dłoń. Dobry Boże, tylko nie to! Jeśli  
zacznie mnie podrywać, umrę. Po prostu. Ironia sytuacji polegała na tym, że zawziął  
się na mnie, bo mi na nim nie zależało. Niektóre kobiety cierpiały męki, ponieważ się  
do nich nie odzywał, a inne chodziły pijane szczęściem przez parę dni, gdy się do  
nich uśmiechnął. Dlaczego nie padło na którąś z nich? Zerknął na mnie.

- Tutaj w prawo, tak?

Skinęłam głowę, zaskoczona. A właściwie skąd on to wie?

- Kiedyś powiedziałaś, że mieszkasz w Wilmington Estate -  
powiedział lekko, jakby usłyszał moje pytanie. - Nie przeprowa  
dziłaś się, prawda?

- Nie. - Przetrzęsłam pamięć, usiłując stwierdzić, czy  
naprawdę to mi się przy nim wymknęło. A on, jakby chciał  
zatrzeć wrażenie, zaczął gadać o innych nauczycielach.  
Pomrukiwałam w odpowiedzi, daleka myślami. W końcu spuści  
łam wzrok i zobaczyłam coś, co błyskawicznie mnie otrzeźwiło.  
Pochyliłam się i wygrzebałam to coś spod fotela. Wystarczyło  
mi tylko zobaczyć rożek znanego czerwono-białego opakowania.  
Paczka marlboro.

- Geoff, co to tu robi?

Zerknął nieuważnie.

- Chyba nie będziesz mi o to suszyć głowy? Czasami sobie  
zapalę dla odprężenia.

- Przecież uczysz wuefu.

- Ale mnichem nie jestem. Lubię sobie popić, zapalić -  
i co z tego? Nie trzeba być sportowcem, żeby uczyć dziewczynki  
gimnastyki czy siatkówki, wierz mi. - Znowu na mnie spojrzął.

- Elaine o tym nie wie i chciałbym, żeby tak zostało.

- Oczywiście. - W głowie miałam zamęt. Do tej pory nie pomy-

134

siałam, że to on mógł mnie napaść. Może dlatego, że uznałam napastnika za palacza.  
Ale teraz...

Przypomniałam sobie stare powiedzonko: To, że mam paranoję, nie znaczy, że za  
mną nie chodzą.

- Teraz musisz mnie pokierować - rzekł, skręcając w osiedle  
i zwalniając.

Ogarnęło mnie silne pragnienie ucieczki z tego samochodu.

- Dalej pójde pieszko.

- W żadnym wypadku. Gdzie jechać? - Lekko przyspieszył, tak  
że nie mogłam wysiąść w biegu. Panował nad sytuacją i bardzo  
mu się to podobało.

Skapitulowałam. Powiedziałam mu, gdzie mieszkam i jak ma tam trafić. Zatrzymał  
się przed domem i przyjrzał się mu sza-cująco.

- Niezły, ale trzeba by o niego trochę zadbać.

Miał rację. W rynnach rosły chwasty. Z parapetów i drzwi frontowych odchodziły wstążki złuszczonej farby jak martwa skóra.

- Lubię prace remontowe - powiedział Geoff, zginając ręce, tak że mięśnie jego superopalonych przedramion zadrgały. - Bez koszuli, na drabinie, malowanie framug w słoneczny dzień... nie ma nic lepszego. Chętnie ci pomogę, jeśli chcesz.

- Miły jesteś - mruknęłam, odpinając pas - ale proszę, nie zwracaj sobie głowy. Nie chcę ci robić kłopotu.

- To żaden kłopot, tylko przyjemność - odpowiedział szybko.

Byłam za miła. Pora postawić sprawę jasno.

- Słuchaj, Geoff, wygląd mojego domu jest mi obojętny. Jasne?

Zapomnij o sprawie.

Wzruszył ramionami.

Sięgnęłam po klamkę. Chwycił mnie za rękę i przytrzymał, pociągnął znowu na fotel.

- Poczekaj - szepnął ochryple.

- Puszczaj! - Gardło i płuca mi się zacisnęły, nie mogłam oddychać. - Geoff, puść!

- Chcę tylko porozmawiać... - Rozpiął pas. - Sarah...

135

Zdjął rękę z klamki, żeby obiema dłońmi ująć moją twarz i przyciągnąć ją do siebie.

Był o wiele ode mnie silniejszy. Uświadomiłam sobie chłodno, że zaraz mnie pocałuje, a ja nie mogę mu przeszkodzić. Dotknął wargami moich ust. Zacisnęłam je mocno. Brzydziłam się jego napierających warg i natarczywego, mokrego języka. Na oślep namacałam klakson i walnęłam go pięścią ze wszystkich sił. Ryknął przeraźliwie; fale dźwięku rozeszły się w samochodzie.

-Jezu! - krzyknął Geoff, odskakując. - Czemu to zrobiłaś, do cholery?

- Zostaw mnie w spokoju - wycedziłam. - Mówię serio. Nie jestem tobą zainteresowana.

Nie rozstawaj się z nim w gniewie, zarządził mój wewnętrzny głos. Nie chcesz chyba dramatów w pokoju nauczycielskim?

- Słuchaj, nie zamierzam tego kontynuować. Nie szukam związku.

- Wystarczyło powiedzieć!

Omam nie przewróciłam oczami. Geoff spojrzał przez przednią szybę.

- Czy przynajmniej dasz się przekonać, że mogę być przyjacielem, jeśli nie kimś więcej?

Zaczęłam się wycofywać.

- Nie musisz...

- Ale chcę.

Bo zawsze chodzi o ciebie, co? Westchnęłam.

- Jak wolisz. - Wzięłam torbę. - Jestem wykończona. Dzięki za podwózkę. Nie masz urazy?

-Nie.

Wysiadłam z samochodu i spojrzałam na dom po drugiej stronie ulicy - dom

Danny'ego Keane'a. Coś zwróciło moją uwagę. Jakiś ruch. Klasyczne zafalowanie firanki. Odwróciłam się i pokuśtykałam podjazdem, rozwijając największą możliwą szybkość.

Geoff - jakby jeszcze narobił za mało zamieszania - opuścił okno i zawołał za mną:

- Jesteś niesamowita! Do zobaczenia wkrótce!

136

Nie ośmieliłam się spojrzeć za siebie. Wpadłam do domu, zarygłowałam drzwi i obróciłam klucz w zamku. Geoff w końcu odjechał, nie odmówiwszy sobie na koniec zatrąbienia klaksonem. Oparłam się o drzwi i jęknęłam. Teraz znał mój adres - zakładając, że nie poznał go wcześniej. Ktoś z nas popełnił błąd. Ja - jeśli naprawdę wspomniałam przy nim, gdzie mieszkam. On - jeśli dowiedział się w inny sposób, a teraz się wygadał. Sama nie wiedziałam, czy wierzę w to "Teraz musisz mnie pokierować". Ktoś taki nie poddaje się, dopóki się nie dowie wszystkiego, co chce. On znał mój dom, pomyślałam. Już go widział. Może mnie śledził. Zadrzałam, nagle zziębnięta. Mokre ubranie kleiło mi się do skóry. Zawsze sądziłam, że Geoff jest namolny, ale nieszkodliwy - a jeśli się myliłam? A jeśli dokładnie wiedział, gdzie mnie dotknąć, żebym zareagowała? A jeśli te siniaki zawdzięczałam jemu? A jeśli wiedział, że nie mam kluczyków i będę potrzebować odwiezienia do domu? Usiłowałam się uspokoić. To kolega, nie wróg. Zainteresowanie, nie obsesja. Przyjaźń, nie stalking. Nawet jeśli to on na mnie napadł, nie mógł wiedzieć, że nie mam w domu zapasowych kluczyków do samochodu. Nie mógł mieć pewności, że nie podwiezie mnie ktoś inny.

Musiałam przestać się martwić o Geoffa, bo nie ulegało wątpliwości, że nie uda mi się go pozbyć. Jakimś cudem obiecałam mu przyjaźń. Jakimś cudem pozwoliłam mu się odwieźć pod same drzwi. Może to znowu paranoja, ale naszło mnie uczucie, że od początku to zaplanował.

1992

Sześć tygodni od zaginięcia

O

"twieram drzwi do pokoju Charliego. Stoję na korytarzu, nasłuchując. Trzymam za nogi trzy lalki Barbie. Mama jest na dole, ogląda telewizję. Dzień jest zimny, deszczowy, zbyt brzydki, żeby bawić się na dworze. Nie muszę wracać do szkoły jeszcze przez tydzień, ale już bym chciała. Dni od zniknięcia Charliego są puste i nudne. Brakuje mi szkolnych obowiązków i zabaw. Tęsknię za koleżankami. Deszcz stuka o szyby. Obok domu przejeżdża samochód, sekunda i już go nie ma. Robię krok przez próg pokoju Charliego, potem drugi. Wykładzina wydaje się dziwna, inna od tej na korytarzu i w moim pokoju. Grubsza, bardziej sprężysta. Zapomniałam; nie byłam tu od tygodni. Wiem, że nie powinnam tu wchodzić, ale co tam. Jeśli będę się zachowywać cicho, mama się nie dowie.

Chodzę po pokoju na paluszkach, oglądając rzeczy Charliego. Pokój nadal nim pachnie, chłopięcym zapachem ziemi i dywanów. Stęskniłam się. Siadam na podłodze, opierając się o łóżko. Lalki kładę obok.

Przez chwilę się bawię. Robię pokaz mody, ulubiona Barbie paraduje po mojej nodze,

a pozostałe na nią patrzą. Zapominam, gdzie jestem, a kiedy słyszę coś przy drzwiach, nie podnoszę głowy.

138

- Co ty tu robisz?

Mama patrzy na mnie z góry. Ma straszną minę. Twarz jej pobieląła, oczy są ogromne. Odkładam lalkę.

- Ja tylko się bawię.

- Bawisz się? - Mama chwyta mnie za włosy i podnosi na nogi.

Krzyczę.

- Mamo, boli!

Potrząsa mną, nadal za włosy.

- Nie wolno ci tu wchodzić, zrozumiałaś?! Nie wolno ci tu wchodzić!

- Wiem, przepraszam, ja już nigdy... - Płaczę, ale ona tego nie zauważa. Spogląda na moje lalki.

- Podnieś je.

Robię to. Oczy mam pełne łez.

- Daj.

Mama wyciąga rękę. Nie wiem, po co jej moje lalki. Nie mam wyjścia, muszę je oddać. Drugą ręką chwyta mnie za ramię i wywleka z pokoju Charliego, wpycha mnie do mojej sypialni.

- Zostań tu, aż ci pozwolę wyjść - mówi i nagle dociera do mnie ten słodko-kwaśny zapach, który świadczy, że znowu piła. Zamyka drzwi, a ja siadam na łóżku i ryczę, dosłownie wyję. Nakręcam się tak, że zaraz robi mi się niedobrze. Raptem słyszę jakiś dźwięk dochodzący spoza domu. Wstaję, krztusząc się, i wyglądam przez okno.

Mama stoi przy kubłach na śmieci. Zdejmuje wieko z naszego i wbija w śmieci moje lalki głowami naprzód. Przytłacza je wiekiem i wraca do domu, trzaskając drzwiami. Z nosa mi cieknie, muszę siusiu, ale nie otwieram drzwi pokoju, tak bardzo się boję, co mogłaby mi zrobić, gdyby znowu mnie przyłapała na nieposłuszeństwie. Nie mogę uwierzyć, że wyrzuciła moje lalki. Nie wierzę, że mogłaby ich nie wyjąć, zanim przyjadą śmieciarze. Ale w głębi serca wiem, że straciłam je na zawsze. Budzę się późno. Przez chwilę nie pamiętam, dlaczego boli mnie gardło. Ktoś siedzi na moim łóżku. Ojciec. Trzyma rękę na moich plecach. Drugą podpira brodę.

- Wszystko w porządku, małpeczko?

139

Kiwam głową i nagle przypominam sobie, co się stało.

-Lalki...

- Przykro mi. Już ich nie ma. - Tata całuje mnie w policzek. - Wiem, że nie chciałaś zrobić nic złego. W sobotę pójdziemy do sklepu, kupimy ci nowe, dobrze?

Ładniejsze.

Nie chcę nowych lalek. Kochałam tamte stare. Wyobrażam je sobie w śmieciarce, połamane i sponiewierane, albo leżące na wysypisku z brudnymi włosami, wśród

śmieci.

Tata patrzy na mnie z troską. Siadam i zarzucam mu ręce na szyję. Niech mu się zdaje, że cieszę się na myśl o nowych lalkach. Niech mu się zdaje, że wszystko naprawił, że już się nie martwię. Niech będzie szczęśliwy, że mnie uszczęśliwił. Przecież tego chce.

## Rozdział 8

N

I astępnego dnia w drodze do biblioteki obejrzałam się za siebie tylko parę razy. Znowu zwolniłam się z pracy, więc nie chciałam, by ktoś mnie zauważył w centrum Elnwiew, ewidentnie zdolną do siedzenia w pustej szkole. Janet powiedziała, że zaczynamy zajęcia od poniedziałku, co oznaczało, że muszę wykorzystać ten dzień do maksimum. Wkrótce wróci rutyna, choć w tej chwili zwyczajne życie wydawało się zupełnie nieosiągalne.

Tablice ogłoszeń przed siedzibami gazet w Elnwiew świadczyły wyraźnie, że sytuacja jest daleka od normalności - POLOWANIE NA MORDERCĘ JENNY, przeczytałam na jednej. ZABITY ANIOŁ, widniało na drugiej, z tym samym zdjęciem co zawsze. Rzeczywiście Jenny wyglądała anielsko. Vickers zdołał zataić wiadomość o jej ciąży przed dziennikarzami. Nic nie wskazywało na to, żeby zainteresowanie morderstwem słabło. Wiadomość nadal budziła emocje, o czym świadczyły ekipy reporterów, wciąż przeczesujące ulice miasta. Były także inne rzeczy, od których przeszedł mnie dreszcz: wiszący na niemal wszystkich wystawach apel policji o pomoc i kwiaty przed kościołem, w którym odbyło się nabożeństwo. Przechodnie byli zdenerwowani, napięci i wydawało się, że wszyscy mówią tylko o tym.

W mieście panował spokój, ale to nie należało do rzadkości. Mieszkańcy Elnwiew robili większe zakupy w Guildford lub Kingston; w tutejszym centrum można było dostać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Sklepy powoli zamierały, podupadały z każdym tygodniem, a na ich miejsce nie pojawiały się następne. Dziwiło tylko, że ten proces trwa tak długo.

141

Ale władze miasta nie zamierzały się poddać bez walki. Biblioteka została niedawno odnowiona. Nadal unosił się w niej zapach świeżej farby, od którego zakręciło mnie w nosie. Kolejka była długa, ale kiedy dotarłam do celu, nadal nie obmyśliłam, co powiedzieć. Młoda bibliotekarka najwyraźniej bardzo się starała odstawać od stereotypu: pełen makijaż, wyprostowane jak spaghetti włosy z pasemkami, wąskie czarne spodnie wpuszczone w botki na koturnie i skąpy top. Identyfikator, zbyt ciężki na cienki materiał, obciążał go w dół, odsłaniając kościstą klatkę piersiową. Zerknęłam na napis - bibliotekarka miała na imię Selina. Wdałam się w długie tłumaczenie, że chciałabym przejrzeć archiwalne gazety. Poderwała się zza biurka, zanim skończyłam.

- Mamy wszystkie numery gazet na płytach CD, od 1932 roku.

Czego pani szuka?

-Eee... zasadniczo... miejscowej historii -wymamrotałam, myśląc smętnie, że

powinnam wymyślić jakąś wiarygodną bajeczkę, zanim w ogóle zaczęłam rozmowę.

- Chciałabym zacząć od... powiedzmy 1992 roku.

- Wtedy przeprowadziła się tu pani? - spytała, prowadząc mnie do komputera.

Poszłam za nią, nie odpowiadając.

-To fantastyczny system. Wprowadzono go na początku 2000 roku. Parę lat temu musiałyby pani wypożyczyć mikrofilmy. Straszne były. Czytnik ciągle się zacinał i okropnie hałasował -paplą Selina, sama także dość hałaśliwa. Wprowadziła hasło. - Przedtem gazety były zszywane i oprawiane. Zajmowały strasznie dużo miejsca. No tak, skoro szuka pani roku 1992...

Rozśmieszyło mnie, że bibliotekarka ma coś przeciwko prawdziwym książkom, ale nie powiedziałam tego na głos. Selina przejrzała katalog stojący obok komputera. Otworzyła szufladkę i błyskawicznie przewertowała jej zawartość. Szufladka była pełna płyt CD w plastikowych koszulkach.

- Na tej płycie mam wiadomości lokalne z 1992 roku. Mogę dać pani także wiadomości krajowe.

142

- Lokalne i krajowe, świetnie. Jeśli zechcę przejrzeć inne roczniki, czy mogę je znaleźć sama?

- Zdecydowanie, ale proszę pamiętać, żeby je wpisać. - Pokazała mi rejestr na katalogu. - Proszę wpisać datę, godzinę, nazwisko i numer seryjny płyty. I niech pani ich nie wkłada na miejsce, proszę je przynieść do mnie. Ja je schowam. System nie jest skomplikowany, ale zdziwiłaby się pani, jak wiele osób nie może pojąć, o co w nim chodzi. Nie twierdzę, że pani by coś pomyliła, ale taką już mamy zasadę. Aha, na biurku jest drukarka. Może pani wydrukować wszystko, co pani zechce, pięć pensów za stronę. To niezbyt drogo. Nie zarabiamy na tym ani na niczym innym. W kafejce internetowej kosztowałoby to dwa razy więcej, ale oni muszą zarabiać.

Gadała i gadała na cały głos. Rozejrzałam się, sprawdzając, czy komuś to nie przeszkadza. Inni chyba zdołali ją jakoś wykasować ze świadomości. Dobrze, że nie powiedziałam jej, czego szukam. Już sobie wyobrażałam, jak Selina trąbi o tym na całą bibliotekę.

- Jeśli będzie pani potrzebować pomocy, wystarczy krzyknąć

- powiedziała i znowu pobiegła do biurka. Biorąc pod uwagę jej stosunek do używania głosu, pewnie rozumiała to dosłownie.

Usiadłam i przejrzałam listę plików. Data zniknięcia Charliego

- drugi lipca - jest na zawsze wyryta w moim sercu. Kliknęłam na pliki z tego dnia. Drgnęłam na widok pierwszej strony "Elnwiew Examiner". Główny artykuł dotyczył zebrania rady miejskiej w sprawie wymiany rur kanalizacyjnych na głównej ulicy i chaosu komunikacyjnego, który z tego powodu powstanie. Nic nie wskazywało, że tego dnia wydarzy się coś niezwykłego. Gazeta

wychodziła wtedy co tydzień. Z trwogą kliknęłam na następne wydanie. Charlie stanowił główny temat.

**NARASTAJĄCY NIEPOKÓJ O ZAGINIONEGO CHŁOPCA** Narasta niepokój o los zaginionego ucznia szkoły w Elmview, Charliego Barnesa. Od czasu, gdy widziano go po raz ostatni, minął tydzień. Policja dokłada starań, by znaleźć zaginionego

143

dwunastolatka. Chanie (zdjęcie poniżej) zaginał po wyjściu z domu w Wilmington Estate w czwartek 2 lipca. Każdy, kto go widział lub kto zna miejsce jego pobytu, powinien natychmiast zgłosić się na miejscowy posterunek policji. Ojciec Charliego, Alan Barnes, powiedział wczoraj: Bardzo się niepokoiimy o naszego syna i z całego serca pragniemy, żeby wrócił do domu. Chcemy go tylko zobaczyć i powiedzieć mu, jak bardzo go kochamy.

Przejrzałam inne gazety, miejscowe i krajowe, śledząc rozwój historii. Na ekranie pojawiały się tytuły: "Sunday Times", 5 lipca 1992: POSZUKIWANIE ZAGINIONEGO CHŁOPCA TRWA, "Daily Mail", 7 lipca 1992: KTO PORWAŁ CHARLIEGO?, "Sun", 9 lipca 1992: ODDAJCIE NAM NASZEGO SYNA.

Przyjrzałam się zdjęciom. Na jednym widniała odwrócona od obiektywu mama o twarzy chudej i pobrużdżonej z napięcia i zmartwienia. Ręką zasłaniała szyję. Wyglądała pięknie - znękana, lecz nadal piękna. Pochodzące sprzed paru lat mniejsze zdjęcia Charliego i moje przy choince, ściskamy prezenty. Charlie na rowerku. Charlie w szkolnym mundurku, wariacko uśmiechnięty, z rozpiętą pod szyją koszulą, by pochwalić się tym swoim głupim wisiorkiem, rzemykiem z trzema paciorkami. Nosił go zawsze. Potrafił być uparty.

Moją uwagę przyciągnęły fragmenty artykułów opisujące okropny, daremny proces, który nie doprowadził nas do mojego brata ani do osoby, która go porwała. Policja w Surrey dotarła do świadka, który w czasie zniknięcia Charliego Barnesa zauważył w Wilmington Estate podejrzanie zachowującego się mężczyznę w średnim wieku. Zakrojone na szeroką skalę śledztwo nie dostarczyło policji żadnych poszlak. Prowadzący je inspektor wydziału dochodze-niowo-śledczego Charles Gregg powiedział: Wiemy, że społeczeństwo chce pomóc odnaleźć Charliego. Jesteśmy wdzięczni za informacje, które już otrzymaliśmy, ale niestety donikąd nas nie doprowadziły. Jeśli ktokolwiek przypomina sobie coś,

144

co może nam pomóc w poszukiwaniu, niech niezwłocznie się z nami skontaktuje. Zastępca naczelnika policji Harold Spark zapytany na wczorajszej konferencji prasowej, czy policja nie ma już pomysłów, gdzie szukać Charliego Barnesa, zareagował z rozdrażnieniem. Przez minione tygodnie przeczesano teren w promieniu ośmiu kilometrów od domu chłopca, ale efekty okazały się rozczarowujące. Od czasu jego zniknięcia przed dziesięciu dniami nie zgłosił się żaden wiarygodny świadek...

Policja zaprzecza, jakoby przesłuchano ojca Charliego Barnesa, Alana, w związku z zaginięciem jego syna. Jednak miejscowi sugerują, że śledztwo skupiło się na rodzinie chłopca, a Alan Barnes został niedawno ponownie wezwany na policję,



gdzie poproszono go o opisanie swoich czynności w rzeczonym dniu.

Znowu zadrżałam. Dni miały, Charlie nie wracał i współzucie opinii publicznej zaczęło się zmieniać w podejrzliwość. Jak powiedział Blake, statystyki mówią, że dziecko najczęściej pada ofiarą nie obcych, lecz krewnych. Z braku wiarygodnego podejrzanego uwaga przeniosła się na nas. Ton artykułów zaczął się zmieniać. Dziennikarze zajęli się rozważaniem stanu małżeństwa moich rodziców. Pisali to, co wcześniej nie nadawało się do druku.

Laura i Alan Barnesowie twierdzą, że są ofiarami szeptanej kampanii szerzącej oczerniające ich plotki. Niemal miesiąc od zaginięcia Charliego zaczynają narastać podejrzenia, że jego rodzice mogą wiedzieć, co się z nim stało. Pragnący zachować anonimowość sąsiad powiedział: Nie sposób się nad tym nie zastanawiać. Nikt nie wie, gdzie przepadło to dziecko, a oni dawali wywiady w telewizji i gazetach jak jakieś gwiazdy. Można pomyśleć, że ten rozgłos im się podoba. Inny mieszkaniec dzielnicy stwierdził: Ich zeznania nie trzymają się kupy. To taka ruchliwa okolica. Jeśli ktoś przyszedł tu porwać dziecko, to jak mogli go nie zauważyć?

145

Barnesowie gwałtownie zaprzeczają, że lubią znajdować się w świetle reflektorów. Twierdzą, że korzystają z mediów, by rozpowszechnić wiadomość o zaginięciu Charliego i prosić o pomoc w poszukiwaniach. Jednak ludzie nieprędko zapomną o tej wątpliwości.

Moja rodzina była łatwym celem, rozrywką dla mas.

Niemal wbrew własnej woli zaczęłam odnajdywać imiona rodziców, wkładać do komputera kolejne płyty, żeby sprawdzić, o czym pisano w roku 1996.1 proszę, cztery lata od zaginięcia Charliego - **ROZWÓD RODZICÓW CHARLIEGO**.

Kolejny zestaw zawo-allowanych obelg, zarzutów i informacji z drugiej ręki. Artykuł zawierał komentarz doradcy rodzinnego na temat wpływu takiego stresu na rodzinę i suche dane statystyczne dotyczące rozpadu małżeństw po traumatycznych przejściach. Tekst nie oddawał tamtej zgrozy.

Zaczęłam się czuć zmęczona, oczy rozbolały mnie od wpatrywania się w monitor.

Przeciągnęłam się i rozejrzałam dokoła. Dotarło do mnie, że minęło dużo czasu.

Selina trajkotała przez telefon, sala opustoszała. Zbliżała się pora obiadu, ale nie czułam głodu. Zmieniłam taktykę, wróciłam do płyt z wczesnych lat

dziewięćdziesiątych. Włożyłam pierwszą i wpisałam w wyszukiwarce "Wilmington Estate". Przejrzałam wyniki: miejscowe wydarzenia, drobne przestępstwa, wzrost liczby włamań i kradzieży samochodów. Szukałam prób porwania i podejrzeń o pedofilię. Zawahałam się nad raportem o zaniedbaniu opieki nad dzieckiem w drugim końcu osiedla, ale nie mogłam się doszukać związku między niedożywionym niemowlęciem a tym, co spotkało mojego brata.

Wkrótce znowu wróciłam do 1992 roku. Charlie pojawił się wśród pierwszych wyników wyszukiwania. Znalazłam też zdanie "zbiórka pieniędzy dla Laury i Alana Barnesów z inicjatywy mieszkańców Wilmington Estate". To było wcześniej, zanim sąsiedzi zmienili zdanie co do nas. Zmieniłam płyty, sprawdziłam w 1993, potem w 1994 roku. To samo, to samo - drobne przestępstwa, epidemia graffiti, wandalizm i usiłowanie podpalenia. Te same historie

powtarzały się raz za razem. Uparcie i mozolnie przebijałam się przez wyniki wyszukiwania. Już czułam rozczarowanie. Rezultaty z 1996 roku przelotnie mnie zainteresowały - szereg doniesień o mieszkańcu z okolicy skazanym za molestowanie dzieci. Ale przeprowadził się tu w 1993 roku, a interesowały go bardzo małe dziewczynki.

Siedziałam z brodą opartą na ręce, bezmyślnie przewijając dokumenty, kiedy nagle w oczy rzuciło mi się pewne nazwisko. "Derek Keane (41) z Curzon Close 7 stał się dziś w sądzie, oskarżony o zamordowanie..." Znałam to nazwisko. Derek Keane był ojcem Danny'ego. Szybko kliknęłam w link.

**OSKARŻONY NIE PRYZNAJE SIĘ DO WINY** Derek Keane (41) z Curzon Close 7 stał się dziś w sądzie, oskarżony o zamordowanie swojej żony Ady (40). Keane tylko podał swoje personalia i adres oraz stwierdził swoją niewinność, więcej nic nie powiedział. Ada Keane zmarła w sobotę po upadku ze schodów w swoim domu w Wilmington Estate. Zostawiła dwóch synów, Daniela (18) i Paula (2). Sąsiedzi zeznali, że przed wypadkiem słyszeli kłótnię. Keane został aresztowany w poniedziałek. Proces wyznaczono na październik.

W 1998 roku miałam czternaście lat i byłam pogrążona we własnym nieszczęściu. Wiele miesięcy spędziłam w Manchesterze z ciotką Lucy i wujkiem Harrym, mama była w szpitalu. Nic dziwnego, że nie pamiętałam śmierci Ady. Pewnie ktoś mi o tym kiedyś powiedział, ale nie znałam szczegółów. Kliknęłam "drukuj", po czym wpisałam w wyszukiwarce "Derek Keane".

**KEANE SKAZANY ZA ZAMORDOWANIE ŻONY** Trwający tydzień proces Dereka Keane'a w sądzie w Kingston zakończył się wczoraj jednogłośnie wyrokiem skazującym. Sąd zapoznał się z dowodami ekspertów sądowych sugerujących, że bezpośrednio przed śmiertelnym upadkiem Ada Keane (40) brała udział w szamotaninie. Derek Keane (41) przyznał, że

147

kłócił się z żoną, lecz zaprzeczył, jakoby uderzył ją podczas awantury.

Oskarżyciel stwierdził, że Keane uderzył żonę, zostawiając na jej policzku siniak odpowiadający rozmiarem i kształtem jego dłoni. Mec. Edward Long oświadczył w przemówieniu do przysięgłych: "Musicie skazać pana Keane'a, jeśli wierzycie,\* że swymi czynami doprowadził bezpośrednio do tragicznej śmierci żony, choćby nawet nie planował odebrać jej życia". Keane utrzymywał, że do upadku jego żony doszło przypadkowo, lecz ława przysięgłych przychyliła się do prokuratorskiej wersji wydarzeń z nocy 20 czerwca tego roku. Keane został skazany na pięć lat więzienia. Zdjęcie towarzyszące artykułowi ukazywało masywnego mężczyznę o siwiejących włosach, zasłaniającego się skutymi rękami. Wyteżyłam wzrok, chcąc dostrzec jakieś podobieństwo do Danny'ego, ale trudno było mi dostrzec twarz. Mimo to wydrukowałam także zdjęcie. Prawie nie pamiętałam pana Keane'a. Charlie i Danny nigdy nie bawili się u Danny'ego w domu. Mama Danny'ego - szczupła kobieta o krótkich włosach, wiecznie ćmiąca przyklejonego do dolnej wargi papierosa z piramidką popiołu - wyglądała na więcej niż czterdzieści lat.

To znaczy, że osiemnastoletni Danny stracił matkę i musiał się zaopiekować dwuletnim bratem, ponieważ ojciec był w więzieniu. Nasza tragedia nie była jedyną w Curzon Close. Rok 1998 obfitował w tragedie. Wpisałam w wyszukiwarkę "Alan Barnes", wiedząc, co za chwilę przeczytam, i drżąc na tę myśl. TRAGICZNA ŚMIERĆ OJCA ZAGINIONEGO CHARLIEGO. Gardło mi się zacisnęło. Cursor zawisł nad linkiem.

Nie miałam pojęcia, że ktoś mi spogląda przez ramię, dopóki czyjaś ręka nie nacisnęła klawisza myszki. Płyta zaszumiała, a ja zamknęłam program w nadziei, że na ekranie nie wyświetli się artykuł o śmierci mojego ojca. Od razu poznałam tę pulchną bladą dłoń. Gwiazda dziennikarstwa Carol Shapley na tropie wielkiego tematu.

- Skończyłam - powiedziałam, zbierając płyty i wydruki.

148

- O, proszę się nie martwić, nie spiesz mi się. Może pani zostawić te płyty. - Uśmiechnęła się lodowato. - Zdaje się, że interesuje nas ten sam temat, prawda?

- Nie wiem - wycedziłam, tuląc płyty do piersi. - Bibliotekarka prosiła, żebym oddała płyty jej. Takie mają zasady.

Carol rzuciła spojrzenie przez ramię.

- Selina? Nie będzie miała nic przeciwko temu. Wie, że ich szukam.

Pokręciłam głową.

- Przykro mi, nie zostawię płyt. - Nie zamierzałam się dać zastraszyć. Spojrzałam jej prosto w oczy, starannie dbając o zachowanie neutralnego wyrazu twarzy. Patrzyła na mnie nieżyczliwie.

Widząc, że nie zamierzam się ugiąć, ziewnęła lekko.

- Świetnie. Proszę je zwrócić. Ale Selina będzie je przez jakiś czas katalogować. Może by mi pani w tym czasie pomogła?

- Raczej nie. - Wzięłam torbę, zarzuciłam ją na zdrowe ramię i pokuśtykałam do bibliotekarki. Oddając jej wydruki, zauważyłam, że trzęsą mi się ręce.

- Pięć stron? - powiedziała wesoło Selina. - Dwadzieścia pięć pensów. Niedużo, co? Siedziała pani tam tak długo. Myślałam, że przyniesie pani tony kartek.

- Sarah jest bardzo wybredna - odezwała się Carol, wychylając się zza moich pleców. - Wie, czego chce.

Nerwowo przestąpiłam z nogi na nogę. Selina ślamazarnie szukała reszty z pięćdziesięciocentówki. Potem musiałam ją zapewnić, że nie chcę sztywnej koperty na wydruki.

- Znalazła pani wszystko, czego szukała? - spytała, wpatrzona we mnie niewinnie.

Zapewniłam, że tak, i podziękowałam za pomoc. Złożone kartki schowałam do torby i pospieszyłam do drzwi. Carol popędziła za mną.

- Od paru dni chcę z panią porozmawiać i chyba pani wie, dla

czego - odezwała się, pierwsza dopadając drzwi. - Nie powiedziała mi pani całej prawdy, co?

- Nie wiem, o co chodzi - odparłam, przeklinając w duchu

149

złodzieja, przez którego straciłam samochód. Rozejrzałam się, szukając drogi ucieczki, ale stało się jasne, że jej nie znajdę.

- Ktoś mi podpowiedział, że to pani znalazła ciało Jenny - zagruchała mi Carol do ucha. - Nie to mi pani zasugerowała podczas naszej pierwszej rozmowy, prawda?

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Zastanawiałam się gorączkowo, kto, do cholery, powiedział jej, że znalazłam Jenny. Nie Shepherdowie, nie Vickers, na pewno nie Blake. Może Valerie Wade. Nie zdołałaby się oprzeć pochlebstwom Carol. To nieważne; liczyło się, co wie Carol.

A jeśli wiedziała o tym, to pewnie i o innych sprawach, na przykład o stanie dochodzenia. Już nie usiłowałam się od niej uwolnić. Jeśli miałam się dowiedzieć, co się dzieje, musiałam mieć nowe źródło informacji. Blake bardzo wyraźnie powiedział, że powinnam się trzymać z daleka, więc nic mi nie powie. Poza tym mam inne problemy. Nagle przed oczami stanęły mi nie całkiem niemiłe obrazy. Blake ze skupioną twarzą, poruszający się nade mną. Jego dłonie, powolne i pewne, ciemniejsze od moich. Przeszedł mnie dreszcz. Zupełnie niestosowna pora. Przymknęłam oczy i wróciłam z łóżka Blake'a, by usłyszeć, jak Carol mówi:

- Bardzo proszę. Porozmawiajmy nieoficjalnie. Nic nie napiszę, jeśli mi nie pozwolisz.

Oho, już mówiła na ty, już się ze mną zaprzyjaźniła.

- I nie wymienisz mojego nazwiska? - spytałam, udając, że się waham. Miałam nadzieję, że nie zauważyła mojego chwilowego rozkojarzenia.

- Ależ skąd. Pozostaniesz zupełnie anonimowa. - W oczach Carol jarzyła się nadzieja.

- W takim razie dobrze - powiedziałam z udawanym niezdecydowaniem.

Poszłam za nią do pobliskiej kawiarni. Carol zamówiła kanapki i ostentacyjnie za nie zapłaciła. Ona tu rządziła i chciała mi to pokazać.

Kawiarnia była mała i mroczna. Carol zaprowadziła mnie do stolika przy oknie i włączyła dyktafon.

150

- Mogę? - Sprawdziła, czy działa. - Nie chciałabym czegoś pomylić.

A jakże, pomyślałam.

- W takim razie... - zaczęła, kiedy kelnerka postawiła przed nami dwa pełne po brzegi kubki z ciemną herbatą. - Zacznijmy od początku. Opowiedz mi o Jenny.

Starając się nie dramatyzować, opisałam, jaką uczennicą była Jenny i co o niej sądziłam. Usiłowałam wybierać same nienadające się do cytowania banały.

- Była bardzo miła. Pracowita. Zawsze dawała z siebie wszystko. Carol pochyliła się ku mnie.

- A potem... co? Nie przyszła do szkoły, tak?

Skinęłam głową.

- Wiedziałaś, że zginęła?

- Dowiedziałam się dopiero w poniedziałek, kiedy do szkoły przyszedł jej ojciec. Martwił się, że nie widział córki od soboty, i chciał porozmawiać z jej koleżankami. Ale żadna nic nie wiedziała.

- Jasne. - Carol kiwała głową zachęcająco. Na razie nie powie działam jej nic nowego. - A potem wybrałaś się, żeby pobiegać.

-Tak.

- I wtedy ją znalazłaś.

- Mmm. - Wyrzałam przez okno.

- Opowiedz mi o tym - zachęciła Carol po paru chwilach, kiedy dotarło do niej, że nie rozwinę tematu.

- Trudno mi sobie przypomnieć, co się stało. Zobaczyłam coś dziwnego, zrozumiałam, że to ciało, i zadzwoniłam na policję. Przyjechali, a dalej już wiesz, jak było.

- A kiedy sobie uświadomiłaś, że ją znasz? Kiedy rozpoznałaś Jenny?

- Nie wiem.

- Przyjrzałaś się uważnie ciału?

Znowu zobaczyłam gasnące światło dnia na zimnej białej skórze. Rząd suchych półksiężyców, które jej zęby zostawiły na dolnej wardze.

151

- Bytam za daleko - skłamałam gładko. Nadeszła pora ataku.

Carol dowiedziała się już dość. - Pewnie dużo wiesz o śledztwie, skoro się dowiedziałaś, że to ja znalazłam ciało.

- Mam swoje źródła. - Carol z zadowoleniem pociągnęła łyk herbaty.

- Co się dzieje? Mają podejrzanego?

- Sprawdzają parę osób, ale chyba niewiele wiedzą. Sekcja nie ujawniła nic szczególnego. Nic, co mogłoby się przydać w śledztwie. Ciało było zupełnie czyste.

Interesujące.

- Dowiedzieli się, jak umarła?

Carol łypnęła na mnie chytrze.

- Przecież ogłosili, że utonęła, prawda?

- A tak - mruknęłam. Zrozumiałam, że popełniłam błąd.

- Nie wyglądała na topielicę? Widziałaś ją. Dlaczego nie wierzysz w utonięcie? Nie leżała obok stawu?

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie zapomniałam.

Carol pokręciła głową z rozdrażnieniem.

- Nie, wiedziałaś, że w tym jest coś dziwnego. Wpuszczasz mnie w maliny, co?

- Ależ skąd - oznajmiłam tonem urażonej niewinności, który jej nie zwiódł.

- Doskonale wiesz, że ciało nie leżało nad wodą, prawda? Bo dziewczynka tam nie zginęła. Odkryli, że utonęła w wodzie z chemikaliami.

- Jak to? - spytałam, autentycznie zdziwiona.

-W kranówce. Utopiono ją w domu. W wannie, zlewie czy czymś podobnym - oznajmiła rzeczowo. Wsypała do herbaty łyżeczkę cukru i zamieszała energicznie, stukając łyżeczką o gruby porcelit.

Splotłam mocno ręce pod stołem, by Carol nie zauważyła, jak się trzęsą. Ktoś z zimną krwią odebrał Jenny życie - w łazience lub kuchni. Bezpieczne, znajome pomieszczenie stało się miejscem egzekucji.

152

- Jak sobie radzą Shepherdowie? - spytałam, nagle uświadomiwszy sobie, że między nami zapadła cisza.

- Matka jest oczywiście zrozpaczona - oznajmiła Carol z ustami pełnymi bułki z bekonem. - Nie powiedziała jednego użytecznego zdania. Albo ma odlot po prochach, albo płacze. Wątpię, żeby policja zdołała z niej coś wydusić. Ojciec... o, to zupełnie inna historia. Jest wściekły. Jeszcze nie widziałam takiej furii.

Kiedy po raz pierwszy go zobaczyłam, w oczach miał łzy. Gniew przyszedł później. Skubnęłam kanapkę.

- Ludzie różnie reagują.

- Ty o tym wiesz najlepiej.

Podniosłam głowę z nagłą nieufnością. Patrzyła na mnie oczami jak z kamienia.

- Zrobiłam rozeznanie, podobnie jak ty w bibliotece. I co znalazłam? Kolejne zaginione przed laty dziecko. Piętnaście lat temu, tak?

- Szesnaście. - Nie było sensu się wykręcać.

Carol uśmiechnęła się zimno.

- Właśnie. Byłaś dzieckiem, prawda? Dziwne, że cię w ogóle rozpoznałam, lecz przypominałam sobie od razu. Ależ się zdziwiłam, widząc cię w gazecie na zdjęciu wraz z twoimi biednymi rodzicami. Nie dałam się zwieść zmianie nazwiska, sprawdzenie go było bajecznie łatwe. Panięskie matki, tak?

Nie odpowiedziałam. Nie musiałam.

- Zaczęłam się zastanawiać... - Carol ugryzła kolejny wielki kęs kanapki i mówiła z pełnymi ustami: - Napiszę artykuł o tym, jak reaguje rodzina postawiona w takiej sytuacji. Wiesz, co się dzieje z tymi, którzy zostali.

Mimowolnie wydałam pomruk protestu. Carol dobrze go zrozumiała.

- Nie proszę cię o współpracę, po prostu cię informuję. Myślałaś, że nie zauważę, jak prowadzisz własne dochodzenie? Myślałaś, że ci to ujdzie płazem? To będzie fantastyczny, głęboko poruszający materiał, nie sądzisz? Dwie tragedie w jednym mieście, a ty je łączysz. To aż... no, szczerze mówiąc, upiorne. I tylko

153

ja to dostrzegłam, przez co artykuł staje się nadzwyczaj konkurencyjny.

- Słuchaj - powiedziałam słabym głosem. - Naprawdę nie chcę nic mówić.

- Nie, to ty słuchaj. Możemy to zrobić na dwa sposoby. Mogę z twoją pomocą napisać miły artykułek, od którego ludzie usmarkają się z żalości, albo pozbieram wszystkie plotki o tobie i twojej rodzinie, a zwłaszcza o twoim biednym tacie, bo wszyscy zaczęli podejrzewać, że wiedział więcej, niż mówił, prawda? A teraz jeszcze to. Uważam, że twój udział w tej sprawie jest jakiś dziwny. Żerujesz na tragediach czy co? Pewnie brakuje ci dawnej sławy. Wszyscy zapomnieli o Charliem. Myślisz, że to w porządku? Nie chcesz, żeby ludzie sobie o nim przypomnieli?

Nie odpowiedziałam. Pochyliła się, aż jej piersi położyły się i rozlały po zatłuszczonym laminowanym blacie.

- Wszystko zależy od ciebie. Albo ze mną porozmawiasz, albo nie. Mogę napisać bez ciebie. Albo... - Uśmiechnęła się. - Mogę iść do twojej matki.

- Nie! - jęknęłam. - Jej w to nie mieszaj.

- A to dlaczego? Pewnie ma parę ciekawych spostrzeżeń. -

Carol rozparła się na krześle. - Wiesz, że twój ojciec się zabił...

- Zginął w wypadku.

- Wypadek, który ustawił ciebie i mamę na resztę życia. Ładna sumka z ubezpieczenia. Twoja mama nie musiała już pracować.

Rzeczywiście, nie musiała i nie miała co z sobą zrobić. Wstałam i chwyciłam torbę, tak wściekła, że zaparło mi dech.

- Zanim stąd wybiegniesz, zastanów się przez chwilę - powiedziała Carol. - Jeśli będziesz ze mną współpracować, porozmawiamy sobie sympatycznie i opiszę cię jako aniołka. Nawet nie podam twojego nowego nazwiska. Masz szansę przedstawić swoją historię, a ja zyskam artykuł, który doskonale się sprzeda w nie dzielnych gazetach. Myślę, że się nada do "Sunday Timesa". Albo do "Observera". W każdym razie do gazety z górnej półki.

Zawahałam się, rozdartam. Nie ufałam Carol. Ale mogłam spokojnie założyć, że jest zdolna obsmarować mnie w gazecie.

154

^

- Bardzo się starałam zachować anonimowość. Nie chcę zostać sfotografowana. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie rozpoznał.
- Oczywiście. To nie problem. No, zastanów się... Wszystko zależy od ciebie. Wcale tak nie było. Powinnam ją wysłać do wszystkich diabłów. Wiedziałam, że z rozmowy z nią nie wyniknie nic dobrego. Ale nie mogłam ryzykować. Pokonana, przysiadłam na brzeżku krzesła.
- Co chcesz wiedzieć?

1992

Siedem tygodni od zaginięcia

Z

Łapach szkoły pierwszego dnia po wakacjach: kreda, świeża farba, środek dezynfekujący, nowe książki. Na środku klasy moja nowa nauczycielka - nowa w klasie i szkole. Jest wysoka i szczupła, ma bardzo krótkie ciemne włosy i zielone oczy. Nazywa się panna Bright.

Ostatnia osoba wchodzi do klasy. Podryguję, przejęta i trochę zdenerwowana. Tata kupił mi plecak i pasujący do niego piórnik z Piękną z "Pięknej i Bestii". Zauważam, że Denise Blackwell patrzy na nie, siadając obok mnie. Odwracam się do niej z uśmiechem. Zawsze chciałam się z nią zaprzyjaźnić. Ma niemal białe włosy i małe kolczyki, które ładnie migoczą, i tak wdzięcznie stoi, z palcami stóp skierowanymi na boki.

Denise, zamiast się uśmiechnąć, patrzy na mnie przez chwilę, po czym odwraca się i zaczyna szeptać z Karen Combes - Karen, która nieustannie chodzi z ciekącym nosem i zsiusiała się w majtki pierwszego dnia w szkole. Widzę, że szepczą o mnie: Karen się na mnie gapi, słuchając Denise. Marszczę brwi i podnoszę rękę, żeby zasłonić twarz.

Przy mojej ławce ktoś staje. Nauczycielka.

- Ojej. Już się nudzisz? Niedobry początek, co? Wyglądasz, jakbyś zasypiała. No, usiądź prosto. Wysł się.

156

Wszyscy się śmieją, trochę za głośno. Chcą, żeby panna Bright ich polubiła. Twarz mnie pali. Spuszczam głowę. Włosy zasłaniają mi twarz.

- Jak się nazywasz, śpioszku?

- Sarah Barnes - mówię bardzo cicho.

Panna Bright milczy przez chwilę. Potem głaszcze mnie po ramieniu.

- Nie martw się. Tylko uważaj, dobrze?

Podnoszę głowę i patrzę na nią. Zaczerwieniła się, jakby ze wstydu. Nie rozumiem. Potem do mnie dociera. Powiedziano jej, żeby była dla mnie miła z powodu Charliego.

Nie jestem już jak wszyscy. Stałam się inna.

Podczas przerwy pytam, czy mogę zostać w klasie. Mówię panie Bright, że nie czuję się dobrze. Pozwala mi siedzieć z głową opartą na rękach, podczas gdy wszyscy wychodzą na dwór się bawić. Od mojego oddechu na lśniącem pulpicie



ławki robią się chmurki. W klasie jest cicho, tylko zegar na ścianie tyka. Siedzę tam aż do przerwy obiadowej. Wszyscy idą do stołówki, a potem na dwór. Słyszę ich głosy za oknem, ich śmiechy i krzyki.

Dzwonek sygnalizuje koniec zajęć. Wstaję i ustawiam się wraz z innymi w kolejce do drzwi. Czuję, że wszyscy na mnie patrzą. Spuszczam wzrok na ręce, pobielające na uchwycie plecaka.

Mama się spóźnia. Inni rodzice też. Dzieci wszędzie biegają i skaczą, śmieją się i wrzeszczą na całe gardło. Ja wpatruję się w szkolną bramę. Za każdym razem, kiedy widzę ciemnowłosą głowę, serce bije mi mocniej, ale to ciągle nie ona. W końcu podchodzę do bramy, żeby zobaczyć ulicę, a potem wymykam się na zewnątrz. Na boisku jest zbyt hałaśliwie, głowa mnie boli.

Ledwie stawiam stopę za bramą, dociera do mnie, że to błąd. Po chodniku kręcą się dzieci, także moi koledzy. Denise podchodzi do mnie, Karen za nią. Nie mogę wrócić na boisko ani uciec. Za późno. Denise pochyla się nade mną i pyta cicho:

- Myślisz, że jesteś taka ważna?

Kręcę głową. Denise ma brzydką minę, mruży oczy.

157

- Przysłali nam list ze szkoły. Piszą, że mamy być dla ciebie mili. Płakałaś, kiedy twój brat uciekł?

Nie wiem, jak brzmi prawidłowa odpowiedź.

- Tak - mówię w końcu.

- Beksa - syczy Denise. Karen zaczyna się śmiać.

- Nie płakałam - mówię w rozpaczy. - Wcale!

- Nie kochasz brata? - To tym razem Karen. - Nie tęsknisz za nim?

Oczy mnie pieką, ale się nie rozplaczę. O nie. Denise jeszcze bardziej się zbliża.

- Mama mówi, że twój tata wie, gdzie jest Charlie. Mama mówi, że twoi rodzice ukrywają, co się z nim stało. Udają, że uciekł. Mój tata mówi, że pewnie nie żyje.

Wokół nas zbierają się inne dzieci. Ktoś uderza mnie mocno w plecy i wszyscy się śmieją. Odwracam się. Najbliżej stoi Michael Brooker. Jest czerwony z przejęcia, ale twarz ma nieprzeniknioną. Wiem, że to on - wszyscy spoglądają to na niego, to na mnie.

- Popchnąłeś mnie - mówię w końcu, a on robi wielkie oczy.

- Ja? Ja? Na pewno nie. Ktoś cię popchnął? To nie ja.

Stłumiony śmiech. Ktoś trąca mnie z drugiej strony. Odwracam się, spanikowana. Jest ich za dużo. Rozglądam się; w ich oczach widzę tylko złośliwość. Zanim udaje mi się wymyślić, co robić, ktoś sięga ręką przez tłum i chwyta mnie.

- Spieprzać, wszyscy - rzuca szorstki głos. Poznaję Danny'ego, najlepszego przyjaciela Charliego, który chodzi do szkoły na wzgórze. Danny jest teraz jak mój Anioł Stróż. - Chodź. Zaprowadzę cię do domu.

Toruję sobie drogę w tłumie kolegów i nikt mnie nie zatrzymuje.

- Mam poczekać na mamę.
- Pewnie na nią wpadniemy po drodze.

Ogarnia mnie fala wdzięczności do Danny'ego, który zawsze był dla mnie miły, nawet kiedy Charlie mówił, żeby nie zwracał na mnie uwagi.

- Dzięki, że ich przestraszyłeś.

158

1

- Matę gnojki. Wracalem ze szkoły i zobaczyłem was. Słuchaj, jeśli ktoś będzie ci dokuczał z powodu Charliego, powiedz mu, żeby spieprzał. A jak cię nie zostawi w spokoju, powiedz mi, a ja mu pokażę. - Zaciska pięści. - Dam mu taką lekcję, że popamięta.

Będę się tobą opiekować.

- Dopóki Charlie nie wróci - mówię i od razu tego żałuję, bo Danny markotnieje.

- Tak, dopóki nie wróci. - Odwraca się i trąca mnie lekko. -

Patrz, twoja mama. No, biegnij.

Zanim udaje mi się coś powiedzieć - choćby się pożegnać - Danny przechodzi przez ulicę, nie oglądając się na mnie. Mama stoi na rogu, marszcząc brwi. Zbliżam się do niej.

- Miałaś na mnie czekać.

Czuję, że znowu piła. Wzruszam ramionami.

- Nie wiedziałam, czy zamierzasz przyjść.

Wydaje mi się, że mama chce powiedzieć coś jeszcze - pokłócić się ze mną - ale tylko wzdycha. Wracamy do domu w milczeniu. Myślę o Danny'm, o tym, że chciał się mną opiekować, i po raz pierwszy od dawna czuję wewnętrzne ciepło.

## Rozdział 9

W

końcu musiałam pójść do domu. Carol skończyła, zebrała rzeczy i wypadła z kawiarni, nie proponując mi podwiezienia. W drodze powrotnej nastrój pogarszał mi się wprost proporcjonalnie do narastania bólu kolana.

Skrecając do Curzon Close, zobaczyłam dom Danny'ego Keane'a. Zagryzłam wargę. Zaczęło do mnie docierać, że dłużej go unikać nie mogę. Stanowił ważne połączenie z Charliem. Pora - i to od dawna - z nim porozmawiać, bez względu na to, co się wydarzyło między nami, choć na samą myśl o tym oblewałam się rumieńcem.

Pokreśliłam głową, jakbym mogła z niej wytrząsnąć to wspomnienie. Dawne upokorzenie nie stanie mi na drodze do prawdy. Świadomość tego, co przeszli Keane'owie, jakoś mi to ułatwiła. Oboje ocaleliśmy z katastrofy. Danny zrozumie jak nikt, co mną powoduje.

Dom Keane'ów wymagał remontu. Ze stojącego na pokrytym płytami podwórku samochodu wyciekał olej, tworząc tłustą plamę w kształcie Australii. Między płytami rosły chwasty. Z framugi drzwi zwisał na drutach przycisk dzwonnka, raczej

zniechęcający do użycia. We wszystkich oknach wisiały firanki - ukłon w stronę mieszczańskiej przyzwoitości - ale zszarzałe od brudu i miejscami podarte. Dom wyglądał jak niekochany, całkiem jak mój. Oba były martwymi wrakami. Przed domem nie widziałam motoru Danny'ego, ale i tak postanowiłam zapukać. Drzwi były tanie, akrylowe; wydały płaski, suchy dźwięk. Zostawione w drzwiach dziury na wizjer i skrzynkę na listy były puste. Ktoś zatkał je papierem toaletowym.

Staliśmy trochę zdenerwowani, bojąc się, że mama mnie zobaczy. Zastanawiałam się, jak długo mam czekać, zanim znowu zapukam albo dam za wygraną. Po chwili we wnętrzu domu rozległo się człapanie, ale nikt nie otworzył drzwi. Zapukałam jeszcze raz - z tym samym rezultatem - i nachyliłam się do dziury na skrzynkę.

- Dzień dobry... jestem Sarah. Sarah z naprzeciwka. Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam tylko porozmawiać z Dannym...

Drzwi otworzyły się, odsłaniając korytarz zastawiony kartonowymi pudłami i częściami niezidentyfikowanych maszyn. Bałagan i niezbyt czysto. Zza drzwi wyłoniły się włosy jak przetłuszczony mop i małe, podejrzliwe oko.

- Dzień dobry - spróbowałam jeszcze raz. - Jestem Sarah.

Mop nie odpowiedział.

- A ty jesteś... Paul?

- No - odpowiedział mop, kiwając mądrze głową.

- Mieszkam naprzeciwko - oznajmiłam, wskazując swój dom.

- I... kiedyś znałam twojego brata.

- Wiem, kim jesteś.

Zamarłam z otwartymi ustami. Paul powiedział to tonem, który mnie zaskoczył. Suchym, obojętnym, choć w jakiś sposób znaczącym. Trochę mnie to wytrąciło z równowagi.

- Świetnie - powiedziałam głupio. - No tak. My się nie znamy, prawda?

Zza drzwi wyłoniło się ramię, chyba tylko po to, żeby mógł nim wzruszyć.

- Miło cię poznać, Paul. Jest Danny?

- Poszedł do pracy - rzekł powoli, odrobinę drwiąco.

Idiotka ze mnie. Oczywiście, było wczesne popołudnie. Zwykli ludzie byli jeszcze w pracy. Ja nie, bo szkołę zamknięto. A to doprowadziło mnie płynnie do następnego pytania.

- Czemu jesteś w domu? Nie powinieneś być w szkole?

Mimo woli powiedziałam to belferskim tonem. W odpowiedzi Paul uśmiechnął się bezczelnie.

- Nie chodzę już do szkoły.

161

Pewnie miałam głupią minę, bo otworzył drzwi szerzej i pokazał mi się. Był otyły. Nie gruby - potwornie tłusty. Wysoki jak na swój wiek, lecz to mu nie poprawiało proporcji. Fałdy tłuszczu zwisały mu z ramion, piętrzyły się w zgięciach rąk. Pod

podkoszulkiem w rozmiarze namiotu rysowały się miękkie wałki. Miał na sobie poplamione spodnie od dresu. Jego obrzmiałe, zniekształcone stopy były bose, o długich, połamanych paznokciach, żółtawych w kontraście z sinoszarą skórą, wskazującą na złe krążenie. To ciało było zbyt obciążone, żeby sprawnie funkcjonować. Z trudem przeniosłam spojrzenie na jego oczy. Patrzył wyzywająco, ale dostrzegłam też odrobinę bólu.

- Dokuczali mi - wyjaśnił. - Teraz uczę się w domu.

- Ach tak - powiedziałam ze zrozumieniem. A jednocześnie pomyślałam, że samotna nauka w takim domu też nie jest łatwa.

- I jak ci się podoba?

- W porządku. Ma się to wysokie IQ. Zresztą szkoła była nudna.

- Kiedy Danny wróci?

- Nie wiem. Przychodzi, kiedy mu się podoba.

- No tak. - Zaczęłam się cofać. - Miło było cię poznać. Złapię Danny'ego kiedy indziej. Może mu powiesz, że o niego pytałam?

Paul wyraźnie był rozczarowany.

- Nie chcesz wejść?

Nie miałam najmniejszej ochoty. Paula nie było na świecie, kiedy zniknął Charlie, nic mi o nim nie mógł powiedzieć. Nie wiedziałam, kiedy wróci Danny, a nawet czy zdobędę się na to, żeby z nim porozmawiać. A w tym domu było brudno. Ale widziałam też, że Paul jest samotny. Skoro nie chodził do szkoły i prawie nie widywał Danny'ego, rzadko rozmawiał z ludźmi. Nigdy nie widziałam go na dworze - choć to niewiele znaczy, w domu zajmowałam się swoimi sprawami, a moje życie towarzyskie nie istniało. Lecz odnosiłam wrażenie, że Paul w ogóle nie wychodzi z domu. Ile miał lat? Dwanaście? Za młody, żeby siedzieć w zamknięciu. Gdybym odeszła, miałabym wyrzuty sumienia.

162

Czułabym się, jakbym go zawiodła. My, ocaleni z katastrof, musimy się trzymać razem.

- Dzięki - powiedziałam wesoło, przekraczając próg.

Mało brakowało, a wstrzymałabym oddech. W domu śmierdziało jak w szatni - brudnymi skarpetkami, mokrymi ciuchami i potem. Paul zamknął drzwi i zaprowadził mnie do kuchni. Ten dom był jak kalka naszego, ale korytarz wydawał się inny, ciemniejszy. Drzwi do salonu, zamknięte, były całe drewniane, a nasze przeszkłone, wpuszczały światło. Dotarłam do kuchni, gdzie w słońcu wirowały pyłki kurzu. Była ciepła i dość wygodna, z sofą pod ścianą i zavalonym książkami i papierzyskami stołem. Na jego środku stał laptop. Kuchnia służyła jednocześnie jako salon i choć panował w niej niebywały chaos, wyglądała dość przytulnie. Na suszarce piętrzyły się talerze i garnki, ale były umyte. Spiżarka ograniczała się do paru półek. Na ścianie widniały ślady po szafkach. Zostało ich tylko parę; w jednej drzwi się uchylili, ukazując rzędy hurtowych ilości puszek fasoli i pudełek płatków. Odrapana mikrofalówka w kącie wyraźnie miała za sobą wiele lat ciężkiej służby. W kącie obok

dużej, poobijanej lodówki brzęczała ogromna zamrażarka. Za to na lodówce stał drogi zestaw nagłaśniający do iPod'a, a na ścianie naprzeciwko sofy wisiał ogromny telewizor. Danny inwestował w rozrywkę, nie w remont.

- Usiądź - powiedział Paul.

Podeszłam do stołu i odsunęłam krzesło z winylową tapicerką. Przechyliło się gwałtownie, ledwie je puściłam. Dopiero wtedy dostrzegłam, że stoi chwiejnie na trzech nogach.

Za moimi plecami rozległ się chichot.

- Nie na tym. Noga jest tam, o. - Paul wskazywał blat kuchenny, na którym leżał kawałek drewna, z jednej strony najeżony drza zgami. - Danny ją wyłamał i...

Paul urwał zawstydzony. Udałam, że tego nie dostrzegam, i usiadłam na innym krześle.

- Herbaty? - Paul poczłapał do kuchenki.

- Bardzo chętnie. - Zmówiłam krótką modlitwę, żeby otrzymany kubek był wolny od śmiertcionośnych zarazków.

163

Paul krzątał się przy kuchni. Pomimo otyłości poruszał się szybko i zwinnie, choć wysiłek zrobienia herbaty przyprawił go

0 zadyszkę. W jego zachowaniu była jakaś podskórna pewność siebie, coś, czego nie spodziewałam się po chłopcu w tym wieku.

Zaczęłam lubić mojego sąsiada. Zauważył, że się mu przyglądam,

1 uśmiechnął się bezczelnie. Miałam wrażenie, że moja wizyta go ucieszyła, choć nie wiedziałam dlaczego.

- Mleka? - spytał, otwierając lodówkę zamasyście, ukazując kilka dwulitrowych kartonów tłustego mleka, piwo, czekoladowe desery i tacki z cheddarem i krojoną szynką. Żadnych warzyw ani owoców.

Czekał na odpowiedź z kartonem zawieszonym nad kubkiem.

- Kropelkę - powiedziałam szybko.

- Cukru?

- Nie, dziękuję.

Wrzucił do swojego kubka cztery czubate łyżeczki cukru i zamieszał. Skrzywiłam się, nagle niespokojna o moje szkliwo. Paul odsunął jakieś papiery i postawił przede mną kubek, po czym wyjął z szafki polewane czekoladą pełnoziarniste ciastka.

Pokręciłam głową, kiedy mi je zaproponował. Osunął się na krzesło naprzeciwko i wyjął z paczki trzy ciastka, które zanurzył na chwilę w kubku, po czym rozmiękle włożył wszystkie do ust. Patrzyłam zafascynowana, jak jego policzki wydymają się niczym brzuch pytona, który połknął żywą ofiarę.

- Trzeba je zjeść za jednym razem - wyjaśnił, kiedy zdołał przełknąć.

Skinęłam głową.

- Dobra technika.

- Ćwiczyłem.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Inteligentny chłopak, jak zresztą sam powiedział. Na stole obok niego stała piramida grubych książek; obróciłam ją, żeby przeczytać tytuły na grzbietach. Programowanie. Język programowania. Teoria informatyki. Matematyka wyższa. Filozofia technologii. Nie rozumiałam nawet tytułów.

164

- Lubisz komputery? - spytał Paul, otwierając książkę leżącą na wierzchu piramidy i przerzucając kartki. Od razu się rozpromienił i przez chwilę dostrzegłam małego chłopca ukrytego pod tymi fałdami rozciągniętej skóry.

- Niewiele o nich wiem - powiedziałam przepaszająco. -

A ty?

- Uwielbiam. Są genialne.

- I... dobrze sobie radzisz z komputerami? - Nie wiedziałam, o co go pytać.

- No - przyznał rzeczowo, bez pychy. - Zbudowałem własny.

Mam swój system operacyjny... bazuje na Linuksie, ale przerobiłem go po swojemu. Chcę się zajmować komputerami. - Oczy lśniły mu entuzjazmem. - Teraz też się nimi zajmuję.

- Jak to?

Wzruszył ramionami.

- Wszystko jest w internecie, nie? Nikt nie wie, że mam dwa naście lat. Testuję różne rzeczy, wypróbuję. Robię strony internetowe. Mam w Indiach przyjaciela, studiuje na uniwersytecie. Pracujemy nad równaniem, którego dotąd nikt nie rozwiązał. Myliłam się. Nie był tu uwięziony. Dopóki działało stałe łącze, mógł dotrzeć wszędzie, spotkać, kogo tylko zechciał, być sobą i nie narażać się na oceny.

- Skąd masz te książki?

- Głównie z internetu. Są używane, nie kosztują dużo. Czasami zamawiam książki w bibliotece; Danny mi je przywozi. Ale to nie jest fajne. Nie można ich trzymać, jak długo się chce. To wkurzające.

- Danny też lubi komputery?

Paul pokręcił głową.

- To nie dla niego. Danny zna się na mechanizmach - samocho-  
dach i tak dalej. Lubi używać komputerów, ale ich nie kocha.

Widać było, że Paul traktuje brata z politowaniem. Ja też niewiele wiedziałam o działaniu komputerów - ograniczałam się do e-maili i kupowania w sieci - ale nie chciałam, żeby Paul wrzucił mnie do jednego worka z innymi nieświadomymi użytkownika-

165

mi, takimi jak jego brat. Zaczęłam sądzić, że może uda mi się pomóc Paulowi. Mogłam go uratować, pchnąć na właściwe tory. Potrzebował tylko małej zachęty.

- Czyli kiedy Danny idzie do pracy, ty tu zostajesz, tak? - spy

tałam łagodnie, starannie usunawszy z mojego tonu krytyczne nutki.

- No. Nie muszę już wychodzić. Robię zakupy w internecie, a posłaniec je dostarcza. Danny kupuje resztę. Opiekuje się mną.

Różne są sposoby opieki. Danny dał bratu dach nad głową i pomógł mu po odejściu ze szkoły. Najwyraźniej zachęcał go do studiowania informatyki. Pewnie bardziej był mu rodzicem niż prawdziwy ojciec. Ale nie zrobił nic w sprawie tej katastrofalnej otyłości. Pozwalał Paulowi uciekać od problemów w szkole, zamiast się z nimi zmierzyć. Sytuacja nie była idealna.

Paul zjadł jeszcze dwa ciastka i otworzył książkę na spisie treści, kompletnie pochłonięty. Może niesprawiedliwie krytykowałam Danny'ego. W Paulu wyczuwałam jakąś stalową niezłomność ukrytą pod miękkim, obrzmiałym ciałem. Jeśli chciał jeść, czy ktokolwiek mógł go powstrzymać? To tak jakbym powstrzymywała matkę przed piciem. Czy powinnam się spodziewać, że Danny osiągnie coś więcej?

Oparłam brodę na dłoni, patrząc, jak Paul czyta. Chyba niechcący zrobiłam jakiś drobny ruch, bo łokieć pośliznął mi się na kartce i uderzyłam nim w stos książek, które posypały się z trzaskiem na podłogę. Zerwałam się i zaczęłam je zbierać, wygładzając pomięte strony i układając je równo. Paul z pewnym trudem pochylił się po parę arkuszy zapisanego maczkiem papieru, które pofrunęły pod jego krzesło. Stęknął przy tym jak staruszek, a mnie serce ścisnęło się na myśl o cierpieniach, które zmusiły go do szukania ulgi w jedzeniu. Dwunastoletni chłopiec nie powinien być niemal zupełnie niezdolny do pochylenia się po kartkę.

Ustawiłam na stole ostatnią partię książek i dopiero teraz zauważyłam gazetę, która wcześniej była pod nimi ukryta. Pod artykułem Carol Shapley znajdowała się relacja o śmierci Jenny

166

i jej duże kolorowe zdjęcie. Odłożyłam gazetę na bok, nie chcąc stawiać książek na zdjęciu Jenny. Jakoś wydawało mi się, że to brak szacunku. Paul także spojrzął na gazetę. Miał dziwną minę.

- Byłaś jej nauczycielką.

Zaskoczył mnie.

- Jenny? Tak. Skąd wiesz?

- Znałem ją z podstawówki. - Z bliska jego oczy nie przypominały świńskich, jak mi się wydawało. Były ciemnobrązowe i - przyznaję - piękne. Niemal ginęły w fałdach tłuszczu, w których zebrała się wilgoć. Paul wytarł ją brudną dłonią. - Wiesz, co ją spotkało?

Pokręciłam głową.

- Policja prowadzi śledztwo. Na pewno znajdą tego, kto jej to zrobił.

Zerknął na mnie, a potem na gazetę.

- Nie do wiary, że umarła.

- Często ją widywałeś?

Wzruszył ramionami.

- Od czasu do czasu. Pomagałem jej w matmie. Była śliczna.

Nigdy nie powiedziała mi nic niemiłego. Nie obchodziło ją... to. -

Wskazał swoje ciało, nagle skrępowany. Niespodziewanie się skrzywił, ukrył głowę w ramionach. Barki mu się trzęsły. Pogłaskałam go pocieszająco po ręce. Po chwili spojrzał na mnie z twarzą czerwoną i lśniącą od łez. - Tak jakoś... brakuje mi jej.

- Mnie też - szepnęłam, sama na granicy łez. - Mnie też.

Wychodząc, powiedziałam Paulowi, że nie powinien przez cały dzień siedzieć przed komputerem.

- Zastanów się nad powrotem do szkoły.

- Szkoła jest nudna.

- Szkoła to dla ciebie najlepsze miejsce - sprzeciwiłam się. -

W życiu istnieje coś więcej niż komputery. Kiedy ostatnio przeczytałeś książkę, która nie dotyczyła matematyki albo maszyn?

Przewrócił oczami.

167

- Dobrze, proszę pani. Przeczytam coś innego.

- I o to chodzi. - Pomachałam mu ręką i poszłam przed siebie, już zastanawiając się nad powieściami, które by mu się spodobały.

Wypożyczę je ze szkolnej biblioteki. Paul był najwyraźniej inteligentny, ale ktoś musiał mu poszerzyć horyzonty. Zamierzałam porozmawiać o tym z Dannym. A potem spytam o Charliego. Z nas wszystkich, okaleczonych - Charliego, mnie, Danny'ego, nawet mamy - może Paula dałoby się uratować.

Zapach domu Keane'ów przywarł do moich ubrań i włosów na wiele godzin. Nie wiedząc dlaczego, rzuciłam się do obsesyjnego sprzątanego całego domu - odkurzałam, zamiatałam, uporządkowałam łazienkę i mój pokój, ale nie salon, gdzie mama przez cały dzień siedziała przed telewizorem, a stojąca przed nią szklanka napełniała się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Kiedy tam zaglądałam, mama rzuciła mi spojrzenie, którego nie powstydziałaby się Meduza. Wycofałam się.

Dopiero gdy na kolanach szorowałam piekarnik, dotarło do mnie, że to reakcja na ten brudny dom naprzeciwno, gdzie wszystko się lepilo, a każdą powierzchnię pokrywały okruszki i kurz. Nie mogłam znieść myśli, że nasz dom wygląda tak samo dla kogoś z zewnątrz - zapuszczony, zaniedbany. Podlałam rośliny na kuchennym parapecie, choć były ledwie żywe i zdecydowanie niepiękne. Wypucowałam okna i podłogę do połysku, usunęłam zatechły zapach powietrza za pomocą silnego przeciągu i chemikaliów o aromacie cytrynowym. Wyjęłam nawet wszystko z kuchennych szafek i wyczyściłam je do samego dna. Na blacie pojawiły się przyrządy, których przeznaczenie z trudem kojarzyłam, nie mówiąc już o umiejętności ich używania. Za nimi na sfatygowanych przewodach ciągnęły się wtyczki. Wątpiłam, żeby spełniały współczesne normy bezpieczeństwa. Wyglądały, jakby miały stanąć w płomieniach od razu po włączeniu. Znalazłam blendery, miksery, a nawet coś, w czym ze zdumieniem rozpoznałam jogur-townicę. Bez



namysłu wypełniłam całe pudło przedpotopowym sprzętem. Pod drzwiami rzucono nam ulotkę z prośbą o dary na cele dobroczynne. Ktoś miał się zgłosić po niechciane domowe sprzę-

168

ty w sobotę rano. Te przedmioty zdecydowanie kwalifikowały się jako niechciane. Szczerze mówiąc, nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby ktoś zechciał je mieć, ale z całą pewnością było to lepsze niż wyrzucenie ich do śmieci. W głębi kolejnej szafki, za stosem talerzy w różowe kwiaty - nie pamiętałam, żebyśmy ich kiedykolwiek używali - znalazłam mały plastikowy talerzyk i kubeczek w truskawki. Przykucnęłam, obracając je w dłoniach. Nie widziałam ich od lat. Zanim poszłam do szkoły, tylko ich używałam. W albumie jest nawet zdjęcie mamy i moje w ogrodzie. Miałam wtedy jakieś trzy lata. Jadłam kanapkę z mojego ulubionego talerzyka, a mama trzymała mi nad głową parasolkę i śmiała się ze mnie. Było pewnie lato, mama miała na sobie pasiastą sukienkę na cienkich ramiączkach. Wspomnienie tej chwili z mamą jest wyraziste i promienne. Miłość, wyrozumiałość, opieka, czułość - kiedyś je znałam. Dramat Charliego był także moim.

Zamrugalam, walcząc ze łzami. Z jakiegoś powodu fakt, że mama zachowała talerzyk i kubek, dotknął mnie w samo serce. Oczywiście mama obsesyjnie gromadziła najróżniejsze przedmioty, ale to zawsze miało związek z Charliem, z udawaniem, że od czasu jego zniknięcia nic się nie zmieniło. A to było coś innego. Tu chodziło o mnie. Co więcej, coś podobnego mogłaby zrobić normalna matka. Była to jedyna, cieniutka nitka łącząca mnie z kobietą, której nigdy nie zdołałam poznać. O tym rozmawiałybyśmy ze śmiechem, gdyby sytuacja potoczyła się inaczej. Gdyby nasze życie się nie rozpadło. Z westchnieniem schowałam talerzyk i kubeczek do szafki i sprzątałam dalej.

Skończyłam, kiedy się ściemniało. Wywlokłam pudło starożytnych sprzętów elektrycznych na koniec ścieżki, gdzie zbieracze darów musieli je zauważyć. Wyprostowałam się, oparłszy ręce o biodra. W tej samej chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu. Odwróciłam się gwałtownie, pewna, że ktoś za mną stoi. Serce mi łomotało. Adrenalina powoli się ulotniła na widok pustej szosy z rzędami domów o pustych oknach, jak dekoracje w filmie o Dzikim Zachodzie. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku. Spojrzałam w lewo i prawo, wyciągając wzrok, żeby sprawdzić, czy w cieniu nikt się

169

nie ukrywa, po czym ruszyłam do domu. Czulałam się trochę głupio, ale zanim zaryglowałam drzwi, jeszcze raz obrzuciłam ulicę spojrzeniem. No, ale miałam jeszcze pamiętki po mojej niedawnej bezmyślnej brawurze. Od tej pory, pomyślałam, czując zagrożenie, będę się zachowywać stosownie do sytuacji. Zagłuszanie własnego instynktu może mnie kosztować życie.

Oczywiście można mieć na drzwiach dowolnie dużo zamków i rygli, ale na nic się nie przydadzą, jeśli otwiera się każdemu, kto zadzwoni. Wszystko to wiedziałam. Jednak wbrew faktowi, że minęła już dziesiąta, a ja nikogo się nie spodziewałam, pobiegłam do drzwi, kiedy echo dzwonka jeszcze wibrowało w powietrzu.

Rozdygotana, z łomoczącym sercem, otworzyłam drzwi, nie zdejmując łańcucha. Przez szczelinę ujrzałam wielki bukiet lilii i róż otulonych w lśniący celofan i ozdobionych zwiniętą spiralnie wstążeczką. Kwiaty drżały zachęcająco. Zasłaniały osobę, która je trzymała.

- Kto tam? - spytałam.

Jakoś się nie zdziwiłam - choć poczułam rozczarowanie - kiedy zza bukietu wyjrzał Geoff.

- Nie takiego powitania się spodziewałem, ale niech będzie. -

Oczy lśniły mu podnieceniem, a uśmiechał się, jakbyśmy razem splełali figła. - Chciałem ci to dać.

Odpowiedziałam kamiennym spojrzeniem bez zachwyty.

- Dlaczego?

- Musi być jakiś powód?

- Żebyś kupił mi kwiaty? Tak, zdecydowanie.

Geoff westchnął.

- No, to niech będzie: zobaczyłem je i pomyślałem, że są piękne jak ty. - Pchnął drzwi. Łańcuch szczęknął. - Nie otworzysz?

- Zostawię tak, jak jest - powiedziałam, powstrzymując impuls, by przytrzasnąć mu rękę.

Roześmiał się z lekkim przymusem.

170

- Bukiet się nie zmieści w tej szczelinie. Chyba że mam je wrzuć cię do środka jeden po drugim.

- Nie rób tego. Słuchaj, Geoff, nie chcę być niewdzięcznicą, ale nie potrzebuję kwiatów.

- Nikt nie potrzebuje kwiatów. Ale ludzie lubią je mieć.

Zacisnęłam palce na klamce, zdobywając się na odwagę.

- Nie ja.

- Szkoda. No, skoro nie, to nie. - Wyrzucił bukiet przez ramię.

Kwiaty upadły z pacnięciem. Zanim zdążyłam zareagować, wsunął rękę w szczelinę, przesunął nią po moim biodrze i przyciągnął mnie do siebie. - Niebanalne, ale skoro chcesz to tak rozegrać...

Odskoczyłam poza jego zasięg.

- Nie chcę niczego rozgrywać. Co ty wyprawiasz, do cholery?!

Znowu napał na drzwi - i to mocno. Twarz mu poczerwieniała.

- Na miłość boską, jestem tylko miły, nic więcej. Dlaczego się zachowujesz, jakbym ci zagrażał?

- Bo czuję się zagrożona.

- Chciałem ci dać kwiaty - ciągnął, jakbym się nie odezwała.

ła. - Tylko kwiaty. Nie ma potrzeby tak się ciskać. Powiedziałaś, że chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi. Sama tak powiedziałaś. Nie zachowujesz się jak przyjaciółka.

- Może czegoś ci nie wiadomo o przyjaźni. - Zrozumiałam

z niepokojem, że nie skłonię go do odejścia i odczepienia się ode mnie, jeśli nadal będę miła. Usiłowałam go ignorować. Usiłowałam być miła, lecz zdecydowana. Pora na obcesowość. - Przepraszam, jeśli wprowadziłam cię w błąd. Nie jestem tobą zainteresowana. Nawet cię niespecjalnie lubię, jeśli mam być szczerą. Daj mi spokój i już. - Tego nie zdoła źle zinterpretować.

Zagryzł wargę i uderzył we framugę tak mocno, że pewnie stłukł sobie rękę, choć tego chyba nie zauważył. Cofnęłam się do schodów. Serce tłuło mi się w piersi.

- Zawsze chodzi tylko o ciebie! - krzyknął. - Nie obchodzi cię, czego chcę ja!

- Zawsze chodzi o ciebie. Nie słuchasz. Nie zwodziłam cię.

Nigdy nie umawiałabym się z kolegą z pracy. A nawet gdybyś

171

nie pracował w szkole, nigdy byś mi się nie spodobał. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. - Pokręciłam głową. - Geoff, na miłość boską, ty mnie w ogóle nie znasz.

- Bo kiedy chcę się zbliżyć, uciekasz. - Westchnął. - Przestań ze mną walczyć. Dlaczego nie pozwolisz mi się poznać? Bo się mnie boisz? Boisz się, że coś dla odmiany poczujesz? - Zniżył głos. - Wiem, że tylko udajesz taką lodową królową. Mógłbym cię uszczęśliwić. Wiem, co lubią kobiety. Mógłbym cię nauczyć kochać siebie i swoje ciało tak jak ja.

Mimo woli parsknęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać.

- Naprawdę myślisz, że jestem oziębła, bo nie chcę się z tobą przespać?

- No to w czym problem? - spytał z urazą. Zupełnie nie mógł pojąć, że nie jest dla mnie pociągający.

- Nie lubię cię. Nie podobasz mi się. I, szczerze mówiąc, nie ufam ci.

- Cudownie. Uroczo. Jak ci się zdaje, jak się czuję? Zadałem sobie wiele trudu, żeby być dla ciebie miły, żeby tu z tobą być, a w zamian nic nie dostaję. Zawsze cię lubiłem, choć bywasz czasem zarozumiałą suką, ale mam już dość.

Założyłam ręce na piersi. Może w końcu rzeczywiście mu się odechciało. Niech ma ostatnie słowo, pod warunkiem że to będzie ostatnie słowo, jakie w ogóle od niego usłyszę.

- Pewnie uważasz, że zachowałem się jak dupa. No i pięknie. Wcale mnie to nie dziwi. - Przez chwilę krążył pod drzwiami. - Wiem, że śmierć tej dziewczynki cię zdenerwowała, i myślałem, że pomogę ci przez to przejść. Gdybyś pozwoliła mi sobie pomóc...

- Nie potrzebuję twojej pomocy - powiedziałam cicho.

Wycelował we mnie palec przez szparę w drzwiach.

- Potrzebujesz, tylko o tym nie wiesz, ale ja wiem. Nie porzucę cię, nie pozwolę ci przechodzić przez to samotnie, nawet jeśli tego chcesz.

Usiadłam na stopniu schodów i oparłam głowę na rękach.

- Dlaczego mnie nie zostawisz?

172

- Bo jesteś dla mnie ważna.

Nie byłam ważna. Ważne było zaliczenie mnie. Był zdobywcą i nie mógł znieść przegranej - ot i wszystko. Nie mogłam ścierpieć jego widoku. Poklepał drzwi.

- Może byś otworzyła? Wolałbym z tobą porozmawiać jak należy.

- Nie chcę. Jestem bardzo zmęczona. Wracaj do domu.

- Daj spokój, wpuść mnie. Co mam powiedzieć, żeby cię przekonać?

- To nie tak. - Skrycie modliłam się, żeby już poszedł. - Muszę mieć trochę czasu dla siebie. Eee... dałeś mi do myślenia.

Pokiwał głową.

- Dobrze. Dobrze, to uczciwe.

- Pójdiesz do domu?

- Tak. Za chwilę.

- Za chwilę?

Machnął rękę za siebie.

- Trochę się tu pokręcę. Dopilnuję, żeby wszystko było zabezpieczone. Ktoś powinien nad tobą czuwać. Cieszę się, że masz na tych drzwiach dobry, mocny łańcuch. Kręci się tu mnóstwo dziwnych typów. Jesteś bezbronna, wiesz o tym? W tym domu, sama, tylko z matką...

Zmarszczyłam brwi. Nie wiedziałam, czy mu się coś nie odmieniło i nie stara się teraz mnie zastraszyć. Bałam się, choć tego nie zdradzałam. A jego ta rozmowa nakręciła, nie zniechęciła. Wcale mi się to nie podobało, nie ufałam mu i znowu naszło mnie mocne przeświadczenie, że to on mógł mnie napaść. Roześmiałam się z przymusem.

- Nie czuję się bezbronna. Za to czuję się zmęczona. Idę spać.

Proszę, nie kręć się tu długo.

- Tylko chwilkę. Jutro się zobaczymy.

- Dobrze - powiedziałam, klnąc w duchu.

Zszedł z ganku i pomachał mi wesoło, znowu przedzierzgnięty w sympatycznego gościa. Ruszył ścieżką. Zamknęłam drzwi

173

na wszystkie zamki i zasuwę. Kiedy wyjrzałam przez okno, Geoff siedział na murze na końcu ogrodu, paląc papierosa. Wyglądał jak właściciel domu.

Drgnęłam, słysząc hałas za plecami. Mama stała w progu salonu.

- Kto to był?

- Nikt.

- Coś długo z tym nikim rozmawiałaś. - Pociągnęła łyk

ze szklanki. Oczy lśniły jej niebezpiecznie. - Czemu go nie zaprosiłaś? Wstydzisz się mnie? Bałaś się, że twój przyjaciel źle o tobie pomyśli?

- To nie jest mój przyjaciel, mamó - jęknęłam. Czułam rozpaczliwe zmęczenie. - Nie chciałam, żeby tu wszedł. To nie ma nic wspólnego z tobą. - Nagle tknęła mnie myśl, od której przeszło mnie dżgnięcie strachu. - Nie rozmawiaj z nim, jeśli go spotkasz. Nie otwieraj drzwi, dobrze?

- Będę otwierać drzwi własnego domu, jeśli mi się spodoba - wycedziła. - Nie pouczaj mnie.

- Świetnie. - Uniosłam ręce. - Wpuść go, jeśli chcesz. - Kogo to obchodzi?

Mama zrozumiała, że szansa na kłótnię wymyka się jej z ręki, straciła zainteresowanie i ruszyła na górę. Patrzyłam na jej powolną, chwiejną wspinaczkę i zachciało mi się płakać. Nie wiedziałam, co mam zrobić z Geoffem, i nie miałam z kim porozmawiać. Nie wiedziałam, czy nie przesadzam. Miałam tylko podejrzenia. Dowody, że mnie lubił, nic więcej. Fakt, że dostawałam od tego gęsiej skórki, nie miał dla policji znaczenia.

No, dla jednego policjanta by miał. Gdybym się ośmieliła, mogłabym poprosić Blake'a, żeby się go pozbył. Geoff mu się od razu nie spodobał. Chodzili wokół siebie jak psy przed walką. Postawiłabym wszystkie pieniądze na Blake'a.

Powędrowałam do salonu i usiadłam na sofie, stłumiwszy ziewnięcie. Najpierw się wyśpię, potem zdecyduję, co dalej. Geoff znajdował się na szczęście poza domem, my - bezpiecznie zamknięte w domu. A rano pewnie wszystko będzie się przedstawiać o wiele jaśniej.

1992

Trzy miesiące od zaginięcia

I dziesz cudowną plażą, słońce stoi wysoko na niebie - mówi głos za moimi plecami, śpiewnie przeciągając sylaby.

Iiiiiidziesz. Cuuudooowną. Nudzę się. Muszę się zachowywać cichutko, nie ruszać się i nie otwierać oczu, i słuchać tej pani, która ciągle gada o plaży.

- A piasek jest czysty, biały i drobnutki, śliczny i ciepły pod twoimi bosymi stopami.

Myślę o tym, kiedy ostatni raz byłam na plaży. Chcę o tym opowiedzieć tej pani, Olivii. To było w Kornwalii. Charlie kazał mi stanąć blisko morza i wykopał wokół mnie fosę. Była bardzo głęboka i szeroka, a kiedy fale dotarły do kanału, który także wydrążył, woda popłynęła nim z sykiem i wypełniła fosę. Nie bałam się, dopóki piaszczysta wysepka nie zaczęła się pode mną rozsypywać. Tata mnie uratował. Podwinął nogawki i wszedł w wodę, wziął mnie na ręce i zaniósł do mamy. Nazwał Charliego niebezpiecznym idiotą.

- Idiota - mamrocę teraz cicho, najcichszym szeptem.

Olivia mówi jeszcze wolniej. Słucha samej siebie, skupiona.

Wcale mnie nie słyszy.

- Teraz cofniesz się w czasie. - Nagle ogarnia mnie chęć, żeby

się poruszyć, roześmiać albo tupnąć nogą. - Jesteś tu całkowicie bezpieczna.

175

Wiem, że jestem bezpieczna. Odrobinę uchylam powieki. Zasłony są zaciągnięte, choć jest środek dnia. Ściany mają różowy kolor. Za przygniecionym gazetami biurkiem stoi biblioteczka z książkami. Nic ciekawego. Znowu zamykam oczy.

- Zatem cofnijmy się do dnia zniknięcia twojego brata - szemrze Olivia. - Jest lato. Co widzisz?

Wiem, że mam wspominać Charliego.

- Mojego brata - ryzykuję.

- Dobrze. I co robi?

-Gra.

-W co?

Powiedziałam wszystkim, że Charlie grał w tenisa. Olivia się spodziewa, że powiem o tenisie.

- W tenisa - mówię.

- Jest sam?

-Nie.

- Kto jeszcze jest przy nim?

-Ja.

-I co robisz?

- Leżę na trawie - mówię bez wahania.

- I co się wtedy dzieje?

- Zasypiam.

Chwila milczenia.

- Dobrze, doskonale sobie radzisz. Teraz przypomnij sobie, co się stało, zanim zasnąłaś. Co widzisz?

- Charlie gra w tenisa. - Zaczyna mnie to drażnić. W pokoju jest gorąco. Krzesło, które zajmuję, ma lśniąca plastikowe siedzenie. Nogi mi się do niego kleją.

-I co jeszcze?

Nie wiem, co chce ode mnie usłyszeć.

- Czy ktoś przychodzi? Czy ktoś rozmawia z Charliem?

- Nie... nie wiem - mówię wreszcie.

- Myśl! - Słyszę w głosie Olivii ożywienie. Zapomniała, że ma być spokojna.

Już się namyślałam. Pamiętam, co pamiętam. Nic więcej.

176

- Jestem głodna - mówię. - Mogę iść?

Za moimi plecami rozlega się westchnienie i kłapanie zamykanego notesu.

-Wcale cię nie zahipnotyzowałam, prawda? - Olivia staje przede mną. Twarz ma różową, wargi spierzchnięte.

Wzruszam ramionami.

Olivia przesuwając dłoń po włosach i znowu wzdycha.

Kiedy wychodzimy na korytarz, rodzice podrywają się z miejsc.

- I jak? - pyta tata, ale zwraca się do Olivii, która kładzie mi dłoń na karku.

- Dobrze. Naprawdę robimy postępy - mówi, a ja spoglądam na nią z zaskoczeniem. Uśmiecha się do rodziców. - Proszę ją przy prowadzić w następnym tygodniu, spróbujemy jeszcze raz.

Widzę, że rodzice są rozczarowani. Mama się odwraca, tata sięga do kieszeni.

- Powiniennem zapłacić... - zaczyna.

- Nie trzeba - rzuca szybko Olivia. - Może pan uregulować należność po ostatniej sesji.

Ojciec kiwa głową i uśmiecha się z trudem.

- Chodź. - Wyciąga do mnie rękę. Olivia lekko potrząsa mnie za kark i odpycha od siebie. Czuję, że to ostrzeżenie. Uwolniona, biegnę do taty. Mama jest już w połowie korytarza.

Wracamy do domu samochodem. Deszcz spływa po szybach i stuka w dach, a ja mówię rodzicom, że nie chcę wracać.

- Nie chcę tego słuchać - oznajmia mama. - Wrócisz, czy ci się to podoba, czy nie.

- Skoro mała nie chce... - usiłuje negocjować tata.

- Dlaczego zawsze bierzesz jej stronę? - pyta mama piskliwym, gniewnym głosem. - Rozpuszczasz ją. Nie obchodzi cię, ile to dla mnie znaczy. Nie obchodzi cię własny syn!

- Nie bądź śmieszna.

- Co jest śmiesznego w tym, że robimy wszystko, żeby go znaleźć? - Mama wskazuje kciukiem za siebie, w moją stronę. - Tylko ona łączy nas z tym, co go spotkało. I nie może... albo nie chce powiedzieć, co się stało. To pomoże także jej.

177

Nieprawda. Doskonale o tym wiem.

- Minęły miesiące - mówi tata. - Jeśli widziała albo słyszała coś ważnego, już byśmy o tym wiedzieli. Musisz dać spokój. Musisz nam pozwolić dalej żyć.

- Jak, do cholery? - rzuca mama załamującym się, drżącym głosem. Odwraca się i patrzy na mnie. - Nie chcę słyszeć ani słowa skargi. Wrócisz tam i porozmawiasz z Olivią. Powiedz jej, co się wydarzyło, co widziałaś, bo jak nie... jak nie...

Szyba za mną zaparowała. Wycieram rękawem okienko, żeby patrzeć na samochody i ludzi. Staram się nie słyszeć płaczu mamy. To najsmutniejszy dźwięk na świecie.

Rozdział 10

R

lanek nadszedł o wiele wcześniej, niż się spodziewałam. Blask słońca pulsował za

zasłonami. Nie od razu się zorientowałam, że jest jaśniejszy niż zimny błękit świtu - poza tym światło świtu nie miga regularnie dwa razy na sekundę.

Podparłam się na łokciu. Jak w potrząśniętym kalejdoskopie, hałas z zewnątrz nagle rozpadł się na poszczególne rozpoznawalne odgłosy. W drzewach pod moim oknem ptaki ćwierkały ostro, z niepokojem i urazą, że się im przeszkadza. Radiostacje trzeszczały i skrzeczały, jakby się z nimi kłóćąc, a głosy mamrotały niewyraźnie, natarczywie. Warczały silniki - więcej niż jeden. Po chwili w zaułek wjechał z rozpędem następny samochód i zahamował głośno. Ktoś się spieszy, pomyślałam, siadając i odgarniając włosy z twarzy. Potem kroki, równe i zdecydowane, za blisko domu, żebym mogła się nie zaniepokoić. Zachrobotał kopnięty okruch żwiru. Zadrzałam, nagle nie chcąc wiedzieć, co się stało. Omal się nie odwróciłam na drugi bok i nie schowałam głowy pod kołdrę.

Nic z tego. Wyskoczyłam z łóżka, dopadłam dwoma krokami okna i odchyliłam zasłonę. Nadal była noc, a w każdym razie bardzo wczesny przedświt. Dwa radiowozy stały po obu stronach jezdni, migając światłami w synkopowanym rytmie. Tuż przed domem stała karetka z otwartymi tylnymi drzwiami. Za półprzezroczystymi szybami z boku dostrzegłam ruch. Wokół ambulansu stała mała grupka policjantów; z zaskoczeniem rozpoznałam Blake'a. To jego samochód wjechał z takim rozpędem w zaułek. Blake zostawił go krzywo zaparkowany, z otwartymi drzwiami. Vickers siedział na miejscu pasażera, osłaniając oczy przed światłem lamp-  
179

ki. Bruzdy na jego twarzy stały się głębsze i ciemniejsze, ale nie wiedziałam, czy to złudzenie optyczne, wina wczesnej godziny, czy też oznaki dręczącej troski. Może wszystko naraz.

Puściłam zasłonę i oparłam się o ścianę. Nie rozumiałam, co widzę. Nie wierzyłam własnym oczom. Gdybym spojrzała znowu i przekonała się, że ulica jest pusta, właściwie bym się nie zdziwiła. W widoku tych wszystkich ludzi na moim progu - dosłownie - było coś surrealistycznego. Znowu wyrzesałam na zewnątrz, prosto na czubek głowy mężczyzny, który szedł w stronę jezdni, oddalając się od moich drzwi. Co tu robił? Co się działo? Skąd tu tyle policji?

Na końcu ulicy stał samochód z mleczarni. Obok niego stał mleczarz, skulony na chłodzie, w odblaskowej kamizelce. Rozmawiał z policjantami. Funkcjonariusz w mundurze słuchał cierpliwie, kiwając głową, ale nie robił notatek. Przysunął do ust nadajnik, jakby tylko czekał na okazję, żeby się odezwać. Miałam nadzieję, że ten mleczarz nie ma kłopotów. Był miły, pracował o świcie, między ostatnim pohukiwaniem sów i pierwszymi trelami skowronków, krzątał się bezgłośnie w mrocznym świecie. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co mógłby zrobić, żeby obudzić zainteresowanie tylu policjantów. W dodatku przyjechała karetka.

Okno, przy którym stałam, pokryło się mgłą. Niecierpliwie przesunęłam się na jego drugą stronę. Ten ruch zwrócił uwagę Vickersa, który wysiadł z samochodu i rozmawiał z Blakiem, opierając się o otwarte drzwi. Gdy się ruszyłam, spojrzał prosto w moje oczy. Mówił dalej, nie reagując, ale nie odwrócił wzroku. Blake zerknął na mnie przez ramię, tak szybko i niedbale, że wydało mi się to obraźliwe, po czym odwrócił się do Vickersa i skinął głową. Zrozumiałam, że nie dadzą mi



spokojnie się przyglądać. Z wysiłkiem zerwałam kontakt z błękitnym, przenikliwym spojrzeniem Vickersa i ruszyłam do garderoby. Chciałam zejść na dół, zanim ktoś zadzwoni i obudzi mamę - miałyśmy dość problemów i bez jej histerycznej reakcji na widok tłumu policjantów na progu.

Wywlekłam z dna szafy parę uggów i wciągnęłam je na spodnie od piżamy.

Włożyłam przez głowę polar, nie tracąc czasu na roz-

180

pinanie suwaka. Policjanci wyglądali na zmarzniętych. Zacierali ręce, a z ust unosiły się im obłoczki pary. Potrzebowałam paru warstw.

Ze sto lat otwierałam drzwi wejściowe. Klucze wypadały mi z rąk, zasuwy stawiały opór. Na zewnątrz widziałam jakąś sylwetkę; miałam nadzieję, że Blake zrozumie, iż staram się otworzyć drzwi, że nie ma potrzeby naciskać dzwonka ani pukać, że jeśli to zrobi, mama na pewno się obudzi... Ostatnia zasuwa zgrzytnęła i otworzyłam drzwi. Na widok mojej piżamy w krówki wystającej spod polaru na twarzy Blake'a przez chwilę mignęło rozbawienie.

- Ładne wdzianko.

- Nie spodziewałam się gości. Co się dzieje? Co to za zamieszanie?

- Dostaliśmy telefon... - zaczął i urwał z irytacją, kiedy go uciszyłam. - No co?

- Nie chcę, żeby mama się dowiedziała, że tu jesteś.

Sięgnął obok mnie i wyjął z zamka klucze, po czym zamknął drzwi za mną. Począpalałam za nim przez ścieżkę, nagle skrępowana, bo zauważyłam, jak wiele osób się nam przygląda. Przy furtce ogrodu powiedziałam:

-Wystarczy. I chciałabym odzyskać klucze, jeśli to nie kłopot.

- Proszę bardzo. - Upuścił klucze na moją rękę, a ja schowałam je do kieszeni, ukryłam przed spojrzeniami innych, zacisnęłam w dłoni. - Powiem ci, po co tu przyjechaliśmy, jeśli ty mi powiesz, co twój kumpel Geoff robił w tych twoich dzikich ostępach. Nie mieszka blisko, a jednak go tu znaleźliśmy w środku nocy. Czy to przypadkiem ma coś wspólnego z tobą?

Omiał nie zemdląłem.

- Narobił kłopotów? Myślałam, że się uspokoi i pójdzie do domu.

Coś mignęło w oczach Blake'a, a twarz mu skamieniała w wyrazie chłodnego rozbawienia, w którym nauczyłam się rozpoznawać jego pokerową minę.

181

- Czyli przyjechał tu do ciebie.

Przestąpiłam z nogi na nogę.

- No, przyjechał. - Ale nie zapraszałam go i nie wpuściłam do domu.

Blake czekał, milcząc. Zagryzłam wargę.

- Przyniósł kwiaty. Wielki bukiet. Ja... ja ich nie chciałam.

- Przypadkiem te?

Leżały na środku ogrodu tam, gdzie rzucił je Geoff - nieładna sterta połamanych łodyg i zmiętych płatków. Folia zaparowała.

- Nie chcę, żeby Geoff miał kłopoty - powiedziałam całkiem szczerze ku mojemu wielkiemu zdziwieniu. - Wczoraj trochę przesadził. Na pewno nie chciał zrobić nic złego. Był trochę sfrustrowany, że nie...

- Odwzajemniłaś jego uczuć - podsunął Blake.

- Dzięki. Tak. Dlatego zostawiłam go na dworze, żeby się uspokoił.

- Która była godzina?

- Jakies w pół do jedenastej. - Zmarszczyłam brwi, usiłując sobie przypomnieć. - Zadzwoił po dziesiątej i jakiś czas rozmawialiśmy. Nie mogłam się go pozbyć.

- I nie wpuściłaś go do domu.

- Nawet nie zdjęłam łańcucha z drzwi. Był w dziwnym nastroju.

- Przestraszył cię?

Spojrzałam na Blake'a i nagle zrozumiałam, że jest zły. Wściekły. Ale nie na mnie.

- No... tak. Nie wiem, czy słusznie się go bałam, ale sytuacja wymknęła się spod kontroli. Geoff nie przyjmował odmowy. -

Niespodziewanie łzy napłynęły mi do oczu. Zamrugałam i zamilkłam na chwilę, ratując resztki spokoju. - Lepiej mi powiedz, co zrobił.

Sanitariusz wyskoczył z ambulansu, pobiegł do szoferki. Zawrócił samochód i opuścił Curzon Close, nadal migając światłami. Za nim pojechał radiowóz, także z włączonym kogutem. Dotarły na szosę i ryknęły syrenami. Może mi się wydawało, ale na twarzy Blake'a dostrzegłam współczucie. Zanim się ode-

182

zwał, spojrzał nad moim ramieniem i wyprostował się z obojętną miną.

- Witam, szefie. Sarah pytała o pana Turnbulla.

Odwróciłam się. Z bliska Vickers bardziej niż kiedykolwiek przypominał zółwia, pomarszczonego i stareńkiego.

- Kiepska sprawa - powiedział. - Słyszałaś coś? Coś niezwykłego?

Pokręciłam głową, oplatając się ramionami. Nagle zrobiło mi się zimno.

- Co? Co powinnam usłyszeć?

Obaj wymienili spojrzenia. W końcu Blake się odezwał:

- Zadzwoił do nas Harry Jones, miejscowy mleczarz, mniej więcej... - spojrzał na zegarek - czterdzieści pięć minut temu.

Coś znalazł.

Zamiast mówić dalej, Blake znowu położył mi rękę na ramieniu i pociągnął mnie za sobą. Tym razem nie oponowałam. Przeszłam przez furtkę. Po lewej stronie stał samochód Geoffa, dwoma kołami na chodniku, odwrócony do mnie tyłem. Prawą

oponę miał przeciętą i sflaczałą. Szyba z tyłu pokryła się siecią pęknięć; na asfalcie lśniły okruchy szkła. Uniosłam rękę do ust. Zrobiłam parę chwiejnych kroków. Boczne okna były czarne i puste, szkło rozbite na kawałki, zębate odłamki szczyrzyły się z framug.

- Dlaczego Geoff zniszczył swój samochód? - spytałam Blake'a, nadal nie pojmując.

- Nie zniszczył. Mleczarz znalazł go na przednim siedzeniu. Wyglądał nie lepiej niż ten golf.

- Co?! - Serce mi załomotało, gardło zacisnęło się, jakby ktoś chwycił je dłonią. - On chyba nie...

- Żyje. - Vickers miał zgrzytliwy, zachrypnięty głos. - Ale nie dobrze z nim, moja droga.

- Urazy głowy - wyjaśnił Blake. - Ktoś uderzył go z bliska tępym narzędziem, bardzo gwałtownie. Widzisz, jak zniszczył samochód.

Nie wyobrażałam sobie, żeby ktoś mógł przeżyć taki atak. Yickers chyba czytał w moich myślach, bo powiedział:

183

- Ocalał, bo był w środku. Karoseria ochroniła go przed najgorszym. Zamknięta przestrzeń, rozumiesz. Nie ma miejsca, żeby się przywoicie zamachnąć. - Zrobił gest, jakby uderzał kijem.

Mój żołądek fiknął koziołka. Zachwiałam się; pot wystąpił mi na plecy, zebrał się pod pierśiami. Ręce i nogi zlodowaciały, w głowie mi się kręciło. Zamknęłam oczy. Ciemność była tak blisko, że mogłam w niej zatonać, ukryć się przed wszystkimi. Dłonie - dłonie Blake'a, wiedziałam - spoczęły na moich ramionach i uściśniły je mocno.

- Oddychaj głęboko, spokojnie.

Zaczerpnęłam parę haustów czystego nocnego powietrza, z zamkniętymi oczami, ledwie czując, że Blake odwraca mnie od samochodu, od ziemi lśniącej czarniawym płynem - dopiero teraz rozpoznałam krew. Zaprowadził mnie do murku i zmusił, żebym na nim usiadła, podtrzymał mnie tak długo, aż w końcu dałam mu znak, że dam sobie radę sama i nie spadnę.

Jego głos dobiegał do mnie z daleka. Blake wyjaśniał Vickersowi, że Geoff zjawił się w Curzon Close, by się ze mną spotkać, ale nie widziałam go od wpół do jedenastej. Obaj zamilkli.

- No dobrze - rzekł Vickers w końcu. - Czyli nasz młodzieniec przyszedł tutaj i został sromotnie odprawiony. Ale nie odszedł daleko. Dlaczego?

Doszłam do siebie na tyle, że zdołałam się odezwać.

- Powiedział, że zostanie przez jakiś czas. Że... że kręcą się tu dziwne typy.

- Użył takich słów? - spytał Vickers natychmiast. Przytaknęłam.

- O kim mówił? - Zastanowił się, właściwie nie licząc na odpowiedź. - Może kogoś zobaczył.

- A może szukał pretekstu, żeby zostać - odezwał się Blake. Obląłem się rumieńcem.

- Też tak sądziłam. Myślałam, że chce się uspokoić, zanim wróci do domu. Kiedy wyjrzałam, palił papierosa.

Yickers potarł z chrzęstem zarost, który ocienił mu szczękę.

I.

184

- Czyli tak: chłopak jest rozgorączkowany, roztrzęsiony, wszystko leci mu z rąk, więc postanawia tu ochłonać.

-1 chyba chciał mi pokazać, że nie odejdzie tylko dlatego, iż go o to proszę. Vickers pokiwał głową.

- Całkiem prawdopodobne. Czyli siedzi tu sobie, nikomu nie wadzi, o ile wiemy... Sprawdzisz, co mówią sąsiedzi, Blake? Popytaj, czy ktoś słyszał coś dziwnego o świecie. Choć ten dom stoi najbliżej miejsca zajścia. - Spojrzał na mnie. - To twój pokój? Ten od frontu? Skoro ty nic nie słyszałaś, wątpię, żeby usłyszeli inni. Przy tej ulicy nie mieszka przypadkiem żadna matka z niemowlęciem?

Pokręciłam głową, mimo woli rozbawiona.

- Szkoda - westchnął z rozczarowaniem. - Najlepsi świadkowie świata. Budzą się o nieludzkich godzinach, nie mają do roboty nic z wyjątkiem karmienia dziecka i gapią się przez okno. Karmiące matki i emeryci, moi ulubieni świadkowie.

Coś zaczęło mnie dręczyć. Spojrzałam z niepokojem na pudła i torby przy drodze.

- Co? - spytał Blake czujnie.

- Nic... ale dziś rano mieli zbierać dary na cele dobroczynne.

Myślałam, że to ich słyszę. Byłam w półśnie, nie wiem, która mogła być godzina, ale przecież ciągle jest dla nich za wcześnie, prawda? -

Spojrzałam z roztargnieniem na nadgarstek i przypomniałam sobie, że zegarek został przy łóżku. Podniosłam głowę w samą porę, żeby złapać znaczące spojrzenie Blake'a i Vickersa. - To chyba nie...

to chyba nie było to?

Nie odpowiedzieli, pozostawiając odpowiedź mojej domyślności.

- O Boże!

Blake odkaslnął.

- Jeśli można, porozmawiam z mundurowymi. Musimy uzgodnić przekazanie pojazdu.

- Nie załatwisz tego, siedząc tutaj - zgodził się Vickers, kiwając głową. - Ale zanim go zabiorą, każ im zrobić dużo zdjęć. I niech się przyłożą. W końcu to usiłowanie morderstwa.

185

Spojrzałam na niego, a potem na Blake'a, odczytując z ich twarzy to, czego nie mówili. Uważali to za dochodzenie w sprawie morderstwa. A to znaczyło, że Geoff może umrzeć.

Blake przeszedł przez jezdnię do nadal stojącego tam radiowozu. Dwaj jego pasażerowie natychmiast wysiedli, żeby z nim porozmawiać. Gawędzili swobodnie i żartowali, a tymczasem Vickers mówił nadal, słowami odmierzonymi i suchymi jak pieprz, bardziej do siebie niż do mnie.

- Czyli młodzieniec siedzi w samochodzie. Jest środek nocy. Może pospacerował trochę, żeby się uspokoić po niemiłym zajściu z tobą. Czy zrobił z siebie głupka? Pewnie tak uważał. Ośmieszyl się przed dziewczyną, która mu się podoba, a teraz usiłuje ochłócić. Przyjechał golfem. Ładny samochód, ale dla takiego nie napada się ludzi. Co innego merc, jaguar albo beemka, ale nie mały golfik. Poza tym nie napada się na kogoś siedzącego w aucie, jeśli chce się to auto zdobyć. Krew i inne tam brudzą tapicerkę. Kto by chciał jeździć w takim upakowanym samochodzie? Trzeba człowieka wywlec na zewnątrz, zdzielić go parę razy i spokojniutko odjechać.

Westchnął, wpatrując się w tył samochodu. Pewnie w wyobraźni widział nie tego gruchota, ale samochód sprzed paru godzin, idealny, starannie zadbane, czysty i lśniący.

- Podchodzę, gotowy niszczyć - powiedział cicho. - Zaczynam od kierowcy. Żeby nie mógł odjechać. Otwieram drzwi i zaczynam tłuc. On się broni... a może nie daje rady, może pada na fotel pasażera i nie mogę go wygodnie dosięgnąć. Uznaję, że już go załam twiem, ale nadal jestem wściekły. Mogę się wyładować na samochód. Wybijam okna po mojej stronie i idę na tył, żeby zająć się tylną szybą. Piękny, duży cel. Potem wydaję nóż i załam opony. Z jakiegoś powodu nie chce mi się zrobić tego samego z lewej strony. Dlaczego?

- Za mało miejsca? - podsunęłam. Żywopłot sąsiada wymagał przycięcia, liście zasypały ścieżkę. Ledwie można się było przecisnąć między samochodem a przerośniętymi krzakami.

Yickers zmarszczył brwi.

186

- Możliwe. Ale możliwe także, że nie widzę tamtej części samochodu. Patrzyłem na niego z prawej strony, może go obserwowałem jakiś czas. Stał się symbolem moich uczuć. Identyfikuję go z osobą, którą atakuję. - Obejrzał się na domy po drugiej stronie jezdni. - Całkiem jakby ktoś nam się przyglądał. Ciekawe, czy twoi sąsiedzi widzieli kogoś podejrzanego.

Popatrzyłam w tym samym kierunku, nagle dostrzegając ogródki jako potencjalne kryjówki. Znowu poczułam to mrowienie, które dręczyło mnie od wielu dni,

poczucie, że ktoś mnie obserwuje. Nie wiedziałam, czy powinnam to wyznać Vickersowi. Nie wiedziałam też, czy nie popadam w obłąd.

Zanim zdecydowałam się coś powiedzieć, Vickers mnie uprzedził:

- Rozumiem z tego jedno. Napastnik znał ofiarę i wiedział, że samochód jest dla niej ważny. Dlatego spytamy pana Turnbulla o jego znajomych, kiedy będzie mógł z nami porozmawiać. - Powiedział to tak, jakby myślał: Jeśli w ogóle będzie mógł z nami porozmawiać.

Geoff zawsze trząsał się nad swoim samochodem. Zanim wsiadł, pucował go, zmiatał suche liście z maski i pyłki spod wycieraczek, oglądał przód i tył, szukając uszkodzeń.

- Ten samochód był w idealnym stanie. Widać było, że Geoff go kocha - powiedziałam powoli. - Ten człowiek nie musiał Geoffa znać.

- Ale musiał go znać albo wiedzieć coś o nim, żeby go tak napaść, nie rozumiesz? Widziałem już sporo aktów przemocy, a ta scena świadczy o potężnych emocjach. - Znowu spojrzał na samochód i pokręcił głową. - Chciałbym wiedzieć, jak to dopasować.

- Dopasować? Do czego?

Vickers rzucił mi ciężkie spojrzenie.

- Nie sądzisz, że to ma związek z tym, co spotkało biedną Jenny Shepherd? Jak ci się wydaje, dlaczego ja i Blake tu jesteśmy?

- Ale nie rozumiem...

Położył mi rękę na ramieniu.

187

- Przyjrzyj się faktom. Mamy śmierć dziewczynki. Człowiek, który ją znał, który był jej nauczycielem, zjawia się daleko od swojego domu, o rzut beretem od miejsca zamieszkania Jenny. Niemal traci życie w wyniku napaści nieznanego osobnika lub osobników. Jenny także padła ofiarą brutalnego ataku. To zbyt duży zbieg okoliczności, żebyśmy mogli to zignorować. Wszystko, co się wydarza w tej dzielnicy, dosłownie wszystko, może mieć coś wspólnego ze śmiercią Jenny. Doszło do dwóch brutalnych napaści, które odstają od przestępstw popełnianych w tej okolicy. Jeśli przyjrę się im z osobna, zrobię parę kroków naprzód. Może mi się poszczęści i trafię na świadka, a może morderca tylko czeka, żeby się przyznać. Mało to prawdopodobne, ale się zdarza. Jeśli będę je analizował z osobna, może nigdy nie znajdę rozwiązania. Ale jeśli zestawię fakty, zacznę szukać łączącego je schematu... rozumiesz? Punktów stycznych. To jak algebra: musisz znać obie niewiadome, żeby otrzymać wynik.

Twarz Vickersa rozświetliło ożywienie; on naprawdę kochał swoją pracę. Na chwilę rozkojarzyło mnie porównanie sprawy do równania, zaprząnęło mnie przelotne

wspomnienie kogoś, kto mi powiedział, że nie mam żadnych, absolutnie żadnych zdolności matematycznych... Ale Vickers mówił dalej:

- Jeszcze nie uznałem, że tego napadu dokonał morderca Jenny.

Istnieje taka możliwość i należy ją zanalizować, ale za bardzo się do niej nie przywiązuję, rozumiesz. Istnieje mnóstwo możliwych sposobów powiązania dwóch przestępstw. Mnóstwo.

Zauważyłam, że przygląda mi się z ukosa i jak dobra uczennica spytałam:

- Zemsta?

- Otóż to. - Uśmiechnął się ojcowsko. - Nasz młodzieniec

Geoff mógł siedzieć po uszy w tym, co spotkało Jenny, i nie trzeba geniusza, żeby to dostrzec. Słyszałem, że niezły z niego numer.

Wiemy, że Jenny z kimś sypiała, a on miał okazję do niej dotrzeć, naopowiadać jej, jaka jest wyjątkowa, dostać od niej wszystko, co chciał. Nie byłby to pierwszy nauczyciel, który wykorzystał swoją pozycję, prawda?

188

- Ale to nie pasuje do tego, co Jenny powiedziała Rachel -  
zaoponowałam. - A ta fotografia?

- Nie sądzę - oznajmił Vickers, starannie dobierając słowa -  
żeby należało wierzyć każdemu słowu Rachel. Jenny mogła ją okłamać, a Rachel mogła okłamać nas. Komuś może zależeć na tym, żeby skierować nas na fałszywy trop. Nie znaleźliśmy tej fotografii ani żadnego innego dowodu na to, że Rachel powiedziała nam prawdę.

Nie mogłam uwierzyć, że Geoff mógłby sypiać z Jenny. Nie był taki. Ale wiedziałam, że starszy inspektor nie wierzy mi tak samo, jak nie wierzy Rachel.

- Jenny była w ciąży. Czy nie można przeprowadzić badania DNA, żeby stwierdzić ojcostwo?

- To trochę potrwa. A w tej chwili nie chodzi o to, czy Geoff Turnbull wykorzystał Jenny Shepherd, ale czy ktoś tak uważał. Ktoś dodał dwa do dwóch. Może miał więcej informacji niż my. A może tylko przecucie. Jakkolwiek to wyglądało, uznał, że musi wymierzyć sprawiedliwość za Jenny, i nie chciał czekać, aż psy to zrobią.

Oczami duszy zobaczyłam Michaela Shepherd, człowieka zmienionego przez rozpacz, człowieka o mrocznym spojrzeniu, i zrozumiałam, że Vickers też go widzi. Wyobrażałam sobie szalejące w nim emocje, które mogą wybuchnąć, kiedy znajdzie cel.

- Andy - odezwał się Vickers, wskazując głową Blake'a - zamie ni w swoim czasie słówko z zainteresowanymi stronami. Nie może my ich budzić w środku nocy, nie mając żadnych dowodów, ale warto porozmawiać, co?

Rozumiałam, że ta historia trzyma się kupy, ale nadal budziła we mnie protest. Nigdy, przenigdy bym nie uwierzyła, że Geoff mógłby wykorzystać dziecko. Nie tylko

dlatego, że tak się skupił na nękanii mnie. To po prostu nie pasowało do tego, co o nim wiedziałam, do jego entuzjastycznego zainteresowania kobietami, nie dziewczynkami. Trudno mi było pojąć, że mógłby ją wykorzystać, a w to, że mógłby ją zabić, absolutnie nie wierzyłam. Ale przecież parę godzin temu widziałam go zdenerwowanego i nie umiałam

189

się otrząsnąć z tego niepokojącego wrażenia, które mnie wtedy ogarnęło. Nie miałam pewności, do czego właściwie Geoff jest zdolny. Musiałam uznać, że miał coś na sumieniu, bo dlaczego ktoś mu rozwalił głowę?

Miałam też wyrzuty sumienia z własnego powodu. Podejrzywałam, że Vickers chciałby się dowiedzieć o innym incydencie z brutalną napaścią - na mnie. Nie podzielałam jego wiary w potęgę zbiegu okoliczności, ale ta wiadomość stanowiłaby kolejny fragment obrazu. Już otworzyłam usta, żeby wszystko wyznać, lecz nagle zmieniłam zdanie. Przede wszystkim przyczyny, dla których nie zgłosiłam tego na policję, nie straciły ważności. Po drugie, Vickers mógłby ich nie zrozumieć. Po trzecie, nadal uważałam, że to nie ma znaczenia. Jeśli zaatakował mnie Geoff - to na jakiś czas miałam go z głowy. Nie musiałam się martwić, dopóki był w szpitalu. Ale najważniejsza przyczyna, dla której nie powiedziałam nic Vickersowi, była o wiele ważniejsza: nie ufałam mu. I byłam całkiem pewna, że on też mi nie ufa. Po raz pierwszy w jego głosie słyszałam chłodną nutkę; może wyczuwał moją rozterkę co do Geoffa, może z innych przyczyn. W każdym razie czułam, że powinnam zachować czujność. Z wysiłkiem wróciłam do rzeczywistości, poczułam zziębnięte stopy i okropną ochotę, żeby ziewnąć, i przygotowałam się do intelektualnego starcia.

Vickers zamilkł, ale teraz odwrócił się do mnie z błyskiem przebiegłych oczu.

- Gdybyś wiedziała cokolwiek, co mogłoby mieć znaczenie w świetle tego, co ci wyjawiałem, gdybyś wiedziała, że istnieje jakiś fakt, który powinienem poznać, powiedziałabyś mi, prawda?

- Pomija pan coś oczywistego - odparłam chłodno, wiedząc, że Vickers popycha mnie w tym kierunku i że unikanie tego tematu wyda się mu bardziej podejrzane. - Ja też znałam Jenny. Uczyłam ją. Ja znalazłam jej ciało. A to - machnęłam ręką w stronę samochodu - wydarzyło się przed moim domem. To znaczy, że tkwię w samym środku tych zbiegów okoliczności, mam rację?

190

Vickers uśmiechnął się cierpko. Zrozumiałam ze smutkiem, że moje podejrzenia są uzasadnione. A tak go lubiłam... Wydusiłam z siebie najbardziej logiczną myśl, na jaką mogłam się zdobyć.

- Jednak uważam, że w pańskim rozumowaniu istnieje błąd. Vickers uniósł brew.



- To nie ma nic wspólnego ze mną. - Mój głos brzmiał trochę piskliwie, zdradzając zmęczenie. - Niektóre zbiegi okoliczności nic nie znaczą. Dlaczego musi istnieć jakaś więź między nimi dwojgiem? - Albo trojgiem, dodałam w myślach. Bardziej niż kiedykolwiek byłam pewna, że miałam rację, nie dając Vickersowi tego wątpliwego oręcza.

- Wiąż nie musi istnieć, ale na razie tak założę. Fakt, że nie chcesz lub nie możesz tego dostrzec, nie znaczy, że nie wiesz czegoś, co może mnie zainteresować. Dwa brutalne napady... to oczywiste, że dostrzegam tu więź.

- Szuka pan nieistniejących schematów, bo nie ma pojęcia, co się stało z Jenny. I jak teraz wygląda pańskie równanie?

- Mamy różne linie dochodzenia. Teraz nie możemy ich omawiać publicznie, ale dochodzenie jest w toku.

- Nie wygląda mi na to - warknęłam. - Mam wrażenie, że usiłuje pan dopasować do rzeczywistości jakąś hipotezę, nad którą pracujecie od znalezienia ciała Jenny. Wiem, jak działacie. Jeśli nie macie dowodów, zaczynacie być kreatywni. - Przed oczami stanęła mi twarz mojego biednego ojca, przesłuchiwanego w nieskończoność. Podejrzenia otaczające moją rodzinę, które mógł rozpędzić policjant z dochodzeniówki, gdyby tylko się postarał. - Nie dam się w to wciągnąć - powiedziałam cicho i zaciekle. - Nie wiem, dlaczego pozory świadczą przeciwko mnie. Wiem tylko, że od samego początku robiłam wszystko, żeby wam pomagać. Nie pojmuję, dlaczego coś takiego spotkało Geoffa ani dlaczego zamordowano Jenny, a gdybym to wiedziała, powiedziałabym wam już dawno. Nie mam z tym nic wspólnego.

- To się zobaczy - oznajmił Vickers zimno. - To się zobaczy.

- Skończyliśmy?

- Na razie. Ale się odezwiemy. - Vickers odwrócił się i ruszył

191

spacerkiem do samochodu Blake'a. - Nie wybieraj się na długie wakacje, dobrze? Wróciłam wściekła do domu. W lustrze na korytarzu zobaczyłam moje błyszczące gniewem oczy i rozczochrane włosy. Wargi zacisnęły mi się w wąską kreskę i nie od razu udało mi się je rozluźnić. Wiedziałam, że Vickers umyślnie wyprowadził mnie z równowagi, i bardzo dobrze mu się to udało. Ale czułam też, że nie wiem nic, co mogłoby mu się przydać. Napad na mnie stanowił fałszywy trop, ale nie mogłam mu o tym teraz powiedzieć - zresztą miałam już dość okazji, by to zrobić. Czyli teraz ukrywałam coś przed policją, czułam się z tego powodu winna i w dodatku wyglądałam na winowajczynię. Jeśli nie będę uważać, wszystko to skończy się bardzo niedobrze.

O jednym temacie nie chciałam myśleć: o Geoffie, ale gdy przyznałam się do tego przed sobą, nie mogłam się skupić na niczym innym. Spojrzałam na zegar w kuchni - prawie piąta - i pożegnałam się z myślą o powrocie do łóżka. Robiąc sobie herbatę,

powoli, po kolei analizowałam fakty. Geoff w szpitalu. To niedobrze. Bardzo niedobrze. Ma uraz głowy. Mógł umrzeć. Lub być okaleczony na resztę życia. Mógł też zupełnie wyzdrowieć. Chciałam wierzyć, że to ostatnie jest najbardziej prawdopodobne, ale po prostu nie mogłam tego wiedzieć. Mówiąc o nim, Blake i Vickers robili się ponurzy jak nieszczęście. Dolałam sobie mleka. Średnio chciało mi się tej herbaty, ale zrobiłam ją, to wypiję. Może chcieli mnie wpędzić w wyrzuty sumienia, żebym im powiedziała wszystko, co wiem?

Usiadłam przy stole i zapatrzyłam się w smuzkę pary unoszącą się znad kubka. Ironia sytuacji polegała na tym, że choć pokłóciłam się z Vickersem, właściwie się z nim zgadzałam. Miałam wyrzuty sumienia. Gdybym była odrobinę miłsza dla Geoff a... gdybym zareagowała na to poczucie, że ktoś na mnie patrzy... gdybym powiedziała policji o napadzie - wszystko wyglądałoby inaczej. Choć wcale się do tego nie pchałam, jakimś cudem znalazłam się w centrum wydarzeń. Byłoby miło zrozumieć dlaczego.

1993

Dziesięć miesięcy od zaginięcia

s,

Łoneczny kwietniowy wieczór. Kos grzebie w trawniku. Siedzę na ganku i kiwam palcami w butach. Zasady są bardzo jasne: mogę tu siedzieć, ale nie wolno mi opuszczać ogródka. Jeśli ktoś się do mnie odezwie, mam biec do domu i wołać mamę. Bojąc się ludzi, stałam się bardzo nieśmiała.

Kos jest piękny, lśniący. Wpatruje się we mnie okrągłymi bursz-tynowoczerwonymi ślepkami i skacze po trawniku, wyszarpując z niego kępy mchu. Wije gniazdko w krzaku ostrokrzewu, przenosi jak największe kawały mchu, a jego bura połowica zajmuje się budową. Z jej dziobka płynie nieustanny strumień pieśni zachęty.

Ocieniam oczy, starając się ją zobaczyć w gałęziach. Nagle słyszę głos: "Dzień dobry!". Kos zrywa się z trawnika w trzepocie skrzydeł. Ja też się podrywam, gotowa uciec do domu, ale pan stojący na końcu podjazdu wygląda sympatycznie. Trzyma na smyczy psa - rudego setera, który szaleje, merdając ogonem.

- Ładny wieczór, prawda?

- Tak - mówię niemal bezgłośnie.

- To twój dom?

Kiwam głową.

- Mieszkamy na końcu ulicy. Numer siedemnasty. Moja córka Emma ma dziewięć lat. A ty?

193

r

- Też dziewięć - mówię.

- Świetnie. Może kiedyś przyjdiesz się z nią pobawić? Ona szuka nowej koleżanki.

Kiwam głową rozpromieniona. Nowa koleżanka! Już sobie wyobrażam dziewczynkę o włosach ciemnych, jak negatyw moich jasnych, dziewczynkę, która nie boi się

wysokości ani pajaków, dziewczynkę, która lubi opowiadania o zwierzątkach, balet i przebieranie się w stare stroje, żeby odgrywać sceny z książek.

Za moimi plecami drzwi otwierają się tak gwałtownie, że uderzają o ścianę.

- Wynocha stąd! - Moja matka ma wykrzywioną, niemal obcą twarz. - Zostaw moją córkę!

Mężczyzna cofa się o krok, ciągnąc za sobą psa, zeszywniały z przerażenia.

- Przepraszam... że... że... że też nie pomyślałem... Po prostu... właśnie się wprowadziliśmy i...

- Ma córkę - mówię do mamy, żeby zrozumiała, żeby przestała tak na niego patrzeć.

- I uczy ją pan, żeby rozmawiała z obcymi? Nie dba pan o jej bezpieczeństwo? - Mama mówi za głośno.

Nowy sąsiad szybko przeprosza i odchodzi. Nie żegna się. Mam nadzieję, że wróci z córką, że będziemy mogły być koleżankami, kiedy opowiem o mamie, Charliem i zasadzie.

Mama czeka, aż ten pan zniknie, i chwyta mnie mocno za ramię.

-Wracaj do swojego pokoju. Mówiłam ci, żebyś z nikim nie rozmawiała.

- Ale... - zaczynam, chcąc się usprawiedliwić.

-Wracaj! - Mama wciąga mnie do domu i popycha w stronę schodów. Puszcza moje ramię, akurat kiedy tracę równowagę, więc upadam, uderzając głową o balustradę. Zaczynam płakać, wzywać tatę, mamę, jakiegoś pocieszenia.

Mama stoi plecami do drzwi, opiera się o nie, unosząc dłonie do ust. Oczy ma ogromne, a trzęsie się tak, że spódnica jej drży. Mój ojciec staje w drzwiach salonu, patrząc nie na mnie, lecz

194

na mamę. Przystaję płakać, ale ciągle kwilę, by przypomnieć tacie, że tu jestem, leżę na podłodze, cierpię.

- Lauro - mówi tata jakimś obcym głosem - tak dłużej być nie może. Robisz ludziom krzywdę. Robisz krzywdę Sarze. Musisz przestać.

Mama osuwa się na podłogę, kuli się, ramiona jej drżą. Szepcze tak cicho, że prawie jej nie słyszę.

- Nie mogę...

Tata chwyta się za głowę.

- Tak dłużej być nie może - powtarza. - Nie mogę tak dłużej żyć.

Potem odwraca się i zatrzaskuje drzwi salonu.

Wstaję i idę na górę do sypialni rodziców, gdzie w lustrze widzę moją czerwoną, nieszczęśliwą twarz. Oczy mam wielkie, lśniące od łez. Nad prawym okiem rośnie mi guz, na ramieniu mam pięć czerwonych śladów zakończonych szkarłatnymi półksiężycami -tam wbiły mi się w skórę paznokcie mamy. Dławi mnie świadomość, że mama mnie nie kocha, że znowu ją zawiodłam. Nie wiem, co się stało między rodzicami, ale to na pewno moja wina. Nie posłuchałam mamy, zawiodłam ją. Od tej pory będę grzeczna. Bardziej niż grzeczna. Będę idealna. I nigdy więcej jej nie

rozczaruję.

r

## Rozdział 11

s

'zpitala działają całą dobę, ale dopiero o ósmej zadzwoniłam do Świętego Marcina, gdzie zabrano Geoffa. Ten największy szpital w okolicy, stojący na fundamentach z czasów wiktoriańskich i przebudowany w latach sześćdziesiątych w klasycznym stylu brutalizmu, zajmował wielką działkę koło wielopasmówki i posiadał spory OIOM i pogotowie, a także niezliczone oddziały specjalistyczne. Usiadłam przy stole w kuchni i patrzyłam, jak wskazówki pełzną po tarczy zegara. Chciałam zadzwonić, a jednocześnie bałam się usłyszeć złą wiadomość, że już go nie ma. To nie hipokryzja. Nigdy nie życzyłam Geoffowi śmierci, chciałam tylko, żeby dał mi spokój. Szpital może miał wysoki poziom, ale jego recepcja odbiegała od doskonałości. Zanim zdołałam się dodzwonić na pogotowie, cała się trzęsłam. Kobieta o południowoafrykańskim akcencie powiadomiła mnie, że tak, leży u nich Geoff Turnbull, i że nie, jeszcze nie odzyskał przytomności. Na razie nie mogła mi powiedzieć nic więcej na temat jego stanu.

-Och, proszę... - zaczęłam, roztrzęsiona ze zdenerwowania i po zbyt wielkiej dawce kofeiny.

- No co, nie mogę, bo dopiero zaczęłam zmianę - odpowiedziała dyżurna z irytacją. - Powiedziałam wszystko, co wiem.

- Dziękuję - odparłam pokornie. - Mogę go odwiedzić?

Zapadła cisza.

- Jeśli pani chce - odezwała się w końcu dyżurna tonem świadczącym, że w życiu nie słyszała dziwniejszej prośby. Przeciągnęła to ostatnie słowo, jakby miało dwie sylaby.

196

Podziękowałam jej i odłożyłam słuchawkę, głupio ucieszona. Dopóki Geoff żył, istniała nadzieja. A czuwanie przy jego łóżku, nawet gdyby nie ocknął się natychmiast, dawało mi jakieś zajęcie. Może nawet poczuję się mniej winna. Szpital Świętego Marcina znajdował się za daleko, żebym tam poszła piechotą. Zamiast wezwać taksówkę albo łapać autobus, zadzwoniłam do Jules. Tak było szybciej. Poza tym była mi winna przysługę. Parę razy ewakuowałam ją z nieudanych randek. Mogła mi się zrewanżować.

Już z daleka było widać, że przyjechała w paskudnym nastroju. Nie uśmiechnęła się, kiedy podbiegłam do samochodu. Zero makijażu. Brudne włosy ściągnięte w kucyk. Bluza z kapturem i dresy. Prywatna Jules, prosto z łóżka.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziałam, siadając obok niej.

Toyota Jules najlepsze czasy miała już za sobą. Na tylnym siedzeniu poniewierały się

pudełka z chusteczkami i rozsypane płyty. Podsufitka nad fotelem kierowcy była umazana tuszem do rzęs; Jules miała zwyczaj malować się na światłach, a kiedy usiłowała rozdzielić rzęsy paznokciem, szczoteczką zawsze uderzała w sufit.

Wyglądało to jak ślady po rozgniecionych pająkach.

- No raczej. Co za nieludzka godzina.

- Przepraszam - powiedziałam bez szczególnej skruchy.

- O której masz wizytę?

- Eee... wpół do dziesiątej. - Powiedziałam jej, że jestem umówiona z lekarzem w szpitalu, a mój samochód stoi u mechanika.

Tak wydawało mi się o wiele łatwiej, niż wyjaśniać, dlaczego chcę się spotkać z Geoffem, skoro czuję do niego to, co czuję. Na myśl o rozmowie, która by mnie czekała, mój poziom stresu podskoczył o parę kresiek. Kłamstwo było jedyną możliwą opcją. Choć teraz zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam się jej zwierzyć. Przecież była moją przyjaciółką. Problem w tym, że nie miałam pojęcia, skąd zacząć. Nigdy nie ufałam Jules na tyle, żeby wyznać jej prawdę o mojej rodzinie - o tym, co mnie ukształtowało - i nie chciałam teraz zaczynać.

197

w

- Ten twój samochód to złom - powiedziała Jules, wrzucając bieg i klnąc. - Musisz sobie kupić nowy.

Musiałam zdobyć zapasowe kluczyki, ale ciocia Lucy jeszcze ich nie wysłała.

Obiecała, że dostanę je w poniedziałek. Zakładałam, że mój samochód nadal stoi koło domu Shepherdów. Nie chciało mi się tam iść i sprawdzać.

- Denerwujesz się? - Jules przyglądała mi się z prawdziwą, choć spóźnioną troską. Uświadomiłam sobie, że zagryzam wargę.

- To nic takiego. Tylko... kontrola kręgosłupa.

- Masz problemy z kręgosłupem? Przeważnie to problem wysokich osób, nie? Zauważyłam, że trochę kulejesz. Jak długo cię to męczy?

- Jakiś czas - wymamrotałam, wyglądając przez okno.

Byłyśmy już blisko szpitala. Drogi się korkowały, ludzie wyjechali w domów w ten pogodny sobotni poranek, zmierzali do sklepów. Jules włączyła się w nurt samochodów i spojrzała na zegar na desce rozdzielczej.

- Masa czasu.

-E... tak.

Nie dodałam nic więcej. Jules włączyła radio i zaczęła podśpiewywać nieznaną mi

piosenkę.

- Ooo, bo ty okłamałeś mnie... nie wypieraj się...

W końcu samochód dopełził do skrętu do szpitala. Wjechałyśmy z rozpędem przez bramę i zatrzymałyśmy się z piskiem przy tablicy z planem budynku.

- Którędy?

Spojrzałam bezradnie na tablicę. Pogotowie było na lewo.

- W lewo.

Jules nie ruszyła.

- Na pewno? - Wpatrywała się w plan ze zmarszczonymi brwiami. - Myślałam, że jedziesz do szpitalnej przychodni.

Drogę do przychodni wskazywała strzałka zakrzywiona jak znak pytający. Wyglądało na to, że musiałabym solidnie nadłożyć drogi.

- Eee... nie. Ten specjalista ma gabinet koło pogotowia - powie działam ze skrepowaniem.

198

- Naprawdę? Bardzo dziwne. Przeważnie urządzają sobie gabinety z dala od niego, nie?

Skinęłam głową, modląc się, żeby przestała się dopytywać i wreszcie mnie zawiozła. Jules spojrzała na mnie z westchnieniem.

- Dobra, trudno. Dla ciebie się poświęcę.

-Co?

- Pójdę z tobą. Wyglądasz jak upiór. Nie wiem, czy to nerwy, czy co, ale dałabym głowę, że wcale nie spałaś i jesteś strasznie milcząca. - Poklepała mnie po kolanie. - Nie martw się, chętnie to zrobię. Zaparkuję samochód i pójdziemy razem.

- Nie! - rzuciłam, bliska paniki. - Błagam, chcę iść sama.

- Przepraszam, że się narzucam. Myślałam, że ci pomogę. -

Urażona Jules zatrzymała samochód przed wejściem pogotowia.

- Mam nadzieję, że sama wrócisz do domu po tej... konsultacji.

- Dam sobie radę - powiedziałam, nie zwracając uwagi na nacisk, jaki położyła na ostatnim słowie. Czułam, że Jules mi nie wierzy. Byłyśmy przyjaciółkami, nie powinnam jej tak traktować, ale w tej chwili liczyło się dla mnie tylko stwierdzenie, w jakim stanie znajduje się Geoff. Chwyciłam torebkę i otworzyłam drzwi. - Dzięki, że mnie podwiozłaś.

- Nie wiem, o co chodzi - powiedziała Jules, wpatrzona przed siebie - ale to niefajne. Pozbądź się tego, zanim wrócimy do pracy, dobra?

Nie odpowiedziałam, lecz zatrzymałam się i odprowadziłam ją wzrokiem. Miałam nadzieję, że mi pomacha, że zechce mi wybaczyć. A ponieważ Jules to Jules, w końcu jednak rzuciła mi uśmiech.

W szpitalu stanęłam w kolejce za przyszłymi pacjentami, którzy oblegali recepcjonistkę, zarzucając ją zdumiewająco różnorodnymi problemami, które - jak

się wydaje - bez wyjątku wymagały zajęcia miejsca w pomarańczowym plastikowym krzeselku i czekania na swoją kolej. Za podwójnymi drzwiami znajdowała się ziemia obiecana, gdzie udzielano opieki medycznej, ale choć personel kursował jak mrówki robotnice w słoneczny dzień, liczba oczekujących

199

jakoś się nie zmniejszała. Coraz więcej krzesełek było zajętych. Okrutnie mi się nie chciało tam siedzieć. Miałam nadzieję, że mnie to ominie. Pogotowie było o wiele większe niż skromne centrum medyczne, do którego zwykle trafiałam z mamą, ale sądząc z tego, co widziałam - nie bardziej efektywne.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do mnie zza szyby, kiedy wreszcie do niej dobiegłam. W przeciwieństwie do większości osób w kolejce nie byłam zalana krwią ani nie bełkotałam niezrozumiale. Miałam całkiem proste życzenie - zobaczyć się z Geoffem. Mimo to zaczęła klepać wyuczoną formułkę o zajęciu miejsca na krzesłach po lewej. W połowie zdania przerwał jej ubrany w wymięty niebieski uniform lekarz, który wyłonił się zza podwójnych drzwi.

- Karen, udało ci się złapać krewnych Geoffa Turnbulla?

- Nie miałam okazji - odpowiedziała chłodno, wskazując kolejną kłękę. - Jestem trochę zajęta.

Lekarz przeczesał palcami rozczochrane włosy i westchnął.

- Musimy ich powiadomić, jeśli mamy go zoperować.

Dar z nieba.

- Mogę pomóc.

- Kim pani jest? - Lekarz zmierzył mnie spojrzeniem. Miał długi spiczasty nos. Wyglądał jak głodne ptaszysko.

- Jestem koleżanką Geoffa. To znaczy... przyjaciółką. Mogę zdobyć numer jego rodziców ze szkoły, w której pracujemy. Jeśli pan chce.

Lekarz, który miał pod oczami wielkie wory, machnął ręką w stronę recepcjonistki Karen.

- Nie, proszę się tym nie martwić. To jej zadanie... kiedy znajdzie trochę czasu.

Rzuciła mu jadowite spojrzenie, które nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

- Ale proszę jej dać numer szkoły - dodał, lekko uśmiechnięty.

- Niech ma dziewczyna łatwo.

Nagryzmołam numer na skrawku kartki, który recepcjonistka wysunęła pod szybą.

200

- Jeśli wybierze pani ten numer, dodzwoni się pani prosto do domu sekretarki - wyjaśniłam. Jedną z bolączek Janet było to, że musiała odbierać w weekendy telefony w nagłych sprawach. Moim zdaniem ta sprawa zdecydowanie kwalifikowała się jako nagła.

- Dziękuję. - Karen uśmiechnęła się do mnie słodko. Potem łypnęła spode łba na lekarza, który odwrócił się do mnie.

- Chce się pani zobaczyć z panem Turnbullem?

- Eee... tak, jeśli mogę.

Skinął głową i poszedł do podwójnych drzwi. Uchylił ich skrzydło, nie oglądając się za siebie. Pobiegłam za nim.

- Musimy iść na OIOM. Jestem doktor Holford.

- Sarah Finch - rzuciłam, lekko zdyszana. Lekarz był wysoki i chudy, maszerował szybko; musiałam się bardzo starać, żeby za nim nadążyć. Szliśmy długimi korytarzami. Strzałki na podłodze wskazywały drogę na radiologię i hematologię. Doktor Holford prowadził mnie jakimś specjalnym skrótem na OIOM. Sama w życiu nie znajdę drogi powrotnej. Zaczęłam żałować, że nie mam przy sobie Jules. Albo kłębka nici.

- Jest w niezbyt dobrym stanie. Będziemy go obserwować przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. Jeśli obrzęk mózgu nie ustąpi, konieczna będzie operacja. - Doktor Holford rzucał zdania gwałtownie, krótkimi seriami, jakby w nim narastały i wybuchały.

- A pani jest jego dziewczyną?

Zawahałam się. Bałam się, że jeśli nie wykażę się odpowiednio bliskim pokrewieństwem z Geoffem, nie pozwolą mi się z nim zobaczyć.

- Mniej więcej - powiedziałam w końcu.

- Sytuacja jest mglista. Nie będę pani okłamywać. Parę następnych godzin ma przełomowe znaczenie. Niech pani sobie nie wyobraża, że porozmawia z pacjentem.

Usiłowałam sobie wyobrazić, co bym poczuła, gdybym naprawdę była związana z Geoffem, gdyby był moim chłopakiem, gdybym go kochała. Czy szorstkie słowa doktora Holforda by mnie uspokoiły? Czy wyprowadziły z równowagi? Czy wybuchnęłabym płaczem?

201

Doktor Holford zatrzymał się przed drzwiami z napisem OIOM. Na ścianie przy drzwiach widniał symbol przekreślonego telefonu. Zaczęłam grzebać w torbie w poszukiwaniu mojej komórki, a on wystukał kod. Za drzwiami od razu zrobiło się ciszej. Światła były przyćmione, w przeciwieństwie do reszty szpitala, zalanej rażącym blaskiem jarzeniówek. Stanowisko pielęgniarek, przy którym siedziały dwie piszące coś kobiety, otaczało sześć nisz. Na widok lekarza obie pielęgniarki rozpromieniły się w uśmiechu.

- Jak się pan trzyma? - spytała jedna.

- Kiepsko. Całodobowy dyżur - wyjaśnił mi. - Już prawie koniec. Dwadzieścia pięć minut snu przez ostatnie dwadzieścia dwie godziny.

To wyjaśniało te czerwone oczy i ledwie hamowane rozdrażnienie. Skinęłam głową i uśmiechnęłam się blado. Zaraz potem straciłam zainteresowanie lekarzem, bo na krześle przed jedną z nisz siedział czytający gazetę mężczyzna, którego znałam. Ostatnio widziałam go w kościele, na nabożeństwie ku czci Jenny. Stał za Blakiem. Wielki facet, masywnie zbudowany, z nosem boksera, przycupnął niewygodnie na małym krzeselku, rozprostowawszy jedną nogę. Doktor Holford przestąpił nad nią



ostrożnie, jeszcze bardziej podobny do bociana.

- Pani chłopak jest tutaj - powiedział, zapraszając mnie gestem. Przemknęłam obok policjanta, nie odzywając się do niego. Drżałam ze strachu, że mógłby mnie zatrzymać albo spytać, co tu robię.

Unikałam kontaktu wzrokowego, choć czułam na sobie jego spojrzenie. Podeszłam do stóp łóżka, nadal spodziewając się, że ktoś mi zabroni się zbliżyć i zażąda wyjaśnień. Doktor Holford sprawdził maszyny, które burczały po obu stronach łóżka. Mogłam spokojnie przyjrzeć się Geoffowi. Dobrze, że miałam parę chwil na wzięcie się w garść, bo widok był straszny.

Gdyby lekarz mi nie powiedział, że to Geoff, pewnie bym go nie poznała. Twarz miał obrzmiała i lśniąca, posiniaczona. Powieki mu poczerniały. W jego nosie zniknęła rurka doprowadzająca tlen, druga rozchyłała mu kącik ust. Głowę miał grubo obandażowaną, na czubku sterczała kępa sklejonnych włosów. Wygląd jego ciała

202

od szyi w dół stanowił okropny kontrast: za sprawą obsesyjnego dążenia do doskonałości Geoff był szczupły i umięśniony jak sportowiec. Jego ręce leżały na kołdrze, odwrócone wnętrzem dłoni do spodu, nieruchome. Był nagi do pasa, kołdra okrywała go po pachy.

Chyba z gardła wyrwał mi się jakiś dźwięk, bo doktor Holford obejrzał się na mnie.

- Ostrzegalem. Niedobrze to wygląda, co?

Odkaszlnęłam.

- Jak on się czuje? Lepiej?

- Bez zmian. - W oczach lekarza pojawiło się współczucie. -

Chce pani przy nim posiedzieć? Może pani do niego mówić.

- Czy mu to pomoże?

- To może pomóc pani. - Wyszedł szybko, po drodze mrucząc coś do pielęgniarek.

Na oddziale było gorąco, duszno. Zdjęłam kurtkę i przewiesiłam przez ramię. Jakoś nie spieszyło mi się usiąść na krześle przy wezglowiu łóżka. Byłam tu intruzem. To krzesło czekało na tych, którzy wraz z lekarzami i pielęgniarkami toczyli walkę modlitwą i szeptanymi obietnicami, targując się o życie swoich ukochanych. Po raz pierwszy z własnej woli zgodziłam się poświęcić swój czas Geoffowi. Nie będę kłamać: sporo ułatwił mi fakt, że Geoff był w śpiączce.

Ostrożnie podeszłam do krzesła i położyłam na podłodze torbę i kurtkę, sprawdzając, czy Geoff zareaguje na ten dźwięk. Nawet nie drgnął.

Pielęgniarka robiła wyrzuty policjantowi. Miała mocny akcent z Indii Zachodnich.

- Nie, kochanie. Tu nie wolno rozmawiać przez komórkę. Znasz zasady.

Usiadłam na krześle ostrożnie. Z mojego miejsca widziałam policjanta pochylonego nad biurkiem pielęgniarek. Dzwonił z ich telefonu. Skórzana kurtka napięła mu się na grzbiecie jak żagiel na wietrze.

Pielęgniarka zajrzała do sali.

- Możesz go wziąć za rękę, kochanie - powiedziała. - Nie bój się.

Trzymanie Geoffa za rękę było prawdopodobnie ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, ale nie mogłam tego powiedzieć pielęgniarce. Czekala, uśmiechając się zachęcająco. Nieśmiało wyciągnęłam rękę i dotknęłam dłoni Geoffa, nakryłam ją ręką. Była gorąca i sucha, ale szorstka. Jakby brudna. Bardzo delikatnie odwróciłam dłoń wnętrzem do góry i zobaczyłam czarne drobiny ziemi wbite w linie jego dłoni i w opuszki. Ziemia i czarna, zaschnięta krew. Oblepiła mu paznokcie. Zadrżałam i cofnęłam rękę. Było mi niedobrze.

Założyłam ręce na piersi, zacisnęłam dłoń, którą dotknęłam Geoffa, wbiłam paznokcie w ciało. Chciałam wypchnąć z pamięci wspomnienie jego gorącej, trochę lepkiej skóry. Spojrzałam na ścianę przede mną. Powinno się tam znajdować okno. Zastanawiałam się, kto wybrał ten odcień beżu, uderzająco podobny do koloru dziecięcej kupki. Zastanawiałam się, co tu robię. Zastanawiałam się, czy Geoff odzyska zdrowie, czy kiedykolwiek mi wybaczy, czy ja kiedykolwiek wybaczę sobie. Nie wiem, jak długo tam siedziałam, kiedy usłyszałam głos Andy'ego Blake'a. Pewnie długo, ale w tej komorze deprywa-cyjnej OIOM-u traciło się poczucie czasu. Blake rozmawiał z policjantem pod drzwiami tak cicho, że nie docierały do mnie żadne słowa. Rozpoznałam jego głos, zanim go zobaczyłam, a kiedy się odchyliłam, żeby na niego spojrzeć, napotkałam wzrok dwóch policjantów. Na zniszczonej twarzy starszego malowała się jawna wrogość. Blake marszczył brwi. Nie witając się ze mną, trącił drugiego policjanta i wyszedł z oddziału. Poczułam się dotknięta, dziecinnie obrażona. Miałam ochotę pobiec za nimi, krzycząc: "I tak nie słuchałam! Nie obchodzi mnie, co masz do powiedzenia na mój temat! Wcale mnie to nie interesuje!".

Geoff nadal był nieprzytomny. Rodzice zgodzili się na operację. Doktor Holford przyszedł z chirurgiem, żeby go zbadać. Wyszłam, stanęłam samotnie na korytarzu. Po skończonej wizycie wróciłam na krzesło przy łóżku. Myślałam tylko o jednym: że gdybym załatwiła tę sprawę inaczej, Geoff by tu nie leżał. Gdybym była bardziej aser-tywna. Gdybym pozwoliła mu wejść i porozmawiać. Gdyby znalazł sobie kogoś innego do prześladowania. Gdybym uczyła w innej szkole. Gdybym w ogóle nie została nauczycielką. Wyrzuty sumienia przygniatały mnie jak fizyczny ciężar. Nie mogłam rozmawiać. Oparłam się o ścianę, a pielęgniarki krzątały się wokół swoich zajęć, nie niepokojąc mnie, nie przeszkadzając. W następnej salce leża! upadek z niezabezpieczonego rusztowania. W kolejnej - rozległy zawał podczas obiadu, szczęśliwie opanowany. W obu tłoczyli się goście, poszarzali z przerażenia lub różowi i wdzięczni. Do Geoffa przyszłam tylko ja. Nie znałam jego przyjaciół. Jego rodzice byli starzy i niedołążni, nie mogli przyjechać, powiedziała mi pielęgniarka. Nie wiem, czy miał rodzeństwo. Nie wiedziałam o nim nic z wyjątkiem tego, że mnie

lubił i chciał, żebym ja polubiła jego. Oboje źle to rozegraliśmy. Zaczynałam się godzić z faktem, że zareagowałam przesadnie. Przypomniałam sobie wszystko, co do mnie powiedział, wszystko, co zrobił, i zobaczyłam to w nowym świetle. On nie miał złych zamiarów. Nie chciał mnie skrzywdzić.

Drgnęłam, słysząc ciche pukanie do drzwi za moimi plecami.

- Przepraszam, że przeszkadzam... Możemy porozmawiać? -Blake był bardzo poważny.

Wstałam powoli, rozprostowując nogi po długim siedzeniu. Zdenerwował mnie ten dobór słów. Jak myślał, w czym przeszkadza? I w ogóle czego chciał ode mnie? Zły humor zaczął we mnie kipieć jak burzowa chmura. W ślad za Blakiem opuściłam oddział i weszłam w drzwi z napisem "Pokój dla krewnych" - ktoś flamastrem dopisał na tabliczce "dla". Wprawiona w drzwi szklana tafla została starannie zakryta zgniłozieloną kotarą. Pokój był mały i zagracony, ale przynajmniej miał okno, choć z widokiem na komin spalarni, buchający ciemnoszarym dymem w czyste błękitne niebo.

205

Blake czekał przy drzwiach i zamknął je za mną starannie. Ominęłam ostrożnie krzesła i stolik i podeszłam do okna.

- Trochę się zdziwiłem, że cię tu widzę.

- Dlaczego? - Dalej patrzyłam na kłębiący się dym.

- Nie sądziłem, że go lubisz - rzucił lekko.

- Nie lubię.

- Mogłabyś się odwrócić?

To niby-pytanie było tak naprawdę rozkazem. Odwróciłam się i oparłam o parapet.

Blake siedział przy stoliku. Nagle dostrzegłam, że meble zostały przestawione, żeby zaaranżować prowizoryczny pokój przesłuchań. To dlatego krzesła były tak stłoczone, a ustawienie mebli wydawało się chaotyczne.

- Chodź, usiądź - zarządził Blake, wskazując krzesło naprzeciwko.

Uparcie stałam.

- Dziękuję, nie chcę. Za długo siedziałam.

-Tak?

- Tak - oznajmiłam sztywno. - Chciałam zobaczyć, jak miewa się Geoff. Nie ma nikogo innego.

Blake odchylił się i założył ręce za głowę.

- A, rozumiem. Stał się kimś innym i teraz bierzesz za niego odpowiedzialność? Nic dziwnego, że odgrywasz Florence Nightingale.

- Co proszę? - Dobrze, że stałam tyłem do światła, bo poczułam, że krew napływa mi do twarzy.

- To twój schemat, tak? Coś złego spotyka kogoś znajomego, a ty musisz go pocieszyć.

Zmarszczyłam brwi.

- Na przykład?

- Na przykład jak w przypadku twojego brata. - Sięgnął pod krzesło i wyjął gazetę, brukowiec z wielkimi czarnymi nagłówkami. Nawet z daleka odczytałam tytuł nad artykułem zajmującym dwie strony: TRAGEDIA NAUCZYCIELKI: ZNALAZŁAM JENNY, ALE NIE MOGLAM ZNALEŹĆ BRATA. Zdjęcie: ja przed szkołą, z odwróconym wzrokiem i zmarszczonym czołem.

206

- Kiedy zamierzałaś nam o tym powiedzieć? - spytał Blake, pokazując mi gazetę.

Podeszłam do niego, nawet nie wiedząc, że to robię. Pieprzona Carol Shapley. Musiała bardzo szybko pracować, skoro tak mało czasu upłynęło między tym wywiadem a jego opublikowaniem. Tyle na temat współczującego artykułu. Smutna Sarah Finch zdławionym głosem opowiedziała mi o znalezieniu ciała swojej ulubionej uczennicy. Sama naznaczona tragedią, dobrze zna smak rozpacz. "Wiem, co musi czuć rodzina Jenny - wyznała, płacząc. -Ale przynajmniej mogą pochować ciało".

- Tego nie powiedziałam - mruknęłam pod nosem, przebiegając szybko akapity. Opisała wszystko: zniknięcie Charliego, załamanie nerwowe mamy, śmierć taty i Jenny - ale z trudem rozpoznawałam swoją historię, wyglądzoną, podzieloną na łatwo przyswajalne akapity. Przeczytałam trzecią stronę, którą zajmowały głównie spekulacje na temat tego, co mogło spotkać Jenny, a także moje rze kome nadzieje co do przyszłości rodziców Jenny. ("Mam nadzieję, że zostaną ze sobą i będą się wspierać. Przejdą przez to, ale nigdy tego nie zapomną"). Po tym ostatnim tekście przymknęłam oczy. Nie musiałam tego czytać, mogłabym wyrecytować każde zdanie z pamięci, ale wróciłam na pierwszą stronę i spojrzałam na nią, nie widząc ani jednego słowa. Bardzo niechętnie myślałam o odłożeniu gazety i spojrzeniu w te wlepione we mnie oczy.

- Przepraszam, że nie powiedziałam o moim bracie, ale nie sądziłam, że to ważne - powiedziałam w końcu, siadając i otaczając kolana rękami.

Uniósł brwi.

- Naprawdę? Wolałbym o tym wiedzieć przed dziennikarzami. A w ogóle jak się dowiedzieli?

Cichutkim głosem opowiedziałam mu o Carol i jej wytrwałości. Wyjaśniłam, że moim zdaniem nie miałam innego wyjścia niż współpraca.

- Okłamała mnie. - Stuknęłam w gazetę palcem. - Powiedziała,

207

że nie poda mojego nowego nazwiska ani nie zamieści szczegółów, po których można by mnie rozpoznać. Dlatego fotografia nie jest pozowana. Nie wiem, kiedy mi ją zrobiono. Pewnie tego dnia, kiedy wszyscy staliśmy przed szkołą - w dniu, w którym znaleziono ciało Jenny.

- W którym ty je znalazłaś - rzekł Andy Blake znacząco.

Podniosłam głowę.

- I co z tego?

Nie odpowiedział, tylko spojrział w dal ze zdesperowanym wyrazem twarzy.

- Słuchaj! - rzuciłam, na nowo rozdrażniona. - Nie daj sobie wmówić, że to coś więcej niż zbieg okoliczności. Nikomu nie powiedziałam o Charliem. O nim nie rozmawiam z nikim. To nie jest temat do pogawędek, jasne? Nie liczę, że inni będą się przejmować zniknięciem mojego brata. Stało się. Musiałam z tym żyć, dorastając, muszę z tym żyć teraz, ale różnica polega na tym, że ludzie na ogół o tym zapomnieli i już ich to nie obchodzi. Przynajmniej mogę czuć to, co czuję, na osobności. - Tak się przyzwyczaiłam do tłumienia uczuć, że nie wiedziałam, jak zacząć je wyrażać. Ukrywanie ich przychodziło mi naturalnie.

Wzruszył ramionami.

- To po co tu zostałam? Mieszkanie w tym samym domu musi być straszne.

- Dla mamy - powiedziałam z prostotą i wyjaśniłam, że chciała zostać tam, gdzie spędziła całe życie, na wypadek gdyby Charlie jakimś cudownym zrządzeniem losu wrócił.

Blake pokręcił głową.

- Właśnie o tym mówię. Jeśli ona nie chce się wyprowadzić - trudno. Zostaw ją. Dlaczego musisz z nią mieszkać? Jest dorosła. Zniszczyła własne życie, ale to nie znaczy, że ty musisz zniszczyć swoje.

- Nie mogę jej zostawić. - Raz po raz, uparcie i bezmyślnie przejeżdżałam paznokciem po szwie dzinsów. - Wszyscy inni odeszli. Nie mogę jej tego zrobić.

- Tak jak nie możesz zostawić Geoffa, żeby sobie spokojnie leżał w sypialce - powiedział surowo Blake. - Teraz rozumiem,

208

-

dlatego cię tu zastałem. - Pochylił się ku mnie. - Zdajesz sobie sprawę, że gdyby sytuacja potoczyła się inaczej, gdybyś mi powiedziała, jak się zachowuje, mógłby odpowiadać za molestowanie? Nie podniosłam głowy.

- To nie jest ktoś, nad kim powinnaś się litować - powiedział Blake z irytacją i współczuciem. - Można wręcz powiedzieć, że dostał, na co zasłużył.

- Chyba tak nie myślisz.

- Był zarozumiałym gnojkiem, który odmowy nie przyjmuje do wiadomości. Wykorzystałby cię, gdyby tylko mógł. Musisz zacząć o siebie walczyć.

Pociągnęłam nosem. Chciało mi się płakać. Blake podał mi pudełko chusteczek ze stolika.

- To jest opinia profesjonalisty? - Nie starałam się usunąć nutki sarkazmu z głosu.

- Przepraszam - rzekł sztywno. - W rozmowie z tobą jakoś mi trudno zachować profesjonalizm.

Zapadło krótkie, niezręczne milczenie. Oboje przypomnieliśmy sobie ostatni raz, kiedy zachowywał się w mojej obecności zupełnie nieprofesjonalnie. Nie ośmieliłam się na niego spojrzeć.

- Obiecałem sobie, że o to nie będę pytać - odezwał się cicho, prawie do siebie - ale rzecz w tym, że cię nie rozumiem. Nie wiem, dlaczego kulejesz i skąd się wziął ten siniak na twojej twarzy. Widziałem go już rano, więc nie musisz go teraz ukrywać. Nie rozumiem, jak to - machnął ręką w stronę izolatki - ma się do twojego przyjazdu do mnie. Starannie wydmuchałam nos, nie spiesząc się z odpowiedzią. Postanowiłam najpierw załatwić drugą część pytania.

- Przepraszam. Nie powinnam była tak postąpić. Ale... musiałam zrobić coś spontanicznego. Dla odmiany coś poczuć. Tej nocy miałam wrażenie, że zapadam się w lotnym piasku. Chciałam się ciebie przytrzymać. - Zaryzykowałam zerknięcie na niego. - Uznałam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Wzruszył ramionami.

- Nie miałem. Ale nie o to chodzi.

- Ta noc... było świetnie. Ale moje życie tak nie wygląda. Moje

życie to codzienne chodzenie do szkoły w nadziei, że robię coś dobrego. Wieczorami wracam do domu i nigdy nie wiem, co zastanę. W dobre wieczory sprawdzam prace domowe, a mama pije do nieprzytomności. W złe - no, jest mniej więcej tak samo. Może mi się to nie podoba, ale tak już jest. Przez chwilę, parę dni temu, zachciało mi się z tego wyrwać i starczyło mi odwagi - albo głupoty - żeby to zrobić. Prawdopodobnie powinnam sobie wybrać kogoś innego, niemającego związku z tą sprawą, ale po prostu...

- urwałam. "Chciałam ciebie". Nie mogłam tego wyznać w tym nijakim, martwym pokoiku. To by była przesada.

- Jak powiedziałem, nie mam nic przeciwko temu.

Wydawało mi się, że Blake myśli o czymś innym. Wyprostowałam się.

- Powinieneś mnie z tym zostawić. - Miałam na myśli: Nie staraj się mnie zrozumieć. Nie staraj się mnie poskładać. Jestem zbyt połamana.

Najwyraźniej uznał, że mówię o Geoffie.

- Chyba nie przyszedł tutaj, żeby odstawiać mdlejącą dziewczycę?

- spytał z niesmakiem. - Myślałem, że stać cię na więcej. Wszystkie pielęgniarki myślą, że spotkała cię wielka tragedia, a tobie chodzi tylko o to, żeby się znaleźć w centrum uwagi.

- Nieprawda! - rzuciłam z oburzeniem. - Chciałam tylko...

- Chciałaś tylko znaleźć kolejną przyczynę, żeby nie żyć swoim życiem. A jeśli on wyzdrowieje, staniesz się jego główną opiekunką? Będziesz za nim chodzić, pozwolisz mu, żeby tobą rządził, bo od początku mu o to chodziło? Zaopiekuje się twoją mamą, a tobą będzie pomiatał?

- Sama podejmuję decyzje - wysyczałam z furją, wstając. - Może ich nie rozumiesz, ale takie są. Nikt mnie nie zmusza. Taka jestem. I tak powinnam postąpić.

On też wstał i obszedł stół. Poruszał się szybko, a zatrzymał się tak blisko mnie, że jego twarz znalazła się o parę centymetrów od mojej.

- Ciągłe okłamujesz mnie i siebie. Może pewnego dnia wmożesz sobie, że jesteś szczęśliwa. Ale wcześniej czy później tego pożałujesz.

210

- A to już mój problem.

Oczy mu pociemniały. Kręciło mi się w głowie, jakbym spadała.

- Tamta noc - powiedział sucho - była prawdziwa. Tak powinnaś żyć. Tym. - Musnął palcami moją pierś tuż nad sercem.

Byłam zła na niego i wściekła na siebie, ale jego dotyk sprawił, że zapomniałam o wszystkim, przytuliłam się do niego, chcąc go poczuć, unosząc twarz do pocałunku. W tym pocałunku nie było ciepła, sama bezsilna złość i gniew. Nieważne. To nie miało znaczenia. Nic nie miało znaczenia.

Zaraz potem rozległo się krótkie pukanie i drzwi się otworzyły. Odskokczyliśmy od siebie ze świadomością, że już za późno i że nas zobaczono.

- Przepraszam, że przeszkadzam - odezwała się sarkastycznie pielęgniarka z indyjskim akcentem. - Pański szef dzwoni.

Blake zaklął cicho, chwycił papiery - również gazetę - i przebiegł koto pielęgniarki, nie odzywając się do mnie ani do niej. Spojrzałam na nią, doskonale wiedząc, że oblałam się rumieńcem, i także nic nie powiedziałam.

- Mhm - mruknęła bardzo znacząco i wyszła.

Po czymś takim nie mogłam zostać przy Geoffie. Ze spuszczoną głową wróciłam po moje rzeczy. Odchodząc, wyszeptalam przeprosiny. Mimo tego, co powiedział Blake, nie mogłam się pozbyć wrażenia, że muszę dodać Geoffa do mojej listy obowiązków. Miałam wobec niego zobowiązania, czy mi się to podobało, czy nie. Nie zachowywałam się nierozsądnie. Blake się mylił. I jakie to typowe - uznał, że on najlepiej wie, co jest dla mnie dobre. Wstydziałam się, że pielęgniarka zaskoczyła mnie w jego ramionach, ale jeszcze bardziej byłam na siebie zła, że znowu się na niego rzuciłam. A moje zdradzieckie ciało wibrowało podnieceniem i frustracją. Parę razy pomyliłam drogę, zagubiona bez przewodnictwa chudego lekarza. Kiedy wreszcie znalazłam drzwi prowadzące na zewnątrz, wypadłam przez nie, jakby mnie gonili, złaknio-

211

na świeżego powietrza. Dzień był piękny, słoneczny i ciepły. Osłoniłam oczy przed

oślepiającymi odbiciami blasku w szybach samochodów na parkingu. Rozejrzałam się, szukając właściwej drogi, i nie od razu zauważyłam, że obok mnie zatrzymał się samochód.

- Sarah! - zawołał ktoś wesoło. - Dokąd zmierzasz?

Pochyliłam się do okna samochodu i ujrzałam Vickersa. Między nami siedział Blake. Wpatrywał się przed siebie i ewidentnie unikał kontaktu wzrokowego ze mną.

- No... do domu - powiedziałam z wahaniem.

- Wracamy w tę twoją dzicz, więc pozwól, że cię podwoję.

Wskakuj!

Nie wiedziałam, jak odmówić. Do domu miałam parę ładnych kilometrów poboczem ruchliwej szosy - średnio miła przechadzka. Zwłaszcza z bolącą nogą. Vickers nigdy by mi nie uwierzył, gdybym powiedziała, że wolę się przespacerować.

- Dzięki - mruknęłam w końcu i wsiałam na tył za Vickersem.

Blake miał czerwone uszy i nie obejrzał się na mnie. Podchwyciłam w lusterku wstecznym spojrzenie Vickersa. Tak samo czujne jak wtedy, gdy rozmawialiśmy o świcie przed moim domem.

- Czyli powinnam wam opowiedzieć o moim bracie? - odezwałam się spokojnie.

Zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły. Dotarło do mnie, że Vickers się uśmiecha.

- Tak. Ale na pewno miałaś swoje powody.

- Nie chciałam niczego ukrywać. Uznałam, że nie musicie

o tym wiedzieć.

- Szczerze mówiąc, od dawna wiedziałem - odparł Vickers

1 przeokropnie się rozkaszał. Trwało to co najmniej dwadzieścia sekund. - Przepraszam - wykrztusił w końcu. - Palenie zabija.

Nigdy nie pal, moja droga.

Najwyraźniej był to dzień dobrych rad od policji. Uśmiechnęłam się uprzejmie, ale mój umysł pracował gorączkowo.

- To znaczy... wiedzieliście?

- Rozpytałem się tu i tam. - Yickers znowu spoglądał ironicznie

212

w lusterko wsteczne. - Sprawdziłem cię, kiedy złożyłaś zeznanie po znalezieniu zwłok. Nietrudno było się dowiedzieć. Bardzo smutna sprawa.

- I... i nie ma pan żalu, że o tym nie wspomniałam? - Nie chciałam mówić o Blake'u, zwłaszcza w jego obecności, ale przecież zrobił mi o to awanturę. Dlaczego Vickersa to nie ruszyło? I dlaczego nie chciało mu się powiadomić o tym swojego zespołu?

- Przez te lata nauczyłem się jednego: że każdy ma jakąś tajemnicę, którą nie chce się dzielić z policją. Niektóre są warte poznać, inne nie. Doświadczenie podpowiada mi, które są ważne. Nie wszystko się liczy, a ja staram się wyselekcjonować wiadomości, które mój zespół powinien znać. Uznałem, że sprawa twojego brata nie ma znaczenia dla tego dochodzenia.



- Też tak myślałam - oznajmiłam z gigantyczną ulgą.
- Ale chyba nie będziesz ukrywać przed nami niczego więcej?
- dodał Vickers, skręcając na szosę. - Koniec tajemnic, dobrze?

Znowu spojrzałam mu w oczy w lusterku wstecznym i tym razem pierwsza odwróciłam wzrok. Tego ranka oceniłam go słusznie. Pomimo ciepła i rzekomej serdeczności w tych zimnych błękitnych oczach nie było ufności. Vickers coś podejrzewał i nie miałam pojęcia, co by to mogło być. Nie odpowiedziałam i przez resztę drogi w samochodzie panowała cisza. Bardzo głośna cisza.

1994

Rok i osiem miesięcy od zaginięcia

P

roszę pani! Pani Barnes!

Znam ten głos, to moja nauczycielka, pani Hunt. Spoglądam na mamę niepewna, czy ją usłyszała, a jeśli usłyszała, to czy się zatrzyma. Mama niechętnie się ogląda.

-Tak?

Pani Hunt ledwie zipie.

- Czy... zechciałaby... pani... wrócić... i zamienić ze mną... parę słów? - Spogląda na mnie, trzymając się za serce. - Ty też, Saro.

Mama zawraca i idzie za nauczycielką przez boisko, a ja wlokę się za nimi ze wzrokiem wbitym w stopy mamy. Lewa, prawa, lewa, prawa. Wiem, co powie siwowłosa, pulchna pani Hunt. Uczy mnie od paru miesięcy i już zdążyła mnie poznać. Parę razy dostałam ostrzeżenie. Nie będę o tym myśleć, postanawiam i siłą woli opróżniam umysł. To sztuczka, której się nauczyłam. Potrafię się wyłączyć, kiedy mam dość. Często to robię.

W klasie, na swoim terytorium, pani Hunt przysuwa mamie krzesło, a mnie wskazuje miejsce w pierwszym rzędzie. Siadam powoli na krześle Eleanor Price. Wyobrażam sobie, że nią jestem, w grubych okularach i z intensywnie rudymi włosami. Eleanor to lizuska. Lubi siedzieć w pierwszym rzędzie, tak blisko, żeby przypominać pani Hunt, na jakiej stronie podręcznika historii

214

jesteśmy i żeby w razie potrzeby zgłosić się na ochotnika do przekazania wiadomości innemu nauczycielowi.

- Pani Barnes, chciałam porozmawiać z panią o Sarze, ponieważ martwi mnie jej zachowanie. Rozmawiałam z kolegami, którzy uczyli ją poprzednio, i uważamy, że Sarah się opuściła w nauce.

Nie odrabia lekcji. Na zajęciach jest nieobecna. Potrafi być bardzo niegrzeczna dla kolegów i często odnosi się do mnie obojętnie.

To cię boli, myślę z pewną satysfakcją. Pani Hunt jest ulubienicą całej szkoły, życzliwa i wesoła, przyjazna dla wszystkich. Ja się jej nie zwierzam. Nie proszę o pomoc. Wymykam się z klasy, zanim zdąży się do mnie odezwać.

Mama robi wysiłek, żeby zaangażować się w temat.

- To niepokojące. Ale teraz na pewno będzie się starać bardziej.

Prawda?

Wpatruję się przed siebie. Jestem Eleanor Price. To nie ma nic wspólnego ze mną.

- Wydaje się taka rozkojarzona - szepcze pani Hunt, łapczywie chłonąc wyraz twarzy mamy. - Czy w domu są jakieś problemy, których powinniśmy wiedzieć?

Mam ochotę krzyknąć: Powiedz jej! Opowiedz jej o swoim picciu i kłótniach z tego powodu!

Mama unosi rękę, żeby odgarnąć włosy z czoła. Jej rękaw się odchyła, a na twarzy pani Hunt pojawia się szok i ciekawość. Przedramię mamy pokrywają czarnofioletowe sińce. Są też inne, wiem o tym. Mama po pijanemu często się przewraca.

Czekam, żeby to wyjaśniła, ale nauczycielka pochyla się ku niej.

- Wie pani, może pani szukać ratunku. Istnieją takie schroniska... Mogę podać pani adres...

- To nie będzie konieczne - ucina mama.

-Ale jeśli w domu dochodzi do aktów przemocy... jeśli pani mąż...

- Proszę - rzuca mama, unosząc rękę. - Nie przy Sarze.

No, teraz zaczynam uważać. Mama chyba nie powie pani Hunt, że tata ją skrzywdził. To niemożliwe.

215

- Muszę z tym żyć, ale nie chcę, żeby wiedziała - mówi mama cicho. - Nie ma pojęcia...

- Ależ musi! - Pani Hunt wbija palce w policzki, głęboko, jakby były z ciasta. - Jak może ją pani od tego izolować?

Mama kręci głową.

- Ułoży nam się. Już jest lepiej, naprawdę. A Sarah też się poprawi. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas na rozmowę. - Wstaje i bierze torebkę. - Zapewniam panią, Sarah jest najważniejsza.

Pani Hunt kiwa głową. Oczy ma wilgotne.

- Jeśli mogę coś dla pani zrobić...

- Dam pani znać. - Mama odwraca się do mnie ze słabym, dzielnym uśmiechem. - Chodź, wracamy do domu.

Odzywam się dopiero na jezdni, kiedy tłum przy bramie został już za nami.

- Dlaczego nie powiedziałaś pani Hunt prawdy?

- Nie jej sprawa - rzuca mama krótko.

-Ale pomyśli, że tata... no przecież tak jakbyś powiedziała, że tata ci to zrobił.

- I co z tego? - Mama odwraca się do mnie gwałtownie. - Twój ojciec nie jest takim ideałem, za jaki go uważasz

- On tego nie robił - upieram się, wskazując jej ramię. -

To twoja wina.

- Pewnego dnia - mówi cicho mama - zrozumiesz, że twój ojciec bardzo mnie skrzywdził, choć nie zostawił siniaków.

- Nie wierzę.

- Myśl sobie, co chcesz. To prawda.

Oczy zachodzą mi łzami, serce łomocze.

- Życzę ci śmierci - mówię całkowicie serio.

Mama przystaje na sekundę i parska śmiechem.

- Jedno powinnaś wiedzieć, kochanie ty moje. Życzenia się nie sprawdzają.

I rzeczywiście, to prawda. Mama ma rację, choć we wszystkim innym się myli.

## Rozdział 12

Po

o raz drugi tego dnia na Curzon Close zaroilo się od policyjnych samochodów. Mimo woli wyrwał mi się okrzyk zaskoczenia.

- Mamy nakaz rewizji - odezwał się Blake, nie odwracając się do mnie.

- Rewizja? Myślałam, że takie rzeczy załatwiacie o piątej rano.

- Tylko jeśli liczymy, że przyłapiemy kogoś na gorącym uczynku

- rzucił Vickers przez ramię, zatrzymując się na poboczu. - Mamy podstawy przypuszczać, że dom jest pusty.

Naszło mnie niemiłe przeświadczenie, że wiem, o który dom chodzi.

- Funkcjonariusze nie zastali nikogo, kiedy zaczęli pukać do sąsiadów i pytać o wydarzenia zeszłej nocy - dodał Vickers. - Prawdę mówiąc, nikt nam specjalnie nie pomógł. Wszyscy tu mają mocny sen. Ale starali się odpowiadać na pytania. Regulamin nakazuje przepytac wszystkich okolicznych mieszkańców, żeby sprawdzić, czy nie znajdziemy kogoś... interesującego. I znaleźli śmy. Twojego sąsiada z naprzeciwka, niejakiemu Daniela Keane'a. Znasz go?

Chciałam pokręcić głową, ale się powstrzymałam.

- Mniej więcej - powiedziałam w końcu. - Nie rozmawiałam z nim od lat. Nie, tak naprawdę go nie znam. Znałam. - Co ja tak bełkoczę? Urwałam i zagryzłam wargę.

Vickers i Blake patrzyli na mnie z uwagą. Westchnęłam.

217

- O rany, był kolegą mojego brata, jasne? Po zniknięciu Charliego zakazano mi z nim rozmawiać. Dorastaliśmy, a ja nie miałam z nim kontaktu. Widuję go od czasu do czasu, ale nie mogę powiedzieć, że go znam.

Vickers wyglądał na zadowolonego.

- W takim razie możesz nie znać przeszłości pana Keane'a. Parę lat temu miał mnóstwo kłopotów. Wielokrotnie oskarżony o napaść - chodziło głównie o wdawanie się w bójki przed pubami - drobne

kradzieże, wykroczenia drogowe, takie tam. Rozrabiaka. Wpadł po bardzo przykrym incydencie, w którym jakiś biedny chłopak dorobił się pęknięcia czaszki, ale Keane nie został skazany z braku dowodów. Potem - cud. Koniec wybryków. Przestał się ładować w kłopoty, zdobył pracę, a my przestaliśmy się nim interesować. Aż do teraz. Zadzwoniliśmy do warsztatu, w którym pracuje. Dziś go tam nie widzieli. Miał się zjawić rano, ale się nie zjawił. A nigdy nawet się nie spóźnił.

Blake poruszył się niespokojnie.

- Lepiej się zbierajmy. Chłopaki czekają.

Uświadomiłam sobie, że to ja ich zatrzymuję. Zakłopotana, sięgnęłam po torbę i kurtkę i wymamrotałam podziękowanie za podwiezienie. Biegnąc do domu, nie obejrzałam się na Blake'a. Kątem oka zarejestrowałam, że przed domem Danny'ego zbierają się policjanci. Wkładając klucz w zamek, pomyślałam nagle o Paulu. Jeśli tam był, na pewno nie otworzy. Będzie przerażony. Pewnie właśnie stoi za drzwiami. Odwróciłam się, ale raptem straciłam pewność siebie. Nie wiedziałam, czy powinnam coś powiedzieć. Jeśli Danny zniknął, a policja najwyraźniej tak uważała, to pewnie zabrał ze sobą brata.

Stałam przed drzwiami domu, a tymczasem sytuacja na jezdni rozwijała się szybko. Vickers skinął głową do małego oddziału mundurowych policjantów przed drzwiami Danny'ego. Jeden z przodu krzyknął: "Policja! Otwierać!", a potem, nie czekając na reakcję, zamachnął się czerwonym taranem. Drzwi zdrząły od uderzenia; policjanci atakowali raz po raz, celując w zawiasy. W końcu wejście stanęło otworem. Wpadli do środka, krzycząc: "Policja!".

218

Wróciłam do furtki, zaplatając ręce na piersi i drżąc, choć słońce świeciło mocno.

Vickers i Blake stali przed domem. Czekali. Z wnętrza dobiegł tupot i wykrzykiwane rozkazy, trzask drzwi. Potem zapadła cisza. Ktoś szarpnął okno od frontu, otworzył je i zawołał:

- Mamy kłopot z otwarciem jednych drzwi!

- Z buta je! - zarządził Blake.

Usłyszeliśmy łomot. Zawahałam się, podjęłam decyzję i ruszyłam w stronę Vickersa.

- Musi pan coś wiedzieć - powiedziałam, stając za nim. - Danny ma młodszego brata...

Jednocześnie z domu rozległ się krzyk:

- Sprowadzić karetkę!

- Zaczekaj. - Vickers pobiegł w ślad za Blakiem.

Zostałam sama, przestępując z nogi na nogę. Jeśli coś się stało z Pauliem... - pomyślałam i nie mogłam skończyć zdania.

Wydawało mi się, że minęła wieczność, zanim nadjechała karetka i sanitariusze przebiegli obok mnie, prowadzeni przez policjanta, który wyszedł z domu na dźwięk syreny. Blake minął się z nimi w drzwiach i podszedł wprost do mnie.

- Znasz jego brata, tak? Możesz go zidentyfikować?

- Co się stało? - szepnęłam z gardłem zaciśniętym ze strachu.

-On chyba...

- Żyje. Przynajmniej na razie. Jak wygląda?

- Ciemne włosy, brązowe oczy. Ma dwanaście lat, ale wygląda na starszego.

- Budowa? - rzucił niecierpliwie.

- Jest gruby. No... monstrualnie otyły. - Powiedziałam to i poczułam się bardzo nie w porządku wobec Paula.

Westchnął.

- To by się zgadzało. Dwanaście lat? Jezu. Trzeba się napracować, żeby się doprowadzić do takiego stanu.

- Nie jest mu łatwo - warknęłam, czując, że muszę się ująć za Pauliem. - Chyba nie przepada za sobą.

- To nawet widać. Usiłował się zabić.

219

- Jak? - wykrztusiłam.

Funkcjonariusz, który akurat przechodził obok nas, poczuł się w obowiązku odpowiedzieć.

- Powiesił się na drzwiach. Biedny jełop. Nic dziwnego, że nie mogliśmy ich otworzyć. - Spojrzał na Blake'a. - Już wiemy, dla czego mu się nie udało. Linka się napięła, to była jedna z tych krytych plastikiem, a węzeł, który na niej zadzierzgnął, jakoś się ześliznął. Chłopak był za ciężki, więc lina wydłużyła się tak, że dotknął stopami podłogi. Był za gruby, żeby zawisnąć. Dobry Boże, czegoś takiego w życiu nie widziałem.

- Wyzdrowieje? - spytałam. Już teraz go nie znosiłam za to, jak mówił o Paulu.

Policjant wzruszył ramionami.

- Może. Pracują nad nim. Był nieprzytomny, kiedy go znaleźliśmy.

W domu rozległ się szereg łomotów.

- Wynoszą go - powiedział Blake.

- Ty, stary, trzymaj swój koniec! - zawołał z pretensją sanitariusz. Dwaj policjanci pomagali nieść nosze. Paul miał twarz zasłoniętą maską tlenową, ale nie mogłam nie poznać jego czu przyny i wielkiego brzucha. Spod koca bezwładnie się wysunęła pulchna dłoń.

- No, wysił się! - usłyszałam za plecami. Policjant, który przed chwilą ze mną rozmawiał, opierał się o swój samochód. Szczyrzył zęby.

- Pomógłbyś - rzucił jeden z mundurowych przy noszach.

- Z moimi plecami? W życiu. Dysk by mi wypadł.

- Czemu oni się śmieją? - oburzyłam się. Chciałam, żeby Blake kazał im się zamknąć. - To nie jest zwierzę, na tych noszach leży dziecko!

Nie odpowiedział. Zacisnęłam pięści.

Sanitariusze rozłożyli kółka noszy i przetoczyli je koło mnie. Z bliska Paul wyglądał strasznie. Skórę miał siną. Jak długo wisiał? I kiedy by go znalezione, gdyby policjanci się nie włamali? Co Danny sobie myślał, że go tak zostawił?

220

Blake poszedł za sanitariuszami i zajrzał do ambulansu, kiedy tylko schowano do niego nosze z Paulem. Wrócił do mnie z ponurą miną, ale to, co powiedział, podniosło mnie trochę na duchu.

- Podobno z nimi rozmawiał. W tej chwili na przemian odzykuje i traci przytomność. Sądzą, że dojdzie do siebie, ale chcą go jak najszybciej przewieźć.

W tej samej chwili karetka ruszyła, rycząc i błyskając światłami.

Blake odwrócił się do mnie.

- Czyli nie znasz Danny'ego, ale znasz Paula.

Nie spodobał mi się jego ton.

- Niezbyt dobrze. Rozmawiałam z nim tylko raz. Zresztą nie pytałeś o niego.

- Bo o nim nie wiedziałem - odparł cicho.

Wzruszyłam ramionami.

- Wczoraj go poznałam. Poszłam do nich... - Zawahałam się, ale w końcu powiedziałam, dlaczego chciałam porozmawiać z Dannyem.

- Paul jest świetnym chłopcem. Ma dobry charakter. I nie lekceważcie go z powodu otyłości. Jest bardzo inteligentny. Założę się, że o komputerach i informatyce wie więcej niż my razem wzięci.

- Zależało mi na tym, żeby Blake dostrzegł w Paulu człowieka, a nie tylko grubasa.

Przyglądał mi się z nieprzeniknioną miną.

- Czyli do wczoraj nigdy nie byłeś w tamtym domu.

-Nie.

- Przyszło ci do głowy, żeby się dowiedzieć, co spotkało twojego brata.

Skinęłam głową.

- Ta sprawa z Jenny znowu obudziła wspomnienia. Zaczęłam się zastanawiać, co się z Charliem stało. Na ogół się o tym nie myśli. Po prostu żyje się z tym, co zostało.

Blake spojrział nad moim ramieniem. Odwróciłam się. Z domu wyłonił się Vickers, jeszcze bledszy i bardziej znękany niż zwykle. W prawej ręce trzymał coś srebrnego z frędzlami. Poczucie, że to wszystko mi się śni, stało się jeszcze mocniejsze,

221

bo widok tego czegoś w ręce Vickersa nie miał najmniejszego sensu.

- Moja torebka!

Tę torebkę miałam przy sobie trzy dni temu - tę torebkę zabrał mi tajemniczy

napastnik. Podeszłam do Vickersa z wyciągniętą ręką. Odsunął torebkę poza zasięg mojej dłoni. Poczułam, że Blake staje za mną.

- To moje - powtórzyłam. - Gdzie ją pan znalazł?

Vickers był bardzo zmęczony.

- W salonie. Tam, gdzie ją zostawiłaś.

Pokręciłam głową.

- Nie. Pan nie rozumie. Zgubiłam tę torebkę. Właściwie nie zgubiłam, tylko straciłam.

- No nie, znowu jakaś ścierna? - rzucił Blake. - Zawsze masz odpowiedź na wszystko, tak?

- To prawda - oznajmiłam z godnością, zwracając się tylko do Vickersa. - We wtorek wieczorem ktoś na mnie napadł.

Przewrócił mnie i zabrał mi torebkę. Dlatego nie jeżdżę samo chodem - nie mam kluczyków. Zauważył pan, że wszędzie chodzę piechotą, sam mnie pan podwiózł. Dlaczego nie miałabym przyjechać do szpitala, gdybym miała czym?

Vickers rozsunął suwak torebki i zajrzał do środka. Naszła mnie bardzo niestosowna chęć, żeby zachichotać. Poszarzały na twarzy mężczyzna w szarym garniturze, grzebiący w torebce ze srebrnej skóry jak we własnej wyglądał przekomicznie.

- Nie ma kluczyków - oznajmił w końcu i chichoty od razu mi przeszły.

- Co? Na pewno są. W wewnętrznej kieszonce.

- Tam zajrzałem najpierw. Moja żona też tam trzyma kluczyki.

- Mogę sama sprawdzić?

Podał mi torebkę bez słowa. Przetrzaśnęłam ją, czując na sobie spojrzenia obu mężczyzn. Przesunęłam dłonią wśród rachunków, które zebrały się na dnie.

Znalazłam kredkę do oczu, balsam do ust, od dawna wypisany długopis, parę spinaczy, ale nic poza tym. W końcu musiałam się przyznać do kłeski.

222

- Kluczyki tu były, kiedy skradziono mi torebkę. I inne rzeczy... kalendarzyk, zdjęcia... - Usiłowałam sobie przypomnieć, co jeszcze.

- Wejdz - powiedział Vickers, odsuwając się z drogi. - Wejdz i sama sprawdź.

Blake zrobił krok naprzód.

- Szefie, dowody... nie możemy...

- Już przyznała, że była w domu - zauważył Vickers łagodnie.

- Wątpię, żeby ekipa znalazła coś konkretnego. Ale na wszelki wypadek nie pozwolimy jej niczego dotykać.

Blake zagryzł wargę, lecz już się nie odezwał. Odsunął się na bok, pozwalając mi przejść.

Weszłam i rozejrzałam się po korytarzu.

Od mojej ostatniej wizyty nic tu się nie zmieniło - z wyjątkiem drzwi wyłamanych

przez policję. Na wytartej wykładzinie w miejscu, gdzie uderzyły o ścianę, leżały odpryski farby. Znowu poczułam odór przeпоconych skarpetek i jakiś inny, ostrzejszy. Strach.

Tym razem drzwi do salonu były uchylone.

-Tam znaleźliście torbę? - spytałam. - Mogę wejść i sama poszukać?

- Proszę - powiedział Vickers. - Nie potrwa to długo.

Zrozumiałam, co miał na myśli, kiedy pchnęłam drzwi. Zapach, który przesycił cały dom, tutaj był silniejszy, duszący; zakrztusiłam się lekko. Spróbowałam oddychać płytko, ustami. W pokoju było ciemno, tanie żaluzje zasłaniały okno. Dopóki Vickers nie wcisnął przełącznika przy drzwiach, światło wpadało tylko przez szczelinę między żaluzją a framugą. Zamrugałam, porażona nagłym, ostrym blaskiem nagiej żarówki pod sufitem.

Pokój był prawie pusty. Podwójne łóże, przykryte poplamionym prześcieradłem z gumką, stało wezglowiem do ściany. To wezglowie było pokryte brudnym bładozielonym aksamitem i wyglądało, jakby pochodziło z lat siedemdziesiątych. Na podłodze przy łóżku stało pudełko z chusteczkami, wokół niego poniewierały się zużyte chusteczki. Po drugiej stronie leżała sterta zaczytanych magazy-

223

1

nów - pornosów, zrozumiałam z odrazą. Cienka kołdra, wypchana gruzłowatym wypełnieniem, leżała w nogach łóżka, zwisając na podłogę pokrytą ciemnobrązową akrylową wykładziną, iskrzącą się w świetle i lekko skrzypiącą pod stopami. Ściany oklejono tapetą z wypukłym perłowym wzorem, bardzo schludną i porządną, całkiem niepasującą do tego pokoju. Długi, brudny ślad na jednej ścianie zdradzał, że kiedyś coś tu stało, może sofa. Odwróciłam się do Vickersa.

- Przecież to dom z trzema sypialniami. Dlaczego sypiali tutaj, skoro mieszkali tylko we dwóch?

Vickers nie odpowiedział od razu. Zaprowadził mnie w głąb pokoju, żebym zobaczyła to, co zasłaniały mi drzwi. Mała, zniszczona biblioteczka stanowiła jedyny oprócz łóżka mebel w pokoju - chyba że uzna się za mebel kamerę na statywie. Spojrzałam na nią z zaskoczeniem i zwróciłam na Vickersa pytający wzrok. Wskazał biblioteczkę.

-Twoja torba była tutaj, na dolnej półce. Widzisz coś znajomego?

Ruszyłam ostrożnie po wykładzinie, nie chcąc myśleć, co ją zamieszkuje ani kiedy ją ostatnio odkurzano. Spojrzałam na górną półkę biblioteczki i przeszedł mnie dreszcz.

- To moje zdjęcia. Były w torbie.

Ktoś ustawił je, oparte o ścianę. To były małe zdjęcia, formatu paszportowych.

Wydawały się tu nie na miejscu. Obaj policjanci podeszli do mnie i spojrzeli mi przez



ramię.

- To Charlie - wskazałam. - Charlie i ja. Tata i ja. Mama i tata.

Mój kalendarz leżał otwarty, okładką do góry. Sięgnęłam po niego, krzywiąc się na widok pomiętych kartek. Blake wyciągnął rękę, żeby mnie powstrzymać.

- Jeszcze niczego nie dotykaj - powiedział cicho.

- To mój kalendarz. - Przyjrzałam się bliżej. -1 moje pióro... och!

- Co? - rzucił szybko Vickers.

- Nic, ale to dziwne. Myślałam, że je zgubiłam. Pewnie cały czas miałam je w torbie.

-

224

- Kiedy je zgubiłaś?

- Z parę miesięcy temu. Szukałam go wszędzie. Należało do mojego taty. - Pióro było srebrne, z wygrawerowanymi inicjałami i wyraźną kratką na skuwce. - Myślałam, że zgubiłam je w szkole. Przetrasłam wszystko. Nie do wiary, że miałam je w torbie.

Policjanci czekali w milczeniu, a ja patrzyłam na zbieraninę najróżniejszych przedmiotów na półkach - kamień z dziurką, wytarty skórzany rzemyk z trzema paciorkami, czaszka małego zwierzęcia, może ryjówki. Były też dziwne monety i inne rupiecie. Przeglądałam ten bałagan metodycznie, usiłując zobaczyć wszystko bez dotykania. Czubek mojego breloczka przy kluczykach wystawał zza stojącej pocztówki ze Szkocji. Pokazałam go Vickersowi, który przesunął pocztówkę czubkiem pióra i skinął głową, zobaczywszy kluczyki. Na jednej z dolnych półek zobaczyłam spinkę do włosów, której nie widziałam od co najmniej sześciu tygodni, i tanią bransoletkę, którą kiedyś włożyłam do szkoły i w połowie dnia zdjęłam, zirytowana jej szczękiem i zgrzytaniem, kiedy pisałam na tablicy.

- Tę bransoletkę z całą pewnością ostatni raz miałam w szkole - powiedziałam, odwracając się do Vickersa. - Na pewno nie w torbie. Zostawiłam ją na biurku w klasie. Jakim cudem się tu znalazła?

- Też byśmy chcieli wiedzieć - rzekł Vickers cicho. - Zdaje się, że jest tu mnóstwo twoich rzeczy, choć jak twierdzisz, aż do wczoraj nie spotykałaś się z mieszkańcami tego domu.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. - Kompletnie zgłupiałam. - Nie rozumiem. Co się działo w tym pokoju?

Blake przywołał mnie gestem do kamery i wskazał wizjer.

- Niczego nie dotykaj. Spójrz tutaj i powiedz, co widzisz.

- Łóżko. - Ledwie to powiedziałam, coś mi zaskoczyło w głowie.

- To... to znaczy, że robili tu filmy? Domowe pornosy? Ohyda. -

Nagle ucieszyłam się, że niczego nie dotykałam. - A Paul musiał przy tym być. Biedne dziecko. Mam nadzieję, że Danny nie pozwalał mu niczego oglądać. - Spojrzałam na Vickersa. - Ale co tu robią

moje rzeczy? Co się dzieje?

225

r

Westchnął.

- Musimy uznać, że w pewnym stopniu jesteś w to zamieszana.

- Co?! - Nie wierzyłam własnym uszom. - Mówiłam, tę torbę mi skradziono! To moje rzeczy, ale ich tu nie przyniosłam. Nie wiem, skąd się tutaj wzięły.

Blake podszedł do drzwi i zaczął rozmawiać cicho z jednym z policjantów, którzy przeszukiwali dom. Odwrócił się.

- Możemy zamienić słówko?

- Niczego nie dotykaj - ostrzegł Vickers surowo i wyszedł z Blakiem z pokoju.

Jakiś policjant stanął w drzwiach. Obserwował mnie. Milczał. } a też. Stałam i patrzyłam na ten pusty, nijaki, nędzny pokój. Było mi niedobrze.

Kiedy wreszcie wrócili, spytałam:

- Co się dzieje?

Wyglądali jeszcze bardziej ponuro niż przed chwilą. Vickers oparł się o ścianę, jakby miał się przewrócić. Oddał głos Blake'owi.

- Właśnie byliśmy na górze, gdzie funkcjonariusze znaleźli znaczną ilość dziecięcej pornografii. W jednej z sypialni stoi zaawansowany sprzęt: komputery, szybkie łącze szerokopasmowe, programy wideo, sterty DVD. - Wskazał kamerę. - Ten sprzęt nagrywa od razu na płytę. Filmowali tutaj, szli na górę i łądowali do internetu. Te strony trudno wyśledzić. Ludzie, którzy je prowadzą, potrafią fałszować adresy IP, włamują się do cudzych komputerów i wykorzystują ich dane, żeby trudniej było się dowiedzieć, kto umieszcza to gównno.

- Ale dlaczego? - Zaczęłam dygotać.

- Kasa - oznajmił zwięźle Blake. - Na tym się robi mnóstwo kasy. Jeśli oferujesz dobry produkt, możesz żądać, ile chcesz. Po internecie krąży niewiele takich zdjęć i filmów. Pedofile nudzą się oglądaniem w kółko tych samych dzieci, tych samych gwałtów i tortur. Mnóstwo zboków chętnie zapłaci, żeby zobaczyć jakieś świeże mięsko. Dobry dostawca zadba o zapewnienie im tego towaru. Można zamówić sobie urzeczywistnienie swojej fantazji.

-

226

Jeśli zapłacisz wystarczająco dużo, możesz mieć nawet dziecko krzyczące twoje imię. Poczujesz się wtedy, jakby to się działo naprawdę, nie tylko w komputerze. Wzdrygnęłam się.

- To profesjonalny zestaw. - Blake ogarnął pokój gestem ręki.
- Nic tutaj nie wskazuje, gdzie robiono filmy. Pokój oczyszczono ze wszystkich przedmiotów osobistych. Jest tylko łóżko i ściana. Nic, na czym mogłaby się oprzeć policja, gdyby znalazła w necie te filmy lub fotografie. Taki pokój mógłby się znajdować wszędzie. Możemy tylko złapać idiotów, którzy zapłacili za film własnymi kartami kredytowymi.
- Nie do wiary - szepnęłam, kręcąc głową. - Tutaj? W tym domu? W środku cichej podmiejskiej dzielnicy?
- Takie rzeczy mogą się dziać wszędzie i nikt nie musi o nich wiedzieć - powiedział Vickers cicho, wypranym z emocji głosem.
- Zdumiewające, że ludzie nie widzą pewnych rzeczy, jeśli nie wiedzą, na co zwrócić uwagę. Na przykład Fred i Rosę West. Nikt z Cromwell Street nie miał bladego pojęcia, co robią, bo nikt się nie spodziewał, że ludzie mogą być tak źli. Dobrzy ludzie nie myślą o takich rzeczach. Źli ludzie nie myślą o niczym innym. Mówił o dobru i złu z mocą i surowością proroka ze Starego Testamentu. Zrozumiałam, że wierzy w zło, dobre, staroświeckie zło, nie te psychologiczne brednie o wychowaniu i okolicznościach.
- Można by powiedzieć, że to ich twórczość artystyczna - rzekł, jakby do siebie. - Pomyśl, ile musieli w to włożyć wysiłku, jak się musieli zorganizować. To było oburzające. Chciałam mu przerwać, ale uniósł rękę i mówił dalej:
- Obejrzelismy szybko zdjęcia na górze i parę urywków filmów. Przejrzenie tego wszystkiego zajmie nam sporo czasu, ale na tym etapie wydaje się, że mieli własny styl.
- Jak to? - szepnęłam.
- Jedna ofiara, kilku różnych sprawców.
- Nie Paul? - spytałam. Serce łamało mi się, kiedy zaczęłam

rozumieć, dlaczego tak wyglądał. Nic dziwnego, że nie mógł żyć z podobną tajemnicą. Vickers pokręcił głową.

- Nie. Nie Paul. Jenny Shepherd.

Byłam wstrząśnięta.

- Jenny? Ale... jak...? Co robiła w tym domu?

- Tego właśnie chcielibyśmy się dowiedzieć - odparł Blake.

Poczułam się jak Alicja wpadająca do króliczej nory, jakby ziemia ustąpiła mi spod stóp. Nic już nie miało sensu - ale w końcu zrozumiałam, jak to dziecko, które chodziło na moje zajęcia z angielskiego, mogło być w czwartym miesiącu ciąży.

- A Paul? - spytałam w końcu. - Niemożliwe, żeby brał w tym udział.

Vickers spojrzał na mnie ze strapieniem.

- Wiem, że to dziecko, nieszczęśliwe dziecko, ale niestety sądzi

my, że odegrał w tym czynną rolę.

- Sama powiedziałaś, że znał się na komputerach - zauważył Blake. - Wygląda na to, że to on zajmował się stroną techniczną. Wszystkie komputery stały w jego sypialni.

Vickers westchnął.

- Jeśli posiadasz wiadomości, które mogą uwolnić chłopca od podejrzeń lub go obciążyć, chętnie ich wysłucham, teraz lub na posterunku.

Zapatrzyłam się w dal. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Odniosłam wrażenie, że Paul nie zgodziłby się z własnej woli uczestniczyć w czymś tak podłym i wstrętnym, ale dowody świadczyły przeciwko niemu.

- Nie wiem - wydusiłam w końcu. - Mogę tylko powiedzieć, że wyglądał miło.

Blake poruszył się niecierpliwie.

- Mnóstwo osób miło wygląda. Mnóstwo osób wygląda na nie winnych. Zwykle trudno nam odróżnić tych, którzy są winni, ale z czasem w końcu się to udaje. - Wskazał rzeczy, które rozpoznałam jako swoje. - Nie sądzisz, że powinnaś się wytłumaczyć?

- Ja?! Oszalałaś? Nie miałam z tym nic wspólnego. Nic o tym

228

nie wiem. - Nawet ja musiałam przyznać, że mój głos brzmi fałszywie. Przeniosłam spojrzenie z Blake'a na Vickersa. - Musicie mi uwierzyć.

- Znałaś Jenny Shepherd - powiedział Vickers. - Mieszkasz na tej samej ulicy. Twoje rzeczy tu są. Ty łączysz te elementy. Jak zawsze.

- Chyba nie sądzicie, że jestem w to zamieszana. - Ich twarze nie zdradzały, że mi uwierzyli. Oczy Vickersa miały zimny, arktyczny odcień błękitu, Blake był ponury. Dźgnął mnie skurcz czystej paniki. Opanowałam się. Grali w jakąś grę, tylko nie znałam jej reguł.

- Będzie lepiej, jeśli opowiesz nam, co się wydarzyło, zanim sprawy zajdą za daleko.

- Nie mam co opowiadać. Nie mogę wam pomóc. To był długi dzień i jestem zmęczona. - Mój głos brzmiał jękliwie, ale nic mnie to nie obchodziło. - Wracam do domu. Weźcie się do pracy i dowiedzcie się, co tu naprawdę zaszło, a wtedy mnie o tym powiadomcie. Bo ja nie brałam w tym udziału, więc wiem równie mało jak wy.

Tekst był idealny na wyjście, więc odwróciłam się, nie czekając na odpowiedź. Nie zdołałam zrobić więcej niż dwa kroki do drzwi, kiedy Blake chwycił mnie za łokieć i przyciągnął do siebie.

- Puszczaj!

- Mowy nie ma.

Vickers patrzył na mnie ze zmęczeniem.

- Jeśli z nami nie porozmawiasz, zostanie nam tylko jedno.  
- Nie rozumiem, co to znaczy.  
- To znaczy, że cię zmusimy, żebyś z nami porozmawiała.  
Vickers wyszedł z pokoju, zostawiając mnie z tą myślą.  
Usłyszałam, jak rozmawia cicho z kimś, kogo nie widziałam.  
- Chyba nie myślisz, że jestem w to zamieszana. - Usiłowałam odczytać wyraz twarzy Blake'a. Czekałam, żeby przyznał, że popełnił wielki błąd.  
- Nie wiem, co mam myśleć - rzekł dziwnym, szorstkim głosem.  
229

Podniosłam na niego wzrok. Nie poznawałam go.  
Zanim zdążyłam odpowiedzieć, wrócił Vickers z jakimś mężczyzną, łysiejącym i korpulentnym, po czterdziestce. Nawet gdyby nie stał koło Vickersa, chyba od razu rozpoznałabym w nim policjanta. Może przez jego spojrzenie wyrażające brak złudzeń i nieufność, bo zapewne słyszał już za wiele kłamstw. Zaczął mówić suchym, szmerzącym głosem, monotonicznie - recytował ten tekst niezliczone razy.  
- Saro Finch, aresztuję cię pod zarzutem zamordowania Jenny Shepherd. Nie musisz niczego mówić, ale twojej linii obrony może zaszkodzić, jeśli podczas przesłuchania zataisz coś, co później powiesz w sądzie. Wszystko, co powiesz, może zostać użyte jako dowód. Zrozumiałaś?  
Mimo woli otworzyłam usta - klasyczna reakcja na wstrząs. Spojrzałam na Vickersa, ale znowu miał twarz kamienną. Blake spuścił wzrok.  
- Nie możecie - powiedziałam, prawie nie wierząc w to, co się działo. - Nie możecie, nie wolno wam tak robić!  
- Smith, mogę ci powierzyć odprowadzenie panny Finch na posterunek? Weź Freemana - rzucił Vickers, jakby mnie nie słyszał. - Kajdanki nie są wskazane. Spotkamy się na miejscu. Policjant przytaknął i skinął na mnie.  
- Zbierajmy się.  
- Nawet mnie nie odwieziecie? - spytałam Blake'a i Vickersa, nie starając się usunąć goryczy z głosu.  
Vickers pokręcił głową.  
- Od tej pory nie będziesz miała z nami do czynienia. To dla tego, że się znamy, rozumiesz? Jeśli dojdzie do procesu, mogą powstać problemy. - Blake odwrócił się gwałtownie. Zaczęłam się zastanawiać, czy to dlatego, że Vickers zauważył, co jest między nami, czy też po prostu tego wymagał regulamin. Starszy inspektor nie zwrócił uwagi na swojego sierżanta i skończył: - Najlepiej będzie, jeśli dalej sprawę poprowadzą inni członkowie zespołu.  
- Najlepiej dla kogo? - spytałam, ale nie doczekałam się odpowiedzi.  
230

Konstabl Smith położył mi na ramieniu wielkie łapsko i wyciągnął mnie na korytarz, gdzie musieliśmy poczekać, aż minie nas szereg policjantów niosących pudła i torby dowodów do samochodów. Przez folię toreb widziałam twarde dyski, płyty CD i DVD, kamerę internetową. Jeden z funkcjonariuszy niósł coś długiego i ciężkiego owiniętego w szary papier. Kij golfowy? Pogrzebacz? Nie wiedziałam. Przechodząc, rzucił Vickersowi znaczące spojrzenie, a starszy inspektor poważnie skinął głową. Potem przyniesiono kolejne torby, rzeczy osobiste - ubrania, zabawki, które musiały należeć do Paula, zdjęcia w ramkach, najróżniejsze dokumenty. Przetrzęsnęli cały dom, jakby chcieli go wypatroszyć.

Ze mną prawdopodobnie zamierzali zrobić to samo. Zerknęłam na Vickersa z ukosa. Zacisnął mocno szczęki. Żadnej wyrozumiałości. Nie mogłam mieć mu tego za złe. To, co się działo w tym domu, było nie do wyobrażenia. Dosłownie nie mogłam o tym myśleć.

Stałam wśród krzątających się policjantów jak zombi, prawie nie słuchając ich przyciszonych rozmów. Trzeba im przyznać, że żaden nie wydawał się rozgorączkowany znaleźskami. Jeśli ich miny w ogóle coś zdradzały, to znękanie. Trudno było znieść świadomość, że w tym domu cierpiała dziewczynka, której nikt nie pomógł.

Byłam odrętwiała. Dałam za wygraną. Dalsza walka wydawała się bezzasadna. Nie pojmowałam, co się tu dzieje. Pomijając fakt, że najwyraźniej miałam poważne problemy, pozostawało pytanie, co moje rzeczy robiły w tym domu. Dobrze, więc to Danny mnie napadł i zabrał torebkę. Wiedziałam już kto, ale nie dlaczego. I jeszcze te inne rzeczy - rzeczy, których na pewno nie miałam w torebce, rzeczy, które zginęły mi w minionych tygodniach i miesiącach. Jak tu trafiły?

Blake wyszedł na dwór, a kiedy wrócił, skinął głową Vickersowi.

- Jeszcze nie ma prasy. Ale nie czekałbym dłużej. Wkrótce się zorientują, co im przepadło.

Co im przepadło. Poczułam w ustach gorzki smak. Przepadło im aresztowanie.

Prawdziwa, żywa podejrzana zabierana na komisariat

231

w celu przesłuchania. I właśnie zaczęło do mnie docierać, że niemal z całą pewnością stoję w domu, w którym zginęła Jenny.

Smith odwrócił się do mnie.

- Proszę za mną, musimy się spieszyć.

Wyszłam z ciemnego, cuchnącego korytarza, nie oglądając się, żeby sprawdzić, czy Blake i Vickers idą za mną. Oślepiło mnie słońce. Rozległ się dziwny szum, jakby wiatru w drzewach. Dźwięk narastał i stał się niezaprzeczalnie ludzki. Za zakrętem jezdni stali niemal wszyscy sąsiedzi - matki z dziećmi, otaczające je opiekuńczo ramionami, staruszkowie, którzy trzy razy dziennie wybierali się do sklepów, żeby zaznać kontaktu z człowiekiem, kobiety w średnim wieku z kwaśnymi, chytrymi minami. Nie spojrzałam na nich, choć czułam, że gapią się na mnie jak stado bydła. Poczułam na plecach irytujące mrowienie. Pierwszy sensacyjny incydent tego dnia im umknął, bo Geoffa znaleziono o nieludzkiej porze. Teraz postanowili, że nie

przegapią niczego. Pod nieobecność mediów obowiązek zarejestrowania wypadków spadł na moich sąsiadów, a oni obowiązki traktowali poważnie. Początkowo nie rozumiałam, dlaczego kilku stoi z uniesionymi rękami. Potem dotarło do mnie, że filmują komórkami, jak wychodzę z domu, poprzedzana przez Smitha, z innym policjantem z tyłu, i kieruję się do samochodu. Wyprostowałam się odruchowo. Nie miałam kajdanek. Nie zamierzałam człapać do samochodu jak skazaniec, ukrywając twarz. Będę iść, trzymając wysoko uniesioną głowę. Nikt się nie domyśli, że mnie aresztowano. Nie miałam powodów się ukrywać. Ale idąc ścieżką, czułam, że policzki mi płoną.

Smith otworzył tylne drzwi nieoznakowanego samochodu i zaczekał, aż wsiądę, jak parodia szofera. Nie spojrzałam na niego. Drzwi trzasnęły i po raz pierwszy poczułam się uwięziona. Kierowca był młody, miał rude włosy i wąską lisią twarz. To pewnie ten Freeman, pomyślałam. Nie odezwałam się do niego, choć wyraźnie mi się przyglądał. Czekaając na Smitha, spojrzałam przez przednią szybę na mój dom.

Wyglądał jak wymarły; nic nie wskazywało, że mieszkam w nim z matką.

Zastanowiłam się, czy

232

nie poprosić, żeby pozwolili mi ją uprzedzić, ale na widok tego ponurego domu, zamarłego w blasku słońca, serce mi się ścisnęło. Matka pewnie nie ma pojęcia, co się dzieje. I właściwie nie mogłam jej mieć tego za złe. Obie byłyśmy mało spostrzegawcze. Jak mogłam nie zauważyć, że w domu naprzeciwko ktoś krzywdzi bezbronne dziecko?

Miałam ochotę wyskoczyć z samochodu, podbiec do drzwi i dobijać się do nich tak długo, aż mama otworzy, a wtedy chwycić ją w objęcia i nie puszczać. Ona mnie obroni, ujmie się za mną, jak każda dobra matka. Bóg jeden wie, co by się naprawdę wydarzyło, gdybym to zrobiła - zakładając, że matka w ogóle raczyłaby otworzyć. Zatrzepotałam powiekami, wściekła na siebie. Tęskniłam za kimś nieistniejącym, za matką, której nie znałam. Musiałam radzić sobie sama.

Smith zatrzasnął drzwi z taką siłą, że samochód się zakołysał. Freeman odwrócił się do mnie.

- Nie wygląda na taką.

- Nie pasuje - zgodził się Smith. - Ale to nie znaczy, że tego nie zrobiła.

Twarz mi zapłonęła.

- Bo nie zrobiłam. To pomyłka.

- Wszyscy tak mówią. - Smith klepnął kolegę po ramieniu. -

Jazda.

Silnik warknął, a ja skuliłam się na siedzeniu. Właściwie nie zdziwiło mnie, że mi nie wierzą. Nie oczekiwałam tego, skoro nie przekonałam Vickersa i Blake'a, którzy znali mnie o wiele lepiej.

- Mylicie się - powiedziałam dla czystej satysfakcji, żeby mieć ostatnie słowo. Ale nie mogłam zaprzeczyć, że się boję. Na swoją obronę mogłam powiedzieć tylko, że jestem niewinna, i miałam przykre przeczucie, że to nie wystarczy.

1996

Cztery lata od zaginięcia

N

I o dobrze, decyzję poproszę. Jakie lody chcesz? Udaję, że się zastanawiam.

- Hmm... A może... czekoladowe?

- Czekoladowe? Interesujące - mówi tata. -Wybór nietypowy, ale... dobrze, także zaryzykuję. Świetny pomysł.

Oboje zawsze zamawiamy czekoladowe lody. To taka nasza tradycja. Jest upalne lato, a na nabrzeżu kręci się tłum ludzi, którzy tak jak my zrobili sobie jeden dzień wakacji. W oddali widzę ławkę i biegnę, żeby ją zająć, zanim ktoś nas uprzedzi. Tata idzie wolniej, metodycznie liżąc lody, formując czekoladową masę w szpic.

- Szybko! - wołam, bojąc się, że ktoś się przysiadzie, skoro ławkę zajmuję tylko ja. A tata jeszcze bardziej zwalnia. No po prostu się wlecz. Odwracam głowę zdenerwowana. Czasami wkurza mnie, że tata zachowuje się tak dziecinnie. Niedojrzałe, powinnam powiedzieć. Całkiem jakbym to ja była dorosłą, a on dzieckiem.

- Świetna robota - mówi tata, w końcu siadając obok mnie.

- Idealnie.

Rzeczywiście. Morze ma srebrzystobłękitny kolor, kamienista plaża iskrzy się bielą w słońcu. Nad naszymi głowami kołują rozkrzyczane mewy. Ludzie tłoczą się wokół nas, ale na naszej ławce, otoczona ramieniem taty, czuję się jak we wnętrzu szkła-

234

nej bańki. Nikt nas nie może dotknąć. Liżę lód i znowu jestem szczęśliwa, wtulona w bok taty. Uwielbiam te nasze wyprawy tylko we dwojkę. Nigdy bym tego nie powiedziała tacie, ale cieszę się, że mama z nami nie pojechała. Wszystko by zepsuła. Na pewno nie siedziałyby na ławce, jedząc lody i śmiejąc się z dwóch grubych, mokrych piasek, które bawią się w wodzie.

Siedzimy tak przez parę minut i właśnie dobieram się do wafla, kiedy tata przynosi rękę z moich ramion na oparcie ławki i mówi:

- Małpeczko... muszę ci coś powiedzieć.

- Co? - pytam, spodziewając się głupiego żartu lub czegoś podobnego.

Tata wzdycha i pociera twarz ręką.

- Twoja mama i ja... no, nie dogadujemy się. Postanowiliśmy, że najlepiej będzie się rozejść.

Wpatruję się w niego.

- Rozejść?

- Rozwodzimy się.

- Rozwodzicie...? - Muszę przestać powtarzać po nim jak echo, myślę mimowolnie. Ale nie przychodzi mi do głowy nic innego.

- Będzie dobrze, naprawdę. Będę cię często odwiedzać, przyjeżdżać co weekend, jeśli zdołam. A ty możesz odwiedzać mnie.

Mam nową pracę w Bristolu. Fajne miasto. Będziemy się świetnie



bawić.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Za dwa tygodnie.

Dwa tygodnie. Tak niedługo!

- Wiedziałaś o tym od dawna.

- Chcieliśmy wszystko ustalić, zanim ci powiemy. - Tata się chyba denerwuje. Na czole rysuje się mu ze sto zmarszczek. Przetrawiam te informacje jak najszybciej, usiłując zrozumieć.

- Dlaczego nie mogę pojechać z tobą?

Tata nie wie, co powiedzieć.

- No wiesz, a szkoła?

235

r

- W Bristolu też są szkoły.

- Nie będziesz tęsknić za przyjaciółmi?

Wzruszam ramionami. Odpowiedź brzmi "nie", ale nie chcę denerwować taty.

Zawsze pyta mnie o przyjaciół. Stwarzam wrażenie, że jestem lubiana. Nie przyznaję się, że przerwy obiadowe spędzam w szkolnej bibliotece. To nie to, że koleżanki mnie nie lubią. Po prostu mnie nie dostrzegają. I dobrze.

- Mogłabym we wrześnie zacząć od nowa. To dobra pora na zmiany.

- Rozumiem, ale... No, lepiej ci będzie z matką.

- Wiesz, jaka jest. Jak może mi być z nią lepiej?

- Córeczko...

- Zostawiasz mnie z nią, tak? Chcesz odejść, a ja muszę zostać.

- Ona cię potrzebuje. Może tego nie dostrzegasz, ale bardzo cię kocha. Jeśli zostaniesz ze mną, ona tego nie wytrzyma. Nie chcę jej ciebie zabrać. To nie fair.

- To dlaczego odchodzisz? - Zaczynam płakać, z nosa mi cieknie i prawie nie widzę ojca przez łzy. - Skoro tak się o nią martwisz, dlaczego odchodzisz?

- Bo muszę - odpowiada cicho, znękany. - To nie zależy ode mnie. To nie mój pomysł.

- Sprzeciw się jej! Powiedz, że nie chcesz nas zostawiać. Nie odchódź! - krzyczę. Ludzie oglądają się na nas, ale co mi tam.

- Dlaczego słuchasz jej we wszystkim? Dlaczego pozwalasz jej wchodzić sobie na głowę?

Ojciec nie ma na to odpowiedzi, a ja płaczę tak bardzo, że nie mogę zadać ostatniego pytania, tego najważniejszego.

Dlaczego nie zależy ci na mnie na tyle, żeby się sprzeciwić?

F

reeman pojechał na posterunek okrężną trasą, wybierając osiedlowe uliczki i wąskie jezdnie, które doprowadziły nas do tylnego wejścia. Żaden policjant nie odezwał się do mnie ani słowem, dopóki samochód nie zatrzymał się przed szlabanem. Wówczas Smith odkaszlnął.

- Jeśli się pani zastanawia, dlaczego na dziedzińcu jest taki tłok, to wszyscy usłyszeli przez radio, że pani przyjeżdża, i chcą popatrzeć. Będzie pani gwiazdą.

Nie zdawałam sobie sprawy, że na dziedzińcu ktoś jest, ale spoglądając między przednimi siedzeniami, zobaczyłam grupki mundurowych wpatrzonych w samochód. Miny mieli jednakowe jak mundury: głównie niesmak zmieszany z jawną ciekawością i odrobiną satysfakcji. Sukces, złapali winną. Wśród policjantów stali cywilni pracownicy z równie świętoszkowatymi minami. Maria Antonina nie spotkała się z gorszym przyjęciem podczas ostatniego publicznego wystąpienia. Freeman zaklął cicho. Poczulałam, że tremuje go wjazd na dziedziniec przy tak dużym audytorium. Dodał gazu i wjechał z rozpędem na wolne miejsce na parkingu, troszkę za mocno hamując.

- Ostrożnie! - warknął Smith i odwrócił się do mnie. - Jak tam?

Gotowa na występ?

Jakoś nie potrafiłam polubić gościa. Może dlatego, że aresztował mnie za coś, czego nie zrobiłam - i nigdy nie przyszłoby mi do głowy zrobić. Nie odpowiedziałam, tylko mocniej splotłam palce. Było mi zimno i zobojętniałam na wszystko, jakby to wszystko dotyczyło kogoś innego.

237

r

Freeman wskazał drzwi.

- Tam czeka sierżant z aresztu. Musi pani pójść z konstablem Smithem i stanąć tam, gdzie pani każe.

Skinęłam głową bez słowa. Smith otworzył drzwi, wysiadłam i posłusznie poszłam z nim rampą do drzwi z napisem "Areszt". Nie ośmieliłam się spojrzeć w lewo ani w prawo, wbiłam wzrok w szerokie plecy Smitha i usiłowałam iść w jego tempie. Gdzieś za moimi plecami rozległ się gwizd, ostry i niespodziewany. Drgnęłam. Jak na dany znak, niemal milczący tłum ożył i kiedy drzwi się za mną zamknęły, na dziedzińcu wybuchła wrzawa okrzyków i komentarzy. W przejściu zauważyłam swoje odbicie w szklanych drzwiach wewnętrznych i poczułam przez chwilę litość do tej młodej kobiety w podkoszulku w jaskrawe paski i spłowiałych džinsach, młodej kobiety o jasnych kędzierzawych włosach, spływających jej na plecy i jakby za ciężkich na jej małą głowę, kobiety ze skamieniałą, bladą twarzą i wielkimi, pociemniałymi ze strachu oczami.

Najpierw uderzył mnie zapach. Słodkawy smród wymiotów przebijający przez środek dezynfekujący o leśnym aromacie. Podłoga lekko się lepiała; sandały odrywały mi się od niej z cichym cmokaniem. Byłam tak zdenerwowana, że prawie nie czułam nóg. Żołądek skręcił mi się w supeł.

Dotarliśmy do wielkiego biurka zajmującego niemal całą przestrzeń korytarza. Konstabl Smith podszedł do niego energicznie. Za biurkiem stała policjantka w stopniu sierżanta, kobieta w typie macierzyńskim, o świeżej cerze. Spojrzała na mnie, a potem na Smitha.

- I co my tu mamy? - spytała z rezygnacją.

- No więc tak, kierowniczo. - Smith wyprostował się, jak dziecko, które ma wyrecytować wierszyk. - Jestem konstabl Thomas Smith, funkcjonariusz dokonujący aresztowania, a to jest Sarah Finch. Została aresztowana na polecenie starszego inspektora Vickersa o dwunastej dwadzieścia pięć dnia dzisiejszego, na Curzon Close siedem, pod zarzutem zamordowania Jennifer Shepherd.

238

Za moimi plecami rozległ się szelest i nagle u mojego boku pojawił się Vickers. Za nim pod ścianą stał Blake z rękami w kieszeniach. Gapił się w pustkę. Coś mi mówiło, że doskonale wie, iż na niego patrzę, i że żadna siła na świecie nie zmusi go do reakcji. Vickers potwierdzał okoliczności aresztowania. Mojego aresztowania. Sierżant pochyliła się nad biurkiem.

- Parę pytań do pani. - Ton miała konkretny, rzeczowy.

Pytania dotyczyły mojego stanu psychicznego. Odpowiadałam ledwie słyszalnie. Nie, nie uważam się za osobę o słabym zdrowiu. Nie, nie mam specjalnych potrzeb. Nie, nie przyjmuję żadnych leków i nie proszę o spotkanie z lekarzem.

- I chce się pani spotkać z prawnikiem? - spytała policjantka, jakby zbliżała się do końca wytartej formułki.

Zawahałam się i pokręciłam głową. Prawnicy są dla ludzi winnych, którzy mają coś do ukrycia. Ja nie zrobiłam nic złego. Wyjaśnię to nieporozumienie łatwiej - i zapewne szybciej - jeśli nie będę się musiała użerać z prawnikiem.

- Zatem nie - powiedziała policjantka, odhaczając okienko w formularzu. - Proszę zaparafować i podpisać w tym miejscu.

Wzięłam długopis i zrobiłam, o co mnie prosiła. Wszystko zgodnie z regulaminem. Potem opróżniłam kieszenie, wyjmując z nich stary spłowiały rachunek, parę drobnych monetek i guzik, który zamierzałam przyszyć do koszuli. Moja torebka i pasek także znikły. Nie miałam sznurówek ani nic innego, czym mogłabym zrobić sobie krzywdę. Pozbawienie mnie dobytku wydało mi się upokarzające i poniżające. Stałam przed policjantkami z płonąca twarzą i chciało mi się płakać.

Policjantka wyjęła pęk kluczy i wyszła z biurka.

- Tędy proszę.

Przez odrapane drzwi weszłam za nią do korytarza z szeregiem cel, niektórych zajętych, innych z otwartymi masywnymi drzwiami. Smród był niewiarygodny - stary mocz, wymiociny i przebijający przez nie smród ludzkich odchodów. Na samym końcu korytarza policjantka stanęła.

239

- Dla pani - powiedziała, wskazując.

Spojrzałam na zupełnie pustą celę, w której stał tylko betonowy blok rozmiaru i kształtu łóżka oraz muszla w kącie, na którą nie miałam ochoty patrzeć, a tym bardziej jej używać. Weszłam i stanęłam bezradnie na środku celi. Naga podłoga. Kremowe ściany. Okno wysoko w murze. Bardzo dużo pustki. Drzwi trzasnęły za moimi plecami. Metaliczny zgrzyt klucza szarpnął moimi napiętymi nerwami. Rozejrzałam się i napotkałam spojrzenie oczu policjantki, patrzącej na mnie przez judasz. Najwyraźniej to, co zobaczyła, wydało się jej zadowolające, bo zamknęła kłapkę judasza, zostawiając mnie samą.

Kiedy parę godzin później wrócili, czekałam na nich usadowiona jak mogłam najwygodniej na betonowym bloku, oparta plecami o ścianę, z kolanami przytulonymi do piersi. Nie od razu przełamalam się na tyle, żeby czegoś tu dotknąć. Cella była niby posprzątana, a jej zapach świadczył, że starannie ją zdezynfekowano, ale i tak nie mogłam przestać myśleć o poprzednich lokatorach. Podejrzewałam, że nie ma takiej funkcji fizjologicznej, która nie zaistniałaby w tej celi, może z wyjątkiem porodu.

Czekałam długo. Za każdym razem, gdy na korytarzu dzwoniły klucze, serce łomotało mi boleśnie, a potem strach i rozdygota-nie ustępowały bardzo powoli. Odkąd mnie zamknięto, nikt się do mnie nie odzywał - zaproponowano mi tylko filiżankę herbaty (odmówiłam) i wodę (przyjęłam). Woda była ciepława i jakby śluzowata, w małym papierowym kubku. Nie zaspokoila pragnienia, ale nie ośmieliłam się prosić o więcej.

Staralam się nie panikować. Zaczęłam sobie układać to, co miałam powiedzieć podczas przesłuchania. Vickers mnie znał. Mogłam się odwołać do niego albo do Blake'a. Byłam miła, byłam uczciwym człowiekiem, a oni popełnili straszny błąd. Chyba zdołam ich przekonać?

Nie zaczęłam jeszcze liczyć cegieł w ścianie ani chodzić po celi od ściany do ściany, ale miałam już serdecznie dość zamknię-

240

cia, kiedy w zamku zgrzytnął klucz. Policjantka stanęła w progu z mężczyzną, którego widziałam po raz pierwszy w życiu. Był niski i wyprężony jak struna. Miał smagłą, surową twarz i nosił nieskazitelny granatowy garnitur ze srebrnym krawatem.

- To sierżant Grange z wydziału dochodzeniowo-śledczego

- powiedziała policjantka z aresztu. - Zabierze panią na przesłuchanie. No, wstajemy. Proszę się nie ociagać.

Powoli wstałam; adrenalina popłynęła mi w żyłach, krew zadudniła w uszach. Z bliska okazało się, że sierżant Grange ma w ciemnych włosach srebrne pasma. Oceniałam go na czterdzieści parę lat. Dzięki wyprostowanej postawie wydawał się wyższy niż w rzeczywistości; przywykłam, że wszyscy górują nade mną wzrostem, ale on był niższy od większości mężczyzn. Policjantka z aresztu przewyższała go o dobre pięć centymetrów.

- Proszę za mną - rzucił krótko.

Wyprowadził mnie za drzwi na końcu cuchnącego korytarza z celami. Przede mną ukazał się kolejny korytarz; Grange szedł szybkim krokiem, sprawdzając, czy za nim nadażam. Przytrzymał przede mną drzwi wyjścia przeciwpożarowego. Był uprzejmy, lecz nie ciepły. Zanim dotarliśmy do drzwi z napisem "Sala przesłuchań nr 1", byłam już solidnie zaniepokojona.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak na wszystkich filmach sensacyjnych albo dokumentach policyjnych. Środek pomieszczenia zajmował stół z dwoma krzesłami. Jednym końcem był przysunięty do ściany; stał na nim magnetofon, przytwierdzony do stołu i ściany za pomocą metalowych klamer, pewnie żeby oszalały więzień nie rzucił nim w przesłuchujących. W dwóch przeciwległych kątach pod sufitem podwieszono dwie skierowane obiektywami na stół kamery wideo. Miały zapewnić pełny obraz tego, co się działo w pokoju. Nad magnetofonem pochylał się jakiś mężczyzna. Podniósł głowę i obrzucił mnie fachowym spojrzeniem. Był młodszy od Grange'a, około trzydziestki, o głowę wyższy i ze dwadzieścia kilo cięższy. Wyglądał jak gracz w rugby. Koszula napinała mu się na barach, kołnierzyk wpijał się w szyję, odciskając na niej białą kreskę.

241

- To konstabl Cooper - powiedział Grange i wskazał mi krzesło. - Proszę siadać, Saro.

Zawahałam się.

- Zaraz, kim pan jest? Gdzie starszy inspektor Vickers? Albo sierżant Blake? Albo ci, którzy mnie aresztowali? - Już zapomniałam ich nazwisk.

Grange usiadł na krześle. Starannie ułożył przed sobą notes i długopisy. Dopiero potem mi odpowiedział.

- Zostaliśmy sprowadzeni, żeby panią przesłuchać. Jesteśmy specjalistami, należymy do zespołu prowadzącego tę sprawę. Starszy inspektor Vickers wprowadził nas w temat. - Podniósł głowę, znowu ją spuścił i zaczął układać długopisy z matematyczną precyzją. - Bez obaw. Wiemy o pani wszystko.

Średnio pocieszona, osunęłam się na wskazane krzesło. Cooper skończył to, co robił z magnetofonem, i usiadł koło kolegi, trącając przy tym nogę stołu, który zatrzęsł się gwałtownie. Policjant mruknął przeproszająco, bo wyczelowany szereg długopisów Grange'a znowu się rozsypał. Sierżant zacisnął usta, ale tylko skinął głową Cooperowi, który włączył magnetofon i zaczął mówić. Miał basowy, szorstki głos i sepleniał, co kompletnie do niego nie pasowało. Zadowolona, że mam się czym zająć, znalazłam przyczynę - wyszczerbione dwa przednie zęby. Jego język zaczepiał o nie przy samogłoskach szczelinowych podczas wstępnego tekstu nagrania: czas, data, pokój, w którym siedzieliśmy, numer posterunku, nazwiska i stopnie. Na koniec spojrzał na mnie.

- To przesłuchanie zostanie zarejestrowane na taśmie magnetofonowej i wideo, zgoda?

Odkasznęłam. - Tak.

- Proszę podać nazwisko i datę urodzenia.

- Sarah Annę Finch. Siedemnasty lutego 1984 roku.  
Cooper przejrzał leżące przed nim dokumenty, czegoś szuka  
jąc.

- Dobrze. Teraz znowu przeczytam pani ostrzeżenie.

242

Wyrecytował tekst z kartki, zatrzymując się po każdym akapicie, żeby wyjaśnić jego  
znaczenie. Trudno mi było się skupić. Chciałam przejść do właściwego  
przesłuchania, by wyjaśnić, że jestem niewinna, i spadać stąd w cholerę. Ta sprawa  
nie mogła się skończyć w sądzie. Przecież mnie nie oskarżą o coś, czego nie  
zrobiłam. To nie do pomyślenia. Ledwie słuchałam; drgnęłam, kiedy Cooper zadał mi  
pytanie.

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Zrezygnowała pani z prawa do obecności prawnika. Czy może  
pani wyjaśnić dlaczego?

Wzruszyłam ramionami i zarumieniłam się, bo wskazał magnetofon.

- Eee... uważam, że go nie potrzebuję.

- Czy czuje się pani na tyle dobrze, żeby się poddać przesłu  
chaniu?

Byłam zdenerwowana, zmęczona, trochę mnie mdliło i chciało mi się pić, ale nie  
zamierzałam dłużej zwlekać. -Tak.

- Teraz chcę, żeby potwierdziła pani okoliczności swojego  
aresztowania. Została pani aresztowana dzisiaj, to jest dziesiąte  
go maja, na Curzon Close siedem, w sprawie morderstwa Jennifer  
Shepherd.

- Tak.

- Została pani wówczas pouczona i nie wniosła sprzeciwu.

- To prawda. - Usiłowałam zachować spokój. Spojrzałam sier  
żantowi w oczy.

Cooper zanotował coś w formularzu. Grange pochylił się ku mnie.

-Wie pani, dlaczego została aresztowana? - spytał cicho, ostrożnie dobierając słowa.  
Nie wiadomo dlaczego, nagle się przestraszyłam.

- Sądzę, że zaszła pomyłka. Nie mam nic wspólnego ze śmiercią  
Jenny. Nie mam nic wspólnego z tym, co się działo w tym domu.

Byłam w nim tylko raz, dwa dni temu.

Grange skinął głową, ale nie odniosłam wrażenia, że się ze mną zgadza - raczej  
dokładnie to spodziewał się usłyszeć.

243

- Więc nie rozumie pani, dlaczego chcemy z nią porozma  
wiać.

-Właściwie nie. Znałam Jenny... uczyłam ją. I znalazłam jej ciało. Ale o tym już  
mówiłam. Rozmawiałam ze starszym inspektorem Vickersem. Wszystko wyjaśniłam.  
I wiem, że w tym domu znaleziono rzeczy, które należały do mnie, ale nie rozumiem,  
jak się tam znalazły. Na pewno nie ja je tam zostawiłam. - Mówiłam coraz szybciej i

piskliwie]. Urwałam, zaniepokojona. To był głos winowajczynie. Grange uniósł rękę.

- Porozmawiamy o tym za chwilę, jeśli można. Najpierw chciał bym zasugerować, jak widzimy pani udział w tej sprawie, a pani nam powie, co o tym sądzi.

- Sądzę, że waszym pierwszym błędem jest przeświadczenie, że w ogóle mam z tym coś wspólnego - stwierdziłam spokojnie.

Grange przewrócił stronę notesu, nie zwracając na mnie uwagi. Czytał i przypuszczam, że odświeżał sobie zarzuty przeciwko mnie. Patrzyłam na niego wściekła, chcąc usłyszeć, jak im się udało powiązać mnie ze śmiercią Jenny. Milczał. Odwróciłam się do drugiego policjanta. Cooper wbijał we mnie spojrzenie okrągłych, lekko wyłupiastych oczu i unosił długopis nad notesem, gotowy opisać każdą moją reakcję. Odchyliłam się na oparcie krzesła i założyłam ręce na piersi. Wkurzyli mnie i chciałam, żeby

o tym wiedzieli.

- Zespół dochodzeniowy od samego początku panią podejrzewał - oznajmił w końcu Grange.

Jego słowa mną wstrząsnęły. Zespół dochodzeniowy? Czyli starszy inspektor Vickers, Valerie Wade i Andy Blake. Chyba nie myśleli, że jestem w to zamieszana! Chyba nie myślał...

- Często osoba, która znajduje zwłoki, budzi wątpliwości, zwłaszcza jeśli znała ofiarę. To sugeruje, że osoba ta wiedziała, gdzie szukać ciała, zwłaszcza jeśli prowadzono poszukiwania, tłumaczy to obecność śladów wspomnianej osoby na miejscu zdarzenia: odcisków palców, butów i tak dalej. To nam utrudnia dochodzenie. Pani obecność w lesie skaziła miejsce zdarzenia, więc

nie możemy udowodnić, że była tam pani wcześniej, na przykład wyrzucając ciało.

- Mam metr pięćdziesiąt siedem i ważę pewnie jakieś siedem kilo więcej od Jenny. Nie zdołałabym jej tam zanieść. To odosobnione miejsce, trudny teren. Nie dałabym rady.

- Sama - nie. Sądzimy, że ktoś pani pomagał, a pani podjęła się zatarcia śladów tej osoby, wiedząc, że pani ślady można będzie wyjaśnić.

- Jakiej osoby?

- Dojdziemy do tego, jeśli wolno - oznajmił Grange, rzucając mi karcące spojrzenie. Realizował swój scenariusz, a ja mu w tym przeszkadzałam. Ustąpiłam. Naprawdę chciałam usłyszeć, o co mnie podejrzewał.

- Od odkrycia ciała nieustannie zwraca pani na siebie uwagę policji. Zrobiła pani wszystko, żeby zaangażować się w dochodzenie, rozmawiała pani z koleżankami Jennifer, zanim ekipa je przesłuchała. Pani ciekawość została zauważona i podejrzania zespołu się pogłębiły. Uważamy, że przekazywała pani swojemu

wspólnikowi wiadomości o dochodzeniu, żeby mógł uciec, kiedy stało się jasne, że grozi mu aresztowanie.

- Danny - szepnęłam.

- Daniel Keane, tak - potwierdził Grange z satysfakcją. - Ale już go namierzyliśmy. Złapiemy go.

- Mam nadzieję. Powie wam, że wszystko to wyssaliście z palca.

Nie rozmawiałam z nim od lat, nie mówiąc już o żadnych spółkach czy co tam pan sugeruje.

- Jednak musiała pani przeżyć wstrząs - ciągnął Grange, pochylaając się ku mnie - kiedy się okazało, że policja nie odwozi pani po prostu do domu. Nie miała pani czasu, żeby wysłać szybkiego SMS-a do Danny'ego czy Paula, żeby ich ostrzec przed rewizją. Nie mieli czasu usunąć plików, wyczyścić twardych dysków, zniszczyć dowodów. Nie mieli czasu wynieść pani osobistych przedmiotów z domu.

- Nie wiem, skąd się tam wzięły - powiedziałam nieprzekonująco. - Już mówiłam i panu, i starszemu inspektorowi Yickersowi.

245

- Potem broni pani Paula, mówi funkcjonariuszom, że nie powinni go przesłuchiwać, że jest bezbronny. Dla wszystkich jest jasne, że przestraszyła się pani, iż Paul zapomni, jaką wersję historii uzgodniła z nim pani, będąc u niego dwa dni temu. Paul jest dzieckiem. Nie mogła pani liczyć, że panią ochroni.

- Idiotyzm!

- Czyżby? - Grange był jak rekin zbliżający się do ofiary. -

Bo nam nie wydaje się to idiotyzmem. Jest pani za dobra, żeby być prawdziwa. Mieszka pani z matką, uczy w tej pretensjonalnej szkole. Pani uczennice mają łatwe życie i nawet o tym nie wiedzą. Przeszukaliśmy pani dom, rozmawialiśmy z pani matką. Dość ponure życie dla młodej kobiety, prawda? Nudne. Mało w nim radości.

Nie od razu dotarło do mnie, że zrewidowali dom, mój pokój. Twarz zaczęła mnie palić na myśl o tym, że obcy grzebali w moich ubraniach, przeglądali listy i książki. Oceniali mnie. Gorzej, może to nie byli obcy? Przed oczami stanął mi Blake siedzący na moim łóżku. Na jego twarzy pogarda mieszała się z litością. A litości od niego nie potrzebowałam.

- Jeśli rozmawialiście z mamą, pewnie wam powiedziała, że nie mam z tym nic wspólnego. Byłam z nią, kiedy Jenny zniknęła. Grange nawet nie mrugnął.

- Nie zdołała okazać się tak pomocna. Jeśli liczy pani, że matka da pani alibi, proszę szukać gdzie indziej.

Ręce mi opadły. No pewnie, że matka na nic się nie przydała. Jako świadek była beznadziejna - nastawiona wrogo do policji i z kompletną sklerozą co do dat i godzin. Dlaczego mi się wydawało, że akurat ona uratuje mnie z tego koszmaru?



Grange wrócił na trop.

- Pani i Danny Keane mieliście trudne dzieciństwo. Oboje musieliście przez całe życie walczyć o przetrwanie. Takie doświadczenia zbliżają ludzi. Bonnie i Clyde, te sprawy... ale rabowanie banków nie jest ostatnio w modzie, o wiele łatwiej namierzyć dziewczynkę, zawrócić jej w głowie komplementami i fałszywą przyjaźnią, a potem wykorzystać ją przed kamerą.

246

Skuliłam się. Zastraszyl mnie. Grange spojrzal do notesu.

- Uważamy, że wspólnie z Danielem Keane'em najpierw wykorystaliście Jennifer Shepherd, a potem pozbyliście się jej, kiedy zaszła w ciążę.

Pokręciłam głową.

- Nie. Mowy nie ma.

- Tak - odparł niewzruszony Grange. - Widywała ją pani w szkole i zauważyła jej bezbronność. Była jedynaczką. Ufała dorosłym, prawda? Łatwo było się z nią zaprzyjaźnić. Nie mieszkała daleko, więc mogła pod różnymi pretekstami przychodzić na wieczory i weekendy. Okłamywała rodziców - pani pomogła jej wymyślać historie, nie? A Daniel Keane ją oczarował i zawrócił jej w głowie. Nie wiedziała już, co jest dobre, a co złe. Zanim się obejrzała, padła ofiarą dorosłych, przysparzając pani zysków, i jeszcze pani za to dziękowała.

Odwrócił się, a Cooper nieproszony wręczył mu teczkę.

- Pozyskaliśmy te zdjęcia z komputerów w domu Keane'ów - ciągnął Grange. - Będzie ich więcej, gdy skończymy sprawdzać twarde dyski, ale mamy już dość dowodów, żeby postawić winnych wykorzystania tej dziewczynki w stan oskarżenia.

Przejrzał teczkę, po czym coś wybrał.

- Wiedziała pani, że mamy system katalogujący materiały o treści pedofilskiej? Szeregujemy je od stopnia pierwszego do piątego, przy czym pierwszy jest najmniej drastyczny. Oto przykład z tej kategorii.

Przysunął mi zdjęcie. Spojrzałam na uśmiechniętą Jenny, spoglądającą przez ramię w obiektyw. Była w bieliźnie, staniku i majtkach w różowe kwiatki. Klęczała z ręką na biodrze. Stanik oblepił jej piersi, zupełnie płaskie. We włosach miała kwiecistą kokardkę. Wyglądała bardzo dziecinnie i niewinnie.

- Stopień pierwszy to poza o charakterze seksualnym - powie dział Grange, akcentując każde słowo. - Nagość nie jest konieczna.

Nie dzieje się nic więcej. Można powiedzieć, że to muskanie.

Poczułam obrzydzenie. Myśl, że ktoś mógłby uznać to zdjęcie za erotyczne, była niedopuszczalna.

247

- Stopień drugi. - Grange przesunął po stole kolejną fotografię. Śliski papier pisnął na laminowanym blacie. - Solowa masturbacja. Albo czynności o charakterze seksualnym pomiędzy dziećmi, bez penetracji. W tym przypadku solowa masturbacja. Patrzyłam na zdjęcie przez ułamek sekundy i odwróciłam głowę. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Dość - wykrztusiłam. Nie chciałam tego oglądać. Nie chciałam wiedzieć, że coś takiego istnieje.

- Stopień trzeci. - Kolejna fotografia prześliznęła się po stole. - Czynność o charakterze seksualnym pomiędzy dziećmi i dorosłymi z pominięciem penetracji. Zamknęłam oczy i odwróciłam się, płacząc już całkiem otwarcie.

- Twarz mężczyzny jest zasłonięta - powiedział Grange - ale to zapewne Daniel Keane. Ma tatuaż na prawym ramieniu, prawda? Taki? Celtycki znak?

- Nie mam pojęcia - wycodziłam, nie patrząc na zdjęcie. Nie musiałam tego widzieć, nie mogłabym tego nigdy zapomnieć. Z nosa mi ciekło. Rozpaczliwie siąknęłam. - Mogę prosić chu steczkę?

- A teraz stopień czwarty - oznajmił Grange. - Penetracja najróżniejszego rodzaju - dzieci z dziećmi, dzieci z dorosłymi. W tym seks oralny, jak pani widzi. Po stole prześliznęły się dwie kolejne fotografie. Jedna spadła na podłogę i zatrzymała się w polu mojego widzenia. Spojrzałam na nią, zanim zdołałam się powstrzymać, i zareagowałam natychmiast, odruchowo. Zwymiotowałam na podłogę. Grange cofnął się ze stłumionym krzykiem, odskoczył - ale nie dość szybko. Rozbryzg zaplamiał mu nieskazitelne spodnie i buty. Byłam zbyt znękana, żeby się tym przejąć.

- Zatrzymaj magnetofon, Chris - warknął Grange. Cooper szybko wymamrotał: "Przesłuchanie zawieszono o osiemnastej dwadzieścia pięć", i wyłączył sprzęt. Prawie nie zauważyłam, jak Grange wychodzi, a na jego miejsce pojawia się policjantka. Razem z Cooperem zaprowadziła

248

mnie do innego pokoju i dała mi kubek wody. Wypłukałam usta. Czuję się fatalnie. W głowie pulsował mi ból, gardło było zdarte od wymiotowania. Nie jadłam od wielu godzin, więc zwróciłam głównie kwas żołądkowy. Dali mi jakieś dwadzieścia minut przerwy i podjęli przesłuchanie. Kiedy Grange wrócił do pokoju, mimo woli spojrzałam na jego spodnie. Zostały na nich ciemne plamy. Grange miał zacisnięte zęby, ale zwrócił się do mnie dość uprzejmie.

- Czuje się pani na siłach kontynuować to przesłuchanie?

- Tak. - Głos miałam zachrypnięty. Odkaszałam i skrzywiłam się.

- Chce pani wody? - spytał Cooper.

- Nie, dziękuję - szepnęłam.

Grange usiadł wygodnie.

- No tak. W takim razie zaczniemy tam, gdzie skończyliśmy.

- Już bez fotografii - rzuciłam szybko. - Udowodnił pan to, co chciał.

- Jest jeszcze stopień piąty. Nie chce pani o nim posłuchać? Zacisnęłam pięści, usiłując się opanować. Najwyraźniej cierpiał na kompleks niskiego mężczyzny. Jeśli zacznę na niego krzyczyć - podważać jego autorytet - niczego nie osiągnę. Musiałam spróbować uprzejmości.

- Proszę nie pokazywać mi już żadnych zdjęć.

- Jasne. Nie chcemy znowu zmieniać pokoju - powiedział, próbując zażartować.

Cooper roześmiał się głośno. Ja nie mogłam się zmusić do uśmiechu.

- Wróćmy do pani i Daniela Keane'a - oznajmił Grange, poważniejąc. - Jestem gotów uwierzyć, że nie uczestniczyła pani bezpośrednio w wykorzystywaniu ofiary. Jestem gotów uwierzyć, że dotąd nie widziała pani takich zdjęć. Ale nadal sądzę, że odegrała pani kluczową rolę w ciągnięciu zysków z wykorzystywania Jennifer Shepherd.

- Zdecydowanie nie - rzuciłam z całą mocą.

Grange zmrużył oczy.

249

- Wiadomość o ciąży Jennifer musiała się pani wydać katastrofalna. Może nie wiedziała pani, że dziewczynka zaczęła mi się czuć. Wyglądała dziecinnie, ale miewała menstruację już od paru miesięcy. Wiedziała pani, że wszystko się wyda, kiedy jej rodzice dowiedzą się o tej ciąży. Otrzymałaby pani bardzo surowy wyrok za stręczycielstwo i ciągnięcie zysków z nierządu, a po wyjściu z więzienia - w którym pobyt nie spodobałby się pani, co zapewne sobie pani wyobraża - miałyby pani zakaz pracy z dziećmi. Szczerze mówiąc, miałyby pani kłopoty ze znalezieniem jakiegokolwiek pracy. Grała pani o wysoką stawkę. Na tyle wysoką, by uznać, że ta dziewczynka, która traci już swoją przydatność - bo traktowała ją pani jak przedmiot, który można wykorzystywać dla zysku - stała się zbędna.

- Nie - powiedziałam, kręcąc głową. - Nie, to nieprawda.

- Nie? I nie jest prawdą, że wraz z Danielem Keane'em uzgodniście, iż w razie gdyby udało się wam ujść bezkarnie, rozejrzy się pani za następną ofiarą, gdy tylko ucichnie wrzawa? To dla was znakomity zarobek, zbyt lukratywny, żeby z niego zrezygnować,

zwłaszcza że macie rozkręcony interes, a klienci żądają nowych materiałów.

- Absurd!

- Czyli nie to było powodem napaści Daniela Keane'a na Geoffa Turnbulla? - Grange patrzył na mnie przenikliwie, czekając na reakcję. - Bo Turnbull kręcił się w okolicy, tak? A pani miała gości, którzy powinni się tu zjawiać, stałych klientów - proszę wybaczyć wyrażenie - tego pani klubiku. Znaleźliśmy zdjęcia czterech mężczyzn biorących udział w deprawacji, na ogół starszych od pani i Daniela Keane'a. Nie mamy pewności, gdzie ich poznał. Czy może nam pani w tym pomóc? Nie? Byliby bardzo niezadowoleni, gdyby jakiś nauczyciel dniem i nocą kręcił się w pobliżu. Mógłby się domyślić, co się dzieje, rozpoznać ofiarę, która pojawiała się w posiadłości.

- Dlaczego myślicie, że Danny napadł na Geoffa? - spytałam, rejestrując tylko pierwszą część zdania.

- Podczas rewizji znaleźliśmy w domu Keane'ów metalowy  
250

pręt schowany pod łóżkiem w czarnej torbie. Została na nim krew i włosy przypominające z wyglądu włosy Geoffa Turnbulla, choć należy przeprowadzić jeszcze testy DNA. Jesteśmy niemal pewni, że tym właśnie narzędziem zaatakowano pana Turnbulla.

Milczałam zaskoczona. Geoff mógłby przeszkadzać, jeśli Danny naprawdę knuł coś w domu naprzeciwko mojego. Ale sposób pozbycia się go był zbyt drastyczny. Jak powiedział Vickers, to wyglądało na porachunki osobiste. Wpisałam tę sprawę na listę rzeczy do przemyślenia później i skupiłam się na słowach Grange'a. Ton jego głosu złagodniał.

- Proszę zrozumieć, wiemy, że miała pani wiele trudnych doświadczeń. Brat pani zniknął, ojciec zginął w wypadku... Pojmujemy, co mogło panią przyciągnąć do Daniela Keane'a; on jeden na całym świecie by zrozumiał, co pani czuła, dorastając. Może to był jego pomysł. Może panią także wykorzystał. Mogła pani myśleć, że będzie inaczej. Mogła pani nie rozumieć, w co się pakuje, dopóki nie stało się za późno.

Grange patrzył na mnie ze szczerym zrozumieniem. Nie wierzyłam mu ani na jotę.

- Ma pani teraz poważne kłopoty, ale możemy pani pomóc, jeśli pani pomoże nam. Jeśli powie nam pani, co naprawdę stało się z Jennifer, zaproponujemy pani ugodę. Oskarżenie będzie mniej poważne. Wyrok mniejszy. Może nawet trafi pani do otwartego zakładu karnego.

Nie byłam aż tak głupia, żeby mu uwierzyć. Za to zdołałam odczytać między wierszami, jak naprawdę wygląda ich sytuacja. Mieli mnóstwo podejrzeń, ale zero dowodów. Chcieli, żebym przyznała, że brałam udział w tym procederze, i pomogła im powiązać sprawę z Dannym. Po obejrzeniu zdjęć Jenny nie miałam nic przeciwko

temu, żeby Danny trafił na długo do więzienia, niechby i na resztę życia. Ale musiałam ich przekonać, że nie tylko nie jestem mózgiem tej organizacji, lecz w ogóle nie miałam pojęcia, co się dzieje w domu naprzeciwko.

- Doszło tutaj - zaczęłam, starannie dobierając słowa - do zbiegu okoliczności. Rozumiem, dlaczego mnie podejrzewacie.

251

To dziwne, że ciągle rzucałam się wam w oczy, teraz to widzę. Ale zaangażowałam się w dochodzenie tylko dlatego, że sądziłam, iż mogę pomóc. Nam nikt nie pomógł po zniknięciu mojego brata. Chciałam, żeby porywacz został złapany, i mam nadzieję, że złapiecie Danny'ego Keane'a, naprawdę. Ale nie mam nic wspólnego z tą okropnością. Nie wiedziałam nawet, że Jenny знаła Danny'ego.

Zamilkłam przez chwilę, porządkując to, co musiałam powiedzieć.

- Mówi pan, że w domu były moje rzeczy. To prawda. Ale jak powiedziałam Vickersowi, w tym tygodniu padłam ofiarą napadu.

Teraz myślę, że zaatakował mnie Danny Keane.

Wstałam i odwróciłam się tyłem do policjantów, po czym podciągnęłam podkoszulek. Siniaki na ramieniu zmieniły kolor z czarnego na zielonożółty, ale nadal były widoczne. Podwinęłam nogawkę dżinsów i pokazałam kolano. Było spuchnięte i sine. Cooper syknął ze współczuciem.

- Skradziono mi torebkę, w której były kluczyki do samochodu. - Usiadłam. - Gdybym mogła swobodnie wchodzić do domu Danny'ego, na pewno zabrałabym kluczyki. Sierżant Blake widział mnie na mszy za duszę Jenny. Może potwierdzić, że przysłam piechotę, choć bardzo padało, a potem zostałam odwieziona do domu. Nie wiem, jak Danny zwrócił uwagę na Jenny, ale wiem, że chodziła z Paulem Keane'em do podstawówki. Nie wiem, dlaczego zaatakowano Geoffa. Nie wiem, dlaczego napadnięto mnie. Myślę, że na te pytania może odpowiedzieć tylko Danny. Daję słowo, że nie rozmawiałam z nim od wielu lat.

Grange poruszył się ze zniecierpliwieniem.

- To mało wiarygodne. Mieszka pani o parę metrów od niego.

- To prawda. Ale się poróżniliśmy. - Doskonale to pamiętałam. Miałam nadzieję, że policjanci nie zażądają wyjaśnienia, w jakich okolicznościach to nastąpiło. - W tym tygodniu poszłam do jego domu, żeby spytać, co się stało z moim bratem. Tak poznałam Paula. Szczerze mówiąc, w ogóle zapomniałam o jego istnieniu.

252

- Dlaczego chciała pani spytać Daniela Keane'a o brata akurat teraz? Spróbowałam znaleźć wyjaśnienie.

- To, co spotkało Jenny... o wszystkim mi przypomniało. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak muszą się czuć Shepherdowie, a potem pomyślałam o moich rodzicach, zwłaszcza o tacie. Nikt już nie pamięta o Charliem... nikt z wyjątkiem mamy. To ją

zniszczyło. Przez całe lata udawałam, że Charlie nie istniał. Usiłowałam uciec od tego, co się stało z moją rodziną, ale nie mogłam wiecznie zamykać oczu. Uznałam, że mogę coś znaleźć. Przyszło mi do głowy, że nikt nie zadał właściwych pytań, nie porozmawiał z właściwymi osobami... że uda mi się wszystko naprawić. - Głupio to zabrzmiało, powiedziane na głos. Spuściłam wzrok, nie chcąc widzieć min policjantów.

Ktoś zapukał lekko do drzwi. Cooper zatrzymał taśmę, Grange poszedł otworzyć. Zniknął na korytarzu. Siedziałam w milczeniu, nie starając się rozmawiać z Cooperem. Zrobiłam wszystko, co mogłam. Powiedziałam, co miałam do powiedzenia. Nie pozostało mi nic oprócz czekania, więc czekałam.

1997

Pięć lat od zaginięcia

D

zwoni telefon. Leżę na sofie, obcinając nożyczkami do paznokci rozdwojone końcówki włosów, i nawet nie drgnę, żeby odebrać, choć aparat stoi o parę kroków ode mnie.

Mama przychodzi z kuchni. Podnosi słuchawkę i już wiem, że jest rozdrażniona. Głos ma ostry.

Rozmawia zwięźle, prawie niegrzecznie. Po chwili zagląda do pokoju.

- To twój ojciec. Chodź tu i porozmawiaj z nim.

Nie wstaję od razu. Jestem skupiona na ostatnim kędziorku, manewruję precyzyjnie nożyczkami, żeby przyciąć włoskę rozdzielony na trzy zakrzywione pazurki.

- Obrzydliwe - mówi mama. - Natychmiast przestań. Ojciec na ciebie czeka.

Wstaję z sofy i odbieram jej słuchawkę, nie odzywając się, nawet na nią nie patrząc.

- Halo.

- Cześć, małpeczko. Jak się miewasz?

- Dobrze.

Tata ma radosny głos. Zbyt radosny.

- Jak szkoła?

- Dobrze.

254

- Uczysz się pilnie?

Tylko wzdycham. Szkoda, że tata nie widzi mojej miny. Przez telefon trudno przekazać bez stów komunikat "mam to gdzieś", a powiedzieć tego się nie ośmielam.

- Słuchaj, wiem, że nie jest łatwo, ale musisz się starać, skarbie.

Szkoła jest ważna.

- Aha - mówię i powoli, z rozmysłem kopię w boazerię. Mam ciężkie czarne glany ze stalowymi okuciami na czubkach. Naciągnęłam na nie tatę. Nawet nie czuję uderzenia stopy o ścianę.

- Przestań - odzywa się mama za moimi plecami. Stoi w drzwiach kuchni, słuchając. Odwracam się od niej jeszcze bardziej, przytrzymując słuchawkę ramieniem.

- Tato, kiedy cię zobaczę?

- Niedługo. Mieszkanie jest już prawie gotowe. Właśnie pomałowałem drugą sypialnię. Kiedy tu wszystko urządzię, przyjedziesz i w niej zamieszkasz.

- Tak długo czekam - mamrocze.

- Wiem. Ale się staram. Musisz być cierpliwa.

- Byłam. Mam dość cierpliwości. - Wymierzam kolejnego kopniaka, odłupując trochę farby z boazerii. - Tato, muszę kończyć.

- Aha. No, dobrze. - Jest zaskoczony, trochę przygnębiony. - Wychodzisz?

- Nie. Ale nie mam ci nic więcej do powiedzenia. - Miło się na nim odegrać. Zasluguje na to.

Chwila ciszy.

- Cześć - mówię i szybko odkładam słuchawkę.

Odwracam się. Mama nadal stoi w progu z założonymi rękami i półuśmieszkiem.

Widzę, że jest ze mnie zadowolona. Przez chwilę się cieszę, a potem wracają wyrzuty sumienia i niechęć. Nie obchodzi mnie, co myśli mama.

Idę do salonu i rzucam się znowu na sofę. Żałuję, że nie byłam miłsza dla taty, ale już za późno. Już go nie ma.

## Rozdział 14

Z

!ostawili mnie w pokoju przesłuchań na dość długo. Grange wrócił po Coopera, ale nie odezwał się do mnie. Pojawiła się policjantka, która stanęła w milczeniu przy drzwiach, najwyraźniej nie zauważając mojej obecności. Poszłam za jej przykładem, wpatrując się w przestrzeń. Spodziewałam się, że teraz odprowadzą mnie do celi. Miałam wrażenie, że przesłuchanie się skończyło.

Drzwi znowu się otworzyły i z zaskoczeniem ujrzałam w nich Vickersa. Pozbył się policjantki jednym gestem i wszedł. Postawił krzesło Coopera naprzeciwko mnie, tak by nie dzielił nas stół. Usiadł na nim powoli, jakby bolał go krzyż. Westchnął.

- Jak się czujesz?

Wzruszyłam jednym ramieniem. Co za pytanie.

- Pewnie ucieszy cię wiadomość, że rozmawialiśmy z Paulem Keane'em, który kategorycznie zaprzeczył, jakobyś brała udział w spisku. Potwierdził wszystko, co nam mówiłaś. Na razie - dopóki na światło dzienne nie wyjdą inne obciążające cię dowody -

uznam, że nie miałaś udziału w wykorzystywaniu i zamordowaniu Jennifer Shepherd.

Nie było to bezwarunkowe potwierdzenie mojej niewinności, ale uznałam to za pewnego rodzaju przeprosiny i zapewnienie, że nie zamierzają mnie dłużej przesłuchiwać.

- Nie znajdziecie żadnych dowodów. Mówiłam, że nie mam z tym nic wspólnego.

- Na to wygląda. - Vickers splótł dłonie i przyjrzał się z fascynacją swoim kostkom. Nie odezwał się. Zaczęłam się zastanawiać, na co czeka.

256

- Mogę iść?

- Hmm. Oczywiście, jeśli chcesz. Zrozumiem, jeśli zechcesz pójść do domu. Jesteś pewnie zmęczona i nieco zdenerwowana.

- Nieco - mruknęłam zgryźliwie.

- Tak. No cóż. Jak powiedziałem, zrozumiem, jeśli zechcesz odejść.

Zamilkł. Wiedziałam, że czegoś ode mnie chce. Ciekawe, czy się obrazi, gdy odmówię, nawet go nie wysłuchawszy. -Ale?

- Ale... no, rozmawialiśmy z Pauliem, ale nie zaszliśmy daleko. - Potarł kark pomarszczoną dłonią. Odgrywał zmęczonego staruszka, żeby zdobyć moje współczucie, a ja o tym wiedziałam i czekałam niewzruszona, co będzie dalej. - Rzecz w tym, że on nie chce powiedzieć prawdy. Zdołaliśmy z niego wyciągnąć tylko tyle, że nie brałaś w tym udziału. Poza tym - bez komentarza.

Początkowo nie chciał nawet powiedzieć, jak się nazywa i ile ma lat. Dopiero kiedy zaczęliśmy go pytać o ciebie, zaczął mówić. Zrobiłaś na nim wielkie wrażenie. Powiedział, że byłaś dla niego miła.

Zrobiło mi się strasznie żal Paula. Co ja takiego dla niego zrobiłam? Tylko z nim porozmawiałam, potraktowałam go jak człowieka. Przerwał milczenie, żeby wystąpić w mojej obronie? To wymagało wielkiej odwagi. Sama nie byłam w najlepszej sytuacji - zamknięta w areszcie, a potem przesłuchana, ale przynajmniej byłam dorosła i miałam jakieś pojęcie o swoich prawach. I wiedziałam, że jestem niewinna.

- W ogóle nie powinniście z nim rozmawiać. Oczywiście jestem mu wdzięczna, że potwierdził moje słowa, ale to tylko dziecko.

Bardzo wrażliwe. Niedawno chciał się zabić, na miłość boską! Jeśli rzeczywiście odegrał jakąś rolę w skrzywdzeniu Jenny - a nie twierdzą, że tak było, co do mnie też się myliliście - wyobrażam sobie, jak strasznie czuje się skompromitowany, wiedząc, że wszystko się wydało.

- Masz rację - powiedział Vickers, udając, że się wstydzi. Nie pasowało to do niego. Ten człowiek był ze stali.

257



Założył jedną chudą nogę na drugą i przez jakiś czas wyglądał materiał na kolanie. W końcu podniósł na mnie wzrok.

- Nie powinienem cię prosić o pomoc po tym, na co cię naraziliśmy, ale znalazłem się w trudnej sytuacji. Nie mamy szans na zbudowanie dobrych relacji z tym chłopcem. Wcale nam nie ufa. Od wielu lat nie miał oparcia w żadnym odpowiedzialnym dorosłym, więc nie reaguje na nas ani na swoich dawnych nauczycieli, a nie ma dalszych krewnych. Mamy pracownika opieki społecznej i wiem, że czasem się przydaje, ale tu okazał się pomocny jak korek na rozwolnienie, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Muszę zaapelować do twojej dobroci i pragnienia sprawiedliwości.

- Czego ode mnie chcecie?

- Pojedź ze mną do szpitala. Teraz. - Vickers dał sobie spokój z drżącym głosem staruszka i znowu błysnął stalowym niebieskim spojrzeniem. - On ci ufa. Lubi cię. Spytałismy, czy chce z kimś porozmawiać, i zareagował dobrze tylko na ciebie. Uważa cię za jakiegoś anioła.

- Nie wierzę panu - oznajmiłam. - Przed chwilą byłam oskarżona o morderstwo, teraz nagle prosi mnie pan o pomoc.

- Mieliśmy podstawy przypuszczać, że byłaś zaangażowana w pewne aspekty tego przestępstwa. Po przesłuchaniu uznaliśmy, że nie masz z tym nic wspólnego. Ale aresztowanie ciebie było słuszne i zgodne z prawem i oczyściło twoje imię.

-1 powinnam być wam wdzięczna? - syknęłam, dygocząc z gniewu.

- Tego nie powiedziałem. - Vickers trochę złagodniał. - Wiem, że nie było łatwo. Gdybym miał inny wybór, pozwoliłbym ci iść do domu. Ale nie mam. Muszę się dowiedzieć, co wie Paul, i nie mogę tracić czasu na zaprzyjaźnianie się z nim. Rodzice Jennifer Shepherd wydzwanają do mnie, czy coś już wiadomo, dzienni karze zasypują mnie pytaniami. Kieruję poszukiwaniami Daniela Keane'a, szefowie na mnie naciskają, a ja chcę w końcu powiedzieć im wszystkim: tak, jesteśmy na właściwym tropie. Może jeszcze nie złapaliśmy mordercy, ale to tylko kwestia czasu i to z całą pewnością ten, o którego nam chodzi.

258

- Nie chcę brać w tym udziału - oznajmiłam, kręcąc głową.

- Nie chcę wyciągać z tego biednego dziecka informacji, które obciążą jego brata.

- Proszę cię. Dobrze wiesz, co z człowiekiem robi niepewność. Pomóż nam ze względu na rodziców Jenny.

To było to. Złamał mnie. W końcu zawsze znajdował właściwe podejście. Nie chciałam pomóc policji, ale nie miałam serca kazać Shepherdom czekać na ujawnienie prawdy.

Trzeba przyznać, że Vickers ustrzegł się tryumfującego tonu, kiedy prowadził mnie korytarzem w stronę drzwi frontowych. Opowiadał o mijanych pokojach - "Tu rozmawialiśmy, pamiętasz, tej nocy, gdy znaleziono ciało Jennifer, to mój gabinet". Staralam się nie słuchać. Czułam na sobie spojrzenia policjantów. Najwyraźniej jeszcze nie wiedzieli, że zostałam zwolniona. Najczęściej widziałam w ich oczach ledwie maskowaną wrogość.

Dotarliśmy do recepcji, części dostępnej dla osób z zewnątrz, gdzie ujrzelśmy coś w rodzaju jednoosobowych zamieszek. Oboje zatrzymaliśmy się jednocześnie. Wysoki, barczysty mężczyzna szarpał się z dwoma policjantami i kobietą. Ta kobieta przywarła ze wszystkich sił do jego ręki, a on usiłował ją z siebie strząsnąć. Na chwilę odwróciła głowę i rozpoznałam Valerie. Mężczyzna krzychał na całe gardło, rzucając inwektywy pod adresem cywilnej recepcjonistki, która, oddzielona od niego porysowaną, pożółkłą szybą z pleksiglasu, stała jak skamieniała. Wcale się jej nie dziwię. Mężczyzna wpadł w szał. Poznałam go i przeszedł mnie dreszcz. Michael Shepherd dotarł do kresu wytrzymałości. Nie sposób było przewidzieć, co zrobi. A jeśli wiedział, że zostałam aresztowana - jeśli wiedział, że policja podejrzewa mnie o związek ze śmiercią jego córki - zdecydowanie nie życzyłam sobie przebywać z nim w jednym pomieszczeniu.

- Chcę rozmawiać z inspektorem, i to natychmiast! - ryczał ochryplym z wściekłości głosem.

259

- Gdyby zechciał się pan na chwilę uspokoić... - wysapała Valerie.

Pomyślałam, że te słowa i sposób, w jaki je powiedziała, najprawdopodobniej będą miały dokładnie odwrotny efekt.

- Zamknij, kurwa, mordę! - warknął Shepherd. - Co ty tam wiesz!

Nie zauważyłam, kiedy Vickers ruszył z miejsca, ale nagle zobaczyłam go obok Shepherd'a, który na jego widok odetchnął głośno i przestał się szarpać.

- Nie ma potrzeby się kłócić. Przepraszam, że nie byłem dostępny. Niestety, mam dużo pracy.

- Powiedzieli w wiadomościach, że kogoś aresztowano.

To prawda? - rzucił gorączkowo Michael Shepherd.

- Sprawdzamy pewne tropy.

Shepherd rąbnął pięścią w blat kontuaru. Wzdrygnęłam się nerwowo.

- Ciągłe to słyszę, ale nic mi nie mówicie! Nie wiem, co się dzieje! Ja już nie... nie...

Gniew zaczął się zmieniać w rozpacz i zagubienie. Vickers nie mógł sobie darować spojrzenia w moim kierunku. Był zadowolony, że zobaczyłam ojca Jenny w takim stanie. Wiedział, że to mnie przekona jak nic do udzielenia mu pomocy. Nie lubiłam go za to, ale miał rację.

Vickers nie przewidział, jak szybko Michael Shepherd dojdzie do siebie. Zauważył, gdzie Vickers patrzy, i obejrzał się. Mimowolnie zrobiłam krok do tyłu, gdy ugodził mnie spojrzeniem czarnych oczu i ściągnął brwi.

- Ty! - Ruszył ku mnie. - To ty. Ciebie aresztowali.  
Na gwałtowny znak Vickersa dwaj policjanci przyskoczyli i go zatrzymali.  
Wytrzymałam jego spojrzenie, przepalające mnie na wylot. Nie cofnęłam się.  
- Właśnie miałem panu powiedzieć o panie Finch - oznajmił  
Vickers, stając między nami, co w żaden sposób nie powstrzymałoby  
Michaela Shepherd. Jednak doceniłam ten gest. - Stwierdziłszy,  
że nie odegrała ona żadnej roli w zamordowaniu pańskiej córki.

260

Wprost przeciwnie, dowiedzieliśmy się dzięki niej, co spotkało Jenny przed śmiercią,  
i nadal korzystamy z jej pomocy.

Shepherd nadal przewiercał mnie spojrzeniem. Zabiłby mnie, gdyby mógł.

- Na pewno? - rzucił ostro.

- Na sto procent. Nie miała nic wspólnego z wykorzystaniem  
pańskiej córki i nic wspólnego z jej śmiercią. - Vickers mówił  
z o wiele większą pewnością niż przed chwilą w sali przesłuchań,  
ale przecież musiał przekonać Shepherd, i to szybko.

Tylko że wcale go nie uspokoił.

- Z jakim wykorzystaniem?

Przez pobrużdżoną twarz Vickersa przemknęła niepewność.

- Z pewnością państwu o tym powiedziano. Konstabl Wade  
rozmawiała z państwem dziś po południu.

- Naopowiadała jakichś kłamstw - wycedził Michael Shepherd.

- Ani słowa prawdy. Powiedzcie to komuś, to was pozwę!

- Wiem, że trudno się z tym pogodzić, ale musieliście znać prawdę.  
Sądzymy, że... eee, molestowanie... doprowadziło bezpośrednio  
do śmierci Jennifer. To niestety prawda i istnieje na to mnóstwo  
dowodów, które wykorzystamy do oskarżenia osób odpowiedzialnych.  
Oznacza to, że niektóre fakty zostaną podane do wiadomości  
publicznej i nie ma możliwości zachować ich w tajemnicy przed  
mediami. Zapewniam, nie zamierzamy publikować zdjęć i filmów,  
ale niektóre zostaną przedstawione w sądzie i opisane, choć nie  
szczegółowo.

- Zdjęcia - powtórzył Michael Shepherd, chyba nie rozumiejąc.

Odwrócił się do mnie. - Widziałaś je? Widziałaś moją Jenny?

Nawet nie kiwnęłam głową, ale się zorientował, że tak. Chciałam mu powiedzieć, że  
nie zamierzałam ich oglądać, że zrobiłabym wszystko, by zapomnieć, co widziałam,  
gdyby to było możliwe, lecz nie zdążyłam. Odwrócił się do Vickersa.

- Powiedziałaś jej? Pokazałaś jej zdjęcia? Ile osób jeszcze  
je widziało? Pewnie wszyscy. Śmiali się i kpili z mojej córki. Moja  
dziewczynka jest dla was tylko kawałkiem mięsa, tak? Małą puszczałką,  
która zasłużyła sobie na to, co ją spotkało. - Broda mu

261

drżała. - Wszyscy się dowiedzą. Wszyscy się o tym dowiedzą i nic na to nie poradzę.

- Osunął się na kolana, zasłonił twarz i ryknął płaczem. Staliśmy wokół niego w milczeniu pełnym zgrozy, przerażeni załamaniem tego człowieka.

- Val, daj mu jakiejś herbaty czy coś - odezwał się w końcu Vickers nerwowo. - W mojej szufladzie jest whisky. Nalej mu podwójnej i zabierz go do domu. Dopilnuj, żeby dziennikarze go nie zobaczyli w takim stanie.

Chwycił mnie za ramię i pociągnął za sobą.

- Tu na nic się nie przydamy, a w szpitalu możesz bardzo pomóc

- powiedział, szarpiąc mnie niecierpliwie, kiedy się zawahałam.

- Rozumiesz teraz, dlaczego to takie ważne? Ten człowiek się zabije, jeśli wkrótce tego nie skończymy.

Lubiłam Vickersa i rozumiałam jego pobudki, ale pomyślałam, że znalezienie mordercy Jenny nie wystarczy, żeby uratować jej ojca.

Opuściliśmy posterunek tylnymi drzwiami wychodzącymi na parking. W celi straciłam poczucie czasu i zaskoczył mnie zachód słońca. Zatrzymałam się na chwilę na progu i odetchnęłam głęboko; powietrze nigdy nie miało słodsze zapachu. Zaczekałam, aż Vickers oddali się na jakieś pięćdziesiąt metrów. Chciałam mieć chwilę dla siebie. Kiedy poszłam za nim, nagle błysnęło. Rozejrzałam się zdezorientowana i zobaczyłam przyczajonego fotografa z ogromnym aparatem. Ledwie odwróciłam się do obiektywu, strzelił sześć czy siedem zdjęć jedno po drugim, z flesztym oślepiającym i niemiłosiernym jak stroboskop. Uniosłam rękę, żeby się zasłonić; kątem oka widziałam Vickersa zawracającego i biegnącego ku mnie. Nie pojmowałam, co się dzieje - na przykład skąd fotograf wie, kim jestem - ale miałam gorzką pewność, że właśnie przegrałam walkę. Jedno zdjęcie wystarczy, żebym nigdy więcej nie była anonimowa. Policja może przyznać,

262

że jestem niewinna, ale niewinność to nie temat. A podejrzania i domysły - tak.

Wiedziałałam o tym aż za dobrze.

Nie musiałam się długo zastanawiać, komu to zawdzięczam. Kiedy Vickers skoczył na fotografa, zza samochodu wyłoniła się Carol Shapley.

- Chcesz mi opowiedzieć o aresztowaniu? Dlaczego policja cię zatrzymała? Jaki masz związek ze śmiercią Jenny?

Musiałam jej to przyznać - wprawdzie była dziennikarką w byle jakiej miejscowej gazetce, ale miała nosa do znajdowania tematów,

0 których krajowe gazety mogły najwyżej pomarzyć.

- Kto pani kazał tu przyjechać? - rzucił ostro Vickers przez ramię. Przygniótł fotografa do muru, wciskając mu twarz w cegły.

Zauważyłam, że lekko się zasapał, ale był chyba silniejszy, niż wyglądał, bo choć fotograf się szarpał, nie miał szansy się oswobodzić.

Carol uśmiechnęła się spokojnie.

-Wszędzie mam informatorów, panie starszy inspektorze. Dzięki nim wiele wiem.

- Pani informator dał ciała. Tu nie ma tematu. Znajduje się pani na terenie policji. Nie wolno tu pani być.

Wcale się nie przejęła. Obrzuciła mnie spojrzeniem oczu jak dwa szperacze. Poczułam się jak naga.

- Możemy napisać kontynuację poprzedniego artykułu, wyjaśniając, co cię dziś spotkało - zwróciła się do mnie. - Oczyszczimy twoje imię.

- Nie ma mowy.

- Nie chcesz, żeby ludzie uważali cię za niewinną?

Chciałam jednego: znaleźć się jak najdalej od niej. Odwróciłam głowę bez słowa. Wiedziałam, że wszystko, co powiem, zostanie wykorzystane do stworzenia lepszej, ciekawszej historii.

Drzwi za moimi plecami otworzyły się z trzaskiem i wyszło dwóch roześmianych policjantów w cywilu.

- Tutaj, chłopcy! - rzucił Vickers.

Obaj, jak dobrze wytresowane psy, zareagowali natychmiast

1 bez pytania. Trochę zrobiło mi się żal fotografa, którego rzucono na ziemię. Yickers odstał. W ręce trzymał aparat.

263

- Trzeba sprawdzić, czy nie został uszkodzony. Smutno by było, gdyby się zepsuł, prawda? - Rozchylił palce i upuścił aparat na ziemię. - Ojejku. Ależ jestem niezdarny.

Fotograf kopnął trzymających go funkcjonariuszy i zarobił kopniaka w zębra. Vickers nie zwrócił na to uwagi. Podniósł aparat i go włączył.

- Nadal działa - powiedział sympatycznie. - Wspaniale, prawda? Szczyt rozkwitu współczesnej techniki. - Przykucnął obok fotografa. - Czy mogę spojrzeć na zdjęcia, które pan zrobił? Fotograf zaklął cicho i brzydtko.

- Z tym radzę ostrożnie, bo trafi pan do aresztu - uprzedził Vickers.

- Nie możesz mnie aresztować za przeklinanie!

- Część piąta ustawy o porządku publicznym twierdzi co inne go - odparł Vickers, przeglądając zdjęcia. - Niech pan znowu zaklnie, a przekonamy się, czy nie mogę. Do czego ten guzik? Do kasowania, tak?

Carol stanęła obok Vickersa.

- To niedopuszczalne! Zgłoszę tę... tę działalność cenzorską! Tę brutalność! Wykorzystywanie władzy! Narobię takiego hałasu, że wyrzucą pana z policji!

- Ależ skąd, kochana, wszystko ci się pokręciło. To ja mogę sprawić, że nie napiszesz ani słowa więcej dla "Elmview Examiner". Eddie Briggs jest moim przyjacielem i nie przepada za tobą, choć cię zatrudnił. No i jeżeli obejrzę twój samochód, na pewno znajdę jakieś ważne powody, by go odholować... dla twego bezpieczeństwa. - Uśmiechnął się miło. - Udzielę ci rady: nie należy walczyć z policją. My zawsze wygrywamy.

- Pan mi grozi?

- Tak - powiedział Vickers z prostotą. - I warto zapomnieć, co tu widziałas. Panna Finch jest niewinna. Została sprowadzona na posterunek z przyczyn operacyjnych. Była bardzo pomocna i wyrozumiała, dlatego zasługuje na szacunek i uszanowanie prywatności.

- Dlaczego pan to robi? - Carol mocno zaciskała usta, jakby miała się rozplakać. - Dlaczego pan jej broni?

264

Vickers zajął jej z bliska w twarz.

- Bo nie lubię zastraszania i nie podoba mi się twój sposób pracy. I będę miał na ciebie oko. Żadnego anonimowego przekazywania informacji. Jeśli przeczytam w gazetach chociaż jedno słowo o panie Finch albo usłyszę o niej w wiadomościach, pociągnę cię do odpowiedzialności. Dopilnuję, żebyś nigdy nie dostała żadnej informacji z policji. Wykorzystam wszystkie znajomości, żeby zmieścić ci życie w piekło. Proszę mi wierzyć, mówię śmiertelnie poważnie. - Wcisnął jej w dłoń aparat. - To jak, rozumiemy się?

Carol skinęła głową niechętnie.

- Puście go, chłopcy - rzekł Vickers do policjantów.

Obaj cofnęli się i patrzyli, jak fotograf podnosi się z ziemi. Ubranie miał w nieładzie, ubrudzone, a oczy pełne nienawiści.

-Oddaj.

Carol podała mu aparat. Obejrzał go dokładnie, przesunął dłonią po zadrapaniu.

- To drogi sprzęt. Jeśli jest uszkodzony...

- Jeśli jest uszkodzony - wpadł mu w słowo Vickers - prześlij rachunek Carol. Już was tu nie ma!

Coś w zachowaniu Vickersa świadczyło wyraźnie, że nie ma ochoty na dalsze dyskusje. Carol i fotograf wycofali się bez dalszej dyskusji - bardzo roztropnie, moim zdaniem. Carol rzuciła mi jeszcze straszne spojrzenie; wytrzymałam je bez zmrużenia oka, choć zimna nienawiść w jej oczach mnie zmroziła.

Vickers skinął głową dwóm funkcjonariuszom.

- Dzięki, chłopcy.

- Nie ma sprawy - powiedział jeden głosem tak niskim, że aż grzmiałym. - Polecamy się na przyszłość. Możemy zrobić coś jeszcze?

- Na razie nie. Jesteście wolni.

Ruszyli na parking, tak spokojni, jakby coś takiego spotykało ich codziennie - zresztą pewnie tak było. Trochę mnie zaskoczyła skuteczność Vickersa w obezwładnieniu fotografa, choć właściwie dlaczego? On pewnie także odsłużył swoje na ulicy, nawet jeśli od tego czasu minęło kilkadziesiąt lat.

265

Odwrócił się do mnie.

- W porządku?

Uświadomiłam sobie, że dygoczę, a dłonie mam lepkie od potu.

- Tak. Chyba. Dziękuję.

Parsknął śmiechem.

- Nie ma za co. To dla mnie przyjemność. A ta wredna baba narobiła ci dość kłopotów jak na jedno życie. - Rzucił mi spojrzenie z ukosa. - Poza tym chciałbym myśleć, że wynagrodziłem ci to, co cię dzisiaj spotkało.

- Nie spotkałoby mnie, gdybyście mnie nie aresztowali - wytknęłam.

- Racja. No cóż, zatem nadal jestem ci winien przysługę za to, że zgodziłaś się nam pomóc z Paulem. Nie martw się, nie zapomnę.

- Ani ja. - Ale powiedziałam to z uśmiechem. Nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Vickers mógł mi się odplacić, lecz nie o to chodziło. Mówił mi, że znowu znalazłam się po jego stronie, po stronie aniołów, i uznałam, że to dobre miejsce.

Ten dzień zakończy się tam, gdzie się zaczął, pomyślałam, idąc za Vickersem korytarzami do oddziału pediatrycznego szpitala Świętego Marcina, gdzie leżał Paul. Blake zerwał się z krzesła, kiedy Vickers otworzył drzwi. Wyjrzałam zza Vickersa, żeby spojrzeć na Paula, skulonego na boku, z zamkniętymi oczami.

- Dziękuję, że przyszłaś - powiedział Blake.

Nie zwróciłam na niego uwagi, zajęta Paulem. Oddychał chrapliwie, miał zarumienione policzki i włosy przyklejone potem do czoła.

- Jak on się czuje? - spytałam cicho.

- Przez cały czas to się budzi, to zasypia. Lekarze są dobrej myśli. Biorąc pod uwagę okoliczności, szybko dochodzi do siebie. Nie pozwolą nam z nim długo rozmawiać, kiedy się ocknie, i nie możemy go obudzić, choć przyszłaś.

266

- Nie pozwoliłabym na to - powiedziałam zaskoczona i solidnie zirytowana. - Mogę poczekać. Myślę o dobru Paula. - Nie powiedziałam "w przeciwieństwie do was", choć te słowa zawisły w powietrzu.

- Skoro mowa o dobru Paula - wtrącił Vickers, uprzedzając Blake'a - to jest Audrey Jones, pracownica opieki społecznej. - Wskazał kobietę w średnim wieku, siedzącą w kącie pokoju z rękami splecionymi pod obfitym biustem. "Macierzyńska" - to słowo przyszło mi do głowy, cokolwiek to znaczy. Ani Paul, ani ja nie znaliśmy takiej matki, a on w dodatku stracił swoją we wczesnym dzieciństwie. Audrey skinęła mi życzliwie głową i siedziała dalej. Nie była szczególnie dynamiczna ani zainteresowana nowymi gośćmi. Zrozumiałam, dlaczego nie przydała się na wiele Vickersowi.

W pokoju znajdowały się tylko dwa krzesła. Jedno zajmowała Audrey. Blake ustąpił mi drugie, ale nie chciałam go zajmować. Byłam tak zmęczona, że kręciło mi się w głowie. Musiałam przyjąć wielką dawkę kofeiny.

- Myślisz, że długo będzie spał?

- Pewnie jakieś pół godziny - odpowiedział Blake, spoglądając na zegarek. - Budzi się i zasypia, ale za jakiś czas przywiozą jedzenie i to go na pewno obudzi.

- Mogę pójść na kawę? - spytałam Vickersa. Nie byłam już aresztowana, ale nadal miałam wrażenie, że nie mogę wyjść z pokoju bez pozwolenia.

Wahał się przez chwilę, ale wyraził zgodę.

- Może pójdziesz z Andym? - rzucił niemal od niechcienia, kiedy byłam już przy drzwiach. - Ja będę czuwać nad Paulem, a tobie też się przyda kawka, nie, Andy? Stołówka chyba jest w piwnicy. Blake ruszył do drzwi, nie dając mi odpowiedzi. Widać nie pozostawiono mi wyboru. Łypnęłam na Vickersa w sposób oznaczający - mam nadzieję - "wiem, co knujesz", a w odpowiedzi otrzymałam błękitne spojrzenie pełne dziecięcej niewinności. Czekałaby go wspaniała kariera, gdyby zdecydował się wejść na drogę przestępstwa, pomyślałam. Nikt na świecie by nie uwierzył, że stać go na coś złego. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

267

- Jesteśmy ci bardzo wdzięczni - odezwał się Blake, ledwie ciężkie drzwi zamknęły się za nami. - Zwłaszcza po tym, co się dziś zdarzyło.

- Że niby oskarżyliście mnie o pedofilię i morderstwo? Nie ma sprawy. Bez przerwy mnie to spotyka.

- Ani przez chwilę w to nie wierzyłem.

Zatrzymałam się, patrzyłam na niego przez chwilę i ruszyłam dalej, kręcąc głową. Szkoda, że miał o wiele dłuższe nogi. To mu dawało przewagę.

- Musieliśmy cię aresztować. Nie mogliśmy tego uniknąć.

Przecież odmówiłaś dalszej współpracy.

- I musieliście przeszukać mój dom? Przewrócić moje rzeczy? Rozmawiać z moją matką? Nie mogłeś tego zrobić bez aresztowania mnie?

Na jego szczęście drgnął mięsień.

- Nie było fajnie.

Więc był w moim domu. Odwróciłam się, chcąc ukryć twarz, bojąc się, że zbyt łatwo zobaczy moją zgrozę.

- Nie wierzyłem w to, ale co miałem powiedzieć? "Nie może być winna, bo z nią spałem"? Nawet cię nie znam... no, niezbyt dobrze. Nie miałem żadnego konkretnego dowodu. Przeczucie nie wystarczy. - Mówił głośno; spojrzałam na niego groźnie. Przypomniał sobie, gdzie się znajdujemy, i rozejrzał się dokoła, sprawdzając,



czy ktoś nas usłyszał.

- To nie czas ani miejsce na takie rozmowy. - Dziabnęłam w guzik przywołujący windę, wyobrażając sobie, że to jego oko. Blake oparł się o ścianę i założył ręce na piersi.

- Nie myśl, że nie zrobiłem wszystkiego, żeby cię stamtąd wydość. Ująłem się za tobą.

Parsknęłam śmiechem.

- Nic nie rozumiesz, prawda? Mam to gdzieś. Czy wierzyłeś w moją winę, czy nie, to nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia. Nie obchodzi mnie, co myślałeś i co myślisz. Nie przyszłam tutaj dla ciebie i nie dlatego, że Vickers mnie tak uroczo poprosił. Chcę tylko pomóc Paulowi, pomóc Shepherdom i spadać stąd w cholerę.

268

- Świetnie. - Blake zacisnął szczęki. - Zostawmy to, dobrze?

Nie odpowiedziałam. Winda była pusta. Stałam plecami do ściany po jednej stronie, jak najdalej od Blake'a. On wcisnął guzik piwnicy i stanął pod drugą ścianą, wpatrzony w cyfry zmieniające się na wyświetlaczu. Coś innego nie dawało mi spokoju.

- Co się dzieje? - spytał, nie patrząc na mnie, jakbym się odezwała.

- Musiałeś to powiedzieć?

- Mianowicie?

- Że Paul obudzi się, żeby zjeść. Wiesz, jak go to zabolalo, jeśli to słyszał?

- O Chryste, nie chodziło o... Nawet nie mówiłem o nim! -

Blake westchnął. - Personel przywozi jedzenie co dwie godziny. Dosłownie taranują wózkami drzwi. Łomoczą, jakby świat się kończył, i bardzo bym się zdziwił, gdyby Paul zdołał to przespać.

- Aha - powiedziałam cichutko. Nie przyszło mi do głowy nic innego.

Stanęliśmy w kolejce po poliestrowe kubki pełne parującego płynu. Blake kupił coś burego, udającego herbatę, ja wybrałam kawę. Była gęsta jak smoła. Miałam nadzieję, że jest tak mocna, na jaką wygląda. Blake zaprowadził mnie do stolika, stojącego na tyle daleko od innych klientów kawiarni, że mogliśmy porozmawiać spokojnie. Znajdowaliśmy się w pierwotnym budynku szpitala. Pomieszczenie było ogromne, wiktoriańska architektura w najpełniejszym rozkwicie. Ściany z pomalowanych na biało cegieł, łukowate sklepienie, pod którym wisiały masywne wentylatory z kutego żelaza, wirujące na całego, choć było dość chłodno. Półkoliste okna biegnące pod sufitem - tuż nad ziemią - wpuszczały nikłą ilość naturalnego światła. O tej porze paliły się już lampy i stołówkę zalewał rażący blask energooszczędnych świetlówek w wielkich szklanych kloszach. Salę wypełniały małe okrągłe stoliki o laminowanych blatach i plastikowe krzesła, liche w porównaniu z masywną solidnością wiktoriańskiej architektury. Tylko kilka stolików było zajętych,

pacjentów w szlafrokach, siedzących z rodzinami albo samotnie. Gorące jedzenie wyglądało niepokojąco. Pod lampami grzewczymi unosiły się z niego kłęby pary. Trudno było uwierzyć, że dla czegoś takiego warto zwlec się z łóżka do stołówki. Blake mieszał ze skupieniem herbatę, nie zwracając na mnie uwagi. Może Vickers wysłał go ze mną, żebym nie uciekła. A może naprawdę uważał, że należy mu się chwila przerwy. W tych niemiłosiernych światłach Blake miał szarawą skórę. Wydawał się wyczerpany.

- Jak się czujesz? - spytałam. Nagle ta informacja wydała mi się potrzebna.

- W porządku. Jestem zmęczony.

- Przynajmniej masz jakieś wyniki.

Skrzywił się.

- Pod warunkiem że nie aresztuję ludzi, którzy nie mają nic wspólnego z tą sprawą.

- Serio mówię, wyluzuj. Dojdę do siebie.

Pociągnął łyk herbaty. Wykrzywiło mu twarz.

-Jezu! Jak kawa?

- Gorąca - powiedziałam, patrząc na smużkę pary unoszącą się spiralnie z mojego kubka. Nie mogłam przestać myśleć o tym, co powiedział Grange. - Andy... chcę się czegoś dowiedzieć.

Powiedzieli mi... że ekipa od początku mnie podejrzewała.

Poruszył się nerwowo.

- To rutynowe działanie.

- Naprawdę? Bo myślałam... kiedy przyszedłeś i zabrałeś mnie na obiad, to była część gry, tak? Chcieliście mnie lepiej poznać.

Pewnie wysłał cię Vickers, tak?

Blake miał tyle przyzwoitości, żeby się zawstydzic.

- Wierz mi, nie było to najgorsze polecenie mojego życia.

Przez ostatnie dni bardzo się starałam nie wyobrażać sobie niczego na temat Andrew Blake'a. Starannie unikałam oczekiwań. Z całą pewnością nie planowałam wspólnej przyszłości. Ale dopiero wtedy zrozumiałam, że między nami nic się nie wydarzy. Roześmiałam się bez przekonania.

- Myślałam, że mnie lubisz.

- Lubilem... i lubię. Wszystko, co się stało potem, nie ma nic wspólnego z pracą. Poznałem cię... ile, sześć dni temu? Na początek chciałem się tylko więcej o tobie dowiedzieć. Potem sytuacja się zmieniła. - Pochylił się ku mnie. - Chyba myślisz, że nie obchodzi mnie to, cośmy zrobili, ale mógłbym stracić pracę, gdyby to się wydało. To było ryzykowne, głupie i nie żałowałem tego ani przez sekundę.

A ryzyko pewnie dodawało temu smaku, pomyślałam smętnie.

- Pewnie często cię to spotyka. Kobiety rzucają się na ciebie.

- Bo takie ze mnie ciacho - powiedział sarkastycznie. - Czasem mi się zdarza, to jasne.

Pomyślałam o ponuro łypiącej na mnie policjantce z posterunku, o gorączkowej determinacji Valerie Wade, by nie dopuszczać mnie do Blake'a, i doszłam do wniosku, że to się zdarza częściej niż często.

- Ale tego nie wykorzystuję - ciągnął Blake. - Nigdy, jeśli to coś związanego z pracą. Dopóki cię nie poznałem.

- Jakże mi miło - mruknęłam, nadal nieufnie. - A jednak mnie aresztowałeś. Nawet nie przeprowadziłeś przesłuchania. - W moim głosie zabrzmiał ból, choć bardzo się starałam go stłumić.

- Taki regulamin - rzucił szybko Blake. - Nie wierz w to, co pokazują w telewizji. Przesłuchania nigdy nie prowadzą funkcjonariusze z dochodzeniówki. Grange i Cooper przeszli szkolenie. Są specjalistami.

- Wierzę. - Mimo to jakoś trudno mi było docenić ich technikę.

- Zrozum, wiedziałem, że nie miałaś z tym nic wspólnego.

Możesz mi nie wierzyć.

- A gdybym miała? Sam powiedziałeś, że mnie nie znasz. A gdyby udowodnili, że w tym siedzę? Wtedy też byś mnie lubił?

- No... pewnie nie. - Wyprostował się i wzruszył ramionami.

- Gdybyś popełniła taką zbrodnię, musiałabyś przyjąć to, co cię czeka. Przekroczyłybyś granicę.

- I nie byłoby powrotu?

271

- Nie dla mnie. Wykonuję ten zawód dlatego, że istnieją ludzie, którzy nie pasują do społeczeństwa. Ich sposób życia krzywdzi innych, a moim zadaniem jest ich powstrzymać. Proste.

-A Paul?

- Co Paul?

- To tylko dziecko. Prawdopodobnie namówili go, żeby w tym uczestniczył. Nie mam ochoty go o to wypytywać. Nie chcę go pogrążyć. Co się z nim stanie?

- O tym zdecyduje sąd, nie ty. - Blake zmarszczył brwi. -

Musisz przyznać, że zrobił coś bardzo złego. Popęłnił poważne przestępstwo i bez względu na okoliczności towarzyszące zasługuje na karę. Przestępcy - nieważne, kim są - muszą odpowiedzieć za swoje czyny. Kiedy staną przed sądem, robi się istny cyrk. To nigdy nie jest ich wina. Zawsze mają jakieś wykręty, nawet kiedy się przyznają do winy. Ale dla czegoś takiego nie ma wytłumaczenia. Chłopak jest na tyle duży, że zna różnicę między dobrem i złem. Jeśli istnieją okoliczności łagodzące, sąd weźmie je pod uwagę.

- Czarne i białe, tak?
- Moim zdaniem tak. - Znowu oficjalny, wyjął złożoną kartkę z tylnej kieszeni dżinsów. - To dla ciebie. Lista pytań, które powinnaś mu zadać. Musimy się dowiedzieć paru rzeczy, zanim pogadamy z jego bratem.
- Jeśli go złapiecie.
- Złapiemy. - Powiedział to bez najmniejszej wątpliwości. Ale przecież wydawał się też bardzo pewny siebie, kiedy mnie aresztował. Zaczęłam się zastanawiać, czy Vickers i jego ekipa wiedzą, co robią.
- Przeczytaj to - polecił Blake, wskazując głową kartkę. Leżała przede mną, nadal złożona. - Trzeba skądś zacząć. Nie musisz zadawać pytań w tej kolejności, ale postaraj się otrzymać odpowiedzi, których potrzebujemy.
- Postaram się - powiedziałam, nagle stremowana. Zauważył to i uśmiechnął się do mnie.
- Świetnie sobie poradzisz. Tylko się nie spiesz i nie dener-

272

wuj. Będziemy przy tobie, ale nie zamierzamy się wtrącać, chyba że znajdziesz się w kłopotach.

- To tylko rozmowa.
  - Zdziwiłabyś się, jak łatwo zapomnieć najważniejsze pytania, kiedy przyjdzie co do czego. Tutaj wydaje się to łatwe, ale w trakcie rozmowy łatwo zboczyć z kursu.
  - Rozumiem.
  - Proszę. - Podał mi długopis. - Możesz robić notatki. Zdjęłam obsadkę i rozłożyłam kartkę. Lista była krótsza, niż oczekiwałam. Skąd Paul zna Jenny. Skąd pomysł, żeby ją wykorzystać. Kto na niego wpadł. Jaki związek miał Paul z tą sprawą. Dlaczego się nie sprzeciwił.
  - To nie fair - powiedziałam, wskazując ostatnie pytanie. - To tylko dziecko, zupełnie zależne od brata. Co miał zrobić? Zadzwoń na policję?
- Blake westchnął.
- Jeśli ci powie, że za bardzo się bał albo że mu grozili, to będzie świadczyć na jego korzyść. Masz rację, prawdopodobnie nie miał wyjścia, ale musimy to wiedzieć, zanim porozmawiamy z jego bratem.
  - Dobrze.
  - Jeśli ci się uda, dowiedz się też, w jaki sposób przekonał Jennifer, żeby zachowała tę sprawę w tajemnicy. Grozili jej? Przekupywali prezentami? Nie znaleźliśmy w domu Shepherdów nic szczególnego - żadnych sprzętów elektronicznych, których rodzice by sami nie kupili, żadnej biżuterii. W organizmie dziewczynki nie odkryliśmy śladów narkotyków. - Chyba spojrzałam

na niego ze zdziwieniem, bo wyjaśnił: - Kiedy się uzależnią, zrobią wszystko za działkę.

Wzdrygnęłam się, choć w stołówce było duszno.

- Może dawali jej coś, na co nie macie testów.

- Mało prawdopodobne - oznajmił zwięźle Blake. - Musieli znaleźć coś, dla czego wracała i siedziała cicho. Musimy wiedzieć co. - Zamieszał herbatę. - Chcemy także spytać o innych gwałci cieli. Musimy jak najszybciej ich zidentyfikować. Eksperci pracują

273

nad usunięciem pikselizacji twarzy. Na razie rozpowszechniamy niektóre ich zdjęcia, niezawierające treści erotycznej. Może na którymś posterunku rozpoznają znajomy tatuaż albo znamię, choć nie rozporządzamy wieloma konkretami.

Skinęłam głową. Tutaj nie miałam oporów. Mężczyźni, którzy wykorzystali Jenny, zasługiwali na wszystko, co ich spotka.

Blake chyba dostrzegł coś w moim spojrzeniu, bo wyciągnął rękę i dotknął mojej dłoni.

- Ej, nie daj się w to za bardzo wciągnąć. Wiem, że to trudne.

- Dam sobie radę - powiedziałam, mam nadzieję, że z prze konaniem.

- Tak, tak, może ci się tak wydawać. Ale prosimy cię o coś, czego cię nie uczono, a to wielka odpowiedzialność. Powiedziałem szefowi, że według mnie to zły pomysł.

- Dlaczego? Myślisz, że nie potrafię zadać paru pytań?

Pokręcił głową.

- Chodzi mi raczej o odpowiedzi, które mogą ci sprawić przy krość. Musisz się na to przygotować.

- Widziałam i słyszałam dziś całkiem sporo - oznajmiłam spokojnie, mimowolnie przypominając sobie lśniąca fotografie, które Grange z taką satysfakcją mi pokazywał.

- Tak, ale nie musiałaś zachować spokoju. Nie musiałaś zada wać pytań. Nie prowadziłaś rozmowy, która zmierza donikąd.

- Wyprostował się i przeciągnął. - Może myślisz, że Paul opowie ci wszystko, włącznie z tym, że jego brat zabił Jennifer Shepherd, ale muszę cię ostrzec, że najprawdopodobniej nic z niego nie wyciągniesz. On nie ma powodu ci ufać. Ma cholernie dużo do stracenia, jeśli będzie z tobą szczery. Nie budzisz lęku - i nie ma potrzeby tak na mnie patrzeć, nie umieram ze strachu. Nie bierz tego do siebie. Po prostu możesz nie usłyszeć tego, czego się spodziewasz.

Miał rację, ale po diabła mi mówił, że i tak mi się nie uda?

- To co, wracamy?

Spojrzał na zegarek.

- Tak. Dopij kawę.

274

Zmierzyłam nieufnym spojrzeniem te pół kubka, które mi zostało. Zimna kawa wyglądała jeszcze mniej apetycznie niż świeżo zaparzona - o ile można tak określić to, co z nią zrobiono.

- Dzięki, ale nie.

- Wcale się nie dziwię.

W drodze powrotnej nie odzywaliśmy się do siebie. Winda dotarła na czwarte piętro i Blake ruszył na oddział pediatryczny, a ja powlokłam się za nim, ucząc się pytań na pamięć. Na plecach i w czubkach palców czułam mrowienie. Słowa tańczyły mi przed oczami. Mimo woli zwolniłam jeszcze bardziej. Przed drzwiami pokoju Paula stanęłam, usiłując wyrównać oddech. Blake obejrzał się przez ramię.

- Chodź. Szybciej zaczniesz, szybciej skończysz.

- Tylko się... przygotuję.

- No wejź - powiedział cicho i otworzył drzwi. Nabrałam tchu, jak przed skokiem na głęboką wodę, i weszłam.

-

1998

Pięć lat i siedem miesięcy od zaginięcia

O

ojciec się spóźnia. Bardzo się spóźnia. Leżę na łóżku, tuląc pluszową świnkę, i patrzę z niepokojem na zegarek na szafce. Już prawie jedenasta, a on nie dzwonił. To do niego niepodobne. Za każdym razem, gdy koło naszego domu przejeżdża samochód - czyli niezbyt często - wstaję i sprawdzam, czy to nie on. Nie wiem, dlaczego się tak przejmuję. Odwiedza mnie co dwa tygodnie i co dwa tygodnie dzieje się to samo.

Ojciec przyjeżdża z Bristolu w piątek wieczorem, czeka na dworze w samochodzie, bo mama nie wpuszcza go do domu. Dwie następne noce spędzi w hotelu. W sobotę wyjdziemy razem, żeby zrobić coś w założeniu przyjemnego, na przykład wyprawimy się na wieś lub do parku safari lub zwiedzimy zabytkową rezydencję - coś nudnego, na co nigdy bym się nie zgodziła, gdyby nie chodziło o tatę.

Tata pokazuje mi zdjęcia swojego mieszkania w Bristolu, pokoju, który przeznaczył dla mnie, z szafką, która czeka na moje ubrania. Nigdy tam nie byłam. Mama nie pozwala mi jechać. Dlatego tata przyjeżdża co dwa tygodnie, z tą miną zbitego psa, jakby wiedział, że to za mało, ale ma nadzieję, że mi to nie przeszkadza.

Przeszkadza. I jestem już tak duża, że to okazuję.

276

Ostatnio zastanawiam się, czy mu nie powiedzieć, żeby się nie fatygował co dwa tygodnie - wystarczy raz na miesiąc. Ale wiem, że to wiele dla niego znaczy.

A może nie? Kładę się na plecach i przyglądam się cieniom, które drzewa rzucają na sufit. Będę musiała zasłonić okno, zanim pójdę spać. Tata nie przyjedzie. Może ma już dość tych długich podróży, żeby spędzić dwie noce w byle jakim hotelu, choć w ten weekend wypadają moje urodziny. A może już mnie nie kocha.

Łzy spływają mi po skroniach we włosy. Po chwili zapominam

O wszystkim, zajęta łzami. Usiłuję sprawić, żeby spływały równo po obu stronach. Z jakiegoś powodu prawe oko produkuje więcej

łez niż lewe. Na sekundę zapominam, dlaczego płaczę - a potem wszystko wraca. Przecież to głupie. Tata wcale mnie nie obchodzi. I zaraz mam dowód, że sama się oszukuję. Przed domem zatrzymuje się samochód, a ja zrywam się z łóżka i dopadam okna. Ale to nie zdezelowany rover taty. To radiowóz. Stoję przy oknie jak skamieniała, patrząc, jak policjanci wysiadają, wkładają czapki

I powoli ruszają podjazdem. Nie spieszą się i to mnie martwi. Policjanci znikają na ganku. Wychodzę z pokoju i siadam na szczycie schodów. Nikt mnie tu nie widzi, ale słyszę wszystko. Mama otwiera drzwi i od progu mówi:

- Charlie!

Głupia. Oni nie przyszli w sprawie Charliego. Nawet ja to wiem.

Mru, mru, mru. Pani Barnes. Mru, mru, mru, mru. Pan Barnes jechał autostradą. Bardzo ciemno. Mru, mru. Kierowca ciężarówki nie mógł go ominąć.

- Nie miał czasu się ratować - słyszę nagle całkiem wyraźnie głos policjanta.

Niestety, wszystko rozumiem. Nie chcę wiedzieć, co mówią, ale wiem. Nie na to czekałam. Nie tak to miało wyglądać. Stopy mam bose, bardzo zmarzły w tę lutową noc, zwłaszcza że drzwi frontowe są szeroko otwarte. Ściskam je ze wszystkich sił, podkulam palce i usiłuję siłą woli wygnać stąd policjantów, niech się wynoszą z domu, do samochodu, jakbym mogła cofnąć czas. Cofam

277

i cofam do ostatniej wizyty taty, jeszcze wcześniej, do czasów sprzed jego odejścia. To wszystko się nie zdarzyło. To wszystko nie dzieje się naprawdę. Jeszcze jest czas wszystko zmienić, żeby się ułożyło. Jeszcze jest czas, żeby wszystko było dobrze.

## Rozdział 15

T.

ym razem w szpitalnej salce działał telewizor, a Paul siedział na łóżku, oparty o poduszki, i skakał po kanałach z szybkością światła. Nie oderwał wzroku od ekranu, kiedy w ślad za mną wszedł Blake. Zatrzymałam się u stóp łóżka i spojrzałam pytająco na Vickersa, który siedział zgarbiony na krześle, wyglądając jak ktoś, kto dotarł do kresu cierpliwości.

- Zjedliśmy trochę - oznajmił, kiwnięciem głowy wskazując, że mówi o Paulu. - Ale nie mieliśmy ochoty rozmawiać.

Paulowi drgnęły powieki, lecz nadal wpatrywał się w telewizor. W szpitalu mieli tylko pięć kanałów, a na nich absolutnie nic do oglądania, ale to go nie zniechęciło. Na jednym kanale zaczęły się wiadomości; wzdrygnęłam się, gdy na ekranie pojawiła się kolejna reporterka na tle ulicy, relacjonująca krajowi najnowsze wiadomości z polowania na mordercę Jenny. Paul nie zareagował, dalej zmieniał programy. Doszłam do wniosku, że tak naprawdę niczego nie widzi, że skakanie po kanałach to gra na zwłokę. Paul, z którym spotkałam się w piątek - czy to naprawdę wydarzyło się zaledwie wczoraj? - nie był bezmyślny. Głupie zmienianie kanałów to tylko zasłona dymna.

Oczy miał czerwone, podpuchnięte, podbite sińcami, a teraz, kiedy siedział, dostrzegłam ślad na jego szyi - czerwoną pręgę, biegnącą tuż pod szczęką i sięgającą do ucha. To był konkret, nie wołanie o pomoc. Gdyby użył innej liny... gdyby policja przyjechała później... nie mogłam znieść tej myśli.

Ktoś trącił mnie w plecy. Blake marszczył znacząco brwi.

- Dobra, dobra - powiedziałam bezgłośnie.

279

Obeszłam powoli tóżko, żeby stanąć między łóżkiem a telewizorem.

- Cześć, Paul. Miło cię znowu zobaczyć. Jak się czujesz?

Patrzył na mnie przez chwilę i spuścił wzrok.

- Nie ma dość krzesel, więc czy mogłabym usiąść na łóżku?

I wyłączył telewizor, żebyśmy mogli porozmawiać?

Wzruszył ramionami. Usiadłam, wyjęłam mu z ręki pilota i wyłączyłam telewizor.

Zrobiło się bardzo cicho. Przez chwilę słuchałam świszczącego oddechu Paula.

Sądząc po prędze na szyi, gardło musiało go bardzo boleć.

- Chcesz się napić?

- Tak - wychrypiał. Nalałam mu szklanek wody z dzbanka na szafce przy łóżku. Pociągnął łyk i odstawił szklanek.

- Paul, policjanci mnie poprosili, żebym z tobą porozmawiała, bo uważają, że zechcesz mi odpowiedzieć na pytania.

Podniósł głowę i znowu ją opuścił bez słowa.

- Pewnie myślisz, że masz kłopoty, ale wszystko się ułoży - powiedziałam pewnym głosem, z całą świadomością, że go okłamuję. - Musimy się dowiedzieć, co się stało. Proszę, powiedz mi prawdę... jeśli możesz. Jeśli na jakieś pytanie nie będziesz chciał odpowiedzieć, tylko powiedz, a przejdę do następnego, dobrze?

Blake chyba chciał zaprotestować, ale Vickers uniósł karcąco rękę i skinął głową, kiedy na niego spojrzałam. Zamierzałam zadać Paulowi te pytania, ale nie wbrew jego woli. I wiedziałam równie dobrze jak Vickers, że pytania, na które nie odpowie, wyjawiają nam najwięcej.

Paul milczał. Nachyliłam się ku niemu.

- Może być?

Skinął głową.

- Dobrze. - Nie musiałam spoglądać na kartkę, żeby zadać pierwsze pytanie. - Jak ty i twój brat poznaliście Jenny?

- Już ci mówiłem. - Paul mówił wyraźnie, powoli, urywając każde słowo, jakby ucinął je nożem. Na twarz wystąpił mu rumieniec. Zrozumiałam, że go rozdrażniłam.

280

- Wiem - powiedziałam kojąco. - Pamiętam, ale ci policjanci o tym nie wiedzą. Chcą to usłyszeć od ciebie.

- W szkole - burknął wreszcie Paul.



- Podstawowej - uściśliłam.

- Tak. Była moją koleżanką. Pomagałem jej w matmie, a ona...  
była dla mnie miła.

- A mieliście ze sobą kontakt, kiedy poszła do innej szkoły?

Wzruszył ramionami

-Wiedziała, gdzie mieszkam. Mówiliśmy o tym, bo tylko my w klasie mieszkaliśmy na tym osiedlu. Pewnego dnia ktoś zapukał do drzwi i to była ona. Miała kłopot z geometrią, po prostu tego nie kumała. Spytała, czy nie mógłbym jej pomóc.

-I pomogłeś.

- No - burknął. Nawet biorąc poprawkę na to, że miał zachrypnięty głos, wydawał się zdenerwowany.

- Więc spotykałeś się z Jenny w domu. A jej rodzice o tym nie wiedzieli.

- Jej tata mnie nie lubił. Nazwał mnie grubą pokraką. - Przez chwilę w oczach Paula błysnęły łzy. Zamrugał powiekami i pociągnął nosem.

- To jak jej się udawało z tobą spotykać?

- Mówiła im, że idzie do koleżanki. W pobliżu mieszkała taka dziewczynka i Jenny niby to jeździła do niej rowerem. Miała komórkę... Tata kazał jej ją nosić, żeby zawsze wiedzieć, gdzie jest, a ona go przez tę komórkę okłamywała. - Paul roześmiał się cicho. - Pytała, czy rodzice chcą porozmawiać z mamą przyjaciółki, a ja siedziałem obok i srałem po nogach. Taka była, zawsze się śmiała, zawsze się bawiła.

Skinęłam głową i spojrzałam na listę pytań. Z trudem zmusiłam się do wypowiedzenia tych słów, ale nie mogłam ich dłużej unikać.

-Wiesz, że policja znalazła w twoim domu... różne rzeczy. Zdjęcia. Filmy. Z Jenny. Czy... czy byłeś... czy w ogóle o tym myślałeś?

Pokręcił głową, aż zadrżały mu policzki.

281

- Nie. To była ich sprawa. Jego i jej.

- Kogo?

- Danny'ego. Powiedziałem mu, że tak nie można. Nie powinien z nią zaczynać, nieważne, co mówiła. Jest dla niej za stary.

- Paul usiłował się podnieść, wierzgnął bezradnie nogami. Wstałam szybko, żeby mnie nie kopnął.

- W porządku, uspokój się. Napij się wody.

Odetchnął parę razy głęboko, drżąc i posłusznie wypił. Przelykał głośno. Poza tym w pokoju panowała zupełna cisza. Czułam, jak policjanci ponagłają mnie w myślach, żebym drażyła dalej.

- Coś musiało się w końcu stać - powiedziałam cicho, znowu siadając - bo Jenny była z twoim bratem, prawda?

- Nie wiem - mruknął Paul. Twarz miał całkiem czerwoną.

- Bała się go? - spytałam jak najłagodniej. - Dlatego ciągle

wracała? Groził jej?

- A w życiu! To nie tak. Ona... ona go lubiła.

- Uważała, że są parą.

- Pewnie tak. Głupio, bo on jest dużo starszy. - Paul westchnął.

- Danny się nią nie interesował. Nie tak naprawdę. A ona... uwielbiała z nim być. Zrobiłaby dla niego wszystko.

To "wszystko" oznaczało otchłań poniżenia. W ustach mi wyschło; usiłowałam się skupić na czekającym mnie zadaniu. Blake uważał, że sobie z tym nie poradzę. Nie chciałam mu przyznawać racji. Parę sekund poświęciłam na głębokie oddychanie, czekając, aż przestanę widzieć to, co widziałam. Potem zaczęłam znowu.

- To ty wpadłeś na pomysł, żeby sprzedawać jej zdjęcia i filmy przez internet?

Paul znowu pokręcił głową i wzruszył ramionami.

- No, w sumie... Danny na to wpadł, ale ja musiałem dojść, jak to zrobić, jak ukryć nasz adres IP, znaleźć strony, na których można umieścić zdjęcia, stworzyć własne strony internetowe.

- Mimo wszystko wydawał się dumny ze swojego osiągnięcia. - Zarabiamy niezłe pieniądze. Ludzie z całego świata kupują nasz towar.

282

Nie mogłam tego dłużej znieść.

- Ale Jenny cierpiała, żebyście mogli mieć te zdjęcia.

- Coś ty! - rzucił Paul, marszcząc nos.

- Nie, nie "coś ty". Mówisz o tym, jakby to był legalny interes, ale Jenny została skrzywdzona. Nie mów, że o tym nie wiedziałeś.

Poruszył się nerwowo.

- Naprawdę nie wiedziałem o wielu rzeczach. Danny kazał mi siedzieć w pokoju, kiedy... wiesz.

Domyślałam się.

- Poznałeś innych mężczyzn, którzy przychodzili do domu?

- Nie. Musiałem siedzieć w swoim pokoju.

- Wiesz, co robili w twoim domu?

- Brzmiało jak impreza. - Paul z całą pewnością wyglądał na skrepowanego. Pomyślałam o tym, co mógł słyszeć. I co zrobił Danny, żeby przekonać swoją "dziewczynę" do oddania się tym mężczyznom. I czy czasem krzyczała.

- Nie widziałeś, jak robiono te zdjęcia i filmy. A potem je oglądałeś?

- Nie. - Oczywiście kłamał. Uszy mu płonęły, nie patrzył mi w oczy. - Danny powiedział, że to przerwie, jeśli mnie przyłapie na podglądaniu. Powiedział, że mnie spierze do nieprzytomności. Miałem tylko wszystko przygotować, a on zajmował się ładowaniem materiału do internetu.

- Uderzył cię kiedyś? - Głupia byłam, ale miałam nadzieję, że potwierdzi. Krzywdzony Paul miałby powód uczestniczyć w tym procederze.

- Skąd. Tylko tak gadał. Obedrę cię ze skóry, rozwałę mu łeb, głowę jej urwę, pieprzę to, pieprzę tamto... - Paul prychnął śmiechem. - Zawsze na coś pyskował. A ja go olewałem.

- Powiedziałaś, że chciał to przerwać, jeśli spojrzysz na zdjęcia. Nie chciałaś, żeby przerwał?

-W życiu. To było fajne. Jenny zawsze siedziała u nas. Przeważnie była szczęśliwa. Czasem ryczała, ale dziewczyny tak mają, nie? A Danny był zadowolony, że lepiej nam się wiedzie.

283

Ja też się na coś przydawałem. Fajnie było zarabiać. Chciałem to zrobić, dla Danny'ego. Odkaszlnęłam.

- A czy Jenny dostawała pieniądze za udział?

- Nie sądzę - rzucił nieuważnie. - Chyba niczego nie chciała.

Musiałyby ukrywać je przed rodzicami, a to za dużo kłopotu.

Chciała tylko być z Dannym.

Biedna, głupia Jenny, zauroczona mężczyzną, który zamierzał ją wykorzystać, żeby się obłowić. Źle, że poznała kogoś takiego w tak młodym wieku. Jeszcze gorzej, że Danny był ładnym chłopcem o wielkich oczach i delikatnych rysach, które podobały się nastolatkom. A najgorzej, że był zdolny zabić ją natychmiast, gdy przestała być potrzebna.

- Opowiedz, jak umarła. - Głos miałam spokojny, jakby pytanie nie było szczególnie ważne, ale dłonie mi się pocily. Nieustannie wycierałam je w pościel.

Paul zmarszczył brwi.

- Nic o tym nie wiem. Naprawdę. Już ci mówiłem, kiedy przy szłaś.

Skinęłam głową. Fakt. O ile potrafiłam się zorientować, mówił prawdę. Danny zdołał zabić Jenny i pozbyć się jej ciała bez wiedzy Paula. Nawet on uważał, że o pewnych rzeczach jego brat nie powinien wiedzieć.

- Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Paul zastanowił się przez chwilę.

- Jakoś w połowie zeszłego tygodnia, po szkole. Zamknęła się w salonie z Dannym, ale nie na długo. Wybiegła. Nawet się ze mną nie pożegnała. Coś ją zdenerwowało. Danny nie wiedział co.

Miałam stuprocentową pewność, że Danny Keane dokładnie wiedział, o co chodziło. Jenny, przerażona i zagubiona, idzie do ukochanego, żeby mu powiedzieć o ciąży, a Danny panikuje. Nie mógł pozwolić, żeby powiedziała o tym rodzicom. Może nie zgodziła się na aborcję. Może nawet jej tego nie zaproponował. Najłatwiej było zabić oboje za jednym zamachem i raz na zawsze pozbyć się problemu. Ale problem nie zniknął.

- A jak zachowywał się Danny potem... Od tamtego czasu?

- Raz lepiej, raz gorzej. Strasznie go rąbnęło, kiedy się dowiedział, że Jenny... wiesz. Przyszedł do domu, kłął okropnie, włączył kanał informacyjny i oglądał godzinami. Nie mógł uwierzyć, że umarła.

Albo miał wyrzuty sumienia. Albo przeżywał podniecenie śmiercią Jeany pod wpływem oglądanych na okrągło wiadomości. Albo sprawdzał, czy policja trafi na jego trop.

Paul mówił dalej, dziecinnie szczerzy.

- Ale go ruszyło, nawet trochę się popłakał, kiedy pokazali jej zdjęcie. Przy pierwszym raporcie myślałem, że zeświruje. Tak kopnął krzesło, że wyłamał mu nogę... wiesz które, pokazywałem.

Pamiętałam. Wyobraziałam sobie Danny'ego, jak siedzi przy stole i nagle podrywa się z gniewem i strachem - gniewem, że znaleziono ciało, strachem, że zostanie złapany. Nie tak zaplanował.

Nie wiem, jaką miałam minę, ale Paul spojrzał na mnie z niepokojem.

- Wierzysz mi, co? Naprawdę się wkurzył. To był koniec wszystkiego. Wszystkiego, na co pracował.

- To, na co pracował, było nielegalne. To, na co pracował, skrzywdziło twoją koleżankę.

- Nic jej nie było - powiedział naburmuszony. - Chciała pomóc. Sama do nas przychodziła.

- Bardzo trudno mi w to uwierzyć - sprzeciwiłam się, nie dbając o to, że mówię napastliwie. - Skoro interes był taki dobry, pewnie bez trudu znaleźlibyście nową dziewczynę. Danny by kogoś zaangażował.

- No tak, ale ona była idealna. Wyglądała jak trzeba i znała cię.

Gdzie by znalazł taką drugą?

Drgnęłam.

- Jak to? Dlaczego miałyby mnie znać?

- Danny ma jakąś obsesję na twoim tle - oznajmił Paul bez troski. - Kazał Jenny nosić rozpuszczone włosy, bo ty tak wyglądałaś w jej wieku. Kazał jej się ubierać jak ty. W to, co zapaśniała, bluzki i tak dalej. Kupował jej ubrania, dawał prezenty

285

i kazał się tak ubierać, kiedy u nas była. Nie zabierała ich do siebie, żeby rodzice się nie kapnęli. Nie wiedziała, że to przez ciebie. Ale on zawsze kazał jej opowiadać o tobie... co mówiłaś w szkole, w jakim byłaś nastroju. Nigdy nie miał dość. Strasznie ją to złościło.

- Dlaczego? - spytałam z pewnym trudem. - Dlaczego twój brat o mnie pytał? Nie rozmawialiśmy od lat. Nawet mnie nie zna.

- Oj, zna, zna - oznajmił Paul bez wahania. - Obserwował cię.

Kiedy wychodzisz, kiedy wracasz, czy wszystko z tobą dobrze.

Chciał wiedzieć o wszystkim. - Nagle się zarumienił. - Powiedział, że zakochał się w tobie - rzekł cicho, ochryple.

Przez chwilę wydawało mi się, że się przesłyszałam. Obejrzałam się na policjantów. Vickers skinął głową, zachęcając, żebym ciągnęła tę rozmowę dalej. Blake uniósł brwi. Czyli też to słyszeli.

- To niemożliwe - oznajmiłam sucho, odwracając się do Paula.

- Nie można kochać kogoś, kogo się nie zna.

- On cię zna - oznajmił Paul bez wahania. - Kocha cię od lat.

Przypomniałam sobie coś.

- W salonie stoi biblioteczka, prawda? A na półkach mnóstwo rzeczy - przypadkowych, jak klucze, długopisy, stare pocztówki... po prostu śmieci. Rzeczy, których nie przechowuje się w biblioteczce.

Paul skinął głową.

- Danny mówi, że to kolekcja trofeów. To dla niego bardzo ważne. Trzyma te rzeczy akurat tam, bo nie wolno mi tam wchodzić, a podejrzewa, że mu je zepsuję czy coś. Ale kiedy jest w pracy, oglądam je i nigdy nic nie zepsułem.

- Paul, sporo tych rzeczy należy do mnie. Wiesz, jak się tam znalazły?

- Jenny je przyniosła - oznajmił Paul rzeczowo. - W szkole brała, co się dało, z twojego biurka albo z torby. Starła się przychodzić przed wszystkimi i szukała czegoś dla Danny'ego.

Przypomniałam sobie, jak podczas przerwy obiadowej wróciłam do sali i zastałam w niej Jenny, pół godziny przed zajęciami. Zazartowałam wtedy, uświadomiłam sobie i poczułam w ustach

286

gorycz. Myślałam, że tak jej zależy na angielskim, tak chce się uczyć. Myślałam, że lubi moje zajęcia. Kolejna pomyłka. Milczałam. Paul westchnął.

- Porąbane, nie? Wszyscy chcemy coś zrobić dla innych. Jenny kręciła te filmy i kradła, bo chciała się przysłużyć Danny'emu.

Ja brałem w tym udział, bo mogłem ją ciągle widywać. Dla mnie by nie przyszła. Gdyby nie Danny, nawet by na mnie nie spojrzała. Choć nie przychodziła dla mnie, to jakoś nie miało znaczenia.

- Przychodziła dla Danny'ego, a ty mu pomagałeś ze względu na nią.

- Zrobiłaby dla niego wszystko. A ja bym zrobił wszystko dla niej. I wiem, że tego nie rozumiesz, ale Danny... Danny zrobiłby wszystko, żeby się tobie przypodobać. Te pieniądze, które zarobiliśmy, odkładał, żeby kupić dom. I przyzwoity samochód. Chciał cię zaprosić na randkę. Tylko o tobie mówił.

Nikt się nie odezwał. Nagle stało się dla mnie jasne, dlaczego Paul tak bardzo chciał mi pomóc, dlaczego mi zaufał na tyle, żeby porozmawiać ze mną o tym, co zrobił

jego brat. Danny chciałby mnie obronić... znowu, pomyślałam z drzeniem, wypędzając to wspomnienie w najgłębsze zakamarki umysłu. Paul pomagał swojemu bratu - jak zwykle. Nie wiem, dlaczego w szpitalach zawsze jest tak gorąco. W pokoju można by zawiesić siekierę. Nagle zaczęłam się dusić.

W tej samej chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Blake podbiegł i otworzył je, po czym poszeptał z kimś przez szczelinę. Zauważyłam potężną głowę; mój stary znajomy sprzed separatki Geoffa. Na myśl o Geoffie poczułam lekkie wyrzuty sumienia. Prawie o nim zapomniałam. Oczywiście miałam własne kłopoty.

Paul znowu oparł się o poduszki i wyjrzał przez okno. Vickers wstał i powoli, z roztargnieniem zaczął poprawiać pasek u spodni. Nasłuchiwał rozmowy przy drzwiach, prawdopodobnie zapomniał o mojej obecności. Kobieta z opieki społecznej nadal siedziała z tą samą dobrotliwą miną. Całkiem jakby nie słyszała wyznania Paula. Jak można siedzieć i słuchać tej relacji, zwykłych i strasznych szczegółów przestępstwa, niczego nie czując? W przypadku

287

osoby z opieki społecznej najstosowniejszą reakcją byłoby oburzenie. Ostatecznie mógłby być chociaż jakiś objaw przytomności. Blake zamknął drzwi i zwrócił się do Vickersa, jakby w pokoju nie było nikogo innego.

- Jest.

Vickers wydał basowy pomruk satysfakcji jak wielki kocur mruczący nad osaczoną ofiarą. Odwrócił się do Paula.

- Damy ci spokój, młodzieńcze. Wracaj do zdrowia i o nic się nie martw.

Powiedział to życzliwie, ale Paul odpowiedział mu zimnym spojrzeniem. Zamknął oczy, odcinając się od reszty świata. Mimo woli poczułam, że Vickers się myli - Paul miał wszelkie powody, by się martwić. Czy postawią go przed sądem? Czy też wezmą pod uwagę jego wiek i współpracę i tylko przydzielą mu kuratora? Paul nie miał żadnego opiekuna. Został sam, na dobre i na złe.

Widząc, że chcą mnie zostawić, poderwałam się i pobiegłam za Vickersem, który wraz z Blakiem wyszedł z pokoju.

Zanim ich dogoniłam, stanęli we trójkę na korytarzu. Delikatnie zamknęłam ciężkie drzwi i zaczekałam, aż skończą rozmawiać. Osilek słuchał instrukcji, kiwając głową ze skupieniem. Vickers mówił tak cicho, że nic nie słyszałam. Po paru minutach osilek zostawił ich i przeszedł obok mnie, mamrocząc "przepraszam". Zniknął w pokoju Paula. Zmiana warty, domyśliłam się. To oznaczało, że Vickers i Blake chcą się przenieść w ciekawsze miejsce.

- Znaleźliście go?

Odwrócili się zaskoczeni. Blake zerknął na Vickersa, który skinął głową.

- Godzinę temu aresztowano Daniela Keane'a na dworcu autobusowym. Akurat wsiadał do autobusu do Amsterdamu. W tej chwili go tu wiozą, więc wracamy na posterunek.

- Świetnie - powiedziałam szczerze. - Pozdrówcie go ode mnie, dobrze?

- O, na pewno go o ciebie pytamy, nie ma obawy. Musi nam

wiele wytłumaczyć.

288

Vickers się niecierpliwił.

- Musimy iść. Przepraszam, ale cię zostawimy.

- Jasne, rozumiem.

- Dasz radę wrócić do domu? - spytał Blake. - W recepcji wezwą ci taksówkę.

- Nie martwcie się o mnie. Wstąpię jeszcze do Geoffa.

Obaj skamienieli. Przeniosłam wzrok z jednego na drugiego - mieli identyczne miny. - Co?

- Saro... - zaczął Blake, ale Vickers wpadł mu w słowo.

- Niestety, on już odszedł.

- Odszedł? - powtórzyłam głupio, mając nadzieję, że źle zrozumiałam.

- Umarł tuż po czternastej - powiedział łagodnie. - Nie odzyskał przytomności.

-Ale... ale przecież lekarze byli dobrej myśli...

- Miał rozległy wylew krwi do mózgu spowodowany uszkodzeniami głowy, do których doszło w wyniku ataku. - Blake recytował jak z książki. - Byli bezradni. Przykro mi.

- To już dwoje - szepnęłam.

- Słucham?

- Jenny i Geoff. Nie powinni umrzeć. Nie zasłużyli na to, co ich spotkało. - Mój głos wydał mi się obcy, martwy, suchy. - On musi za to odpowiedzieć.

- Odpowie - powiedział Blake z przekonaniem.

- Posiedź trochę - zaproponował Vickers. - Nie spiesz się, a potem wróć do domu i odpocznij. Czy mamy do kogoś zadzwonić?

Pokręciłam głową.

Vickers sięgnął po gruby portfel z brązowej skóry, błyszczący jak kasztan od lat używania, i wyjął z niego wizytówkę.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebować, tu jest mój numer. W razie potrzeby zadzwoń.

- Dziękuję.

- Mówię serio. - Poklepał mnie po ramieniu.

289

- Jasne. - Schowałam wizytówkę do torebki. - Nie martwcie się o mnie. Dam sobie radę.

- Pięknie - pochwalił Vickers. - Ale będziemy w kontakcie.

Damy ci znać, co powiedział.

Zdobyłam się na półśmiech, który chyba ich uspokoił. Ruszyli szybkim krokiem do wind. Stałam na środku korytarza, mnąc w palcach rączkę torebki, aż w końcu mała

dziewczynka w pizamie poprosiła, żebym się odsunęła. Odskokczyłam i odprowadziłam ją wzrokiem; odeszła, ciągnąc za sobą kroplówkę na stojaku wyższym od niej. Szła zdecydowanie, dążyła do konkretnego celu. Oparłam się o ścianę, wyzuta z energii. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak bezużyteczna. Korytarz nie nadawał się do długich postojów. Kiedy po raz trzeci musiałam komuś ustąpić z drogi, powlokłam się do drzwi z napisem "Wyjście". Otworzyłam je i dotarłam po schodach na parter, z trudem powłócząc nogami i przytrzymując się poręczy. Znalazłam uchylone drzwi i wyszłam na placyk z kilkoma ogrodowymi ławkami. Wyglądało na to, że to palarnia dla pacjentów. Do krańców ławek przybito metalowe pojemniki; w jednym piętrzyła się góra niedopałków, a w powietrzu unosił się gryzący zapach dymu. Placyk był pusty, temperatura spadła o jakieś dwa stopnie poniżej poziomu komfortu. Usiadłam na ławce najbliżej drzwi i zaplotłam ramiona na piersi, dygocząc, choć nie miało to nic wspólnego z chłodem. Za dużo tego. To zdanie tłukło mi się w głowie raz po raz. Za dużo. Za dużo cierpienia. Za dużo tajemnic. Nie mogłam nawet określić, co poczułam na wieść o śmierci Geoffa. Tylko dlatego, że nie chciał przyjąć do wiadomości odmowy, stanął na drodze huraganu. Przerośnięte ego doprowadziło go do zderzenia z człowiekiem owładniętym prawdziwą obsesją, który nie pozwolił, żeby coś stało między nim a tym, czego pragnął. A Danny Keane najwyraźniej pragnął mnie. Podciągnęłam kolana pod brodę i otoczyłam je rękami, oparłam na nich głowę. To nie moja wina. Ja tego nie sprowokowałam. Nie byłam nikim wyjątkowym, nikim szczególnym. Danny wyobraził

290

sobie kogoś, kim nie byłam, wymyślił sobie mnie. A ja byłam całkiem przeciętna. Wyróżniało mnie jedynie poczucie winy, które przyszpiliło mnie do mojego nudnego życia jak kolekcjoner motyla. Ale przeze mnie Danny Keane zostawił zakrwawione odciski palców na życiu różnych ludzi - Shepherdów, rodziny Geoffa, biednego grubego Paula. Wbiłam paznokcie w ramię. Byłam ofiarą, tak jak inne, po których trofea Danny Keane przechowywał na półkach. Tego sobie nie życzyłam.

- Mam nadzieję, że stłuką cię na kwaśne jabłko - powiedziałam na głos, wyobrażając sobie twarz Danny'ego, jego lśniące oczy, wyraźne kości policzkowe, na których widok nastolatki mdlały z zachwyty. Ale coś mnie rozpraszało. Coś drążyło moją podświa domość. Skupiłam się, szukając tego czegoś, przetrząsnęłam myśli dopraszające się mojej uwagi. O co chodzi? Coś ważnego... coś, co widziałam...

Trofea.

Nagle zrozumiałam. Z łomotem serca, drżącymi rękami zaczęłam grzebać w torebce, szukając telefonu, rozgarnęłam zaścielające ją strzępki papieru, szukając cholernej wizytówki Vickersa - gdzie ona się podziała? To nie to... Po co targam ze sobą te śmieci? Rachunki... listy zakupów... może zostawiłam ją na górze w szpitalu... Jest! Ujęłam kartonik jak bezcenny, kruchy skarb i wybrałam numer komórki, dwa razy sprawdzając cyfry. Usiłowałam się uspokoić. Oczywiście przełączyło mnie na pocztę głosową. Nie zostawiłam wiadomości. Wybrałam numer telefonu stacjonarnego.



Recepcjonistka miała głos jak ktoś, kto dociera do końca długiej zmiany.

- W tej chwili nie może podejść, czy mogę panią przełączyć na jego pocztę głosową?

- Dla mnie podejźcie - oznajmiłam, usiłując nadać mojemu głosowi rozkazujący ton. Lepiej by mi poszło, gdybym zdołała opanować jego drżenie. - Proszę powiedzieć, że musi się o czymś natychmiast dowiedzieć, zanim porozmawia z Dannym Keane'em. Proszę mu powiedzieć, że to bardzo ważne.

291

Usłyszałam stłumione prychnięcie irytacji, a potem instrumentalną, niemelodyjną wersję "Islands In The Stream"; czekałam, tupiąc niecierpliwie stopą. Nie dałabym głowy, że Vickers podejźcie, niezależnie od mojego dramatycznego apelu. Prawie się zdziwiłam, kiedy po drugiej stronie usłyszałam jego głos.

- Tak, słucham?

- Musi go pan spytać o naszyjnik - rzuciłam bez wstępów. - Ten na półce. Paciorki na rzemyku.

- Zaraz - rzucił opryskliwie Vickers. W słuchawce zaszeleściło. Wyobraziłam sobie, że przegląda akta. -Tak, mam zdjęcie. Ten rzemyk leży na górnej półce. Dlaczego jest ważny? Należał do Jenny?

- Nie - powiedziałam ponuro. - Do mojego brata. I nie rozumiem, skąd Danny Keane go ma. Charlie nie zdejmował tego naszyjnika przez całe lato przed swoim zniknięciem. Wchodził w nim nawet pod prysznic. Miał go, zanim zniknął, a przecież ja widziałam go ostatnia.

- Jesteś pewna, że miał go wtedy na szyi?

- Na sto procent. Przekażę mi pan, co powiedział?

- Na sto procent - powtórzył Vickers jak echo i odłożył słuchawkę.

Siedziałam i słuchałam ciszy, bawiąc się telefonem. Sprawy nigdy nie toczyły się tak, jak się spodziewałam. Przez całe lata uważałam, że moja matka niesłusznie sądzi, iż to ja mogę wyjaśnić tajemnicę zniknięcia Charliego. Miałam do niej pretensję za to nierozsądne przekonanie, które zniszczyło nasz związek i spaliło wszystkie mosty między nami. A teraz, choć przyznawałam to z największą niechęcią, zaczęłam podejrzewać, że mama ma rację.

Czułam się wykończona, ale musiałam znaleźć siły, żeby się ruszyć z miejsca. Musiałam wrócić do domu.

1999

Siedem lat od zaginięcia

Pa

ark w nocy wygląda inaczej. Pod drzewami, gdzie nie sięga światło latarni, jest ciemno, a ja widzę tylko czerwony żar papierosa Marka. Nazywa go wisienką. Żar rozbłyskuje i przygasa; widzę część twarzy Marka, zarys policzka, długie rzęsy.

Czasami myślę, że mu się podobam, a innym razem, że nie bardzo. Jest ode mnie starszy o trzy lata. Właśnie dostał prawo jazdy, zdał za pierwszym podejściem. I jest taki przystojny, że dziewczyny się za nim oglądają. W mojej szkole wszystkie mają fioła na jego punkcie.

Rozlega się szelest - stojący obok Marka Stu zmienia pozycję. Przesuwam się, starając się zajmować mniej miejsca. Zaczyna padać deszczyk, więc zbijamy się w ciasną grupkę. Annette wbija mi łokieć w bok, a kiedy śmiejemy się z jakiegoś żartu Stu, Annette trąca mnie mocno. Umyślnie. Ona mnie nie lubi.

- Zagrajmy w butelkę - mówi, podnosząc flaszkę. Łyk wódki, który w niej został, chlupocze.

Opieram się o Marka. Mam nadzieję, że się sprzeciwi. Jest mi niedobrze. Chcę, żeby mnie objął i powiedział coś do mnie tym swoim cichym, zmysłowym głosem. Nie chodzi o to, co mówi, tylko jak się wtedy czuję.

- Jest za ciemno - mówi inna dziewczyna.

293

Dave włącza latarkę. Wszystkie twarze są obrzmiałe od alkoholu, z opadającymi powiekami i wilgotnymi wargami. Nie piłam tak dużo jak reszta i nie chcę się bawić w butelkę, nie z nimi, nie teraz. Już późno, jestem zmęczona i ciągle dotykam kluczy w kieszeni. Chcę wrócić do domu cicho, zanim mama się zorientuje, że mnie nie ma. Nagle podejmuję decyzję. Wstaję. Annette śmieje się głośno.

- Nie masz ochoty?

- Wracam do domu. - Przechodzę nad ich nogami, pochylam się pod gałęziami, docieram na otwartą przestrzeń. Za moimi plecami rozlega się szelest. Mark idzie za mną, opędzając się od kpin. Obejmuje mnie; czuję się ciepło, bezpiecznie, myślę, że Mark odprowadzi mnie do domu - ale on ściąga mnie ze ścieżki w stronę stróżówki, ze dwieście metrów od grupy.

- Nie odchódź - szepcze w moje włosy. - Nie idź.

- Ale chcę. - Odsuwam się, ale on mocno zaciska dłoń na moim ramieniu. - Au! Boli.

- Cicho bądź - mówi i popycha mnie pod ścianę stróżówki. Protestuję, lecz on rzuca mnie na ścianę tak mocno, że uderzam o nią głową. Jego ręce są wszędzie, obmacują mnie, chwytają, badają. Zachłystuję się z przerażenia i bólu, a on śmieje się pod nosem. Nie przestaje, ciągle mnie miętosi, potem słyszę jakiś hałas i widzę Stu, a za nim Dave'a. Oczy mają wielkie, zaciekawione. Przyszli popatrzeć.

- Podoba ci się, nie? - szepcze Mark i chwytą mnie za ramiona, naciska. Osuwam się na kolana i już wiem, już wiem, czego ode mnie chce. Manipuluje przy dzinsach, zdyszany, a ja zamykam oczy. Łzy pieką mnie pod powiekami. Chcę do domu. Boję się zrobić to, czego ode mnie chce, i boję się odmówić.

- Otwórz usta - mówi i uderza mnie w skroń, żebym na niego spojrziała, zobaczyła, co trzyma. - No już, dziwko. Jeśli nie chcesz,

jest mnóstwo dziewczyn, które to robią.

Nie rozumiem, co się dzieje, ale nagle coś błyska, przeświewa mi powieki na czerwono i Dave klnie głosem ciekim i wystraszonym. Tamci dwaj uciekają, ślizgając się na trawie. Rozlega

294

się głuchy odgłos. Mark pochyła się, upada na bok, wierzgając nogami. Podrywam się, mrużąc oczy przed światłem - teraz widzę, że to wąski promień światła latarki, a ten, kto ją trzyma, odwraca ją ode mnie, kieruje na Marka, na jego dolną połowę ciała, spodnie i slipy oplątujące kostki.

- Ty cipo - mówi człowiek z latarką i w pierwszej chwili sądzę, że to do mnie. - Nie mogłeś sobie znaleźć kogoś w swoim wieku?

Tylko do dzieci masz odwagę?

Podchodzi i mocno kopie Marka w udo. Mark jęczy. Światło latarki obraca się i przez chwilę widzę znajomą twarz: Danny Keane, przyjaciel Charliego. Nie rozumiem.

Cofam się o krok, promień dziabie ciemności, znajduje mnie, przesuwają się po mojej bluzce. Dopiero teraz widzę, że jest rozdarta z przodu, chwytam postrzępione połowy i usiłuję się nimi otulić.

Na chwilę zapada cisza. Danny patrzy na mnie, a ja na niego, mrużąc oczy.

- Idź do domu - mówi martwym głosem. - Idź do domu i więcej tego nie rób. Jesteś jeszcze dzieckiem. Bądź dzieckiem, na miłość boską. To nie dla ciebie. Idź do domu.

Odwracam się i uciekam przez trawnik, klucząc, jakby ktoś mnie ścigał. Za moimi plecami rozlega się trzask, jeden i drugi. Muszę spojrzeć, przekonać się, co się dzieje. Danny kuca nad Markiem i powoli, metodycznie wybija mu latarką przednie zęby, a Mark krzyczy wniebogłosy.

Rzucam się do ucieczki. Mark już nigdy się do mnie nie odezwie. A ja do końca życia nie będę mogła spojrzeć Danny'emu Keane'owi w oczy.

## Rozdział 16

N

I nie po raz pierwszy siedziałam obok matki, nie mając bladego pojęcia, o czym myśli. Wydawało mi się, że jest zajęta oglądaniem teleturnieju. Ja nie potrafiłam się zorientować, o co w nim chodzi. Jaskrawe kolory dekoracji, krzyki i oklaski publiczności mnie męczyły. Wolałabym siedzieć w ciszy. W ustach mi wyschło, nieustannie wierciłam palcem w pluszowym oparciu naszej sta-reńskiej sofy. Podwinęłam nogi, żeby nie tupać nimi do taktu bicia serca. Zdrętwiały mi i zaraz będą mrowić. Żołądek mi się skręcił. Nie jadłam od dawna - nie mogłam znieść myśli o jedzeniu. W głowie została mi tylko jedna myśl, tłukła się niemilosiernie raz po raz: Co powiedział?

Telefon zadzwonił dwadzieścia minut wcześniej, po długim dniu oczekiwania.

Vickers bardzo oficjalnie spytał, czy jest moja matka, czy może przyjść i porozmawiać z nami obiema, ponieważ sądzi, że te informacje nas zainteresują.

Omali nie poprosiłam, żeby powiedział mi od razu, ale wiedziałam, że tego nie zrobi.

W jego głosie brzmiała wyłącznie profesjonalna uprzejmość. Z rozmysłem czy nie,

znowu się ode mnie odsunął. Znalazłam się po niewłaściwej stronie barykady między policją a światem cywilów.

Odkładając słuchawkę, uprzedziłam mamę, że w naszym domu zjawi się policja - drugi dzień z rzędu - i że ma to coś wspólnego ze zniknięciem Charliego. Nie zdziwiła się. Żadnego chwytania się za serce, wielkich oczu, skoku ciśnienia. Długo na to czekała. Domyślałam się, że przeżywała w myślach tę chwilę częściej, niż potrafiłam sobie wyobrazić, dlatego nic by jej nie zaskoczyło. Siedziała obok mnie, odległa i niezrozumiała jak gwiazdy. Nie

296

potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, żeby spytać, jak się czuje. Nie mówiła ze mną o rewizji, którą policja przeprowadziła w domu, pytaniach, które jej zadali. Po powrocie ze szpitala długo stałam w moim pokoju i usiłowałam go zobaczyć oczami Blake'a, dostrzec, co zostało otworzone i poruszone. Pokój wydawał się dziwny, jakoś zmieniony. Wyszedłam z niego ze wstydem podszytym klaustrofobią, który towarzyszył mi, odkąd się dowiedziałam o rewizji.

A teraz znowu czekałam na przyjazd policji, tym razem niecierpliwie. Gdy się w końcu zjawili, nie byłam już w salonie, tylko w kuchni, gotując wodę na herbatę, na którą żadna z nas nie miała ochoty. Zszedłszy z oczu mamie, mogłam krążyć w kółko i podrygiwać z nerwów, ile tylko chciałam. Od dawna oczekiwany szum wrzątku skutecznie zagłuszył odgłosy domu. Gdy czajnik wreszcie pstryknął, zamarłam, słysząc w korytarzu głosy. Zapomniałam o herbacie i wypadłam z kuchni. Serce mi łomotało.

- Cześć - powiedział na mój widok Vickers, spoglądając nad ramieniem mamy, która otworzyła drzwi. Obok niego stała ładna policjantka, której nie znałam. Nie Blake. No, to bez znaczenia. Zaprosiłam ich do salonu.

- Napiją się państwo herbaty? Woda właśnie się zagotowała. Pomimo wcześniejszej niecierpliwości grałam na zwłokę. Teraz, gdy się tu zjawili, nie chciałam usłyszeć, co mają do przekazania. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mama sobie z tym poradzi.

- Na razie dziękujemy - rzekł Vickers, idąc do salonu. - Ale nie krępuj się, zrób sobie.

Pokręciłam głową bez słowa i przycupnęłam na krześle przy drzwiach. Mama zasiadła dostojnie w starym fotelu taty. Policjanci zajęli sofę. Kobieta przysiadła ze skrzepowaniem na jej brzeżku. Vickers pochylił się z łokciami na kolanach.

Nieustannie przesuwając palcami prawej ręki po kostkach lewej. Początkowo milczał, patrząc bez słowa to na mamę, to na mnie. Nie mogłam rozszyfrować wyrazu jego twarzy - co, nic nie wie? Może pomyliłam się z tym naszym jankesem. Może Danny grał na zwłokę. Może nie zgodził się odpowiadać. Wytarłam dłonie o dzinsy.

- Jak możemy panu pomóc? - zapytała mama.

297

Otworzyłam szeroko oczy. Mama siedziała jak królowa, całkowicie panując nad sytuacją. Zaczęłam obliczać, ile z grubsza dziś wypła, i w końcu się poddałam.

Dość, żeby nabrać odwagi, nie aż tyle, żeby zachowywać się niestosownie. Dłonie trzymała złożone na kolanach. Ich drzenie nie rzucało się w oczy.

- Jak zapewne zdaje sobie pani sprawę, prowadzimy dochodzenie w sprawie niedawnej śmierci dziewczynki z tej okolicy. Podczas śledztwa wyszły na jaw pewne fakty dotyczące zniknięcia pani syna. Mamy przyczyny uważać, że Charlie został zamordowany wkrótce po swoim zniknięciu i że wiemy, kto za to odpowiada. Mama czekała z kamienną miną. Ja - z zapartym tchem.

- Charlie przyjaźnił się z pewnym chłopcem, niejakim Danielem Keane'em, Dannym, zamieszkałym na Curzon Close siedem z rodzicami Adą i Derekiem. Charlie spędzał z nim mnóstwo czasu, a Danny został przesłuchany w sprawie zniknięcia Charliego. Zaprzeczył wówczas, jakoby cokolwiek wiedział o miejscu pobytu przyjaciela, a policja nie miała podstaw mu nie wierzyć. Zwróciliśmy na niego uwagę w związku ze śmiercią Jennifer Shepherd - dziewczynki, o której przed chwilą wspomniałem. Aresztowaliśmy go i poruszyliśmy temat zniknięcia Charliego. Okazało się, że tym razem Danny jest bardziej chętny do współpracy.

Vickers zniżył głos. Nieistniejący wiatr uniósł mi włoski na rękach. Z trudem oddychałam.

- W czasie zniknięcia Charliego nie wiedzieliśmy, że Derek Keane jest czynnym i zdeterminowanym przestępcą seksualnym. Działał w tej okolicy i atakował kobiety od piętnastu lub dwudziestu lat. Jednocześnie fizycznie i seksualnie krzywdził swojego syna i wiele innych dzieci.

- Nie Charliego - powiedziała mama, kręcąc głową.

- Początkowo nie - oznajmił Vickers ciężko, z żalem. - Daniel Keane twierdzi, że starał się nie zostawiać ojca samego z Charliem i udawało mu się ukryć przed przyjacielem ślady przemocy ze strony ojca. Derek Keane polował na dziewczynki i chłopców z biednych rodzin - przeważnie dzieci, które objęto opieką społeczną. Na ogół spotykał je w pobliskiej świetlicy. Nie sądzę, żeby przepra-

298  
cował uczciwie choć jeden dzień w życiu, ale w świetlicy pełnił rolę złotej rączki. Idealne miejsce do spotykania i zyskiwania zaufania bezbronnych dzieci, z czego w pełni korzystał.

Ta świetlica została zamknięta dziesięć czy dwanaście lat temu. Budynek - barak z czerwonej cegły o wysokich, zakratowanych oknach - z czasem obrócił się w ruinę. Nigdy tam nie chodziłam, przed zniknięciem Charliego byłam za mała, po - zbyt chroniona. W moich oczach świetlica wydawała się krainą czarów, miejscem, w którym rządzą dzieci, a dorosłym tylko pozwala się bywać. Wysokie okna, wtedy tak kuszące, teraz wydały mi się złowrogie. Za nimi działo się coś więcej niż bez troskie zabawy. Z wysiłkiem skupiałam się na słowach Vickersa.

- Derek był agresywny w domu i poza nim, dlatego często lądo

wał na krótki czas w więzieniu. Jak mówi Danny, jego rodzina żyła w strachu przed ojcem, którego humory dyktowały rytm ich życia. Kiedy był szczęśliwy, cieszyli się wraz z nim. Kiedy był zły, obojętny lub pijany, nauczyli się schodzić mu z drogi. Latem tysiąc dziewięć set dziewięćdziesiątego drugiego roku w domu Keane'ów przez parę miesięcy panowały spokój i równowaga. Derek był zajęty jakimś planem zarabiania pieniędzy - czymś w rodzaju szwindlu z ubezpieczeniem samochodowym. Spędzał mnóstwo czasu ze swoimi kolesiami, z którymi jeździł po kraju, inscenizując wypadki. Danny twierdzi, że odetchnął. Pod nieobecność Dereka Charlie mógł przychodzić do domu Keane'ów. Woleli się spotykać tam, bo nie musieli się bawić z Sarą.

Vickers spojrzał na mnie przepaszająco, ale wcale się nie obraziłam. To brzmiało autentycznie.

- Drugiego lipca Charlie poszedł po południu do Keane'ów. Wiadomo, że ostatnia widziała go Sarah. Zniknął jak kamień w wodę. Nie poszedł daleko. Na drugą stronę ulicy, do przyjaciela.

Mama pochyliła się ku niemu. Białe kości rysowały się pod cienką skórą na kostkach jej zaciśniętych dłoni. Gdyby nie to, nie zorientowałabym się, że zdenerwowała ją spokojna relacja policjanta.

299

- Niestety, Danny'ego nie było w domu. Poszedł z matką do supermarketu, nie chcąc zostać w domu z ojcem. Derek wrócił właśnie z długiej wyprawy i odsypiał. Danny nie chciał ryzykować, że przypadkiem go obudzi.

Derek otworzył drzwi i nie przepędził Charliego, zaprosił go do domu. Kiedy chciał, potrafił być sympatyczny, a Danny oczywiście nie mówił Charliemu, jak traktuje go ojciec. Charlie nie miał powodu się bać.

Vickers zamilkł i odkaslnął. Zrozumiałam, że teraz czeka nas najgorsza część. No dawaj, ponagliłam go w myślach. Mów i już.

- Nie jesteśmy pewni, co się wydarzyło w domu, ale możemy przyjąć, że Derek zaczął molestować Charliego. Jednak Charlie nie przypominał jego zwykłych ofiar. Był odważny, inteligentny i miał bliski związek z rodzicami. Wiedział, że to, co się zdarzyło, było złe. Nie dał się pocieszyć ani zastraszyć. Derek musiał wpaść w panikę. Zrozumiał, że Charlie o wszystkim opowie rodzicom. Zanim Danny z matką wrócił do domu, Charlie już nie żył.

Ostatnie słowo padło w kompletnej ciszy. Mama wyprostowała się, trzymając rękę na piersi. Wyglądała na wycieńczoną. Choć się tego spodziewałam, choć wiedziałam o tym od lat, mną także wstrząsnęło to potwierdzenie.

- Derek nie był może inteligentny, za to cwany i miał instynkt przetrwania - ciągnął Vickers po krótkiej, pełnej szacunku pauzie. - Wiedział, że szybko podniosą państwo alarm, kiedy Charlie

nie wróci do domu. Ukrył ciało w swoim bagażniku - co akurat mogło być najsłabszym punktem planu, ponieważ samochód stał na podjeździe przed domem. Tam nie ma garażu. Ale nikt nic nie zauważył. Kiedy Danny z matką wrócili, jedyną oznaką tego, co się wydarzyło, był dziwny nastrój ojca, rozdrażnionego i zamyślonego. Derek wysłał Adę do przyjaciółki i ostrzegł, żeby nie ważyła się wracać, dopóki po nią nie pójdzie. Chciała zabrać ze sobą Danny'ego, ale jej zabronił, twierdząc, że potrzebuje pomocy syna. Jeśli Ada podejrzewała później, że mąż mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Charliego, nigdy o tym nie wspomniała Danny'emu ani nikomu innemu.

300

Mama kiwała głową z rozkojarzonym spojrzeniem.

- Ale pewnie się domyśliła. Pamiętam, że dała mi kwiaty - mruknęła jakby do siebie. - Różowe goździki. Nie mogła ze mną nawet porozmawiać. Różowe goździki.

Mama potrafiła tak mamrotać godzinami, więc wpadłam jej w słowo:

- Ale Danny został w domu. Kiedy się zorientował, co się stało?

- Kiedy ojciec pokazał mu ciało Charliego - oznajmił ponuro Vickers. - Derek czekał do zmroku, co musiało być stresujące, bo o tej porze słońce zachodzi późno. Potem kazał Danny'emu wsiąść do samochodu. Przejechali parę kilometrów w stronę Dorking, na odludzie, gdzie za małym osiedlem biegła alejka, dojazd do torów dla pracowników kolei. To były boczne tory, wów czas nieużywane. Derek miał na kolei kolegę, który mu o tym powiedział. Z domów tej alejki nie było widać, na nasypie rośnie wiele drzew i krzaków. Wspaniałe miejsce na pozbycie się ciała. - Vickers westchnął. - Danny przeżył szok, kiedy otworzył bagażnik samochodu i zobaczył swojego przyjaciela. Derek go nie ostrzegł, po prostu kazał mu wziąć latarkę i łopatę. Sam zaniósł na nasyp Charliego.

Nie mogłam się zmusić do współczucia, którego najwyraźniej spodziewał się po mnie Vickers. Danny na pewno przeżył traumę. Miał okropne dzieciństwo. Wszystko prawda. Ale pozwolił, żeby moi rodzice żyli w dręczącej nieświadomości, co spotkało ich syna. Dochował tajemnicy ojca. Wyjawiał prawdę, dopiero gdy znalazł się pod ścianą. Gdyby nie naszyjnik Charliego, Vickers nie wiedziałby, o co ma go spytać, a mama ciągle żyłaby nadzieją, codziennie odrobinę umierając. I jeszcze Jenny. Danny wykorzystał to, czego go nauczył ojciec. Dręczony chłopiec sam zmienił się w dręczyciela. Syn mordercy stał się mordercą. Nie czułam do niego nic oprócz nienawiści.

Mama poruszyła się na krześle.

-Jak umarł Charlie? Pan nie powiedział... jak zabił mojego synka?

301

Vickers spojrział na nią ze skrepowaniem.

- Nie wiemy. I nie dowiemy się, dopóki nie znajdziemy zwłok i nie zrobimy sekcji, a nawet jeśli... Po takim czasie znajdziemy jedynie szczątki szkieletowe... kości.

Nie mieściło mi się w głowie, że użył tych słów w obecności mojej matki. Ale mama, zamiast się załamać, skinęła głową. Widząc to, doznałam może nie olśnienia, lecz powoli zapadającego mi w serce przeczucia, mglistej świadomości, że zupełnie jej nie znam. Miała w sobie siłę i odporność, której dotąd nie dostrzegałam.

Vickers znowu zaczął mówić, unosząc zasłonę, która spadła przed szesnastu laty.

- Wykopanie grobu trwało długo. Danny przypuszczał, że ponad dwie godziny. Ziemia była twarda i przerośnięta korzeniami.

Zwykle takie groby widać na kilometr. Rozgrzebują je zwierzęta zwabione smrodem rozkładu, wywlekają ciała lub ich części i zostawiają ślady. Albo widać kopczyk świeżej ziemi i staje się jasne, że to grób. Muszę przyznać Derekowi Keane'owi, że znalazł dobre miejsce, w którym ludzie prawie się nie pojawiali, i wykopał odpowiednio głęboki dół. Może dlatego nie znaleźliśmy Charliego...

Nie bez znaczenia jest też fakt, że żona i syn Dereka byli tak zastraszeni, iż nie ośmielili się nikomu powiedzieć o jego winie. Znowu wykazał się inteligencją, angażując Danny'ego w pozbycie się ciała. Ada nie chciała, żeby jej syn miał kłopoty, choć pewnie chętnie by się raz na zawsze uwolniła od męża. Derek pozbył się jej z domu na czas usunięcia ciała Charliego, więc nie miała pewności co do jego winy. Nawet jeśli coś podejrzewała, brakowało jej dowodów. A Derek sprawił, że Danny zaczął się bać własnego cienia. Nigdy nikomu nie pisał o tym słowa. Był przekonany, że on także wylądowałby w więzieniu. Ojciec wmówił mu, że policja potraktuje go nawet surowiej, bo on sam działał pod wpływem emocji, a Danny pomógł mu z zimną krwią.

- Biedne dziecko - powiedziała mama.

Byłam zaskoczona i wręcz wstrząśnięta. Potem uświadomiłam sobie, że mama nie wie, co Danny zrobił Jenny. Ja uważałam

302

go za wcielenie zła i mato mnie obchodziło, dlaczego się taki stał.

- Czemu powiedział wam to wszystko akurat teraz? - zapytała.

Vickers poruszył się nerwowo. Spojrzałam na niego błagalnie. Nie chciałam, żeby mama dowiedziała się o moim udziale w sprawie. Na myśl o tym, że będę musiała jej to wyjaśniać, zrobiło mi się słabo.

- Hm... otrzymaliśmy pewne informacje, w związku z którymi postanowiliśmy przesłuchać pana Keane'a. Chyba czekał na tę rozmowę. Ledwie nasi ludzie wspomnieli o Charliem, od razu powie dział wszystko. Rozmawialiśmy z nim także o innych sprawach



i tu już nie był tak wylewny. - Rzucił mi znaczące spojrzenie.

Stłumiłam westchnienie. Oczywiście, że Danny się nie przyzna do zamordowania Jenny, zwłaszcza że jest jedynym winowajcą.

- Skąd wiecie, że nie zmyśla? - spytała mama spokojnie, ale spojrzenie miała pełne napięcia.

- Sądźmy, że mówi prawdę, w przeciwnym razie by mnie tu nie było - rzekł Vickers łagodnie. - Nie ma powodu kłamać.

Odkasznęłam i cała trójka spojrzała na mnie. Policjantka drgnęła, jakby zapomniała o mojej obecności.

- Co się stało z matką Danny'ego? Derek zabił także ją, prawda?

Parę lat po Charliem?

Vickers westchnął.

- W okolicy krążyło wiele plotek o młodszym synu, Paulu.

Ludzie twierdzili, że nie jest synem Dereka, że został poczęty w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, gdy Derek odsiadywał wyrok. Daty się nie zgadzają i wątpię, żeby Ada odważyła się zdradzić męża, nawet jeśli był zamknięty w Pentonville. Ale plotki wystarczyły, żeby doprowadzić Dereka do szału. Pewnego razu znaleziono Adę leżącą ze skrzyżowanym karkiem u stóp schodów. Istniało mnóstwo dowodów przemocy. Powinni go oskarżyć o morderstwo, ale policjanci sądzą, że sąd skaze go za zabójstwo.

- Pokręcił głową. - Przysięgli zachowują się dziwnie, kiedy chodzi o zabójstwa domowe. Nigdy nie wiadomo, co zdecydują. Wystarczy, 303

że jakiś pyskacz, który sam podejrzewa swoją żonę o zdradę, stanie w obronie oskarżonego, i wszyscy dają mu się przekonać. Są jak stado owiec, idą za przywódcą, nawet jeśli to wbrew zdrowemu rozsądkowi. Derek dostał pięć lat, wyszedł po trzech. Niedługo potem szczęście się od niego odwróciło. - W głowie Vickersa słychać było wyraźną satysfakcję. - Parę miesięcy po wyjściu z pudła poszedł na spotkanie ze Stwórcą. Spadł ze schodów we własnym domu, po powrocie z pubu. Roztrzaskał sobie czaszkę. Nie odzyskał przytomności.

Vickers musiał dostrzec ten zbieg okoliczności. Ada zginęła tak samo. Po plecach przebiegł mi dreszcz na myśl, że to mogło być pierwsze morderstwo Danny'ego. Ale Derek w pełni zasługiwał na to, co go spotkało. Nikt za nim nie płakał.

-1 tak chłopcy zostali sami. Danny w chwili śmierci matki miał osiemnaście lat.

Właściwie to on wychował Paula. Zdołał przekonać opiekę społeczną, żeby zostawiono mu chłopca. - Vickers wzruszył ramionami. - Można pomyśleć, że lepiej by mu było w rodzinie zastępczej lub u adopcyjnych rodziców.

Przez jakiś czas milczeliśmy, myśląc o losie rodziny Keane'ów. Mama ocknęła się pierwsza.

- Co będzie teraz?

Twarz jej się wygładziła - straciła ten konwulsyjny grymas, którego tak nie znosiłam. Miałam przed sobą kobietę, którą znałam tylko ze zdjęć zrobionych przed zniknięciem Charliego. Była piękna.

- Teraz znajdziemy Charliego - powiedział Vickers spokojnie. - Przygotowaliśmy wszystko do poszukiwań w okolicy, którą opisał Danny. Zaczniemy jutro o siódmej rano. Zabierzemy Danny'ego ze sobą, żeby nam pokazał, gdzie kopał ojciec. Podobno odeszli kawałek od alejki. Mam nadzieję, że rozpozna miejsce, żebyśmy mogli zawęzić pole poszukiwań. Jeśli nie, zajmie nam to parę tygodni.

- Nie macie nowoczesnego sprzętu, jak w telewizji? - spytałam.

- Takie wynalazki nigdy się nie sprawdzają. Z mojego doświad-

czenia wynika, że albo się dostaje informację, albo potyka się o zwłoki. Ale Danny jest chętny do współpracy. Znajdziemy Charliego, proszę się nie martwić. Wstał z chrupnięciem stawów, które zabrzmiało jak seria strzałów z pistoletu, i wyciągnął rękę do mamy.

- Wiem, że to musi być dla pani straszny wstrząs. Czy moja koleżanka może pani zrobić herbaty?

- Nie... - zaczęła mama, ale wpadł jej w słowo.

- Chciałbym zamienić słówko z pani córką, jeśli można.

Funkcjonariuszka już stała przy mamie. Na znak Vickersa pomogła jej wstać. Sądziłam, że mama zacznie się z nimi kłócić, ale ku mojemu zaskoczeniu potulnie poszła za policjantką. W drzwiach się zatrzymała, z ręką opartą na futrynie - dla efektu albo utrzymania równowagi.

- Muszę panu podziękować.

- Nie ma potrzeby. - Vickers wbił ręce w kieszenie i spuścił głowę. - Jeśli będzie miała pani jakieś pytania lub potrzebowała pomocy, proszę do mnie zadzwonić. Sarah ma mój numer. Powiadomimy panią natychmiast, gdy coś znajdziemy.

Ledwie mama znalazła się za zamkniętymi drzwiami, Vickers wyszedł przed dom, a ja za nim.

- Nie przyznał się do zamordowania Jenny, jeśli się nie domyśliłaś.

- Dlaczego mnie to nie dziwi? - Oplotłam się ramionami; było chłodno. Znowu zaczęło padać, krople wielkości monet bębniły wokół nas jak młoteczki.

- To ona chciała seksu. On się zgodził, bo chodziło mu o pieniądze. Mało zarabia w warsztacie. - Ton Vickersa ciął jak nożem.

- Mężczyzn, którzy ją wykorzystywali, dobrał sobie spomiędzy kumpli tatusia. Najwyraźniej łączyło ich upodobanie do dzieci.

- Chyba nie chcę tego dłużej słuchać - wykrztusiłam, szczerząc zębami.

- Potwierdził słowa Paula. Zrobił to dla ciebie.

- Boże...

- Uważał, że nie jest ciebie godny. Ustawił cię na piedestale.

Dlatego przeżywał fantazje z Jenny. Jest niedojrzały. Nieobyty. Boi się kobiet. Z dziećmi idzie mu łatwiej.

- Rozumiem - zdołałam wydusić. - Dziękuję za wyjaśnienie.

Vickers skinął głową.

-Wiem, wolisz, żebym ci tego nie mówił, ale tak jest lepiej. Trzeba to powiedzieć głośno. Kiedy sprawa trafi do sądu, te informacje zostaną upublicznione. Musisz się na to przygotować.

- Czy będę świadkiem? - Trudno mi było wyobrazić sobie coś gorszego niż zeznawanie na szkodę Danny'ego, patrzenie mu w oczy...

- To zależy od policji i prawników, ale ja nie widzę powodu.

Nie masz nic ważnego do powiedzenia, prawda? Zwłaszcza odkąd Danny się przyznał. Nie widziałaś, żeby działo się tam coś dziwnego. - Vickers wskazał głową dom naprzeciwko.

- Nie - wymamrotałam. - Niczego nie dostrzegłam.

Byłam pogrążona we własnej tragedii. Chodziłam ze spuszczoną głową, odwróconą twarzą, ślepa na to, co się działo po drugiej stronie ulicy.

Vickers pochylił się nad moim ramieniem.

-Anno!

Drzwi kuchni otworzyły się i policjantka wyszła szybkim krokiem, z wyraźną ulgą.

Vickers ruszył do samochodu. Pobiełam za nim, naciągając rękawy swetra na dłonie.

- Chciałam tylko powiedzieć... dziękuję, że nie wspomniał pan o Danny'm i o mnie w obecności mamy.

- To prawdziwa dama, prawda? Dystyngowana.

- Jak zechce - mruknęłam, myśląc o wielu przypadkach bardzo niedystyngowanego zachowania. Ale fakt, nie zrobiła mi wstydu przed policją.

Vickers otworzył samochód. Stałam przy drzwiach.

- Czy... czy jutro mogę przyjść?

Znieruchomiał.

- Na tory? Dlaczego?

Wzruszyłam ramionami.

- Uważam, że ktoś z rodziny powinien być obecny.

- Wiesz, że Daniel Keane też tam będzie.

Skinęłam głową.

- Będę się trzymać z daleka od niego, przysięgam. Naprawdę nie chcę z nim rozmawiać.

Vickers wsiadł do samochodu i sięgnął obok mnie po klamkę. Odskokczyłam z drogi.

- Potrafisz być bardzo przekonująca, jeśli chcesz. Ale nie życzę sobie żadnych scen. Nie myśl, że się na nim zemścisz.

- Nawet mi to nie przyszło do głowy. Tylko... chciałabym tam być. Dla Charliego.

Westchnął.

- W takich przypadkach naprawdę staramy się szanować życzenia rodziny. Nie jestem zachwycony, ale przyślę po ciebie Blake'a.

Bądź gotowa o szóstej trzydzieści.

- Dziękuję.

- Nie dziękuj. I włóż gumki, jeśli masz. Słyszałaś prognozę pogody? Jak tak dalej pójdzie, będziemy potrzebować arki. -

Vickers zamknął drzwi, kręcąc głową.

Odprowadziłam jego samochód wzrokiem, dziwnie zadowolona, że to on powiedział nam o Charliem. Nie potrafiłam przewidzieć, jak zareaguje mama, kiedy ta informacja do niej naprawdę dotrze, ale na razie wysłuchiwała wszystkiego ze spokojem i bez protestów.

Deszcz nabrał rozpędu i siły. Zanim weszłam do domu, zmusiłam się, żeby spojrzeć na dom naprzeciwko. Okna ciemne, zasłony zaciągnięte. Wyglądał jak opuszczony.

Wszystkie drobne usterki, które w nim zauważyłam podczas wczorajszej wizyty, nagle stały się większe, jakby jego ruina postępowała w oczach.

- Obyś się rozsypał - powiedziałam głośno. Nienawidziłam go, nienawidziłam tego, co symbolizował. Tych wszystkich lat czekania. Tego bólu.

Nadal uważałam Danny'ego Keane'a za potwora, nie ofiarę. Postanowił pójść w ślady ojca, choć lepiej od innych wiedział, jakie krzywdy może wyrządzić. Trudno było mi się pogodzić z tym, że po drugiej stronie drogi, niespełna pięćdziesiąt metrów od moich

307

drzwi, miał miejsce taki upadek ludzkich uczuć. Świadomość, że to wydarzyło się naprawdę, wcale nie pomagała zrozumieć.

Kiedy wróciłam do salonu, mama trzymała szklanekę, co mnie nie zdziwiło. Na mój widok podniosła głowę.

- Pojechali?

Skinęłam głową.

- Zaskoczyło cię to, co powiedział?

Nie miałam pojęcia, jak odpowiedzieć. Chodziło jej o Danny'ego? Czy że Charlie nie żyje?

- Nie wiedziałam, że Derek Keane był taki podły - powiedziałam wreszcie niezręcznie.

- Nigdy go nie lubiłam - oznajmiła mama, pociągając długi łyk ze szklanki. Chyba whisky, sądząc po kolorze. - Nie podo

bało mi się, że Charlie bawił się z Dannym. Twój ojciec zawsze miał mnie za snobkę, bo Keane'owie nie byli zamożni, a Danny chodził... no, brudny. Ale ja nie lubiłam Dereka. Przyszedł raz tutaj, tuż po naszej przeprowadzce, i spytał, czy nie potrzeba nam człowieka do drobnych napraw. W domu trzeba było dużo zrobić, był bardzo zaniedbany. Mniej więcej tak jak teraz - powiedziała z cichym śmiechem, rozglądając się z pewnym zaskoczeniem, jakby ostatni raz widziała nasz dom dziesięć lat temu. - Ale Derek był jakiś dziwny. Te jego oczy. Takie... łakome. A ja byłam w domu sama, tylko z tobą. Byłaś malutka. Powiedziałam, że nie, niczego nam nie trzeba, i natychmiast zamknęłam drzwi, nawet się nie pożegnałam. To niegrzeczne, normalnie bym tak nie postąpiła. Ale było w nim coś, co mnie przeraziło. - Westchnęła. - Dobrze, że wiem. O Charliem.

- Lepiej jest wiedzieć. - Pierwsza od wielu lat rzecz, co do której się zgodziłyśmy.

Mama opróżniła szklanekę i odstawiła ją.

- Idę spać.

- Kiedy wstaniesz, może mnie nie być. Wychodzę wcześniej.

- Tam gdzie będą kopać?

Przez głowę przewinęło mi się dziesięć różnych kłamstw. W końcu się poddałam.

308

-Tak.

- Na twoim miejscu zrobiłabym to samo.

Otworzyłam usta. Byłam gotowa przedstawić jej wszystkie powody, dla których powinnam tam być, wszystkie argumenty, które by ją przekonały, że to właściwe. Nie musiałam i to było bardzo dziwne uczucie.

Mama wstała i podeszła do mnie. Po krótkim wahaniu objęła mnie i przytuliła.

- Jesteś dobrą córką - szepnęła, po czym poszła po schodach na górę, zanim zdołałam się otrząsnąć.

Dobra córka usiadła na sofie i zaczęła rozpaczliwie płakać - nad matką, ojcem, Charliem i Jenny, nad wszystkimi ofiarami.

2002

Dziesięć lat od zaginięcia

Po

okój jest mały, przegrzany i pełen nieznanymi mi ludźmi. Siedzę na podłodze z kolanami przyciągniętymi do piersi. Z głośników łomocze bas dansowego kawałka, tak głośny, że jego wibracje czuję w piersi. Dwie dziewczyny bez skrupowania całują się w kącie, a grupa chłopaków na łóżku naśmiewa się z nich, trochę rozbawiona, trochę zdziwiona. Trzymam plastikowy kubek z wódką porzeczkową, lepka jak syrop od kaszlu i mniej więcej tak samo apetyczną.

W pokoju jest ciemno. Oświetla go tylko lampka na biurku, odwrócona żarówką do ściany. Nie wiem, czyj to pokój ani jak udało się go ozdobić w ciągu dwóch dni poduszkami, plakatami i dywanikiem na podłodze, tak że stał się zupełnie niepodobny do mojego pokoju, brzydkiego, nagiego i surowego. Wszyscy tańczą, rozmawiają głośno, poznają się. Usiłuję postanowić, jaką mam mieć minę, i decyduję się na skamieniały półuśmiech. Jestem przerażona. Ja tu nie pasuję. Wybrałam niewłaściwą uczelnię, kierunek studiów, akademik.

Wysoki, atletyczny chłopak przeciska się przez tłum i dostrzega mnie. To student drugiego roku, poznałam go dziś na wykładzie inauguracyjnym. Wydaje mi się przerażająco dorosły i mądry. Wyciąga dłoń i chwytam mnie za rękę, podnosi z podłogi.

310

- Chodź ze mną! - krzyczy mi do ucha.

- Dokąd? - pytam, ale nie słyszy.

Wyciąga mnie z pokoju na korytarz do schodów, gdzie stoi mała grupka. Większości osób nie poznaję, ale jedna czy dwie są z mojego roku. Na klatce schodowej jest chłodno i cicho. Dziewczyna z kolczykiem w nosie i obojętną miną otworzyła okno i pali, choć to zabronione. Bez przekonania rozgania dym dłonią, usiłując go wypędzić za okno, ale kłęby zaraz wracają, wirując wokół nas. Chyba chciałabym mieć papierosa, myślę. Zajęłabym czymś rękę.

Wsuwam kubek z wódką między tralki balustrady i siadam na miejscu, które mi zrobiono. Ten z drugiego roku sadowi się obok mnie i obejmuje mnie ramieniem. Nie pamiętam jego imienia. Przecież nie spytam. Ten z drugiego roku przedstawia mnie wszystkim. Rozmawiają o ludziach, których nie znam, o imprezach, na które chodzili w zeszłym roku, i pracach, które mają zadane na przyszły tydzień. Studenci pierwszego roku opowiadają sobie różne historie i zadają pytania. Wszyscy są tacy inteligentni, zabawni. Czasem ktoś zwraca się do mnie, a wówczas odpowiadam zwięźle, uśmiechając się aż do bólu twarzy. Niektórzy są bardzo pijani. Inni są zdecydowanie bardzo pijani. Nikt oprócz mnie nie jest trzeźwy. Nudzę się i czuję się nudna.

Nie wiem, kto zaczyna, ale nagle rozmowa schodzi na rodziny.

Chłopak, którego widzę po raz pierwszy w życiu, pyta mnie:

- Masz młodsze siostry, o których powinienem wiedzieć?

Wszyscy się śmieją; dochodzę do wniosku, że chłopak słynie z tego, że sypia z przyjeżdżającymi do akademika młodszymi siostrami studentek.

- Ani młodszych, ani starszych. Przykro mi.

Dziewczyna na parapecie zapala kolejnego papierosa.

- A braci?

To zwyczajne pytanie. Bez podtekstów. Zanim się zastanowię, słyszę własny głos:

- Też nie. Nie mam braci.

I już. To wszystko, co muszę powiedzieć. Nikt mi nie zadaje więcej pytań. Nikt nic nie podejrzewa. Tak łatwo skłamać, tak

311

łatwo zostać jedynaczką bez przeszłości. Nikt w to nie wątpi. Staję się kimś, kogo można polubić. Jednym ruchem zostawiam za sobą dziesięć lat. Coś się we mnie zmienia; wydaje mi się, że zyskałam wolność. Dopiero dużo, dużo później zrozumieć, że wiele straciłam.

## Rozdział 17

### B

'yłam gotowa dużo wcześniej, nim samochód Blake'a zatrzymał się przed domem. Znowu spędziłam niespokojną noc i w końcu obudziłam się o wpół do piątej, słysząc ciche, uparte bębnienie w dach. Odchyliłam zasłonę i zapatrzyłam się na deszcz, zahipnotyzowana rozmiarami tej ulewy, strugami bluzgającymi z rynien i płynącymi ulicą. Ziemia już nasiąkała; trawnik sąsiadów rozmiękł i napuchł. Dotarło do mnie, że jeśli dalej tak będzie padać, policjanci mogą nie zacząć kopać. Przecież po tylu latach nie spieszyło się nikomu z wyjątkiem mamy i mnie. Zagryzłam wargę; czułam, że nie możemy czekać dłużej.

Wzięłam prysznic i ubrałam się cicho, nie budząc mamy. Włożyłam stare dżinsy, jak się okazało za duże, zsuwające mi się z bioder. Spojrzałam na siebie w lustrze.

Brzuch mi się zapadł, żebra rysowały się pod szarą skórą. Kiedy ostatnio zjadłam prawdziwy posiłek? Nie pamiętałam. Tego ranka także nie zdołałam zjeść śniadania.

Gardło mi się zaciskało na myśl o jedzeniu. Znalazłam pasek i narzuciłam na dżinsy długi podkoszulek. Nie był to ostatni krzyk mody, ale to mi musiało wystarczyć.

Blake przyjechał pięć minut przed czasem. Zbiegłam na dół w anoraku z kapturem nasuniętym na głowę. Dopadłam samochodu, zanim Blake zdążył wyłączyć silnik.

- Ładny ranek - zauważył i zerknął ze zmarszczonymi brwiami na moje stopy. - Pamiętałaś o gumiakach? Te trampki długo nie wytrzymają.

- Dlaczego wszyscy mają obsesję na tle moich butów? - Uniosłam reklamówkę, którą przyniosłam ze sobą. - Kalosze są tutaj.

313

- Tam się zrobiło bagno. Nasyp trzyma się dzięki korzeniom i łasce boskiej. Jeśli jeszcze parę godzin tak popada, wszystko się osunie na szyny.

- No co ty - wykrztusiłam, nagle zdenerwowana.

Parsknął śmiechem.

- Żartuję. Ale wczoraj pojechaliśmy tam, żeby sprawdzić, jakiego sprzętu potrzebujemy, i warunki były okropne. Vickers zniszczył sobie buty. Biedak, ma tylko dwie pary.

Uśmiechnęłam się, zbyt spięta, żeby żartować. Doznawałam dziwnych emocji - przejęcia, przerażenia podszytego uczuciem, że nie powinnam się za bardzo ekscytować, że mogą niczego nie znaleźć, a Danny Keane może kłamać.

- Jak twoja mama?

- Zdumiewająco dobrze. Przyjęła to całkiem spokojnie.

Spodziewałam się... no, nie spodziewałam się takiego spokoju.

Zerknął na mnie.

- Szef był nią zachwycony. Normalnie taka nie jest, co?
- Nie - przyznałam szczerze. - Potrafi być trudna. Czasami średnio fajnie się z nią żyje.
- Tak mi się wydawało.

Oczywiście poznał ją podczas rewizji. Poruszyłam się nerwowo.

- Co teraz? - zapytał. Patrzył na jezdnię i nie mogłam odczytać jego miny.
- Jak to?

- No... - Urwał i zaczął znowu: - Popraw mnie, jeśli się mylę, ale mam wrażenie, że zostałam z matką, żeby jej wynagrodzić to, co się wydarzyło po zniknięciu Charliego. Zakładając, że go dziś znajdziemy, to wszystko się skończy. Musisz zacząć myśleć, dokąd pójdziesz, co zrobisz. Nie wyglądasz mi na nauczycielkę z powołania.

- To aż tak widać?

- Tak nie można żyć. Musisz zrobić to, co dobre dla ciebie, nie dla kogoś. Jesteś młoda, możesz zmienić swoje życie tak, jak chcesz. Musisz tylko zdecydować, czego chcesz.

- To nie takie proste.

314

- Owszem, to dokładnie takie proste. - Samochód zatrzymał się na światłach, a Blake odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. - Nie trzeba się tego bać. Będziesz szczęśliwsza.

- Może. - Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić. Problemy mamy zaczęły się wraz ze zniknięciem Charliego, ale to nie znaczyło, że się ulotnią po jego znalezieniu. Teraz, gdy już było wiadomo, co się stało, mama mogła mnie potrzebować bardziej, nie mniej. Będziemy żyć razem tak długo, jak trzeba. Tylko na tym się znałam.

Wycieraczki omiotły szybko ze szmerem osiem lub dziewięć razy, zanim znowu się odezwałam.

- Danny też będzie?

Powieki Blake'a drgnęły.

- Tak, i nie zbliżaj się do niego. Będzie miał kajdanki, będą go pilnować funkcjonariusze, ale nie chcę, żebyś się z nim kontaktowała. Ma na twoim punkcie obsesję, wiesz - dodał, nie patrząc na mnie.

- To dziwne. Nawet mnie nie zna.

- Jeszcze gorzej. Jest zakochany w wyobrażeniu o tobie - powie dział Blake poważnie. - I nie daj się nabrać, jest niebezpieczny. To słowo szczęknęło mi w głowie jak klucz z zamku.

- Już się przyznał? Do zamordowania Jenny?

- Nie. Ale przyznał się, że zabił Geoffa Turnbulla. Przycisnęli go solidnie i w końcu się przyznał. Dowody bardzo go obciążały. Ten żelazny pręt, który znaleźliśmy w domu, był narzędziem zbrodni.



Danny obserwował Geoffa, widział każdy jego ruch i nie spodobało mu się, w jaki sposób zwracał się do ciebie. - Blake zmarszczył lekko brwi, wpatrzony w drogę. - Nie wiem dokładnie, co się stało tamtej nocy, ale to, co zobaczył Danny, skłoniło go do interwencji. Geoff był łatwym celem. Danny nie twierdził nawet, że walka była wyrównana, choć to żadna linia obrony. Zasadniczo jego jedynym wytłumaczeniem było pragnienie ochrony ciebie. - Zerknął na mnie przelotnie. - Nie wolno ci myśleć, że to twoja wina, słyszysz? Nie prosiłaś go o to.

Ale chciałam, żeby Geoff zniknął, i nie przejęłam się specjalnie, kiedy usłyszałam, że wylądował w szpitalu. Nie mogłam

315

cofnąć czasu i przeżyć tego jeszcze raz, żeby nie czuć wstydu. Miał ze mną pozostać na zawsze, bez względu na to, co powie Blake.

- Nie możemy z niego wydusić przyznania się do zamordowania Jenny. Jakoś tego nie chce. Chętnie gada o wszystkim innym - jak już raz zacznie nawijać, prawie się chwali, jaki to jest inteligentny, że zaczął na tym zarabiać, gęba mu się nie zamyka. Ale gdy przychodzi do tego, jak zginęła - milczy. Zaprzecza wszystkim. Ale to kwestia czasu.

- I dobrze - powiedziałam z głębi serca. Chciałam, żeby Danny przyznał się do wszystkich swoich zbrodni. Uważałam go za potwora ze względu na to, co zrobił Jenny. Wykorzystał ją i wyrzucił... Odwróciłam głowę, usiłując się opanować.

Skreśliśmy w wąską uliczkę ze szpalerami budleji porastających zaniedbane podwórka i zabudowania. Ich skórzaste liście szorowały po bokach samochodu, gdy wolno mijaliśmy zaparkowane po prawej pojazdy.

- To tu? - spytałam. Dłonie mi się spociły. - Nawet bym się nie domyśliła.

Nie wyobraziłam sobie tego miejsca, kiedy Vickers je opisał. Zdziwiło mnie, jak niedaleko znajduje się mój dom.

- O takich miejscach wie się tylko, jeśli się tu mieszka albo pracuje na kolei. Na ogół nie stoją tu samochody, to nasze.

Więc to wielka operacja, pomyślałam i nagle poczułam się skrepowana. Ta sprawa tak długo była moim prywatnym problemem, że teraz skupienie tylu osób - pewnie ze trzydziestu - w tym zapytającym zaułku wydało mi się samolubstwem.

- Dziękuję za to - powiedziałam w końcu.

Blake prychnął.

- Nie trzeba. Taka praca.

- Mmm. Ale dziękuję też za wszystko inne.

Teraz obrzucił mnie spojrzeniem z ukosa, po czym znowu skupił wzrok na wąskiej uliczce. Młody funkcjonariusz uniósł pacholki, pozwalając nam przejechać i zaparkować. Zauważyłam samochód Yickersa, za którym Blake zatrzymał się i wyłączył

silnik. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, które mącił tylko bębniący o dach deszcz.

- Kiedy to się skończy... - zaczął Blake.

- Tak się zastanawiam... - odezwałam się jednocześnie i parsknęłam śmiechem. - Ty pierwszy.

- Zaczęliśmy od końca, prawda? Kiedy to się skończy, chciał bym cię poznać. Dowiedzieć się, jaka jesteś naprawdę.

Deszcz spływał strugami po szybie. Patrzyłam na cienie przesuwające się po twarzy Blake'a i byłam tak szczęśliwa, że prawie bolało.

- Chciałabym - powiedziałam w końcu.

Blake pochylił się, przyciągnął mnie do siebie. Pocałowałam go z wdzięcznością i oddaniem, na parę nieprzytomnych chwil niemal zapominając, po co tu przyjechaliśmy, myśląc tylko o nim, przez chwilę czując się zupełnie bezpieczna. Poczulałam ruch jego warg i cofnęłam się, żeby sprawdzić. Tak, uśmiechał się do mnie.

- Więc dobrze. Cieszę się, że to ustaliliśmy. No, wkładaj gumki.

Wysiadł z samochodu, przeklinając na deszcz. Włożyłam kalosze i też wysiadłam. Czułam przez podeszwy przeszywająco zimną wilgoć. Nogi wydawały mi się jakies obce. Podniosłam kaptur. W powietrzu unosił się zapach mokrej trawy i liści. Z mojego miejsca widziałam schody prowadzące do wysokiej metalowej bramy, a za nią drzewa.

- Tędy - powiedział Blake, wskazując bramę. Połowa mnie chciała stąd uciec. Druga połowa chciała biec naprzód, nie czekając na Blake'a, który gadał przez komórkę. W końcu podszedł i przeprowadził mnie przez bramę, rzucając:

- Uważaj pod nogi.

Bramę zarosły gęste kępy pokrzyw, ale ktoś wydeptał w nich wąską ścieżkę prowadzącą między drzewa. Pokrzywy były śliskie od deszczu; szłam za Blakiem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Ścieżka prowadziła w prawo, równolegle do torów, ledwie widocznych między drzewami. Po lewej stronie teren opadał gwałtownie. Z trudem znajdowałam oparcie dla stóp, przytrzymując się pni drzew. Po kilkuset metrach Blake skręcił w lewo i zaczął schodzić

po zboczach, oglądając się, czy za nim idę. Stapałam ostrożnie, bojąc się, że stracę równowagę i zjadę po błotnistym zboczach w zawierusze mokrych liści. Z dołu dobiegały głosy. Wyminęliśmy kępę młodych buczków i ujrzeliśmy miejsce wskazane przez Danny'ego. Prace już trwały, biały płócienny namiot osłaniał miejsce, w którym funkcjonariusze nabierali ziemię na łopaty i starannie ją przesiewali pod okiem Vickersa i paru innych.

Blake zatrzymał się na skraju polanki. Odwrócił się do mnie.

- Chcesz podejść bliżej?

- Tu mi dobrze. - W powietrzu unosił się mocny zapach świeżej ziemi, a w oddali rozległ się żałosny dwutonowy gwizd pociągu.

- Dlaczego zostawił Jenny w lesie?  
- Danny? - Blake wzruszył ramionami. - Kto wie.  
- Tu miałby lepsze miejsce, prawda? Pamiętał je, powinien o nim pomyśleć. Nigdy by jej tu nie znaleźli. Jak Charliego. I uszło by mu na sucho.  
- Na szczęście dla nas nie wpadł na to. - Blake dotknął mojego ramienia. - W porządku?  
Znowu spojrzałam na polankę w lesie.  
- Nawet jej nie zakopał. Nie próbował jej ukryć. Była upozowana, jakby chciał, żeby ktoś ją znalazł.  
- Może był z siebie dumny.  
- Może.  
Vickers zauważył nas i ruszył w naszą stronę.  
- No witam. Wszystko gra?  
Skinęłam głową.  
- Coś już znaleźli?

- Jeszcze nie - oznajmił rześko - ale dlatego, że się nie spieszą. Jesteśmy całkiem pewni, że kopie my w odpowiednim miejscu. Danny wskazał zapamiętane miejsce, choć nie był całkiem pewien, czy to dokładnie tutaj. Ekipa dochodzeniowa musiała zrobić parę badań. Uważają, że on tu jest. Pies na zwłoki też poszedł prosto do tamtego miejsca.  
- Pies na zwłoki?  
- Pies tropiący nauczony znajdowania zwłok. Można nauczyć

318

psa odnajdowania czegokolwiek - narkotyków, jedzenia, materiałów wybuchowych, pieniędzy, wszystkiego, co ma charakterystyczny zapach - wyjaśnił Blake.

- Po tylu latach chyba nie ma już śladu zapachu?  
Vickers tylko się uśmiechnął.  
- Może dla nas, ale psy mają o wiele wrażliwszy węch. A ten jest całkowicie pewien, że tutaj znajduje się coś godnego sprawdzenia. Pracujemy powoli, żeby nie uszkodzić ciała. Chcemy je wydobyć w jednym kawałku.  
- Jak pan sądzi, ile to potrwa? - spytałam, ale ktoś w namiocie zawołał Vickersa, który odszedł, nie odpowiadając.  
- Jakiś czas - powiedział Blake. - Możesz poczekać tutaj, czy wolisz tam?

Wskazał wielką niebieską płachtę brezentu rozpiętą między paroma drzewami na szczycie zbocza. Pod tym prowizorycznym dachem stało parę osób, w tym przewodnik psa i jego brązo-wo-biały spaniel. Miejsce wyglądało zachęcająco. Drzewa także zapewniały osłonę przed deszczem, ale od czasu do czasu woda skapywała z liści. Mój anorak zrobił się na ramionach ciężki i zimny; deszcz w niego wsiąkał, zamiast spływać. Odwróciłam się do Blake'a.

- Pójdę na górę. Zawiadom mnie, jeśli coś się wydarzy.
- Sama się zorientujesz. Zawsze strasznie krzyczą, kiedy znajdują to, o co im chodzi. Ale będziemy w kontakcie.

Ruszył do grupy pod białym namiotem, a ja zaczęłam się wspinać po zboczu. Stopy ślizgały mi się we wnętrzu gumiaków, oblepionych błotem i ciężących mi jak kajdany. Dotarłam pod niebieski brezent i nieśmiało zajęłam zrobione mi miejsce. Zdjęłam kaptur i kucnęłam przy spanielu. Siedział wyprężony, czujnie chłonąc wszystkie dźwięki i ruchy, z czekoladowymi oczami rozświetlonymi zainteresowaniem.

- Mogę go pogłaskać? - spytałam jego przewodnika, który skinął głową. Przesunęłam dłonią po wypukłej czaszce psa, delikatnie pogładziłam jego uszy. Uniósł głowę, zadowolony z pieszczoty. Łatwo było zapomnieć, jaką pracę wykonuje.

319

Nie podniosłam głowy, kiedy parę innych osób wcisnęło się pod brezent, przesunęłam się tylko trochę, żeby im zrobić miejsce. Nie słuchałam rozmów. Myślam byłam u stóp zbocza, pod białym płótnem, a kiedy usłyszałam "Cześć, Saro", odwróciłam się odruchowo i spojrzałam prosto w oczy Danny'ego Keane'a. Stał dwa kroki ode mnie, nie więcej. Zamarłam, niezdolna do ruchu. Wpatrywał się we mnie nieruchomo, a ja mogłam tylko myśleć o wyrazie twarzy Blake'a, kiedy o nim mówił. "Ma na twoim punkcie obsesję... nie daj się nabrać, jest niebezpieczny". Minęło parę sekund, zanim dotarło do mnie, że po obu stronach Danny'ego stoją policjanci, a wokół roi się od innych funkcjonariuszy i wystarczy tylko zawołać. Danny w tej chwili nie stanowił dla mnie zagrożenia. Wstałam powoli i cofnęłam się nieco. Miał przemoczone ubranie, klejące się do ciała chudego i żyłastego jak u długodystansowca. Włosy przylepiły mu się do czoła; uniósł skute ręce, żeby je odgarnąć. Na przegubach miał kajdanki. Palił papierosa.

- W porządku?

Wbiłam w niego spojrzenie.

- Co powiedziałeś?

- Tylko... że to dziwne. - Wskazał głową namiot, pod którym kopano. - Po tylu latach zjawiasz się, szukając Charliego.

- Tak, to... dziwne. - Nie aż tak dziwne, jak rozmowa z człowiekiem zdolnym do przemocy, bezwzględnym mordercą, ale jednak dziwne. Zaczęłam się zastanawiać, czy on się denerwuje. Przesunął językiem po wargach, jakby wyschły, i lekko odwrócił ode mnie głowę, przyglądając mi się z ukosa. To mnie denerwowało.

Powinnam wyjść spod brezentowego dachu i zejść po zboczu, byle dalej od Danny'ego. Ale zaczęłam się zastanawiać. Był mi winien wyjaśnienie. Podobno zrobił to wszystko dla mnie. Miałam jedyną szansę, żeby go wysłuchać. Jeśli mam z nim rozmawiać, musi uwierzyć, że nie czuję do niego nienawiści.

- Dziękuję, że im powiedziałeś, gdzie szukać Charliego. -

Usiłowałam mówić spokojnie, lekko uśmiechnięta. Sama czułam, że wychodzi mi to fałszywie, ale on odpowiedział uśmiechem.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić.

320

Odkaszlnęłam.

- A... jak zapamiętałeś, gdzie go pochowano?

- Takich rzeczy się nie zapomina. - Pochylił się ku mnie i szep

nął: - Myślałem, że będziesz się mnie bać.

- Z powodu tego, co zrobiłeś? Czy dlatego, że mnie napadłeś?

- Usłyszałam drżenie w swoim głosie, ale może on go nie zauważył.

- Nieprawda. - Pokręcił głową. - Wszystko ci się pomyliło.

- Zaatakowałeś mnie. Miałeś w domu moje rzeczy i strasznie cię kręciło, że mnie zastraszasz.

- Nieprawda. Nie chciałem cię przestraszyć. Nie o to chodzi

ło. - Złagodniał. - Tej nocy, kiedy cię tuliłem, czułem, że serce

ci bije jak małemu ptaszкови. A w ogóle gdzie byłaś? Czekałem godzinami.

Nie odpowiedziałam. Ogarnęła mnie zimna furia, drżałam, ale zachowałam pozorny spokój.

- Jeśli nie chciałeś mnie przestraszyć, to o co ci chodziło?

Odwrócił się ode mnie i przechylił głowę z lewa na prawo, jakby rozciągał mięśnie karku. Wiedziałałam, że gra na zwłokę. W końcu powiedział:

- No, po prostu musiałem się do ciebie zbliżyć. Myślałem, że oddam ci rzeczy i będziemy mieli okazję porozmawiać. Skoro Jenny odeszła, nie wiedziałem, jak będę z tobą utrzymywać kontakt.

Utrzymywać kontakt? To dla niego znaczyło szpiegowanie kogoś, okradanie go?

Prawie go pożałowałam. Prawie.

- Nie mieliśmy kontaktu. Nie znasz mnie. Nie masz pojęcia, jaka jestem.

- Znam cię przez całe życie - odpowiedział z prostotą. - I...

i równie długo cię kocham. Chciałem być przy tobie. Chronić cię.

- Dlatego zaatakowałeś Geoffa?

- Tego fiuta? - rzucił ze śmiechem. - Dostał, na co zasłużył.

- A Jenny? Też zasłużyła?

Zanim zdążył odpowiedzieć, u stóp zбочa rozległ się krzyk. Pies popędził do białego namiotu, merdając ogonem z przejęcia.

321

Jego przewodnik biegł obok. Danny odwrócił się w tamtą stronę. Zobaczyłam bok jego twarzy, wielki siniak na policzku, spuchnięty, sinawy, w środku buraczkowy.

Widać było, że policja nie obchodziła się z Dannym łagodnie.

Wiedziałałam, co oznacza to zamieszanie, ale doszłam do wniosku, że tam nie pójdę.

Patrzyłam na Danny'ego, czekając na odpowiedź.

- Jenny? - Oczy miał puste. - Jak to?

- Myślisz, że zasługiwała na śmierć? - Głos mi drżał.  
-A skąd. - Danny Keane spojrzał na mnie, jakbym oszalała. - To tylko dziecko.  
- Czyli jesteś zasmucony, że Jenny nie żyje.  
-No. Będę za nią tęsknić. Ale... - urwał i uśmiechnął się do mnie - nie tęskniłbym aż tak, gdybyśmy zostali przyjaciółmi. Albo czym innym.  
Skóra mi ścierpła.  
- Skoro tak za nią tęsknisz, dlaczego ją zabiłeś?  
Spojrzał na mnie z urazą.  
-Jak możesz mnie o to pytać? Właśnie ty! Nie zabiłem jej. Musisz mi uwierzyć, naprawdę jej nie zabiłem.  
- To kto? Któryś z tych mężczyzn, których przyprowadzałeś do niej do domu?  
-A w życiu - oznajmił kategorycznie, odwracając się, żeby wyrzucić papierosa, który uderzył o pień drzewa i odbił się, syjąc iskrami. -W życiu. Nie znali jej.  
Opiekowałem się nią. Cały czas nad nią czuwałem na wypadek, gdyby chcieli ją skrzywdzić.  
Skrzywdzić... nie miał pojęcia, co znaczy to słowo. Odwróciłam się, ogarnięta niesmakiem, i prawie wpadłam na Blake'a, zasapanego, jakby właśnie wbiegł po zboczu. Chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegłam za nim, potykając się i ślizgając.  
- Co ty sobie wyobrażasz, Milesy? - Blake łypnął ponuro na młodego policjanta pilnującego Danny'ego, który ze zmartwioną miną zrobił parę kroków za nami. - Myślałem, że miałeś go trzymać na uboczu.  
Danny przeniósł spojrzenie ze mnie na Blake'a i z powrotem. Na jego czole zarysowała się zmarszczka. Zastanowiłam

322

się, co takiego dostrzegł na twarzy Blake'a. Zanim Milesy zdołał wykrztusić, że musieli się schronić przed deszczem, a nigdzie indziej nie mogli pójść, zdjęłam rękę Blake'a ze swojego ramienia i zsunęłam się po zboczu, jak najdalej od nich, nie dbając o to, dokąd idę. Skupiłam się na znajdowaniu drogi między drzewami, na stapaniu wśród korzeni. Nawet nie włożyłam kaptura. Deszcz padał mi na głowę, spływał po włosach. Ziemia lśniła, pnie drzew stały się szkliste od wilgoci, wszędzie dokoła z liści skapywały grube krople. Jedna chlupnęła mi za kołnierz i wsiąkła w podkoszulek na plecach.  
Usłyszałam z tyłu szelest liści i trzask gałązek. Ktoś za mną biegł. Nie zdziwiłam się, kiedy Blake odwrócił mnie gwałtownie do siebie. Twarz miał ściągniętą gniewem.  
- Jesteś zadowolona? Masz, czego chciałaś?  
- Nie planowałam tego. Niby jak? Powiedziałeś, że się do mnie nie zbliży.  
- A ty powiedziałaś, że będziesz się trzymać od niego z daleka.  
Rozmyślałaś się?  
- Chciałam odejść...  
- Ale najpierw postanowiłaś go wypytać.

- Pomyślałam, że powie mi to, czego nie chciał powiedzieć wam - oznajmiłam sucho. - Myślałam, że skoro najwyraźniej coś dla niego znacze, zechce mi wyznać prawdę.

- Gdybyśmy chcieli, żebyś to zrobiła, pewnie byśmy cię o to poprosili. I chyba znaleźlibyśmy lepsze miejsce na rozmowę niż nasyp kolejowy, gdzie nie można nagrać przyznania się do winy.

- Blake odszedł o parę kroków i zatrzymał się, kręcąc głową. Potem wrócił do mnie. - Po coś wymyślono procedury. Samo wypytywanie na chybił trafił nie wystarczy.

- Masz rację - warknęłam, hamując gniew. - To dlaczego tobie się nie udaje, skoro jesteś takim znawcą? Dlaczego nie skłoniłeś go do przyznania się, że zabił Jenny? Muszą istnieć jakieś dowody. Ślady DNA. Musicie jakoś sprawić, żeby mu się to nie upiekło. Shepherdów guzik obchodzi, że zabił Geoffa. Chcą sprawiedliwego wyroku za śmierć swojej córki.

323

- Będą musieli poczekać. Prokuratura na razie nie zamierza go oskarżyć. Podobno nie ma mocnych dowodów. Każdy obrońca z prawdziwego zdarzenia bez trudu go wybroni. Musimy mieć coś więcej i wierz mi, szukamy. Odpowie za Geoffa, za zgwałcenie Jenny i za rozprowadzanie pornografii dziecięcej. Stanie przed sądem. Trochę to potrwa, ale zostanie osądzony. Nie ujdzie bez karnie.

Odwróciłam się z bezradną złością.

- To za mało.

- W tej chwili tylko tyle mamy. - Blake zamilkł na chwilę, a kiedy znowu się odezwał, miał łagodniejszy głos. - Przecież nie dlatego tu jesteśmy. Pewnie już się zorientowałaś, ale przyszedłem ci powiedzieć, że znaleziono ludzkie szczątki.

Stało się. Zrozumiałam to w chwili, kiedy w białym namiocie rozległy się krzyki, ale i tak poczułam fizyczny wstrząs.

- To na pewno Charlie?

- Antropolog sądowy musi stwierdzić, że kości należą do ofiary w wieku twojego brata i że leżały w ziemi odpowiednią ilość czasu. Ale od naukowca nigdy nie otrzymasz jasnej odpowiedzi. Zabiorą szczątki do laboratorium. Za parę dni będą wyniki badania DNA i porównania z kartą dentystyczną. Na razie wszystko zgadza się z tym, co powiedział nam Danny. Ułożenie ciała, miejsce, wszystko. Jeśli to nie Charlie, los z nas zakpił.

- Dziękuję, że mnie powiadomiłeś - powiedziałam szczerze, choć mój głos brzmiał martwo.

- Chcesz popatrzeć?

- Nie. Nie chcę... nie chcę widzieć szkieletu. Odwieszysz mnie do domu?

- Oczywiście. - Zawahał się przez chwilę. Wyjął z kieszeni klu-  
czyki i mi podał. - Muszę powiadomić Vickersa, dokąd jedziemy.  
Znajdziesz samochód?

Wzięłam bez słowa kluczyki i poczłapałam z powrotem, trzymając się blisko torów.  
Nie zastanawiałam się nad tym, co robię, skupiłam się tylko na marszu, od czasu do  
czasu podnosząc głowę, żeby sprawdzić, czy już widzę bramę. Znalazłam ją bez  
więk-  
324

szych kłopotów, kierując się głównie skrzeczeniem krótkofalówki policjanta, który  
stał przy niej na warcie. Minęłam go bez słowa i powlokłam się dalej jak starowinka.  
Dopiero przy samochodzie poczułam, jak mocno zaciskam kluczyki w dłoni. Zrobiły  
mi się na niej czerwone ślady. Usiadłam na fotelu pasażera, raz po raz przesuwając  
palcami po wgnieceniu na ręce.

Wydawało mi się, że podróż w drugą stronę trwała o wiele krócej. Blake jechał  
szybko, hamując ostro na światłach i przeklinając innych kierowców pod nosem.  
Trafililiśmy na najgorsze poniedziałkowe korki. Chciał jak najszybciej wrócić na tory,  
na wypadek gdyby znaleźli coś jeszcze. Powiedział, że szukają także innych ludzi,  
którzy zniknęli przez ostatnie dwadzieścia pięć lat - czyli w okresie, w którym działał  
Derek Keane. To zbyt dobre miejsce, żeby go użyć tylko raz, wyjaśnił Blake. Nie  
podzielałam jego entuzjazmu. Ogarnęły mnie duszności, jakby coś zasłaniało mi usta  
i nos. Okrucieństwa Dereka Keane'a nie miały końca. Zniszczył nam życie, rzucił  
cię na swego okaleczonego, niebezpiecznego syna.

Dotarliśmy do mojego domu. Pożegnałam się szybko. Blake był bardzo oficjalny,  
myślami już w pracy. Kiedy oddalałam się podjazdem, otworzył okno i zawołał za  
mną:

- Za parę dni przekażę ci wyniki!

Kiwnęłam głową, ale przecież już wiedziałam, jakie będą. Danny nie miał powodów  
kłamać. Los Charliego wydawał się całkiem jasny. Jego ostatnie chwile musiały być  
przerazające; pewnie się bał, cierpiał, był zły. Tyle uczuć nałożyło się na obraz  
mojego brata, że nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak zareagował. Papierowy heros,  
którego sobie wyobraziłam, nadludzko inteligentny i pomysłowy starszy brat na  
pewno by się bronił. Ale dziecko w rozpaczliwie strasznej sytuacji pewnie wzywało  
matkę. I to, pomyślałam, cicho zamykając za sobą drzwi i stawiając zabłocone  
gumiaki na wycieracze, najbardziej zmieniło mamę. Bez względu na to, jak go  
325

kochała - a kochała go najbardziej na świecie - nie zdołała go uratować.

W domu było cicho. Podniosłam leżące na ziemi listy, w tym grubą kopertę  
zaadresowaną pismem cioci Lucy. Zapasowe kluczyki do samochodu, wreszcie! Listy  
były skropione deszczem i wilgotne; zostawiłam je na stoliku w korytarzu, na razie  
niezdolna do zajęcia się nimi. Poszłam do kuchni. Zegar odmierzał sekundy,  
chrobocząc jak zwiastujący śmierć chrząszcz tykotek. Jego tykaniu wtórowało  
bębnienie deszczu o szyby. Spojrzałam z niedowierzaniem na tarczę. Była dopiero  
dziewiąta. Sądziłam, że już co najmniej pora obiadu.



Na myśl o obiedzie żołądek mi się ścisnął. Jestem głodna, wyjaśniłam sobie, zdejmując kompletnie przemoczony anorak i wieszając go na oparciu kuchennego krzesła. Najwyraźniej miałam inne wyobrażenie o materiale przeciwdeszczowym niż producent. Ramiona mojego podkoszulka były ciemne od deszczówki i lodowate. W lodówce znalazłam opakowanie bekonu i nieco przedatowa-ne jajka, których spożycie byłam gotowa zaryzykować. Wzięłam patelnię i zabrałam się do przyrządzenia najtłustszego i najbardziej niezdrowego śniadania świata - jajka ze zwiniętymi w falbankę paskami bekonu w kałuży syczącego oleju. Właśnie tego potrzebowałam. Zrobiłam też herbatę i grzanekę. Nakryłam do stołu na dwie osoby, może mamę zwabi zapach smażonego bekonu. Zdjęłam patelnię z ognia i postawiłam na palniku obok, gotową do użycia, gdyby mama się zjawiła.

Śniadanie okazało się całkiem smaczne. Jajka rozlały się gęstą żółtą mazią po grzance, falbanki bekonu były nakrapiane drobinkami czystego tłuszczu. Jadłam metodycznie, rozgrzana pożywieniem i mocną herbatą. Musiałam powiedzieć mamie, że znaleziono Charliego, ale nie pozwoliłam sobie o tym myśleć, dopóki jadłam. Nie byłam gotowa. Mama kochała Charliego niewyobrażalnie. Często mi powtarzała, że zrozumie to dopiero, kiedy sama będę miała dzieci. Ta myśl budziła we mnie dreszcz. Jeśli tak wyglądała miłość, nie chciałam mieć z nią nic wspólnego.

326

Na piętrze nadal panowała cisza, kiedy wstawiłam talerze do zlewu. Muszę iść na górę i ją obudzić. Nalałam resztę herbaty do czystego kubka. Po zbyt długim parzeniu w imbryku była czarna jak smoła, ale uznałam, że mama nie będzie miała nic przeciwko. Zboczyłam z trasy do stolika w korytarzu i przejrzałam szybko listy. Rachunki, reklamy, jak zwykle. Nic ciekawego. Włożyłam je pod pachę i weszłam ostrożnie po schodach, trzymając kubek w obu rękach. Drzwi do jej pokoju były zamknięte, tak jak rano. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Nie wiedziałam, dlaczego się zawahałam, dlaczego mój głos zadrżał, kiedy zawołałam:

- Mamo!

Milczenie. Znowu zapukałam, nie spuszczać oka z herbaty, która przy każdym moim ruchu chciała wychlupnąć przez krawędź kubka.

- Mogę wejść?

Ledwie otworzyłam drzwi, zrozumiałam, że stało się coś złego. Wiedziałam to, nie zrobiwszy nawet kroku. Mama była bardziej zorganizowana niż Paul, nie popełniła żadnego błędu. Na nocnej szafce stał równy rząd buteleczek po lekarstwach, bez zakrętek, pustych. Na podłodze stała butelka, w której zostały ze dwie szklanki whisky. Obok niej druga, leżąca na boku. Na łóżku, schludnie przykrytym kołdrą - moja matka. Leżała na plecach, z rękami po bokach, z twarzą woskową w bladym świetle sączącym się przez lekko rozchylone zasłony. W pokoju unosił się kwaśny zapach. Jego przyczyną była plama na szyi i ramieniu mamy, a także na materacu. Mama dostała torsji, ale nie dość silnych, żeby przeżyć. Nie myśląc, podeszłam i stanęłam obok niej. Bardzo delikatnie dotknęłam wierzchu jej ręki. Zimna. Nie musiałam sprawdzać pulsu. Mama odeszła. Wiedziała już, że Charlie nie wróci, i wymknęła mi się, kiedy nie patrzyłam.

Zaczęłam szukać - początkowo spokojnie - listu, który powinna zostawić. Na szafce

nocnej nic. Na podłodze nic. W jej rękach nic, na pościeli nic. Na komodzie nic. W kieszeniach jej ubrania nic. Nic. Nic. Nic. Nawet nie raczyła się ze mną pożegnać.  
327

Sens tego, co się stało, nagle uderzył we mnie i wpadłam jak strzała do łazienki, a całe śniadanie podeszło mi do gardła. Udało mi się dopaść muszli, zanim bluznęło mi z ust. Zwymiotowałam wszystko, aż w ustach został mi palący smak żółci. Mój żołądek usiłował się wywrócić na lewą stronę. W końcu osunęłam się na ścianę łazienki i podkuliłam nogi, oparłam łokcie na kolanach, przycisnęłam oczy dłońmi. Pod powiekami wirowały mi jaskrawe światełka.

Po jakimś czasie wstałam i nad umywalką wypłukałam usta zimną wodą. Ręce mi się trzęsą, zauważyłam obojętnie. Moje odbicie w lustrze było mizerne, blade, z zapadniętymi policzkami. Tak będę wyglądać na starość.

Zajrzałam do pokoju mamy. Widziałam małe wybrzuszenie pod kołdrą - jej stopy. Nigdy więcej się nie poruszy. Nigdy. Nigdy. Nie mogłam tego pojąć. Tak, jakby mój mózg nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Może to szok, ale z trudem obmyślałam, co zrobię dalej.

Wiedziałam, że powinnam kogoś o tym powiadomić. Należało coś zrobić. Zamiast się tym zająć, poszłam tam, gdzie zostawiłam stertę kopert, i wygrzebałam z niej tę małą pękata, z kluczykami. Potrzebowałam kogoś, kto mnie obejmie i powie, że wszystko będzie dobrze. Potrzebowałam kogoś, kto mnie wyręczy, kto wyjaśni rozsądnie i racjonalnie, co się wydarzyło w mojej rodzinie. Jediną osobą, która mogłaby to zrobić - jedyną osobą, której mogłabym to powiedzieć, ufając, że robi, co trzeba - był Blake.

Wezmę samochód i pojedę do niego, a on wszystko naprawi.

Ludzie giną w ogniu, bo nie chcą zmienić planów. Ludzie zmierzają z otwartymi oczami prosto w przepaść, bo boją się nieznanego.

Moje życie płonęło, a ja mogłam się tylko zastanawiać, czy mój samochód nadal stoi tam, gdzie go zostawiłam.

2005

Trzydzieści lat od zaginięcia

J

' adę do domu po parę ostatnich rzeczy. Na tym koniec. Wszystko jest załatwione. Ben znalazł nam dom w Manchesterze, będziemy go dzielić z czworgiem przyjaciół z uczelni. Dostałam pracę w biurze podróży. Kokosów nie zarobię, ale służbowe świadczenia są fantastyczne - tanie bilety na samolot i miejsca w hotelach, na które nie byłoby nas stać. Ben i ja już zaplanowaliśmy, dokąd polecimy w przyszłym roku: Maroko, Włochy, na Boże Narodzenie Phuket. Wszystko się układa.

Muszę tylko powiedzieć mamie, zabrać rzeczy i spadać w cholerę.

Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze. Kołyszę się wraz z pociągiem, spoglądam na przesuwające się za oknem pola. Wszystko we mnie krzyczy, że nie powinnam wracać do domu po zrobieniu dyplomu, że podjęłam właściwą decyzję. Ta część mojego życia się skończyła. Nie podejrzewam, żeby mama chciała mojego powrotu. Ale jeszcze jej o tym nie powiadomiłam. Nie powiedziałam jej o Benie, z którym

jestem od dwóch lat i który wie, że prawdopodobnie nigdy nie pozna mojej matki, choć nie wie dlaczego. Nie powiedziałam Benowi o Charliem, tacie i reszcie, przez którą jestem, jaka jestem. Za dużo tajemnic. Za wiele przemilczeń. Pewnego dnia będę

329

musiała się zdobyć na wielkie wyznanie, żeby się dowiedział, kogo kocha. Ale jeszcze nie.

Mama jest najważniejsza.

Dom wydaje się pusty, kiedy zbliżam się do niego, dźwigając torbę. W oknach ciemno. Mama nigdy nie wychodzi, ale nie ma sensu dzwonić. Znajduję klucze, otwieram drzwi. Od razu czuję dziwny zapach, jakby gnijącego jedzenia i czegoś jeszcze.

Włączam światło i natychmiast ją widzę. Leży w dziwnej pozie u stóp schodów. Nie pamiętam, kiedy się ruszyłam, upuściłam torbę, ale nagle jestem przy niej i mówię:

- Mamo! Słyszysz mnie? Mamusiu!

Nie nazywałam jej tak od lat.

Mama wydaje cichy jęk. A więc żyje, ale jest zimna i przerażająco sina. Nogę ma zgiętą pod dziwnym kątem, na pewno złamaną. Wiem także, że mama leży tak od dawna. Na wykładzinie pod nią widzę ciemną plamę, a zapach jest mocniejszy, amoniakowy.

- Wezwę karetkę - mówię wyraźnie i idę do telefonu, który stoi o parę centymetrów od jej ręki. Mama chwyta mnie za kostkę z zadziwiającą siłą. Prawie krzyczę. Mama usiłuje coś powiedzieć. Powieki jej drżą.

Pochylam się, usiłując nie reagować na jej zapach, oddech. Ogarnia mnie zgroza, współczucie i wstyd. Po paru sekundach udaje się jej przemówić.

- Nie... chcę być sama.

Przełykam ślinę, usiłując usunąć z gardła kulę, która w nim utknęła.

- Nie będziesz sama, mammo, damę słowo.

Wzywam ambulans i siedzę przy niej, rozmawiam z lekarzami i sprzątam bałagan w domu. Dzwonię do Bena i mówię, że zmieniłam zdanie. Sugeruję, że nigdy go nie kochałam. Sugeruję, że kłamałam. Przestaję odbierać komórkę i nie odpisuję na SMS-y przyjaciół. Palę wszystkie mosty.

I nigdy - ani razu - nie przychodzi mi do głowy, że mi się pomyliło, że po raz kolejny źle zrozumiałam moją matkę.

330

Nie chcę być sama?

Wątpię.

Nie. Chcę być sama.

To brzmi sensowniej.

R

olicjant pod domem Shepherdow nudził się jak mops. Schronił się pod wiśnią w ogrodzie, ale deszcz i tak lał się strumieniami na jego odblaskową kurtkę i spływał z czapki. Prawie wszyscy dziennikarze ruszyli na poszukiwanie ciekawszych historii. Gdzieś dało się jeszcze zauważyć samochód z zaparowanymi oknami.

Obserwatorzy.

Za dnia dostrzegłam szczegóły, których poprzednio nie zauważyłam - trawnik był rozkopany i zdeptany przez niezliczonych gości. Zatrzymałam się na chwilę, spoglądając przez bramę, po czym odwróciłam się, żeby pójść do samochodu.

- Sarah!

Rozpoznałam ten głos, zanim zobaczyłam Valerie Wade stojącą w progu domu Shepherdow. No świetnie. Zupełnie zapomniałam, że ona tu jest. Ona zadzwoni do Vickersa i powie mu, że przyszłam. Miałam wrażenie, że to mu się nie spodoba.

- Wydawało mi się, że to ty - oznajmiła tryumfalnie. -

Wyglądała przez okno. Chcesz czegoś?

Chciałam jak najszybciej uciec, wsiąść do samochodu i opuścić Elnwiew na zawsze, ale to by nie było rozsądne. A niechęć do wyjaśniania, co robiłam pod domem Shepherdow i dlaczego mój samochód tkwił tu tak długo, stała się silniejsza niż kiedykolwiek. Musiałam blefować. Poza tym chciałam coś powiedzieć Shepherdom. Nigdy nie trafiłaby mi się lepsza szansa. Całkiem jakby skierowało mnie tu przeznaczenie.

Weszłam przez bramę i ruszyłam ścieżką, czując na sobie wzrok policjanta spod wiśni.

332

- Czy mogłabym porozmawiać z Shepherdami? Nie miałam okazji zamienić z nimi słowa na temat tego, co się stało z Jenny i... no, bardzo bym chciała...

Ktoś stanął za plecami Valerie. Dobiegł mnie pomruk, zbyt cichy, żebym zdołała rozróżnić słowa. Valerie odsunęła się na bok.

- Dobrze. Wejdz.

W korytarzu nagle straciłam odwagę i zaczęłam gorliwie szukać miejsca, w którym mogłam zostawić swoją ociekającą deszczem parasolkę i kurtkę. W korytarzu powietrze było gęste od zapachu przekwitłych lilii. Znalazłam jego źródło, wytworny bukiet przy telefonie. Wielkie białe kwiaty zbrązowiły, toczony rozkładem, ich płatki obwisły. Ktoś, kto je wtoczył do wazonu, nie pofatygował się, żeby zdjąć z nich celofan.

- Może herbaty? - spytała Valerie, a kiedy skinęłam głową, poszła do kuchni, zostawiając mnie bez słowa. Odwróciłam się w stronę schodów i zamarłam. Na drugim stopniu od góry siedział Michael Shepherd z rękami opartymi na kolanach. Przez jakiś czas oglądał swoje dłonie, po czym je opuścił. Kiedy na mnie spojrział, znowu uderzył mnie wyraz jego czarnych jak węgiel oczu. Nadal płonęło w nich skupienie drapieznika, ale był to dogasający płomień. Michael Shepherd wyglądał na wyczerpanego, choć nie złamanego; pewność

siebie i siła, które zauważyłam już wcześniej, skryzalizowały się w czystą wolę przetrwania. Znowu pomyślałam o swoim ojcu, zastanawiając się, czy był tak silny i tak zdruzgotany jak ten mężczyzna.

- Czego chcesz? - Michael Shepherd miał ochryple głos, jakby ostatnio rzadko go używał.

- Chciałam z państwem porozmawiać - wykrztusiłam, starałam się udawać spokój i opanowanie. - Chyba... chyba lepiej niż ktokolwiek rozumiem, co czujecie. I chcę wam coś powiedzieć. Powinniście to wiedzieć.

- Czyżby? - Ton miał obraźliwie obojętny, sarkastyczny. Ten ton wywołał rumieniec na moje policzki. Zagryzłam wargę. Shepherd westchnął, ale wstał. - W takim razie porozmawiajmy.

Poszłam za nim do salonu, wszędzie widząc oznaki bezpiecznego, dostatniego życia, które okrutnie i nieodwołalnie zostało

333

wywrócone do góry nogami. Zdjęcia Jenny zajmowały większość wolnych powierzchni, wisiały na ścianach, zdjęcia z kucykami, w baletowych spódniczkach i bikini, wszystkimi rekwizytami mieszczańskiego dziecka, które nie wie, co znaczy niedostatek. Dali jej wszystkie atuty, wszystkie akcesoria, które mogły mieć jej koleżanki z bogatszych domów. Spojrzałam na zdjęcia, na uśmiech Jenny i pomyślałam, że żadne z nas jej nie znało. To, czego dowiedziałam się o jej potajemnym życiu, nie wyjaśniło mi niczego. Wiedziałam, co zrobiła, ale powodu nie pojmowałam - pewnie tak jak wszyscy. Mogliśmy się opierać tylko na kłamstwach Danny'ego Keane'a.

Dom stał w dość skromnej dzielnicy, ale i tutaj potrzeba ulepszenia dała o sobie znać. Został rozbudowany; na parterze wydawał się niemal dwa razy większy od tego, w którym mieszkałam przez całe życie. Podwójne szklane drzwi oddziaływały salon od jadalni. Podobne drzwi prowadziły tu z ogrodu, gdzie zauważyłam taras z eleganckimi ogrodowymi meblami i zabudowanym grillem. Kuchnia, widoczna przez otwarte drzwi, była luksusowo urządzona, stały tu kremowe szafki z blatami z czarnego marmuru. W salonie rzucał się w oczy ogromny telewizor o tak wielkim ekranie, że obraz był zniekształcony. Działał z wyłączonym dźwiękiem; spikerka relacjonowała coś bardzo przejęta. Jej twarz stężała w uroczystym, wysiłonym grymasie. Przed telewizorem stała ogromna sofa, na której siedziała pani Shepherd, wpatrując się w ekran niewidzącym wzrokiem. Nie obejrzała się, kiedy weszłam. Zdażyłam zauważyć, że i w niej zaszła wielka zmiana. Skórę wokół nosa i oczu miała zaczerwienioną i pokrytą plamami. Tak jak poprzednio, jej zlepione w strąki włosy zwisały bez życia. Miała na sobie bluzę, dzinsy i trampki. Elegancja, z którą się niegdyś nosiła, znikła bez śladu, ubranie było praktyczne i za duże. Michael Shepherd płonął furją, jego żona wyglądała jak zamrożona rozpaczą.

- Siadaj - rzucił Shepherd opryskliwie, wskazując fotel stojący bokiem do sofy. Sam

usiadł obok żony i wziął ją za rękę, ścisnął jej dłoń tak mocno, że kostki mu zbieleły. Zaprotestowała, ale przy-

334

najmniej ocknęła się z otępienia. - Diane, to jest... nauczycielka Jenny. - Shepherd spojrział na mnie bezradnie i przesunął ręką po czole. - Przepraszam, nie pamiętam, jak się nazywasz.

- Sarah Finch. Uczyłam Jenny angielskiego.

- I czym to zamierzasz się z nami podzielić? - Powiedział to nieufnie, prawie z niechęcią.

Dianę Shepherd patrzyła na mnie z rozpaczą. Wyprostowałam się i splotłam ręce.

- Przyszłam do państwa, bo... no, przez to. - Wskazałam ekran telewizora, na którym reporterka mówiła na tle drzew. Napis na czerwonym pasku na dole krzychał: "Policja z Surrey znalazła zwłoki przy nasypie kolejowym - jak podaje nasze źródło, mogą to być szczątki Charliego Barnes'a, ucznia zaginionego w 1992". Na ekranie pojawiło się standardowe zdjęcie Charliego, na ogół używane przez media; szkolna fotografia, na której mój brat uśmiechał się uroczym do obiektywu, z oczami pełnymi życia. Odwróciłam się do Shepherdów, którzy spoglądali na ekran bez zrozumienia.

- Charlie jest... był... moim bratem. Kiedy zaginął, miałam osiem lat. Policja dziś rano znalazła jego ciało.

- Współczuję. - Michael Shepherd tak mocno zaciskał szczęki, że słowa z trudem wydostawały się mu z ust.

- Rzecz w tym, że zabił go ojciec Danny'ego Keane'a. -

Wiedziałam, że to nazwisko przykuje ich uwagę. Teraz nadeszła ta trudna część. - Po zniknięciu Jenny wszystko do mnie wróciło. Od samego początku miałam w tym pewien udział. To ja znalazłam Jenny w lesie - pewnie już wiecie o tym.

Oboje wpatrzyli się we mnie z osłupieniem. Dianę wyglądała jak ogłuszona, z lekko otwartymi ustami. Jej mąż marszczył brwi.

- Tak, przypominam sobie. Wracałaś jak bumerang - powiedział wreszcie.

- Herbatka! - zakrzyknęła Valerie, nadchodząc z tacą pełną kubków. - Nie wiedziałam, czy pijesz z cukrem, więc go przyniosłam, i mleko też, możesz sobie dodać. Wiem, jak lubicie herbatkę - dodała, chichocząc ze skrepowaniem, pochylona przy Shepherdach, żeby mogli wziąć kubki. Na tacy zostały jeszcze

335

dwa. Zrozumiałam ze ściśniętym sercem, że Valerie zamierza nam towarzyszyć. Michael Shepherd też to zauważył i zainterweniował, zanim zdążyła usiąść.

- Chcielibyśmy porozmawiać prywatnie. Możesz nas zostawić na parę minut?

- Oczywiście. - Na jej policzki wypłynął rumieniec. - Ale będę

w kuchni, jeśli będziecie mnie potrzebować. - Zabrała kubek i wymaszerowała z wysoko uniesioną głową. Nie miałam dla niej ani krzty sympatii, ale poczułam odrobinę litości. Co ona tu osiągnie, oprócz podawania niezliczonych kubków herbaty? Wiedziałam, że Shepherdowie czekają, aż Danny przyzna się do winy, co mogło nastąpić lada chwila, ale miałam wrażenie, że chcą być sami.

- Na czym stanęliśmy? - ponaglił mnie Michael Shepherd. Trudno mi było mówić dalej.

- Chodzi o to, że... moi rodzice bardzo cierpieli po zniknięciu Charliego. Nie mogli żyć z tym, co się stało, i nie mogli żyć ze sobą. W końcu to zniszczyło ich oboje. Nie chcę, żeby to samo stało się z państwem. Nikt nie zasługuje na to, co spotkało moich rodziców. Może ich nieszczęście posłuży w dobrej sprawie. - Odetchnęłam głęboko. - To nie wszystko.

-Tak?

-Danny Keane... popełnił straszne rzeczy. Okropne. Ale powinniście zrozumieć dlaczego. - Chciałam im powiedzieć, że to moja wina, a nie ich. Czy to ważne, jeśli będą mieli pretensję do mnie?

Michael Shepherd poruszył się nerwowo.

- To znaczy, że się przyznał?

- Nic o tym nie słyszałam.

- Myślałem, że dowiesz się przed nami. Masz dobre układy z policją.

Powiedział to nieprzyjemnym tonem. Znowu się zarumieniłam.

- Poznałam paru policjantów, to wszystko. Sam pan powiedział, że wracam jak bumerang. - Udałam, że popijam herbatę.

336

Była za gorąca. Rozejrzałam się za miejscem, w które mogłabym odstawić kubek. Nie chciałam go umieścić bez podstawki na poli-turowanym stole. W końcu postawiłam go na podłodze.

- Tak naprawdę przyszedłam powiedzieć...

Chrobot pazurków na kafelkach. Mały brudny terier wpadł z kuchni do salonu i podskoczył do mnie, ziejąc radośnie, z głową przechyloną na bok.

- Ten cholerny pies! - Michael Shepherd poderwał się z sofy i stanął nad psem, który przywarował przy moich stopach, nie śmiało merdając ogonem.

Dianę ocknęła się z bezruchu.

- Daj mu spokój. Nie robi nic złego.

- Powinienem się go pozbyć - rzucił Michael przez ramię do żony, chwycił psa za obrozę i pociągnął go do kuchni. Szarpnął mocno i piesek zaskomlał, skulony ze strachu.

Mimo woli zacisnęłam dłonie na poręczach fotela. Przecież nie mogłam interweniować. Shepherd zniknął za drzwiami. Usłyszałam, jak beszta Valerie:

- Już mówiłem, że nie wolno go wpuszczać do domu. Jego miejsce jest na dworze.

- Wbiegł, kiedy otworzyłam drzwi.

- Bardziej uważaj.

Spojrzałam na Dianę, która przymknęła oczy. Poruszała ustami, jakby się modliła. Wargi miała wyschnięte, łuszczące się, powieki czerwone. Drgnęły i Dianę spojrzała mi prosto w twarz.

- To pies Jenny?

- Archie - odpowiedziała po paru chwilach. - Mikę nie może znieść jego widoku.

To się raczej rzucało w oczy.

- Pewnie mu ją przypomina. To musiało być straszne, kiedy pies wrócił bez niej.

Dianę zaczęła dygotać. Pożałowałam, że jej to przypominałam. Oczy się jej zamglily; poczułam, że oddała się ode mnie, zapomina o mojej obecności. Kiedy się odezwała, musiałam wyteńczyć słuch, żeby ją zrozumieć.

337

- Wrócił? Przecież był tu cały czas... - Głos jej zamarł, jakby odzyskała przytomność. Usiadła prosto i odkaszlnęła. - Tak, to był wstrząs. Nie spodziewaliśmy się zobaczyć Archiego przed drzwiami, bo powinien być z Jenny.

Siedziałam skamieniała ze zgrozy. Miałam wrażenie, że wszystko, co wiedziałam i rozumiałam, nagle przesunęło się o kilkanaście stopni, tworząc nową i kompletnie przerażającą rzeczywistość. Na pewno się myślę, powiedziałam sobie. Jestem jeszcze w szoku po tym, co się stało z mamą, po znalezieniu szczątków Charliego. Wszędzie widzę śmierć i przemoc. To, co sobie wyobraziłam, jest niemożliwe.

Niewyobrażalne.

Ale to nie znaczy, że nieprawdziwe.

Dianę przechyliła głowę, nasłuchując. Głosy się oddaliły, jakby Valerie i Michael wyszli do ogrodu. Mam czas, pomyślałam. Niewiele, ale zawsze. Może wystarczy.

- Dianę - powiedziałam ostrożnie, starannie dbając o to, by nie podnosić głosu. - Nie szkodzi, jeśli nie wszystko było tak, jak powiedziałaś policji. Ale jeśli jest coś - nieważne co - o czym powinni wiedzieć, powiedz mi teraz.

Spuściła głowę i spojrzała na splecione na kolanach dłonie. Napięcie w niej wibrowało. Widziałam, jak walczy ze sobą. Czekałam z zapartym tchem.

- On mnie zabije. - To zdanie, cień zdania, uleciało z jej ust jak oddech. Wzdrygnęłam się, widząc w jej oczach strach.

- Obronią cię. Pomogą. - Musiałam wyrzucić presję i zrobiłam to, źle o sobie myśląc. - Nie chcesz powiedzieć prawdy? Dla Jenny?

- Wszystko zrobiliśmy dla niej. - Spojrzała na zdjęcie na stole, wakacyjną fotografię młodszej Jenny w kostiumie, na tle błękitnego nieba, śmiejącej się do obiektywu. W pokoju zrobiło się tak



cicho, że prawie podskoczyłam, kiedy Dianę znowu się odezwała.

- To bez sensu, prawda? To nie ma sensu.

- Rozumiem, że się boisz, ale gdybyś tylko...

- Bałam się - przerwała mi. - Bałam się, więc zrobiłam, co chciał. Ale nie zamierzam dłużej kłamać. On uważa, że słusz-

338

nie postąpił, lecz jak to możliwe? Nie mogłam go powstrzymać. Nie mogłam jej uratować, bo dla Michaela wszystko musi być doskonałe. Nie może znieść, jeśli coś jest... niedoskonałe.

- Nawet Jenny?

- Zwłaszcza ona. Wiedziała, że nie pochwali jej nieposłuszeństwa. Wiedziała, że to niebezpieczne.

Przypomniałam sobie Michaela Shepherd'a na posterunku policji, scenę, którą zrobił, zrozumiał, że los jego córki dotrze do wiadomości ogółu. Wtedy sądziłam, że chce bronić córki nawet po jej śmierci. Myliłam się. Nie chodziło mu o jej reputację. Bronił siebie.

Dianę znowu ściszyła głos. Z trudem rozróżniałam słowa.

- Był zdruzgotany, kiedy dowiedział się o dziecku.

- Wyobrażam sobie.

- Nie. Nie możesz. Wiesz, do czego mnie zmusił? Kazał mi ją tam zostawić. Moje dzieciątko. W mroku, na zimnie, w deszczu, bez ochrony, dopóki ktoś jej nie znajdzie. A ja się zgodziłam.

Po jej policzkach toczyły się łzy. Starła je gwałtownie, wytarła nos rękawem. Słowa popłynęły jak strumień, którego nie mogłabym powstrzymać, nawet gdybym chciała. Tak jakby Dianę tylko czekała, żeby powiedzieć komuś, co zrobił jej mąż.

- Widzisz, dowiedział się o jej chłopcu. O, nie znał całej historii. Nie miał pojęcia, że byli ci... inni. Sądziłyśmy, że uciekała do Danny'ego, bo wiedziała, że tego nie pochwalamy. Michael powiedział jej, że nie może mieć chłopca do osiemnastki, więc nawet gdyby Danny był jej rówieśnikiem, i tak nie pozwolilibyśmy się im widywać. - Zamrugnęła, cicho pociągając nosem. - Myślałam, że może dlatego z nim była. Bo miała być doskonała - córeczka tatusia - i trudno było jej sprostać temu zadaniu. Ale może to dlatego, że przywykła do posłuszeństwa. Może ten człowiek właśnie tak ją przekonał do robienia tych rzeczy. Wyglądała dziecinnie, prawda? I naprawdę była dzieckiem, a kiedy mi powiedziała, że jest w ciąży, po prostu nie mogłam uwierzyć. - Dianę w końcu spojrzęła na mnie z bólem. - Nie powinnam nic mówić, trzeba było pomóc jej się tego pozbyć. Zapomnielibyśmy o wszystkim. Byłaby mi wdzięczna,

339

bo się martwiła, wiedziała, że jest o wiele za młoda na dziecko i że ojciec się zdenerwuje. Ale ja ją uspokoiłam. Powiedziałam, że wszystko będzie dobrze. Że się nią zajmiemy, jak zawsze. Nie wiedziałam... nie wiedziałam...

Prawie wykrzyczała te ostatnie słowa i przycisnęła dłoń do ust, usiłując się opanować.

Wiedziała, że rozpacz objawia się różnie. Wiedziała, że histeria może wywołać intensywne halucynacje; brak snu i wewnętrzny zamęt sprawiają, że ludziom miesza się fantazja z faktami. Wiedziała, że wyrzuty sumienia to najbardziej destrukcyjna emocja, że każdy rodzic czuje się winny, jeśli nie ochronił dziecka. A jednak musiałam uwierzyć w każde jej słowo. Spojrzałam na szklane drzwi jadalni, za którymi widać było Shepherd'a w ogrodzie. Przestało padać, choć stalowe chmury wisiały nisko. Shepherd palił małe cygaro. Smużki siwego dymu kreśliły kręte linie w powietrzu. Musiałam się dowiedzieć więcej, ale szybko.

- Jak ją zabił?

Dianę pokręciła głową, nie otwierając oczu.

- Nie wiedziałam.

- Rozumiem. Nie mogłaś wiedzieć. Jak to się stało? - spróbowałam znowu.

- Powiedziałyśmy mu, a on ją uderzył. - Zgrozę tamtej chwili było wyraźnie słycać w jej głosie. - Nie mógł ścierpieć, że go oszukała. Potem powiedział jej, że jest nieczysta. Kazał się jej wykapać. Miałam pomóc przygotować ją do kąpieli. Rozebrałam ją... Myślałam, że to jakoś pomoże. Że to go uspokoi. Nie sądziłam, że tak się zawezmie...

-A potem...

Powieki jej zadrżały. Zmarszczyła brwi.

- Zostałam w łazience. Jenny była zdenerwowana, tak strasznie zdenerwowana, nie chciałam jej zostawiać. Kiedy przyszedł, okropnie się rozgniewał, że z nią jestem. Mnie też nazwał dziwką, matką kurwy i powiedział, że mogę popatrzeć, jeśli chcę. A potem położył jej ręce, o, tutaj... - Wskazała obojczyki; miejsce, w którym dostrzegłam siniaki na ciele Jenny. - Wepchnął ją pod wodę i przy-

trzymał, aż przestała się szamotać. Nie trwało to długo. Chciałam go powstrzymać, ale nie zdołałam. On jest taki silny... Potem ją zabrał do lasu. Nawet jej nie okrył. Błagałam, żeby ją otulił, ale nie chciał. Leżała na zimnie...

- Musisz o tym powiedzieć policji.

Otworzyła szeroko oczy.

- Nie! On mnie zabije. - Była autentycznie przerażona.

Wyjęłam z torby komórkę i zaczęłam przewijać kontakty.

- Zadzwoń do Vickersa. On to zrozumie. Pomoże.

Ręce mi się trzęsły, palce zdrętwiały. Dla dobra Dianę powinnam mieć opanowany głos, ale nie zdołałam nawet zadzwonić. Od strony kuchni rozległ się hałas, od którego serce omal nie wyskoczyło mi z piersi.

- Wszystko w porządku?

W drzwiach stała Valerie. Jeszcze nigdy jej widok mnie tak nie ucieszył. Poderwałam się z krzesła i podbiegłam, wepchnęłam ją do kuchni. Chciałam z nią porozmawiać

na osobności. Musiałam jej wytłumaczyć, co zrobił Michael Shepherd. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Nie stawiała oporu, posłusznie się cofnęła, ale ledwie zeszyliśmy z oczu Dianę, zatrzymała się w miejscu jak uparty muł.

- Co się dzieje? Zostawiliśmy was tylko na parę minut.

- Słuchaj, Valerie, muszę ci powiedzieć...

- Jeśli zdenerwowałaś Dianę...

- Zamknij się, na miłość boską!

Zmierzyłyśmy się wrogim spojrzeniem, obie zdenerwowane. Pozwoliłam sobie zmarnować sekundę na żal, że zamiast niej nie stoi tu jakikolwiek inny funkcjonariusz. Odetchnęłam głęboko.

- Przepraszam. To bardzo ważne. Skup się i słuchaj.

Zaczęłam jej opowiadać, co mi powiedziała Dianę, zająkując się, płacząc i tłumacząc niejasności. Valerie pobladła.

- Boże. Musimy komuś powiedzieć.

- Chciałam zadzwonić do Vickersa... - zaczęłam, ale porcelanowobłękite oczy Valerie spojrzały nad moim ramieniem i rozszerzyły się ze zgrozy. Dreszcz przebiegł mi po plecach, jeszcze zanim się

341

odwróciłam. W drzwiach stał Michael Shepherd, trzymając żonę za kark. W drugiej ręce miał przerażającą czarną kuszę długości pół metra, naciągniętą, gotową. Mierzył w nas. Za pasem miał drugą strzałę.

- Ani słowa.

Odruchowo odsunęłam się od Valerie, żebyśmy stanowiły trudniejszy cel. Strach odebrał mi rozum. Za wolno działałam. Zmarnowałam czas. Nie powinnam się wdawać w tłumaczenia, trzeba było od razu uciekać. Jak zwykle miałam opóźniony zapłon. Wściekła na siebie, zapomniałam o lodowatym strachu. Skupiłam się na tej złości, wiedząc, że dzięki niej się nie poddam. Nadal się cofając, dotarłam do kuchennego blatu i zatrzymałam się, sięgając za siebie. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy widziałam na nim coś, co mogłoby posłużyć za broń. Shepherd patrzył na Valerie z twarzą siną z furii.

- Ręce do góry! - warknął, unosząc broń.

- Spokojnie, Michael, spokojnie - powiedziała Valerie, usiłując się uśmiechnąć. - Wiem, że jesteś zdenerwowany, ale tak nie rozwiążemy tego problemu. Odłóż broń, puść Dianę, porozmawiajmy.

- Nie będziemy niczego rozwiązywać. Ta suka - potrząsnął Dianę gwałtownie - musiała się wygadać. A teraz wiesz ty i ty. - Wskazał nas kuszą. Kiedy wycelował we mnie, cała się skurczyłam. Uniosłam ręce; strasznie dygotały.

- To niczego nie załatwi. Narobisz sobie tylko więcej kłopotów.

Porozmawiajmy o tym, co się stało z Jenny. Jakoś sobie poradzimy

- tłumaczyła Valerie.

Miałam zerowe zaufanie do kojącego wpływu jej paplania. O parę kroków od nas stał

policjant, tuż za nim dziennikarze. I jeśli ktoś czegoś nie zrobi, zginiemy w tej kuchni, a oni nawet się nie zorientują. Valerie tylko pogarszała sytuację. Dianę wyglądała jak zepsuta lalka, głowa opadała jej na ramię. Wątpiłam, żeby do niej docierało, co się dzieje. Zostałam ja. Opuściłam ręce i włożyłam je do kieszeni, udając spokój.

-Przepraszam, że byłam zbyt dociekliwa. Chyba... chyba

342

Dianę coś się pomyliło. Chciała się wygadać. To tylko słowa. Nie sędzę, żeby ktoś to wziął na serio. - Brzmiałoby to o wiele bardziej wiarygodnie, gdyby nie mierzył do mnie z kuszy...

Michael Shepherd parsknął śmiechem. Straszny dźwięk.

- Niezłe. Nie wmawiaj mi, że nie uwierzyłaś.

- Nie wierzę, że musisz nam zrobić krzywdę - oznajmiłam spokojnie, wykorzystując lata doświadczeń z mamą, kiedy była na skraju szaleństwa. Wiedziałam, że nie należy okazywać strachu. - To nikomu nie pomoże. Bo co zrobisz? Będziesz strzelać do każdego, kto przyjdzie, żeby sprawdzić, co z nami? Kiepski plan, co?

Oczy mu błysnęły.

- Mam plan, nie bój się. Taki plan, żeby pozbywać się ludzi, którzy mnie wkurzają, na przykład ciebie, ty zarozumiała kurewko wygłaszająca nam kazania.

- Myślałam, że wam pomogę, ale się pomyliłam. Przepraszam.

- Tak łatwo się nie wykręcisz. Moja żona nagadała ci bzdur.

Dowiodła, że nie można jej ufać. Była nielojalna. Wykorzystała pierwszą szansę, żeby mnie zdradzić. Nie-do-pusz-czał-ne. - Przy ostatnim słowie ścisnął kark Dianę, której wydarł się z gardła pisk czystego przerażenia. Rozległo się ciurkanie. Wokół jej stóp zaczęła się rozlewać kałuża moczu. Shepherd też ją zauważył. - Obrzydliwa cipa z ciebie - warknął jej do ucha. - Żadnej kontroli nad sobą. Żaloszna jesteś. Jak twoja córka. Miała to po tobie, tak? Tak?!

Dianę łkała otwarcie, nadal z zamkniętymi oczami. Z wykrzywioną twarzą była nie do poznania. On chciał ją zabić. Widziałam to w jego oczach.

- Skąd masz tę kuszę? - rzuciłam, rozpaczliwie usiłując odwrócić jego uwagę. - Takie rzeczy nie leżą na ulicy.

Rzucił mi spojrzenie pełne czystej nienawiści, ale - o dziwo -odpowiedział.

- Od kumpla z siłowni. Kupił przez internet. Lubi takie rzeczy. Spytałem, czy mogę pożyczyć. Reporterzy i paparazzi włązili nam do ogrodu, zaglądali przez okna, męczyli dniem i nocą.

343

Powiedziałem, że chcę ich wystraszyć. Wiesz, Val, na nią nie trzeba pozwolenia. Fajna, nie? - Pokazał mi ją z dumą. Spojrzałam na śmiercionośną konstrukcję z

drutów i metalu i zrobiło mi się zdecydowanie niedobrze. Z tej odległości nie miałyśmy szansy, nawet gdyby kiepsko strzelał.

Gdy ja zajmowałam Shepherdą rozmową, Valerie niepostrzeżenie zbliżyła się do drzwi. W końcu, stojąc o dwa kroki od nich, skoczyła, obróciła się i chwyciła klamkę, rozpaczliwie za nią szarpiąc. Nie widziałam, kiedy Michael Shepherd wycelował, i nie słyszałam świstu strzały, ale nagle czarny pręt utkwiał między łopatkami Valerie. Runęła na twarz przez drzwi; jednak zdołała je otworzyć. Z mojego miejsca widziałam tylko jej nogi. Palce jednej stopy wcisnęły się w podłogę tak, że omal nie spadł jej but, druga była wykręcona pod dziwnym kątem. Czekałam w okropnej niepewności, czy się poruszy. Nikt nie wytrzymałby w takiej pozycji. Ale ona się nie ruszała.

Wróciłam spojrzeniem do Michaela Shepherdę, który wpatrywał się w Valerie z dziwną miną - podziwem dla własnego wyczynu.

- Jednym strzałem - powiedział i puścił żonę. Wyciągnął zza paska drugą strzałę i starannie osadził ją na cięciwie.

- Mike, proszę! - Diane szlochała tak gwałtownie, że z trudem ją rozumiałam. - Przestań! Musisz!

Wydawało się, że Shepherd uspokoił się, widząc, jak łatwo się strzela z kuszy. Jak łatwo zabić. Działał bez pośpiechu, skupiony. Chyba żony nie słyszał. Znowu zaczęła ogarniać mnie panika. Usiłowałam ją stłumić; do niczego mi się nie przyda.

Diane podjęła kolejną próbę.

- Tylko pogarszasz sprawę. Błagam, przestań.

To do niego dotarło.

- Pogarszam? Jak tu można jeszcze coś pogorszyć? Co może być gorszego od tego, że razem ze swoją córeczką zrobyliście ze mnie idiotę? Że teraz chcesz z premedytacją zrzucić na mnie odpowiedzialność? Niedoczekanie! Gdybym poszedł do więzienia, byłabyś wolna, tak? Mogłabyś wyjechać, zacząć nowe życie

344

i zapomnieć o tym. - Dźgnął kuszą w jej stronę. - Nic z tego. Już ci mówiłem.

Powiedziałem, że prędzej cię zabiję, niż dam ci odejść, i tak będzie. Jedyne różnica polega na tym, że sprawi mi to przyjemność, bo wierz mi, dostaniesz dokładnie to, na co zasługujesz.

Diane kręciła głową, zanosząc się histerycznym łkaniem. Pomyślałam z rozpaczą, że policjant stojący na zewnątrz musi ją usłyszeć, ale nie rozległy się kroki za drzwiami. Świat skurczył się do jednego pomieszczenia, śmierdzącego nienawiścią, rozpaczą i krwią. Jakbyśmy byli ostatnimi żywymi istotami na Ziemi.

Shepherd skończył naciągać kuszę, przygarnął żonę do siebie i pocałował w skroń, zanurzając twarz w jej włosach. Zamknął oczy i przez chwilę zastanawiałam się, czy to nie moja szansa, jedyna, jaka mi się trafi - ale nie mogłam się ruszyć. Sięgnęłam ręką za siebie i zaczęłam macać po blacie coraz szerszymi łukami z nadzieją na cud. Musnęłam coś koniuszkami palców, niechcący to odepchnęłam i sięgnęłam dalej, niemal płacząc. Shepherd bez wahania odebrał życie Valerie. Ze mną zrobiłby to samo.

Zaczekaj, powiedziałam sobie. Przeczekaj to.

Sięgnęłam znowu, napinając mięśnie. Dotknęłam zimnego metalu.

- Och, kochanie - powiedział Michael Shepherd stłumionym głosem. - Tak bardzo cię kochałem. Mógłbym dla ciebie umrzeć. A ty to wszystko podeптаłaś.

Odepchnął Diane, która zrobiła parę chwiejnych kroków. Odzyskała równowagę i odwróciła się powoli, martwo. Nie zostało w niej ani odrobiny woli walki. Stałam za nią i nie widziałam jej twarzy, ale twarz Michaela Shepherd'a była doskonale widoczna. Przez chwilę wykrzywił ją smutek i pomyślałam: Nie robi tego.

Ale Shepherd był człowiekiem zasadniczym, zdolnym do odebrania życia własnej córce, która go rozczarowała, człowiekiem wymagającym absolutnego szacunku.

Mógł to zrobić i zrobił. Usłyszałam świst i Diane bezgłośnie osunęła się na ziemię.

Kiedy padała, jeszcze raz sięgnęłam do tyłu, wyciągając palce o te brakujące centymetry, i zanim głowa Diane uderzyła o podłogę, schowałam

345

metalowy przedmiot z blatu do tylnej kieszeni spodni. Zyskałam atut, o którym Michael Shepherd nie wiedział, ale jeśli popełnię błąd, tylko pogorszę sprawę. Nie pozwoliłam sobie dłużej nad tym rozmyślać.

Shepherd celował żonie w twarz. Strzała trafiła w prawe oko. Makabryczny widok.

Po pełnej zgrozy sekundzie oderwałam od niej wzrok i przycisnęłam dłoń do ust.

Byłam pewna, że zwymiotuję. I że będę następna. Nikt nie przyjdzie mi na pomoc.

Wszystko zależy ode mnie.

Michael Shepherd wpatrywał się w żonę. Znowu podniósł kuszę i obejrzał ją obojętnie, po czym odłożył.

- Koniec strzał. Dla ciebie będę musiał wymyślić coś innego.

- Dlaczego? - Musiałam wciągnąć go w rozmowę, grać na zwłokę...

Zmarszczył brwi.

- No jak to? Nie pozwolę, żebyś poszła na policję i wszystko wygadała.

- Policja już wie - oznajmiłam bardzo spokojnie. Słabość dawała mu poczucie władzy. Pora sprawdzić, jak sobie poradzi z kimś, kto się nie boi. Co prawda trzęsłam się ze zgrozy, ale modliłam się, żeby tego nie zauważył. - Czekają tylko, aż się obciążysz. Dwa trupy w kuchni... moim zdaniem już zapracowałeś na aresztowanie.

- Policja myśli, że Jenny zamordował Danny Keane. Sama tak powiedziałaś.

Roześmiałam się i powiodłam wzrokiem po kuchni.

- Wobec takich dowodów każdy kretyn by poznał, że się pomylił, nie sądzisz? Jak zwalisz winę na kogo innego?

Wzruszył ramionami.

- Kogo to obchodzi? Nie będę czekał, aż mnie aresztują.

Najpierw zajmę się tobą, potem stąd spadam.

-A spadaj, nic mnie to nie obchodzi. Przyszłam tu tylko dlatego, że miałam wyrzuty

sumienia z powodu Danny'ego Keane'a. Czułam się odpowiedzialna, bo zrobił to, żeby mi zaimponować. Teraz wiem, że nie on zabił Jenny, więc głównie mnie obchodzi,  
346

co się stanie. Nie musisz mnie zabijać. Nie musiałeś zabijać jej. -Wskazałam ciało jego żony.

- Zasłużyła sobie.

- A Valerie?

- Wkurzała mnie - powiedział z prostotą.

- Mnie też. - Wybacz mi, Valerie, nie mówię prawdy, ale muszę jakoś ocalić życie. - Ale nie musiałeś jej zabijać.

Michael Shepherd parsknął śmiechem. Naprawdę się roześmiał.

- Twarda z ciebie klientka, co?

- Widziałam niejedno. Nic mnie nie zaskoczy. - Uśmiechnęłam się, ale wydało mi się, że to nieprzekonujący grymas.

- Czyżby?

Przeciągnął się i ziewnął, nie fatygując się zasłanianiem ust. Zobaczyłam różowy język i białe jak lód zęby. Szyja mu się naprężyła, żyły i ścięgna wystąpiły pod skórą jak na rysunku anatomicznym. Był bardzo silny i dużo wyższy ode mnie. Musiałam gadać dalej. Wsunęłam ręce w tylne kieszenie dzinsów, usiłując wyglądać na spokojną. Zacisnęłam palce na tym, co ukryłam w jednej z nich.

- Rozumiem, dlaczego to zrobiłeś.

- Tak? - Przyjrzał mi się sceptycznie.

-Oczywiście. Jenny cię rozczarowała. Miała tak wiele... -Rozejrzałam się z podziwem. - Co za dom! Dałeś jej wszystko, a ona zachowywała się, jakby to było nic.

Shepherd coś mruknął, chyba się ze mną zgadzał. Ostrożnie szukałam właściwej taktyki, starałam się odgadnąć, jak usprawiedliwił przed sobą to postępowanie. Przez myśl przepłynęły mi kłamstwa, którymi się karmił. Rozmowa z Dianę dała mi wyobrażenie o jego sposobie myślenia. Musiałam tylko podążyć tą ścieżką. Niebezpieczną ścieżką.

- Ja cię rozumiem - brnęłam dalej - ale przysięgli nie muszą. Powinieneś stąd uciec, zanim policja się dowie, co zrobiłeś. Jeśli odejdziesz teraz, zdążysz się ukryć za granicą czy gdzieś indziej. Jestem po twojej stronie. Nie chcę, żebyś cierpiał za cudze błędy.

347

Oni wszyscy zasługiwali na to, co ich spotkało, ale ty nie zasługujesz na więzienie. Zostanę tutaj i przez parę godzin będę udawać, że wszystko gra. Będziesz miał dość czasu, żeby zniknąć. - Kiedy to mówiłam, gniew podszedł mi do gardła, utrudniał oddychanie.

Shepherd zmarszczył brwi.

- Dlaczego miałabyś mi pomóc?

- Powiedzmy, że widziałam w życiu wiele niesprawiedliwości

Dlaczego miałabym ci nie pomóc? Nie przypominasz Danny'ego Keane'a. Miałaś powód tak postąpić. Mam nadzieję, że na twoim miejscu odważyłabym się zrobić to samo.

Przez sekundę bałam się, że posunęłam się za daleko, że mi nie uwierzy, ale słusznie sądziłam, że Michael Shepherd jest przeświadczony o swojej nieomyślności. Skinął głową.

- W porządku. Zamknij się na chwilę, muszę pomyśleć.

Ja też myślałam. On nie zdawał sobie sprawy, że przez niego jego córka stała się taka, jaka była. Odebrał jej szacunek do siebie. Zastraszył ją i nauczył bezmyślnego posłuszeństwa. Obudził w niej głód miłości i aprobaty, który Danny dostrzegł i wykorzystał. To wszystko było winą Michaela Shepherd'a, wszystko.

- Mogę cię związać i zostawić - powiedział nagle. - Nie wierzę, że nie będziesz wzywać pomocy, ale związana dużo nie działasz, prawda?

Skinęłam głową.

- Muszę znaleźć jakiś sznurek. I knebel - mówił do siebie.

Odwrócił się lekko, pocierając ręką głowę, i w tym ułamku chwili, w którym nie myślał o mnie, skoczyłam na niego. Nożyczki, które wzięłam z blatu, wbiłam mu w szyję, przekręciłam, wyszarpnęłam. Chyba nie widział, jak się zbliżam, i nie rozumiał, co się stało, dopóki z rany nie bluznął gorący strumień czerwonej krwi. Shepherd chwycił się za gardło. Rana była straszna, krew bluzgała wielkimi fontannami, wsiąkała w koszulę, która z khaki stała się lśniąco czarna. Odskoczyłam szybko - nie na tyle, żeby uniknąć pierwszego rozbryzgu, ale wystarczająco, by Shepherd nie zdołał mnie chwycić. Zresztą nawet nie próbował. Usiłował zatamować

348

krew, obiema rękami przyciskając szyję, ale czerwień przesączała się mu między palcami i ciekła po ramionach, spadając na białe płytki. Shepherd oparł się o szafki, osunął na kolano. Oczy miał wielkie, przerażone. Krew utworzyła wokół niego kałużę, pomiędzy spojeniami płytek płynęły jej strużki. Niesamowite, ile jej jest, pomyślałam i natychmiast wróciło do mnie jak echo "Jednakże kto by się był spodziewał tyle krwi w tym starcu!"\*. Postąpiłam słusznie. Tego nie dało się cofnąć, tak jak nie można było przywrócić Jenny życia.

- Proszę...

Zrobiłam krok w tył. Lepką, moką krew miałam we włosach i na rękach. Spojrzałam Shepherdowi w oczy i pomyślałam, na ile różnych sposobów zdradził swoją rodzinę, pomyślałam o własnym ojcu i uświadomiłam sobie, że na swój sposób także mnie zdradził, i o mojej matce, która wzięła tak wiele, tak mało o mnie dbając, i byłam zadowolona, zadowolona, że zdołałam się na kimś odegrać, zadowolona, że ktoś poniesie karę za wszystko, co zrobiono mnie i ludziom wokół mnie, zadowolona, że to właśnie on. Jenny została skrzywdzona dwukrotnie. Jego obowiązkiem było bronienie jej, nie odebranie życia.

W tej chwili nienawidziłam ich wszystkich, wszystkich, którzy uważają, że inni żyją tylko po to, by spełniać ich zachcianki. Nienawidziłam Danny'ego Keane'a i jego



okrutnego ojca, nienawidziłam tych anonimowych mężczyzn, którzy stali w kolejce, żeby wykorzystać niewinne dziecko. Nienawidziłam mężczyzny, którego miałam przed sobą, a który symbolizował wszystkich innych. Patrzyłam mu w oczy i czekałam, aż umrze. Nie ruszyłam palcem, żeby mu pomóc. Trwało to dobrą minutę. Niedługo. Wydawało się, że długo.

Dopiero kiedy znieruchomiał na podłodze, gdy jego oczy zgasły, ruszyłam się, położyłam nożyczki na blacie, wszędzie zostawiając krwawe ślady. Odkręciłam wodę i nachyliłam się do kranu, wypłukałam usta, vyplułam. Zakrztusiłam się tym metalicznym smakiem.

\* William Shakespeare, "Makbet", przełożył Józef Paszkowski.

349

"Ciągle ten zapach krwi...". Umyłam ręce, mydliny poróżniewały od krwi Michaela Shepherd. Miałam krew pod paznokciami. Usunęłam ją pracowicie. Kiedy ręce były już czyste, usiadłam przy stole kuchennym, nagle wyczerpana. Wyjęłam komórkę. Musiałam zadzwonić do Vickersa. Powiedzieć mu, co się wydarzyło, bo musiałam się z tego jakoś wybronić. Ale zanim do kogoś zadzwonię - zanim ktokolwiek zobaczy, co narobiłam - musiałam wymyślić własną wersję tej historii.

Zaraz potem wszystkie myśli o ratowaniu siebie wyparowały. Za moimi plecami rozległ się hałas i zrozumiałam, że źle oceniłam sytuację.

Odwróciłam się i spojrzałam prosto w oczy Valerie. Udało się jej usiąść, opierając się na szafce. Strzała jej nie zabiła.

Wstałam i podeszłam do niej. Oczy jej błysnęły. Zrozumiałam, że Valerie się boi - boi się mnie - więc zatrzymałam się parę kroków od niej.

- Jezu, myślałam, że nie żyjesz. Trzymasz się?

- Słyszałam... - wykrztusiła trochę świszczącym głosem wszystko. Nie musiałaś go zabijać. Chciał... cię... wypuścić...

- Tego nie wiesz. - Zaczęłam dygotać.

- Słyszałam. - Valerie patrzyła na mnie zimno. - Powiem...

im... co zrobiłaś. Zamordowałaś... go.

Poczułam do niej nienawiść, prawdziwą nienawiść.

- I co z tego? Myślisz, że kogoś to obchodzi? Naprawdę uważasz, że nie zasługiwał na śmierć? Zrobiłam światu przysługę, ty głupia krowo.

W odpowiedzi uniosła rękę, pokazując mi komórkę. Jej ekranik był rozświetlony.

- Słyszał to pan? W domu Shepherdów. Tak. Karetka, tak.

Nic... nic mi nie będzie.

Rozłączyła się i upuściła telefon na podłogę, jakby był dla niej za ciężki.

- Nawet jeśli... zasłużył... nie ty powinnaś decydować.

\* Tamże.

350

Odwróciłam się i usiadłam przy stole. Już się do niej nie odezwałam. Uświadomiłam sobie coś, co powinnam dawno wiedzieć. Nie sądziłam, że zdobędę dokładnie to, czego pragnę, i zobaczę, jak mi się to rozpada w dłoniach.

Przed drzwiami rozległ się hałas, krótkofalówka policjanta, który załomotał do drzwi, a potem je wyważył. Mętnie uświadomiłam sobie, że w kuchni roi się od funkcjonariuszy, pochylających się nad zwłokami, że sanitariusze zajmują się Valerie i pytają mnie, czy też jestem ranna. Pokręciłam głową. Chciałam być sama. W pokoju zrobiło się ciemno od ludzi i głośno, a ja chciałam, żeby wszyscy sobie poszli. Kiedy zjawił się Blake, najpierw usłyszałam jego głos. Podniosłam głowę i zobaczyłam, jak wymija jakiegoś funkcjonariusza, wpatrzony we mnie, zdenerwowany. Odgarnął mi włosy z twarzy.

- Myślałem, że cię straciłem. Myślałem, że też zginęłaś.

Co z tobą? Zrobił ci krzywdę?

Siedziałam jak skamieniała, nie mogąc się odezwać, a on chwycił mnie w ramiona. Jakby nie zauważał ciekawskich spojrzeń policjantów i sanitariuszy.

- Co się stało? Nieważne, możesz mi powiedzieć. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Nie będzie chciał mnie znać, kiedy się dowie. Taką decyzję podjęłam. Z tym będę musiała żyć.

Nad jego ramieniem zobaczyłam Vickersa. Ogarnął pomieszczenie jednym spojrzeniem i ominął ciało Dianę Shepherd, po czym pochylił się nad Valerie. Już leżała na noszach. Nie słyszałam ich rozmowy. Vickers wyprostował się z ponurą miną.

- Andy - odezwał się, dotykając ramienia Blake'a. - Dopilnuj, żeby Val niczego nie brakowało. Dowiedz się, do którego szpitala ją zabiorą. Chcę z Sarą zamienić słówko.

Widziałam, że Blake chce odmówić. Udało mi się do niego uśmiechnąć i szepnęłam: -Idź.

Więc poszedł, a ja odprowadziłam go wzrokiem, czując, że serce mi się łamie.

Wiedziałam, że Valerie mu powie. Wiedziałam, co pomyśli Blake.

351

Po chwili spojrzałam na Vickersa.

- Nie był przy panu. Nie słyszał tego co pan.

Starszy inspektor pokręcił głową.

- Zadzwoń do niego i kazałem mu tu przyjechać. Ale się dowie.

Odwróciłam wzrok. -Tak.

- Posłuchaj mnie - powiedział, przysuwając sobie krzesło i się dając. Chwycił mnie za rękę i mówił tak cicho, że nikt oprócz mnie go nie słyszał. - Posłuchaj. Jesteś kruchą młodą kobietą.

Roześmiałam się tylko.

- Niech pan to powie Michaelowi Shepherdowi.

Ścisnął mocno moje dłonie. Twarz miał poważną, a w głosie natarczywą nutkę.

- Jesteś dużo słabsza od Michaela Shepherda. Strzelił do Valerie, zabił żonę na twoich oczach i przyznał się do zabicia córki. To prawda?

-Tak.

- Bałaś się o swoje życie.

-Tak.

- Groził, że cię zabije.

-Tak.

- I rzucił się na ciebie.

Spojrzałam na Vickersa i zrozumiałam, że chce, żebym skłamała.

- Nie miałaś wyboru, musiałaś się bronić. Udało ci się chwycić nożyczki. Zadałaś cios na oślep.

Skinęłam głową.

- Kiedy upadł, nie wiedziałaś, co robić. Byłaś w szoku. Zmarł, zanim zdołałaś wezwać policję. Umyłaś ręce. W tym czasie Valerie odzyskała przytomność i mnie wezwała. Wysłałem policjantów, żeby sprawdzili, co się dzieje. Znaleźli cię w szoku. Dopiero kiedy przyjechałem, poczułaś się na tyle bezpieczna, żeby powiedzieć, co się stało. Zapamiętasz?

- Yalerie...

352

- Valerie się nie liczy. Zrobi, co jej każę.

- To nieważne - powiedziałam i rozpacz w moim głosie zaskoczyła nawet mnie. - On się dowie. I nigdy mi nie przebaczy.

- Andy? Dlaczego tak mówisz? On zrozumie. Akurat on zrozumie cię doskonale. Sam by to zrobił, gdyby coś ci groziło. - Vickers jeszcze bardziej ściszył głos, a jego słowa były jak srebrna nitka biegnąca w otaczających mnie ciemnościach. - Zaczynaj żyć na własny rachunek. Zostaw to wszystko i zaczynaj żyć.

Bardzo chciałam uwierzyć, że to możliwe, naprawdę, ale nie mogłam.

- Tak to nie ma. Zawsze trzeba zapłacić cenę.

Ale mimo woli miałam nadzieję, że się mylę. Mówiąc te słowa, myślałam jednocześnie, że już dosyć zapłaciłam. Do tej pory zapłaciłam już chyba, ile trzeba. Dom jest pusty. Meble znikły - sprzedane, oddane organizacjom dobroczynnym, wyniesione na śmietnik. Zerwano wykładziny, zostały nagie podłogi. Ściany też są nagie, ciemne linie zdradzają, gdzie niegdyś wisiały obrazy. Obchodzę pokoje po raz ostatni, sprawdzając, czy niczego nie zapomniano. Pokoje wydają się większe, sufity wyższe. Nic nie mać ciszy. W moim domu nie ma duchów - od niedawna. Schodzę po schodach z ręką na poręczy. Moje kroki budzą echo. W kuchni cisza jest najgłębsza. Kapiący kran został wreszcie naprawiony. Zegar znikł. Lodówka wyłączona.

Przed drzwiami rozlega się hałas. Wracam do pustego przedpokoju. On stoi, patrząc na kartonowe pudło na środku podłogi.

- To wszystko?

Kiwam głową.

- Wszystko.

Pochyla się i zagląda do środka. Parę fotografii, parę książek. Dziecięcy kubeczek i talerzyk w truskawki.

- Nie wozisz się z gratami, co?

Uśmiecham się do niego, myśląc, że zabieram ze sobą bardzo dużo. On widzi ten uśmiech i dokładnie go rozumie.

353

- Chodź tutaj - mówi, a ja wtulam się w jego ramiona. Pasuję do nich idealnie, jakbym była do nich stworzona. On całuje mnie w czubek głowy. - Zaniosę pudło do samochodu. Daj mi znać, kiedy będziesz gotowa.

Odprowadzam go wzrokiem, a potem zaglądam do pustego salonu. Nie wiem, czego tam szukam. Mam już wszystko, czego potrzebuję.

Po raz ostatni zamykam za sobą drzwi. Odchodzę i nie oglądam się za siebie.

## PODZIĘKOWANIA

J

'estem winna wdzięczność wielu osobom, które pomogły mi - świadomie lub nieświadomie - w pisaniu tej książki.

Frank Casey, Alison Casey, Philippa Charles i Kerry Holland zawsze podtrzymywali mnie na duchu. Bez nich moja praca postępowałaby o wiele wolniej. Wiele im zawdzięczam. Go raibh mile maith agaibh go Ióir.

Annę Marie Ryan jest niezwykle utalentowaną redaktorką i przyjaciółką. Z nieomylną pewnością znajdowała wszystko, co należało wyciąć z pierwszej wersji książki.

Rachel Petty nie tylko znalazła lukę w intrydze, ale natychmiast podsunęła mi idealne rozwiązanie, w ten sposób chroniąc mnie przed załamaniem nerwowym.

Nie wiem, co bym zrobiła bez mojego wspaniałego agenta Simona Trewina. Jest niezmordowany i zawsze zabawny. Jego asystentka Ariella Feiner dorównuje mu inteligencją, a jej entuzjazm dopingował mnie do pracy. Zawsze będę im wdzięczna.

Jestem także ogromnie wdzięczna Jessice Craig i Lettie Ransley, a także wszystkim z United Agents za ich ciężką pracę w mojej sprawie.

Gillian Green jest redaktorem idealnym - rozumiała mnie, służyła mi pomocą i zachętą. To ona tchnęła życie w tę książkę. Wraz z Justine Taylor fantastycznie wyłapywała moje błędy, niedokładności i niekonsekwencje. Te, które pozostały, wynikają wyłącznie z mojej winy. Uważam się za wielką szczęściarę, że wydaję moją książkę w Ebury Press, i chciałabym podziękować wszystkim, którzy poświęcili się jej z zaangażowaniem i profesjonalizmem.

355

W końcu chciałam podziękować moim współnikom zbrodni - kotu Fredowi i mężowi Jamesowi. Fred nie odstępował mnie na krok podczas pisania tej książki. Nigdy nie udało mu się wyka-sować całego tekstu pomimo częstych przechadzek po klawiaturze, a za to zdarzyło mu się napisać parę zabawnych uwag.

Bez Jamesa to wszystko nie byłoby możliwe. Nawet nie potrafię wyliczyć wszystkich sposobów, w jakie mnie wspierał. Ma moją dozągonną wdzięczność i serce.

Wywiad z Jane Casey

Co panią zainspirowało do napisania "Zaginionych"?

Zainteresowała mnie szansa analizy sytuacji rodziny po strasznej zbrodni, zwłaszcza niewyjaśnionej. Zawsze sądziłam, że niepewność, ciągle domysły, co stało się z ukochaną osobą, są gorsze od najgorszej prawdy. Ponadto fascynuje mnie fakt, że pozory przyzwoitości kryją czasem mroczne tajemnice. Zastanawiałam się, co mogłoby się wydarzyć, gdyby ktoś, kogo okaleczyło tak traumatyczne dzieciństwo - ktoś taki jak Sarah - został zamieszany w dochodzenie w sprawie morderstwa. Co się wydarzy, jeśli poddamy kogoś takiego podobnej presji? Jak się zachowa? To właśnie dało początek akcji.

"Zaginieni" to wspaniały thriller psychologiczny z wieloma niespodziewanymi zwrotami akcji. Czy od początku wiedziała pani, jak się to wszystko skończy? Czy pisząc, realizuje pani ułożony z góry plan?

Od samego początku wiedziałam, co się wydarzy na końcu i jak Sarah zareaguje w ostatniej scenie - reszta intrygi służyła doprowadzeniu do tego punktu. Rzeczywiście skonstruowałam pewien plan, ale podczas pisania czekało mnie parę niespodzianek! Nie wszystko poszło tak, jak zaplanowałam...

Akcja książki rozgrywa się głównie na osiedlu i w szkole w Surrey - czy opisywała pani prawdziwe miejsca?

Nie są to konkretne miejsca - nie byłam wierna geografii Surrey, co natychmiast zauważą wszyscy, którzy je znają.

357

To bardzo piękna część Anglii, z bujnymi lasami i otwartymi przestrzeniami. W miasteczkach-sypialniach, z których dojeżdża się do pracy, tworzy się społeczeństwo, w którym ludzie niekoniecznie dobrze znają swoich sąsiadów - idealne miejsce do ukrycia zbrodni.

Pani mąż jest prawnikiem. Czy jego praca przydaje się pani w zbieraniu informacji do książki?

Posiadanie w domu eksperta od prawa karnego jest niezwykle praktyczne, choć czasami zastanawiam się, co ludzie siedzący obok nas w restauracjach myśleli o naszych rozmowach! Mój mąż jako prawnik dąży do jak największej ścisłości, ja jako pisarka dbam o dramatyzm. Na ogół udaje się nam osiągnąć porozumienie. Czy istnieje jakaś klasyczna powieść, którą obiecywała pani sobie przeczytać, ale nigdy nie zdołała tego zrobić?

Pogodziłam się z faktem, że mogę nigdy nie przeczytać Prousta. Czuję, że powinnam, ale brakuje mi motywacji. I kompletnie poległam przy "Szkarłatnej literze" Nathaniela Hawthorne'a. Nawet nie jest szczególnie długa...

Proszę wymienić pięć książek wszech czasów.

"Samotnia" Karola Dickensa, "Tajemna historia" Donny Tartt, "Gaudy Night" Dorothy L. Sayers, "Wakacje w Awinionie" Mary Stewart i trylogia "Pax Britannica" Jan Morris.

Jaką książkę czyta pani w tej chwili?

"Kamień księżycowy" Wilkiego Collinsa, fenomenalny kryminał z jednym z pierwszych wielkich detektywów w literaturze, sierżantem Cuffem.

Ma pani ulubioną porę na pisanie? Ulubione miejsce?

Lubię ranki, kiedy jest cicho - zwykle między szóstą a ósmą. Często piszę przy kuchennym stole. Ale zdarzało mi się pisać o każdej porze dnia i nocy i w wielu dziwnych miejscach: w pociągu,  
358

gu, na lotnisku, w kawiarni, w ogrodzie, w łóżku, na sofie, spędzając kota z laptopa... wszędzie, gdzie się da.

Którą postać literacką najbardziej chciałaby pani poznać?

Kapitana Wentwortha z "Perswazji" Jane Austen.

Kogo uważa pani za pisarza wszech czasów?

Za połączenie misternej intrygi, niezapomnianych postaci, wspaniałych opisów i umiejętność uchwycenia ducha epoki muszę przyznać ten tytuł Dickensowi.

Czy brała pani pod uwagę zawód inny niż pisarstwo?

Nigdy na serio nie chciałam robić nic innego, niż pisać lub pracować przy tworzeniu książek, a miałam szczęście wykonywać oba te zajęcia. Rozważałam myśl o zostaniu prawnikiem, dyplomata lub psychologiem, ale ostatecznie wygrała literatura.

Najgorzej wspominam pracę ekspedientki w dużym centrum handlowym w Dublinie w dziale sprzedaży choinek. Świąteczne piosenki zaczynano puszczać już we wrześniu, klienci byli opryskliwi i pod koniec dnia byłam cała obsypana brokatem, więc w autobusie patrzono na mnie podejrzliwie. Minęło wiele czasu, zanim znowu zaczęłam kochać okres świąt.

Nad czym pani aktualnie pracuje?

Nad drugim kryminałem, tym razem o seryjnym mordercy. Wcielam się w dwóch narratorów - to świetna zabawa!

JiNE CASEY urodziła się i dorastała w Dublinie. Studiowała filologię angielską w Jesus College w Oksfordzie. Pracuje w wydawnictwie jako redaktor. "Zaginieni" to jej debiut prozatorski.